

Kristin Hannah

Wspólnicy

Prolog

Początek marca 1896

Hej, Kamienny Człowieku!

Ochryply wrzask rozszedł się jak smuga smrodu w zimnym wnętrzu namiotu. Kamienny Człowiek MacKenna poczuł to każdym porem ciała i każdą kością. Jego potężne pięści zacisnęły się, a potem rozluźniły. Tylko raz, błagał w myślach, pozwól mi rąbnąć tego hałaśliwego sukinsyna, choć raz...

- Ogluchłeś?

Powoli unióś głowę i wbił lodowate spojrzenie w trzech mężczyzn, skupionych wokół piecyka. Zrobiło mu się niedobrze na sam widok tych wrzaskliwych półgłówków, a jego twarz o ostrych rysach przybrała typowy dla niego, chmurny wyraz.

- Czego chcecie?

- Siedzisz tu i myślisz wyłącznie o tym, jak bardzo chcesz nas zastrzelić? Do diabła, przecież my tylko rozmawiamy! -Midas Magowin uśmiechnął się, prezentując zestaw tak popsutych zębów, że nie wiadomo, jakim cudem jeszcze nie powypadały.

- Dość tego! - Wyraz twarzy Kamiennego Człowieka zrobił się jeszcze bardziej ponury.

- Nie dla poszukiwaczy złota z dołu rzeki. Jeśli chcesz nas

zastrzelić, to zastrzel, a jak nie, to zabieraj stąd swoją ponurą głębę.
Doprowadza mnie do szału!

- Niezły pomysł.

- My zostajemy. Na dworze jest piekielnie zimno, a ty masz najlepszy piecyk w tej dziurze. - Midas cofnął się za stołkiem tak daleko, że znalazł się poza kręgiem ciepła, wydzielanego przez piecyk. Splunął. Brunatna plwocina natychmiast zamarła. Twarda jak skała kulka przeleciała w powietrzu i uderzyła o drewnianą podłogę, rozpryskując się na kilka podobnych do szkła odłamków.

- To jest sklep dla pracujących ludzi, a nie hotel dla rozgadanych, niewydarzonych poszukiwaczy złota - warknął Kamienny Człowiek.

- Tak naprawdę to gówno prowadzisz, Kamienny. To jest najgorsza imitacja sklepu, jaką w życiu widziałem. - Midas z chichotem zacierał kościste dłonie.

Krzaczaste kruczocharne brwi Kamiennego Człowieka ściągnęły się w jedną linię, a oczy koloru starej whisky zwęziły się. Potężny głos mężczyzny zniżył się do szeptu.

- Pamiętaj, gdzie jesteś, stary. To jest mój sklep. Moja praca. Jak dotąd nie wykopałem was stąd i znosiłem wasze piekielne trajkotanie. Ale żaden łysiejący, starszy od pana Boga, kurdupłowaty poszukiwacz złota nie będzie mi mówił, jak mam prowadzić interes! Zrozumiano?

- Całkowicie! - Midas błysnął zębami w uśmiechu.

- Hej, Kamienny...

Z pełnym irytacji westchnieniem Kamienny Człowiek zwrócił się w stronę mówiącego. To był jeszcze dzieciak, Dryblas, niedawno przybyły poszukiwacz złota, który godzinami wysłuchiwał nedorzecznej gadaniny Midasa i bez przerwy starał się naśladować swego bohatera.

- Tak, chłopcze?

- Dziękuję, że pozwolił nam pan zostać. Tu jest o wiele cieplej. - Na chudej piegowatej twarzy Dryblasa pojawił się szeroki uśmiech.

Kamienny Człowiek wymamrotał coś w odpowiedzi. Zaciśnął zęby, żeby powstrzymać dobrze już znaną falę złości. Wygrali! Zostaną tu! Znowu. Nie pozbędzie się ich aż do zamknięcia sklepu. On to wiedział i oni to wiedzieli. Inni ludzie mieli prawo oczekiwać stałych godzin otwarcia.

Jedno wiedział na pewno: nie będzie z nimi dyskutować. Próbował to zrobić od chwili, kiedy sprowadzili się do jego spokojnej doliny, ale jedynym efektem jego wysiłków był potworny ból głowy.

Zastanawiał się, co przyciąga tu tych półgłówków tak mocno, jak padlina łosia przyciąga sępy. Przebywali tysiące mil, gnani gorączką złota, ale większość z nich nigdy nawet nie wytyczyła swej złotodajnej działki. Siedzieli tu tylko, pili, palili, rżnęli w karty i gadali jak najęci.

Odrzucił z oczu kosmyk kruczoczarnych włosów i przyjrzał się pstrokatej grupie błaznów. Ich wrzaskliwe głosy ranily jego uszy, wdzierając się w ciszę, w poszukiwaniu której przemierzył tysiące mil. Wydawali dźwięki jak stado hien, walczących o kości królika - wyli, szczekali, warczeli. Zamknął oczy i potarł skronie. Chciał tylko, żeby zostawili go samego. Czy prosił o zbyt wiele?

- Hej, Dryblas, o czym to ja mówiłem, zanim przerwał mi ten gbur? - Przepalony głos Midasa wyrwał Kamiennego Człowieka z zamyślenia.

Z największym wysiłkiem uniósł ciężkie jak ołów powieki. Pierwsze, co zauważył, były zepsute, wyszczerzone w triumfalnym uśmiechu zęby Midasa. Tylko raz, pomyślał, zerkając na swoje pięści. Tylko jeden raz...

- Dryblas, pytałem cię, o czym, u diabła, mówiłem.

- Chryste - warknął Kamienny Człowiek - przecież mówisz zawsze tylko o dwóch rzeczach: o złocie i o kobietach. Zresztą o żadnej z nich nie masz zielonego pojęcia!

- To tylko dowodzi tego, co od dawna podejrzewałem, Kamienny. Jesteś wielki i głupi. Nigdy nie rozmawiam o kobietach.

Rozmawiam o dziwkach! - Staruszek, zupełnie nieurazony, pociągnął nosem i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Aha! - potwierdził Dryblas, a Midas czule poklepał swego chudego protegowanego po plecach.

- Jak już wczoraj mówiłem, dobra dziwka jest chyba najlepszą rzeczą, jaka może się przytrafić mężczyźnie, ale dama... ojejku! Wolałbym zmierzyć się z rosomakiem niż z cnotliwą kobietą! Bo dama jest jak walka, która za chwilę ma się rozpocząć; kiedy już taka zacznie mówić, to tylko atak serca może jej przerwać. I zawsze stawia na swoim. Ty nie masz nic do gadania. - Rzucił Dryblasowi wymowne spojrzenie.

Nagle ktoś gwałtownym szarpnięciem rozsunał kłapy namiotu i do środka wdarło się mroźne powietrze. Jakiś mężczyzna, potykając się, wszedł do środka i śpiesznie zaciągnął za sobą kłapy. Powoli, kulejąc, nieznamy podszedł do piecyka, przysunął sobie stołek na trzech nóżkach i opadł na jego twarde siedzenie. Wydawało się, że z jego ciała uchodzi powietrze. Potrząsnął głową, a strzepnięty z jego grubej kurtki śnieg posypał się na rozgrzany piecyk. W namiocie rozległ się trzask i syk dławionych płomieni. Mężczyzna drżącymi rękami zdjął grube rękawice i zsunął z głowy obramowany futrem kaptur.

- Stary Bill! Co ty tu, do cholery, robisz?! - wrzasnął Midas do jedyne go na Jukonie kuriera pocztowego.

- Piekielnie tu zimno - mruknął Bill, próbując się uśmiechnąć. Nalał sobie kubek kawy, objął go zniekształconymi przez reumatyzm palcami i podniósł do góry, żeby gorąca para owiała mu twarz.

- No, Bill, co tu robisz?

- Mam list do Kamiennego Człowieka.

Wszyscy spojrzeli na Kamiennego Człowieka. Czuł ich świdrujące spojrzenia, utkwione w swojej piersi. Korespondencja nad Thronduick River trafiała się rzadziej niż złoto, a złoto znajdowano tu naprawdę bardzo rzadko. Kamienny Człowiek ze zmarszczonym czołem podszedł do Starego Billa.

Kiedy zbliżył się do niewielkiego kręgu ciepła wydzielanego przez piecyk, poczuł dreszcz niepokoju. Kto, u licha, mógł do niego napisać? Nigdy w życiu nie dostał listu. To musi być pomyłka. Bill sięgnął do skórzanej torby i wyjął pogniecioną i przybrudzoną kopertę.

- Nadana w St. Louis i zaadresowana do Corneliusa J. MacKenny. To ty, nie?

Kamienny Człowiek ujął kopertę w splekane od mrozu dłonie i gapił się na nią przez dobrą chwilę. Ktokolwiek napisał ten list, poświęcił mu dużo czasu. Charakter pisma był nienaganny. Doskonały. To był prawdziwy, porządny list od kogoś z zewnątrz, nie stąd. Jego silne ręce zdrzęzały. Podobnie jak inne, ciężko poranione, samotne dusze, które wędrowały po terytorium Jukonu, Kamienny Człowiek porzucił cywilizację wiele lat temu. Wyruszył na północ, bo nie miał przyjaciół, rodziny, nikogo, kogo mógłby kochać. Pozostał tu, ponieważ to mu odpowiadało.

A teraz... list.

Nieporadnie, nienawykłymi do takich zajęć, długimi palcami otworzył kopertę i powoli wyjął list. Szorstki, nierówny papier był złożony na czworo z idealną, wojskową precyzją. Rozłożył kartkę i zaczął czytać.

Drogi Panie MacKenna!

Biorę pióro do ręki, żeby odpowiedzieć na ogłoszenie, zamieszczone w „St. Louis Post Dispatch”. Ponieważ jest już listopad, mogę tylko mieć nadzieję, że nadal potrzebuje Pan asystenta. Jeśli tak, pragnę ubiegać się o stanowisko w Pańskim sklepie.

Warunki przedstawione w ogłoszeniu w zupełności mi odpowiadają. Zgadzam się pracować przez rok w zamian za połowę udziału w dochodach plus pokój i wyżywienie.

I choć muszę przyznać, że brak mi doświadczenia w tego rodzaju przedsięwzięciu, znajdzie Pan we mnie sumiennego,

dobrze zorganizowanego pracownika, który pragnie przyczynić się do naszego obopólnego sukcesu. Będę niecierpliwie czekać na odpowiedź.

Devon O'Shea

PS. Jeśli wybierze mnie Pan na wspólnika, bardzo proszę o radę, co mam zabrać do Jukonu, aby uprzyjemnić sobie spędzony tu czas.

- Cóż, będę... - Potrząsnął głową z niedowierzaniem.
- Co? - zapytali chórem poszukiwacze złota. Kamienny Człowiek uśmiechnął się pierwszy raz od kilku tygodni. Dlaczego by nie? Może mieć wspólnika! Ten pan Devon O'Shea jest spełnieniem jego modlitw. Przez następnych kilka miesięcy będzie znowu sam. Nie będzie musiał zajmować się prowadzeniem sklepu, będzie mógł poświęcić się fotografowaniu dzikiej przyrody, co było jego ulubionym zajęciem.

I nigdy, nigdy więcej nie znajdzie się w jednym pomieszczeniu z trajkoczącymi poszukiwaczami złota. Przymknął oczy. To wystarczy, żeby zacząć wierzyć w Boga.

- Co jest? - zapytał Midas.
- To odpowiedź na moje ogłoszenie.
- Jakie ogłoszenie?

- Jak tylko wy, półgłówki, zaczęliście ściągać do mojej doliny, dałem ogłoszenie do dziesięciu gazet w większych miastach, że potrzebuję wspólnika do prowadzenia faktorii.
- Dlaczego, do cholery, zrobiłeś coś tak idiotycznego?! Nie ma na świecie faceta, z którym mógłbyś pracować! - wpadł mu w słowo Midas.
- Nie zamierzam z nikim pracować. Chcę być sam. Dlatego dałem to ogłoszenie. Potrzebuję kogoś, kto zadba o moje interesy w faktorii, kiedy będę robił zdjęcia.
- Interesy! Ha!

Kamienny Człowiek całkowicie zignorował okrzyk Midasa.

- W każdym razie minęło już sporo czasu, odkąd wysłałem ogłoszenie. Nikt się nie zgłosił i zdążyłem już o całej sprawie zapomnieć.

- A teraz dostałeś odpowiedź? Hura! Otwórzcie migiem następną flaszkę gorzały, chłopcy. To nasz szczęśliwy dzień! Nie ma wśród żywych nikogo gorszego od Kamiennego Człowieka. Jego współnik siłą rzeczy musi być lepszy. - Midas z radości klepnął się po żyłastych udach.

- Może on gra w pokera? - wtrącił Dryblas, łykając potężny haust bimbru.

- Mogę się założyć! I może... - Słowom Midasa towarzyszył donośny bulgót, jako że sięgnął właśnie po butelkę i przechylił ją do ust.

Ich głosy zlewały się w jedno monotonne brzęczenie i docierały zmieszane do mózgu Kamiennego Człowieka, przeszkadzając mu w rozmyślaniach. Po pijanemu są jeszcze gorsi niż zwykle, pomyślał kwaśno. Gadają wszyscy naraz.

Ucisk w skroniach wzmógł się. Po raz pierwszy od lat zatęsknił za jednym z podstawowych uroków cywilizacji: za transportem. Gdyby faktoria była w San Francisco czy Bostonie, O'Shea mógłby podjąć pracę w ciągu tygodnia. Ale nie tu, nie na terytorium Jukonu. Będzie miał szczęście, jeśli zobaczy tego faceta przed jesienią. Nawet jeżeli dziś wyśle do niego list, to i tak kilka najbliższych miesięcy spędzi zamknięty jak w pułapce z grupą niewiele wartych poszukiwaczy złota.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. To będzie długie oczekiwanie.

Schyłek lata 1896

Devon O'Shea siedziała w miejscu już tylko dzięki sile woli. Ulokowana na samym brzeżku koi tkwiła sztywno wyprostowana, a zadbane, mocno zaciśnięte, białe dłonie złożyła na podolku. Dziesięć minut. Już tylko tyle musi odczekać. Za dziesięć krótkich minut pozna swojego współnika, pana Corneliusa J. MacKennę. Nie prostując palców, przycisnęła smukłą rękę do żołądka. Dlaczego nie mogła się uspokoić? Wiedziała, że jej zdenerwowanie jest irracjonalne, a Devon rzadko zachowywała się irracjonalnie. A teraz, niezależnie od tego, jak często besztła samą siebie, nie mogła opanować drżenia rąk ani kołatania serca.

Dzisiejszy dzień jest bardzo ważny. Dziś rozpocznie nowe życie: nie narzucone przez zły los, ale wybrane przez nią samą. Jej życie!

Lekko westchnęła i zaczęła bębnić paznokciami w metalową ramę koi, podświadomie rejestrując delikatny metaliczny dźwięk, który w cichej kajucie zabrzmiał jak tętent kawalerii. Znów westchnęła. Gdyby była bardziej podobna do swojej siostry, Colleen! Ona nie byłaby teraz zdenerwowana. Byłaby zdecydowanie zbyt zajęta wymyślaniem romantycznych historii, związanych z panem MacKenną, aby się niepokoić. Ale Devon

w ogóle nie była podobna do młodszej siostry. Colleen była spontaniczna, kapryśna i niepraktyczna; Devon - spokojna, pragmatyczna, zrównoważona. W przeciwieństwie do Colleen, nie widziała sensu w marzeniach na jawie. Oczywiście wiedziała, że siostra wyobrażałaby sobie pana MacKenne jako wysokiego i oszałamiająco przystojnego mężczyznę, wysiadającego z gracją z kruczo czarnego kabrioletu, zdejmującego kapelusz i recytującego poezję.

Ale nie Devon. Ona nie marnowała czasu na marzenia ozłapaniu w ręce skrawka własnego nieba. Marzenia na jawie, pragnienia, dążenia, jakkolwiek by je nazwać, były głupią stratą czasu. Pan MacKenna, niezależnie od tego, jak wygląda i jak się zachowa, będzie przez rok jej współnikiem. Na dobre albo na złe. Usłyszała pukanie do wąskich drzwi kabiny. - Panno O'Shea? Panno O'Shea? Przyszedłem po pani bagaże!

Uniosła starannie uczesaną głowę. O, Boże, to już! W tej chwili zaczyna się jej nowe życie.

Zmusiła się do zachowania spokoju. Nie wypada, aby dwudziestodwuletnia kobieta rzuciła się do drzwi jak pensjonarka. Musi zrobić odpowiednie wrażenie. Ludzie, których zaraz spotka, będą jej sąsiadami, klientami, może nawet jej przyjaciółmi.

Podniosła się sztywno, obciągnęła z przodu białą, czystą bluzkę i strzepnęła fałdy podróżnej spódnicy z serży. Jej dłonie uniosły się, żeby poprawić rdzawe włosy, zwinięte nisko na karku.

Rozejrzała się po maleńkiej kajucie, która przez czterdzieści cztery dni była jej domem, i uśmiechnęła się. Każda rzecz była na swoim miejscu. Dwa kufty stały w rogu; ich mosiężne okucia przylegały idealnie, a zamki z jasnego metalu były zamknięte. Skórzana walizka lśniła jak generalskie buty, a najwartościowsza z posiadanych przez nią rzeczy - jasnoczerwony

rower - błyszczała. Wszystko było dokładnie takie, jak lubiła: porządne i na swoim miejscu.

- Proszę - powiedziała. Miała niski, gardłowy, nieco chropawy głos, przypominający zadowolone mruczenie starego kota. Kiedy szeptała, zmysłowość głosu ostro kontrastowała z jej nieomal surowymi rysami twarzy.

Wąskie drzwi otwarły się i wszedł młody mężczyzna. Rzuciwszy jej krótki, zdawkowy uśmiech, sięgnął po bagaże. W pół drogi zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Minęła pełna minuta, zanim się odwrócił. Jego oczy były wielkie jak spodki.

- Rower... - potrząsnął głową. Zielone oczy

Devon pojaśniały z dumy.

- Czyż nie jest wspaniały? To dwubiegowy royal Worcester, taki sam, jakim jeździ panna Lillian Russell. Siostra i jej mąż dali mi go w prezencie na tę podróż.

- A więc chce go pani zabrać? - Chłopiec z trudem przełknął ślinę, aż podskoczyło mu jabłko Adama.

- Oczywiście! - Mała zmarszczka pojawiła się między idealnymi łukami jej brwi.

- Ale...

Przerwała mu gestem piegowatej ręki. Podnosząc z koi książkę, pogładziła jej skórzaną oprawę.

- Czytałeś może przypadkiem *Przewodnik po Alasce i Jukonie dla poszukiwaczy złota* Johna McMoffata?

- Ależ skąd!

- Tak myślałam. *Przewodnik* zaleca rower jako najlepszy środek transportu na terytorium Jukonu. Jak wiesz, daleko na północy jest niewiele koni - powiedziała uszczypliwie.

- McMoffat, tak? Facet musi mieszkać dość daleko stąd. Ta twoja siostra i jej mąż naprawdę kupili to dla ciebie, specjalnie na tę podróż? - Wargi chłopca zadrzały.

- Tak, kupili i bądź uprzejmy przestać szczyrzyć zęby. W *Przewodniku* znajduje się punkt.

- Dziękuję pani! - Zarzucił sobie lśniący rower na wąskie ramiona, chwycił walizkę i uciekł z kabiny.

Dziwaczny młodzieniec, pomyślała Devon. Podeszła do swojej prowizorycznej toaletki i usiadła. Szybko spojrzawszy w ręczne lustro upewniła się, że wygląda tak dobrze, jak tylko może wyglądać kobieta w prawie średnim wieku. Jej piegowata cera była czysta, a włosy, normalnie wyglądające jak szopa mocno skręconych loczków w kolorze starej rdzy, miała porządnie zwinięte.

Umieściła kapelusz na czubku fryzury, wzięła torebkę, rękawiczki i parasolkę i ze spuszczoną głową wyszła z kabiny.

Na zewnątrz lał ulewny deszcz, walił w metalowy daszek nad jej głową i spadał z jego krawędzi jak kurtyna falującego srebra. Sternik skierował statek w stronę pasa brunatnoszarego błota na brzegu rzeki Jukon i zaczął zwalniać.

Zdrętwiała. Dlaczego on się zatrzymuje? To bagniste pustkowie nie może być jej przeznaczeniem. Spodziewała się miasta podobnego do Circle City, z operą, z salami tanecznymi, bibliotekami, światłami. Rozwijającego się miasta!

Próbowała przebić wzrokiem ciemność. Tam nic nie było; nic poza nieukończoną chatą z bali, która wyglądała jak szkielet króla otoczonego przez dwór zszarzałych, płóciennych namiotów.

Namioty! Zadrzała i przycisnęła rękę do piersi, wpatrując się w sześć namiotów, rozsianych po bagnistym terenie. Po co je tu postawiono? Przecież chyba żaden człowiek nie może przetrwać zimy na Jukonie przy tak mizernej ochronie przed żywiołami?

- Devon O'Shea! - Ktoś na pokładzie zawołał ją po nazwisku. Ściskając mocniej torebkę, otworzyła parasolkę i ostrożnie ruszyła w dół po metalowych schodach. Wysokie obcasy bucików głośno stuknęły o mokry metalowy pokład.

- Ja jestem panną O'Shea - zwróciła się do krzepkiego marynarza, trzymającego linę na dziobie statku.

Odwrócił głowę, przyjrzał się jej bardzo uważnie, a potem

znów skoncentrował uwagę na trzymanej w rękach, grubej jak jego nadgarstek, linie.

- Proszę pana, ja jestem panną O'Shea. O co chodzi? -powiedziała do jego szerokich pleców, nerwowo ściskając rączkę parasolki.

Odwrócił się twarzą do niej i potrząsnął głową, żeby strząsnąć wodę z przekrwionych oczu.

- Jeśli to ty jesteś Devon O'Shea, niech niebiosa mają w swojej opiece Kamiennego Człowieka. Jeżeli naprawdę nią jesteś, to nie ma żadnego problemu. Wsiadasz.

- Nie, tu nie wsiadam.

- Powiedziałaś kapitanowi, że wsiadasz przy faktorii MacKenny, tak?

Zaschło jej w ustach i mogła tylko potwierdzić skinieniem głowy.

- Właśnie tu mieszka Kamienny Człowiek.

- Kto? - Starła się zachować spokój.

- Kamienny Człowiek, tak miejscowi nazywają starego Corneliusa.

Tak czy owak, jego faktoria jest tutaj.

Rozejrzała się. Szary, spustoszony, bagnisty ład zdawał się patrzeć na nią, cichy i pozbawiony życia. Przycisnęła drobną dłoń w rękawiczce do brzucha; żołądek jej się skurczył. Przez jedną przerażającą chwilę bała się, że zemdleje.

- Chce pani usiąść? Nie wygląda pani najlepiej.

Bała się otworzyć usta, żeby nie ulec panice. Musi pomyśleć...

- Panienko? Chce pani usiąść?

- Nie, nie chcę - odparła. - Chcę wiedzieć, ile kosztuje bilet powrotny do St. Michael.

- Nie wiem. Chyba koło setki. - Wzruszył ramionami. Skrzywiła się. Równie dobrze mógłby kosztować tysiąc...

- A więc nie mogę tam popłynąć... W takim razie wrócę do Circle City. Proszę zawiadomić kapitana.

- Statek nie popłynie tą trasą aż do wiosny. No, proszę wsiadać.

Nie wiedziała, jak długo stała na placyku pod poszarpanymi, niegdyś czerwonymi płachtami materiału, który służył jako miejski port, ani jak długo patrzyła w ślad za oddalającym się parowcem, który teraz wyglądał jak mały punkcik. Wiedziała tylko, że została rzucona na te zapomniane przez Boga moczary przez ubóstwo i przez słowo dane panu Corneliusowi MacKennie.

Oderwała wzrok od parowca i wyprostowała opuszczone ramiona. Nie było sensu marzyć, aby wszystko było inaczej. Jeśli będzie płakać nad rozlanym mlekiem, to i tak nie znajdzie się ono znów w butelce. Przywołała uśmiech na twarz i sięgnęła po walizkę. Otwarta parasolka wysłiznęła jej się z ręki i z cichym plaśnięciem upadła na śliski od deszczu brezent. Nagle zamarła, a oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. Bagnista ziemia wciągała jej rower! Instynktownie pochyliła się, upadła na kolana i na czworakach ruszyła w stronę pomarszczonego skraju brezentu. Kątem oka dostrzegła, że wiatr porwał parasolkę. Wirowała w powietrzu jak czarna bańka mydlana, aż wylądowała w brunatnej rzece. Devon zaklęła pod nosem, zacisnęła palce na kierownicy roweru i z całej siły szarpnęła. Bagno nie chciało oddać zdobyczy. Deszcz uderzał w twarz dziewczyny, zalewał jej oczy; woda ściekała zimnymi strumykami w dół po policzkach. Devon nabrała głęboko powietrza w płuca i zebrała wszystkie siły.

Rower był wolny! Wprowadziła go na brezent, położyła na boku i powoli wstała. Z trudem chwyciła powietrze i trzęsła się z zimna. Zdjęła umazane błotem rękawiczki i schowała je do torebki. Kiedy spojrzała na swój cenny rower, którego jasnoczerwona rama była oblepiona błotem, łzy napłynęły jej do oczu. Zacisnęła powieki. Nie! Musi zachować spokój. Płacz nic nie pomoże. Poza tym to tylko błoto. Trochę wody i rower będzie jak nowy. Należy patrzeć na wszystko z dystansem. Powoli otworzyła oczy. Przygody, pomyślała, są nieodłącznie

związane z brudem. Dumnie podniosła głowę i zrobiła pierwszy krok w stronę faktorii pana MacKenny. Drugiego kroku o mało nie przyplaciła życiem. Wpadła w bagno jak kamień. Czarna breja sięgnęła jej do kolan, oblepiła nogi niczym lodowaty okład. Błoto zbryzgało jej twarz, zmieszało się z deszczem i potokami spływało po policzkach.

Zacisnęła pięści, żeby nie krzyzczeć ze złości, i z trudem przedzierała się przez gęste, głębokie grzęzawisko. Potwornie ciężkie, nasiąknięte błotem, spódnice utrudniały jej każdy krok. Po, jak jej się wydawało, godzinnej mordędze zatrzymała się. Złapała oddech, wytarła z oczu wodę i próbowała się skupić. Coś przed nią majaczyło. Zamrugła. Po chwili widziała już wyraźniej. Dostrzegła tuż przed sobą rząd desek o wymiarach dwa na dwanaście cali.

- Drewniany chodnik! - Słowa spłynęły z jej ust wraz z cichym, pełnym wdzięczności westchnieniem. Potykając się jak ślepa, przedzierała się w stronę najbliższej deski. Mocno postawiła nogę na jej krawędzi i wepchnęła ją dość głęboko w błoto. Drewno przesunęło się pod stopą i wystrzeliło jak pocisk do przodu. Devon ze zduszonym okrzykiem upadła na plecy.

- A niech to! - krzyknęła, wałąc lodowatymi piąstkami w błoto. Chciała coś kopnąć, rozłożyć na obie łopatki, chciała...

Nie! Musi się uspokoić, odzyskać panowanie nad sobą. Wzięła głęboki, uspokajający oddech i zaczęła liczyć. Raz... dwa... trzy... Była wykończona. Chwyciła najbliższy słupek i dźwignęła się do pionu. Zamknęła oczy, ciężko dysząc. Coś zimnego i mokrego spadło jej na głowę. Spojrzała w górę. Wisiała nad nią para najbrudniejszych, najobrzydliwszych, największych drelichowych gaci, jakie kiedykolwiek widziała. Na tyłku gaci był nabazgrany napis: FAKTORIA MACKENNY.

To niemożliwe! Devon straciła wszelką nadzieję na przyszłość. Spojrzała na w połowie ukończoną drewnianą chatę przy końcu błotnistej ulicy i poczuła ogromne rozczarowanie.

Jej faktoria powinna się przynajmniej mieścić w tej chacie! Niechętnie przeniosła spojrzenie na ohydną, zszarzałą brezentową konstrukcję, którą miała przed nosem. Faktoria MacKenny. Jej faktoria. Przebyła pół kraju, żeby prowadzić sklep, ulokowany w rozpadającym się namiocie. Namiocie!

- Świetnie - powiedziała z jękiem. - Po prostu świetnie. Odsunęła kłapy i wmaszerowała do środka. Z biciem serca przyglądała się lichemu namiotowi. Był wielkości przeciętnej jadalni, miał krzywe ściany z szarego drelichu, na chaotycznie rozstawionych półkach panował bałagan. Zobaczyła mały metalowy piecyk i podłogę z desek. Pod przeciwległą ścianą, za najbardziej krzywą i nieporządną ladą, jaką kiedykolwiek widziała, siedział zgarbiony człowiek góra. Uderzył w nią ciężki, ostry smród niemytych ciał i nieświeżego jedzenia. Jej kruchy spokój przysł. Ten... ten chlew był faktorią, którą zamierzała przekształcić w elegancki sklep?!

- Pan MacKenna? - zapytała chłodno, ruszając w stronę obrzydliwie zaniedbanej lady i jeszcze bardziej zapuszczonego człowieka.

- Tak? - Powoli uniósł głowę.

Podeszła, żeby z bliska obejrzeć swojego współnika. Jej oczy natychmiast zwęziły się z dezaprobatą. Był ponurym, wyglądającym na złego, starym człowiekiem. Zresztą niewiele mogła zobaczyć. Wciśnięty głęboko na czoło kapelusz o szerokim rondzie całkowicie zasłaniał brwi. Właściwie widziała tylko ogromne, czarne, przypominające kierownicę roweru wąsy i krzaczastą czarną brodę, poprządkaną siwizną. Kosmyki rzadkich ciemnych włosów spływały miękko spod kapelusza aż za kołnierzyk.

Niechętnie spojrzała mu w oczy. I zdrętwiała. Patrzył na nią. Spod jedwabistych, kręconych, przetykanych siwizną włosów wpatrywały się w nią wrogo kocie oczy o barwie whisky. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu i mimowolnie cofnęła się o krok. W oczach mężczyzny było coś przerażającego, jakaś

nieomal zwierzęca intensywność spojrzenia, surowość, szczerowość i groźba. Słowa: „Jestem pana nową współniczką” uwięzły jej w gardle.

Nagle coś przeleciało obok ręki Devon. Spojrzała w dół i jej oczy rozszerzyły się na widok dużej kulki przeżutego tytoniu, która uderzyła w podłogę u jej stóp i się rozprysła.

Napluł! Ta włochata małpa napluła na nią! Jej opanowanie przysło niczym mydlana bańka.

- Jak śmiałeś?! Ty brudny, odrażający...
- Wynoś się z mojej faktorii. - Mężczyzna pochylił się w jej stronę.
- Z twojej faktorii? Nie waż się na mnie drzeć, ty pawianie.

-Rozsiewając wokół błoto, oparła ręce na swych płaskich jak deska biodrach i spojrzała na mężczyznę.

- Pawia... - Głos go zawiódł. - Idź do domu!
- Jestem w domu.

Zatkało go na moment; cofnął się o krok i popatrzył na nią wrogo.

- Zwariowałaś!

Otworzyła torebkę i wyjęła list. Kiedy zobaczyła ślady swoich zabłoconych palców na absolutnie czystym, idealnie złożonym papierze, wpadła w furię. To była jego wina! Jakim prawem ten facet zachowywał się tak, jakby to ona zrobiła coś złego?

- Dałeś ogłoszenie w „St. Louis Post Dispatch”, że poszukujesz współnika do faktorii, tak czy nie?

- Hę?
- I przyjąłeś zgłoszenie do pracy w odpowiedzi na to ogłoszenie, tak czy nie?

- Hę?

Z uśmiechem pomyślała, że Darwin miał chyba rację, i zapytała uroczyście:

- Panie MacKenna, czy jest pan człowiekiem, który dotrzymuje słowa?

- Tak. - Oczy mężczyzny zwęziły się prawie niedostrzegalnie.
- W takim razie jest to nasza faktoria.
- He?
- I przestań na mnie chrząkać!

- Dobrze, proszę pani. Ale co pani, do diabła, próbuje mi wmówić?! - zapytał grzmiącym głosem, od którego dreszcz obawy przebiegł po sztywno wyprostowanych plecach Devon.

- W przeciwieństwie do niektórych osobników na, powiedzmy, niższym poziomie ewolucji, ja mówię zupełnie jasno, panie MacKenna. Powtarzam: to jest nasza faktoria. Pana i moja. Jestem pańską nową wspólniczką.

- Czy ja, pani zdaniem, wyglądam na idiotę? - warknął. Przyjrzała mu się uważnie.
- Owszem, panie MacKenna.

- Ale nie jestem idiotą i nie oddam połowy mojego sklepu jakiejś wyszczekanej babie. Mój nowy wspólnik jest mężczyzną z Missouri! - ryknął na całe gardło.

- On? A czy pańskie ogłoszenie precyzowało, że tylko mężczyźni mogą na nie odpowiedzieć? - Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- A niech to wszyscy diabli! Moja pani, straciłem już przez panią dość czasu. Mój wspólnik jest mężczyzną z Missouri i proszę już się stąd wynieść.

- Myli się pan. To ja jestem pana wspólnikiem.
- Bardzo zabawne!
- Ja osobiście nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego, panie MacKenna. Przebyłam tysiące kilometrów, żeby zostać posiadaczką połowy doskonale prosperującego sklepu w dynamicznie rozwijającym się mieście. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy stwierdziłam, że jestem dumną współwłaścicielką ohydneho, zaniedbanego, źle zorganizowanego namiotu z dechami zamiast podłogi, w którym sprzedaje się mydło

i powidło. I to gdzieś na końcu świata! - To mówiąc, podała mu list.

Spojrzał na trzymany przez nią papier, potem popatrzył z góry na stojącą przed nim przemoczoną, kościstą, świętoszkowatą handlarzkę ryb, jak nazwał ją w myśli.

- Rany boskie! Pani nie może być...
- Devon O'Shea. - Jej uśmiech tylko z pozoru był słodki.

Zapadło ciężkie milczenie. Przyspieszony oddech MacKenny brzmiał w ciszy jak cios pięści, wymierzonej w twarz Devon, jak gwałtowny wybuch.

- Powiedz coś. Wskazane byłyby przeprosiny - zażądała. Milczał.

Przestała patrzeć mu w oczy. Skrzyżowała ramiona i wpatrywała się w rząd małych orzechowych guziczków na brązowej, flanelowej koszuli mężczyzny. Jej stopa, pod fałdami przemoczonej, zmiętej spódnicy, głośno wybijała rytm na podłodze.

Do diabła z nim, pomyślała ze złością, on nie zamierza mi w niczym pomóc. Chyba że poproszę, aby załadował moje kufry na sanie i wręczył mi lejce psiego zaprzęgu.

Jak zwykle to ona musiała rozwiązać problem.

Wprawiła w ruch szare komórki. Sprawdziała w myśli kolejne możliwości, szukając, badając, starając się znaleźć kompromis, ale wszelkie próby kończyły się niezbyt pocieszającą, ale nieuchronną konkluzją: byli na siebie skazani. Oboje zrobili zły interes, lecz w tej okropnej sytuacji nie pozostało im nic innego, jak starać się robić dobrą minę do złej gry.

- Nic na to, u licha, nie poradzimy: jestem twoją

wspólniczką- powiedziała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Cholerne gówno! - ryknął mężczyzna spod ściany namiotu. Devon odwróciła się i na brezencie spostrzegła cienie ludzi zgromadzonych na zewnątrz, wokół wejścia do namiotu. Ktoś ich podsłuchiwał! Prychnęła ze złości, podeszła wielkimi krokami do wejścia i rozsunała klapy. Gapiło się na nią trzech mężczyzn.

- Czy panowie nie wiedzą, że podsłuchiwanie cudzej rozmowy jest bardzo niegrzeczne? Gdzie wasze maniery?

Jeden z mężczyzn, właściwie jeszcze chłopiec, zerwał z głowy kapelusz i przycisnął go do cheralawej piersi. Zniszczone nakrycie głowy drżało w jego rozdygotanych rękach.

- Ja mam maniery, proszę pani! Ja... ja jestem Dryblas, proszę pani. Oni mnie tak nazywają, bo... no... - Jąkał się, nie odrywając oczu od własnych dłoni.

- Bo jesteś taki wysoki? - odpowiedziała Devon i zrobiło jej się ciepło na sercu, bo już od lat żaden mężczyzna, choćby i chłopiec, nie był tak zdenerwowany w jej obecności.

- Tak, chodzi o mój wzrost. - Uniósł troszeczkę głowę, tylko na tyle, żeby móc na nią spojrzeć. I radośnie wyszczerzył zęby w odpowiedzi na jej ciepły uśmiech.

Wysoki, jednoręki Murzyn odepchnął Dryblasa. Uśmiechnął się do niej jak święty Mikołaj, aż jego błyszczące oczy zniknęły w fałdach skóry.

- Jestem Niedźwiedź. Nazywają mnie tak od walki, którą przegrałem powiedział, skubiąc kępki szaro-białych włosów, pokrywające jego szczękę i policzki.

- Bardzo mi przykro. - Objęła spojrzeniem jego pusty rękaw.

- Nie ma powodu. Jeśli już pani musi kogoś żałować, niech pani żałuje tego niedźwiedzia. Leży martwy jak palce Mojżesza, i to z powodu ramienia, z którego nie miał żadnego pożytku.

Devon nie mogła się nie roześmiać. Młody Dryblas wyglądał, jakby od tygodni nie zjadł przyzwoitego posiłku, a Niedźwiedź,

cóż - nie odrząciłby raczej kobiety z porządną igłą i nitką. Właściwie po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się... potrzebna. W jej sercu zaświtał promyczek nadziei. Być może, mimo wszystko, da się tu żyć.

- Dryblasie, wyświadczysz mi przysługę? - zapytała z uśmiechem.
- Jasne, proszę pani.
- Mógłbyś pobiec na brzeg i przynieść stamtąd moje rzeczy?

Byłabym ci bardzo wdzięczna.

- Pewnie, proszę pani.
- Jesteś prawdziwym dżentelmenem, Dryblasie. - Położyła białą rękę

na jego ramieniu.

- Dżentelmen! Gówno! - syknął przygarbiony, skrzywiony starzec, stojący obok Niedźwiedzia.

- Midas! - W głosie Niedźwiedzia brzmiało ostrzeżenie. Ciepły uśmiech zniknął z twarzy Devon, kiedy przyjrzała

się mężczyźnie zwanemu Midasem. Jego małe jak ziarenka żwiru oczy, płonące w morzu zmarszczek, świdrowały ją z nienawiścią.

- Dobry Boże - mruknęła do siebie. Przez całe dwadzieścia dziewięć lat życia nikt jej nie nienawidził. Teraz, po trzydziestu minutach na terytorium Jukonu, miała już dwóch wrogów. A z tego, co zdążyła zauważyć, to była połowa miejscowej populacji.

- Niech pani wraca do domu. Nie chcemy tu kogoś takiego.
- Jestem w domu. - Popatrzyła na niego bez lęku. Nie czekając na

odповідź, strzepnęła fałdy spódnicy i odwróciła się.

Jej współnik nawet nie drgnął.

Ruszyła ku niemu, starając się nie reagować na jego milczącą wzgardę. Jego gburowatość już mnie nie przerazi, obiecywała sobie w duchu. Miała zamiar być spokojna, pozbierana i rozsądna. Musiał istnieć jakiś sensowny kompromis.

Kamienny Człowiek był wielki, włochaty, nieokrzesany, niechlujny i bez wąpienia głupi. Ale jeżeli przestanie pluć i się wykąpie...

Kiedy już całkowicie się uspokoiła, spojrzała na niego. Patrzył na nią z góry. Ależ on wcale nie jest stary, zauważyła. Jego mahoniowo-złote oczy były czyste, a skóra wokół nich poorana przez słońce i wiatr, a nie przez czas. To jego dusza była stara; w głębi jego oczu dostrzegła gorycz i rozczarowanie.

Dobrze знаła ten wyraz, bo sama wcześniej dojrzała. Wiele lat temu musiała zrezygnować z dzieciństwa, biorąc na siebie obowiązek zastąpienia matki siostrze. I choć nigdy tego nie żałowała, nie mogła zaprzeczyć, że w rezultacie straciła młodość. Ilekroć spojrzała w lustro, widziała oczy starej kobiety, która straciła już szansę na dzieci.

Tak, rozumiała smutek i wyczerpanie w jego oczach. Przez jedną dziwną, oszałamiającą chwilę czuła się z nim związana.

- Panie MacKenna...
- Musisz odejść.

Powiedział to tak wyraźnie jak nigdy dotąd. Devon uznała, że była idiotką, pozwalając, aby jedno spojrzenie w oczy sprowadziło ją na manowce. Wpatrywała się uporczywie w kieszonkę na jego lewej piersi, starając się znaleźć jakiś sposób porozumienia z tym człowiekiem.

Bądź przyjacielska, pomyślała. To może dać efekt. Jak ten marynarz go nazwał? Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, i przywołała na twarz uśmiech.

- Słuchaj, Skalisty Człowieku...
- Kamienny Człowieku!
- Zgoda, Kamienny Człowieku. Pomyślmy wspólnie, jak rozwiązać ten problem.
- Już go rozwiązałem. Musisz odejść.
- Odejdę, panie MacKenna, kiedy ja będę tego chciała oświadczyła stanowczo. Dość już tych dyskusji z prymitywem!

- A więc dobrze ci radzę, żebyś natychmiast nabrała na to ochoty, paniusiu.

- Devon Margaret O'Shea.

- He? - Zesztywniał.

- Kolejna lśniąca perła sztuki konwersacji - zauważyła zjadliwie. - Powiedziałam, że nazywam się Devon Margaret O'Shea. Możesz zwracać się do mnie: panno O'Shea.

- Po prostu zacznij maszerować. Przed tobą długa droga wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Jaka droga? Większość oszczędności wydałam na kupno rzeczy, które mi pan doradził. A dwa rejsy statkiem kosztują fortunę. - Poglądziła gors poplamionej bluzki.

- Jakie dwa rejsy? Wszehmocny Boże! Chcesz mi powiedzieć, że całą drogę płynęłaś statkiem? Kim ty, do diabła, jesteś? Królową?

- Wrzask nie rozwiąże żadnych problemów.

- Mylisz się! - ryknął. - To mi poprawia humor. Lubię wrzeszczeć.

- To tak jak mój ojciec. Jestem do tego przyzwyczajona, więc nie myśl, że mnie przestraszysz! Rozwiązanie jest proste, panie MacKenna. Niech mi pan da dwieście dolarów, i uznamy, że ta niefortunna sytuacja nigdy nie miała miejsca - powiedziała głosem twardym jak stal.

Trzech zgromadzonych przy wejściu do namiotu mężczyzn gwizdnęło ze zdziwienia. Devon nie zareagowała na tę demonstrację złych manier.

- To powinno starczyć na powrót do Seattle. A na podróż kolejną w poprzek kraju mam dość pieniędzy.

Dryblas wśliznął się do namiotu.

- Zrobione, panienko! Pani bagaże są w drewnianej hacie, którą Szalony Spike zaczął budować, zanim umarł od postrzału w plecy. Mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

- Możesz ją przenieść na barana przez Chilkoote - rzekł Kamienny Człowiek, rzucając chłopcu lodowate spojrzenie.

- Nie wybieram się szlakiem Chilkoot, panie MacKenna, radzę o tym zapomnieć. Wrócę tą samą drogą, którą przybyłam. Statkiem.

- Oj, panienko - pospiesznie powiedział Dryblas. - Nie sposób wyjechać stąd w tym roku, a przynajmniej nie drogą wodną. O tej porze można się stąd wydostać tylko na piechotę.

- Wynoś się! - ryknął Kamienny Człowiek. Dryblas podskoczył jak przerażony królik i wypadł z namiotu.

- Czy on powiedział prawdę? - szepnęła Devon.

- Można się stąd wydostać, ale nie drogą wodną.

- O, mój Boże! Jestem tu uwięziona. Naprawdę uwięziona -jęknęła.

- Nie jesteś. Wyjedziesz stąd! Jeśli będę musiał, wyrzucę cię jak kamień.

- Dość tego, panie MacKenna. To wszystko pana wina. Pan zamieścił ogłoszenie, pan przyjął moje podanie, pan udawał, że ma sklep, a nie jakąś... norę z półkami. Więc niech się pan nie waży mnie straszyć!

- Skąd mogłem wiedzieć, że na ogłoszenie odpowie jakaś cholerna baba? Pani mnie oszukała!

- Oszukałam pana, panie MacKenna? Czy w którymkolwiek miejscu w swojej ofercie zaznaczył pan, że pana wspólnik ma być mężczyzną?

- Dość tego gadania!

- O, nie, panie MacKenna, mam jeszcze sporo do powiedzenia. Jeżeli nie chciał pan zatrudnić kobiety, powinien pan być o tym poinformować. Nie zrobił pan tego i oto jestem. W środku zapomnianego przez Boga, mroźnego, bagnistego pastwiska, w sklepie, który wygląda tak, jakby wczoraj wypalił się aż do fundamentów, i ze wspólnikiem jak z epoki kamienia łupanego. Cóż, panie MacKenna, chciał pan wspólnika, to go pan ma!

- Pani nie chciałem.

- Pan sam także nie jest szczytem marzeń, panie MacKenna.

Zresztą to, czego chcemy, nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest to, co mamy. A mamy siebie nawzajem. Zimę spędzę tutaj. - Devon uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach nie było radości.

- Po moim trupie!

Teraz uśmiechały się także jej oczy.

- Muszę przyznać, że tak byłoby najlepiej, ale ponieważ to mało prawdopodobne, nie traćmy czasu na próżne nadzieje. W ogłoszeniu podałeś, że współnik dostanie mieszkanie i jedzenie. Bądź tak dobry i zaprowadź mnie do mojego pokoju.

Cienie wybuchnęły śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego? W ogłoszeniu była przecież mowa o mieszkaniu i jedzeniu, prawda? - Devon spojrzała nerwowo na cienie mężczyzn, stłoczonych przed wejściem do namiotu.

Powoli na brodatą twarz Kamiennego Człowieka wypłynął uśmiech.

- Tak, była mowa. To typowe mieszkanie i jedzenie poszukiwaczy złota. Proszę za mną, panno O'Shea.

Zaprowadził ją do małego, rozpiętego na drewnianej ramie namiotu, odległego o sto stóp od faktorii.

- To tutaj. Dom, słodki dom dla mnie... i mojego współnika. - powiedział aksamitnym głosem, odsuwając płachty przy wejściu.

- Nie masz chyba na myśli... - Devon spojrzała mu w oczy.

- Rzuć okiem na twój nowy dom. Twój i mój.

Zimny strach zdławił cisnącą się jej na usta ciętą odpowiedź. Coś w oczach mężczyzny, coś dziwnie podobnego do szczęścia, zmroziło ją aż do kości. Przecież on wcale nie chciał z nią mieszkać, podobnie jak ona z nim. Dlaczego więc się uśmiechał?

- Wejdz... - szepnęła jej do ucha.

Nagle poczuła lęk; ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę,

było zagłądanie do środka namiotu. Mocno zacisnęła drobne dłonie w pięści. Ten namiot był jej domem i ignorowanie tego faktu z pewnością niczego nie zmieniłoby. Wyprostowała ramiona i odważnie ruszyła do wejścia. Wystarczył jeden rzut oka, by nogi się pod nią ugięły.

- Dobry Boże! Ty chyba zartujesz! - jęknęła.

- Robię na tobie wrażenie człowieka obdarzonego poczuciem humoru?

Zrobiło jej się niedobrze. Wnętrze było takie maleńkie! Wielkie ciało stojącego za nią Kamiennego Człowieka było niczym chmura wiszącego w powietrzu, śmierzącego dymu, spychającego ją w ciemność. Męczyzna rozkoszował się jej przerażeniem. Nie musiała na niego patrzeć, żeby to wyczuć. Był pewien, że wystarczy jej jedno spojrzenie na to... to... Zabrakło jej słów. Żadne ze znanych jej dotychczas określeń nie było w stanie opisać tego miejsca. Pługawa szczurza nora - nawet to brzmiało zdecydowanie zbyt słabo.

Podłoga namiotu, co udało jej się dostrzec pomimo grubej warstwy brudu i błota, została zrobiona z nieheblowanych desek, uszczelnionych mchem. Zbudowane również z desek ścianki o wysokości trzech stóp kończyły się tam, gdzie zaczynało się mocno napięte płótno. Dach zwiślał żałośnie, a jego niegdyś biały kolor zszarzał od sadzy i dymu. Na samym środku stała mała, metalowa skrzynka, ustawiona niezbyt stabilnie na drewnianych listwach. Gdyby nie rura, biegnąca od tej bezkształtnej konstrukcji do dziury w suficie namiotu, Devon nie domyśliłaby się, że to piecyk.

Nie było okien, więc powietrze, jeśli w ogóle można mówić o jakimkolwiek powietrzu, stało nieruchome i śmierzące. Gruba deska oparta na dwóch pniakach zastępowała stół, a cztery inne pniaki służyły za krzesła. Dwa haki sterczały z lewego boku podpierającego namiot drąga.

Devon pomyślała o kufrach, które tak starannie zapakowała.

Znów zerknęła na haki i jęknęła. To miało jej służyć za garderobę!

To było gorsze, niż mogła sobie wyobrazić. O wiele gorsze! Rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś jasnego punktu, jakiegoś promyka nadziei. Tu musiało być coś, co równoważyłoby te braki. Zdobyła się na wymuszony uśmiech. Być może przy odrobinie wysiłku...

Spojrzała w lewo i zdrętwiała. Straciła wszelką nadzieję. Stała z otwartymi ustami. Bezgłośnie powtarzała słowa: nie, to niemożliwe.

- Tak, to jest łóżko - radośnie obwieścił Kamienny Człowiek.

Oczy Devon rozszerzyły się z przerażenia. Było tylko jedno łóżko! Wielkie, z nieheblowanego drewna, podzielone leżącym pośrodku drągiem na pół.

Jedno łóżko dla nich obojga!

Z wysiłkiem wytrzymała jego triumfalne spojrzenie.

- Chcesz mi powiedzieć, że gdybym była mężczyzną, spałabym tutaj? Z tobą?

- Tak. Wszyscy śpimy w ten sposób. Tak jest cieplej. Dryblasie, skocz do chaty i przynieś bagaże. Pani się tu wprowadza.

Ton Kamiennego Człowieka rozwścieczył Devon.

- Ani kroku, Dryblasie! A ty zaczekaj chwilę - zwróciła się do współnika.

- Ja tylko pomagam.

- Nie pomagaj mi. To przez twoją pomoc znalazłam się tutaj. To przez twoją pomoc stoję na środku tej szczurzej nory, mając perspektywę kilkumiesięcznego odmrażania sobie tu... delikatnej części ciała. Więc nigdy więcej mi nie pomagaj!

- Nie będziesz sobie odmrażać tyłka aż do wiosny w moim namiocie!

- W naszym namiocie - poprawiła ponuro.

- W moim namiocie.

- To nasz namiot. Chyba że zbudujesz mi inny. - Znów wyjęła list z torebki.

- Przestań mi podtykać pod nos ten list, jakby to był prezydencki dekret. Napisałem go. Oboje o tym wiemy.

Nie złożyła listu i zaczęła głośno czytać: *Jak już pisałem w ogłoszeniu, będziesz moim równoprawnym współnikiem w faktorii już od chwili przyjazdu. Funkcja ta wymaga pracy w pełnym wymiarze godzin przez przynajmniej osiem miesięcy w roku...*

Starannie złożyła na czworo zabłocony list, schowała do torebki i spojrzała na Kamiennego Człowieka. Był tak wściekły, jakby miał za chwilę eksplodować. Wbiła smukły palec w potężną pierś mężczyzny i wytrzymała jego mordercze spojrzenie.

- Nie przestraszy mnie pan, panie MacKenna, ani tubalnym głosem, ani potężnym wzrostem, ani drapieźnym spojrzeniem. Niełatwo mnie przestraszyć! A teraz proszę o odpowiedź: czy to jest nasz wspólny namiot, czy też zbuduje mi pan osobny?

- Nie mogę zbudować ci namiotu.

- Dlaczego nie? To chyba najprostsze rozwiązanie. - Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Nie mamy tu więcej piecyków. Wszystko, co dociera na Jukon, musi być przydźwigane na czyichś plecach. A nie sądzę, żebyś zapakowała do tych swoich drogocennych kufrów coś tak niezbędnego jak piecyk.

- Zapakowałam wszystko, co mi pan poradził. Piecyka nie było na liście - odparła.

- Mężczyzna by go nie potrzebował. A nie przypuszczałem, że jakaś kobieta może być tak głupia, żeby odpowiedzieć na moje ogłoszenie.

Devon poczuła, że uchodzi z niej wszelka energia. Przytłaczał ją ciężar każdego z dwudziestu dziewięciu lat życia. Objechała pół świata, żeby zamieszkać we wstrętnej, szurzej norze z odpychającym facetem, wielkim jak góra.

- Jaka ja byłam głupia - wymruczała.
- Nie martw się. Odeślemy cię do domu - powiedział skwapliwie.
- Do domu? Gdybym miała dom, nie stałabym teraz na środku tego śmietnika.

- Musisz mieć dom. Każdy ma dom!
- A ty? - Podniosła głowę, żeby spojrzeć na jego twarz.
- To jest właśnie mój dom. - Wzruszył ramionami, żeby ukryć niepewność.

- To niewiele.
- Może i niewiele, ale należy do mnie.
- To prawda, masz więcej niż ja... - Urwała. O mało mu się nie przyznała, że to więcej, niż miała w St. Louis. Właściwie nie posiadała niczego poza złymi wspomnieniami. Gdyby teraz wróciła przegrana, resztę życia spędziłaby jako stara, poczciwa, niezamężna ciotka Devon.

Nie! Wyprostowała się. Może i nie miała wiele, ale była właścicielką połowy faktorii. I choć sklep MacKenny to na razie niewiele, miał jednak możliwości rozwoju. Jeśli porządnie się wzięć do roboty, można będzie z niego zrobić najlepszy sklep w okolicy.

- Ten dom był twój, teraz jest nasz. Spędzę w nim zimę.
- W takim razie ja się wyprowadzam.
- Świetnie! - Rozjaśniła się.
- Jakim cudem osoba tak bezdennie głupia jest w stanie samodzielnie oddychać? Nie byłabyś bezpieczna, żyjąc tu samotnie. Ci mężczyźni od lat nie widzieli białej kobiety. I nikt by ci nie pomógł, gdybyś wołała o ratunek.

Nerwowo zagryzła dolną wargę. Tego nie wzięła pod uwagę.
- Więc zostajesz?
- Tak. Jesteś kimś, kto...
- Zostaje! - Wystawiła głowę z namiotu i zawołała: -Dryblasie, czy mógłbyś przynieść tu moją walizkę i kufry?!
- Jasne, proszę pani! - odpowiedział chłopak już w biegu.

- Wiesz, co robisz? - Kamienny Człowiek złapał ją za rękę i wciągnął z powrotem do namiotu.
- Dama musi mieć swoje rzeczy przy sobie. - Uśmiechnęła się do niego.
- Damy - niemal wypluł to słowo - nie mieszkają na terytorium Jukonu.
- Teraz już mieszkają, panie MacKenna.

Kamienny Człowiek wyminął Devon. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Opuszczał ją, tak po prostu!

- Niech pan wróci, panie MacKenna! Jeszcze nie skończyliśmy! - zawołała za nim.

Przepchnął się przez wąskie drzwi i wyskoczył w otaczające namiot błoto. Nie zwolnił kroku i nie obejrzał się. Jak rozjuszony byk parł przed siebie, roztrzaskując szerokimi ramionami siekący deszcz, z twarzą wtuloną w futrzany kołnierz ciepłej kurtki.

Devon zatrzymała się przy drzwiach; jej oczy spoczęły na odrażającej błotnistej ulicy. Boże, absolutnie nie chciała wejść jeszcze raz w to bajoro...

- Wracaj! - krzyczała. Szedł dalej.

- A niech cię wszyscy diabli! - zaklęła pod nosem, kiedy wpadł jak burza do faktorii i zniknął jej z oczu. Odwróciła się, weszła do swojego nowego domu i głośno zatrzasnęła za sobą drzwi. Zardzewiałe zawiasy jęknęły jak w agonii, a rozwieszony nad jej głową sznur do suszenia ubrania rozhuśtał się, wprawiając w ruch wiszące na nim na związanych sznurowadłach zabłocone buty robocze. Z buciorów wypadły brudne skarpetki i głośno klapnęły o podłogę.

Po zamknięciu drzwi smród panujący w namiocie stał się nie do zniesienia. Czula odór wilgotnej wełny, niemytych nóg, ludzkiego potu. Zemdlilo ją. Przyciskając rękę do ust, rzuciła się w stronę drzwi. Otworzyła je gwałtownie i z rozkoszą wdychała czyste, pachnące deszczem powietrze.

Boże, jęczała pomiędzy jednym a drugim oddechem, nie dam rady, nie mam dość siły...

Owszem, masz! Drgnęła i podniosła ręce do załzawionych oczu. Nie wolno jej było zwymiotować. Przyglądała wilgotne, zabłocone włosy i zadarła głowę. W jej oczach była determinacja. Najwyższy czas przystąpić do działania! Skrzywiła się, ale weszła w błoto i ruszyła w stronę faktorii.

Kamienny Człowiek poczuł ból brzucha.

- Przestań się na mnie gapić!
- Powiedz coś, Kamienny Człowieku. - Pięść Midasa wylądowała na zimnym o tej porze roku piecyku. Blacha podskoczyła i zagrzechotała.
- Co? Wszyscy wiemy, że ona nie może stąd nigdzie wyjechać.
- Na pewno może, do cholery! I lepiej, żeby to zrobiła! -Midas zerwał się na równe nogi.
- Wiesz, Midasie, ona nie wydaje się taka zła. Może dałbyś jej szansę... - wtrącił się Dryblas.
- Nie wydaje się taka zła?! To śmierć w powłóczyściej spódnicy, synu. A ty, Kamienny Człowieku, powinieneś nienawidzić jej najbardziej. Ta jędza zagada cię na śmierć.

Ściągnięte krzaczaste brwi Kamiennego Człowieka zbiegły się w grubą czarną linię. W tym jednym stary piernik miał rację. Ta panna przemądrzalska spędziła w jego namiocie dziesięć minut i w tym czasie przestawała mówić tylko po to, żeby złapać oddech.

Musiał coś zrobić, żeby się jej pozbyć. I to szybko.

- Dobrze, chłopcy. Zamiast gadać, wyciągnijcie pieniądze. Pozbycie się jej będzie kosztowało dwieście dolców. Ile macie forsy? - zapytał, patrząc wprost na Midasa.

Dryblas wyjął małą skórzaną sakiewkę i spojrzął na złoty piasek.

- Może dziesięć dolców.

Mniej. - Niedźwiedź pogładził bryłkę w kieszeni na piersi i potrząsnął głową.

- Nie możemy odesłać księżniczki do domu drogą wodną. Rzeka zamarźnie, zanim statek pokona połowę drogi do St. Michael, a nie ma tu ani jednego człowieka, który odezwałby się do nas choć słowem, gdybyśmy skazali go na spędzenie zimy z kobietą. - Midas skrzyżował złaste ramiona na piersi.

- On ma rację, Corneliusie. - Niedźwiedź obracał wykałaczką, wcisniętą między przednie zęby.

Kamienny Człowiek oparł brodę na rękach i westchnął.

- Wiem, do cholery! - mruknął.

Midas kopnął piecyk. Metaliczny dźwięk rozległ się echem w ciszy namiotu.

- Do licha, człowieku, nie daj sobie dłużej mydlić oczu. Jej wysokość może iść na piechotę jak każdy z nas.

- Taka drobniotka dziewczyna nie przetrwa nawet dziesięciu minut, pozostawiona sama sobie. Ktoś musiałby ją zastrzelić w połowie drogi do Chilkoot - rzekł Niedźwiedź i wyrzucił wykałaczkę za siebie.

- Kamienny Człowiek powinien to zrobić! To jedyne rozsądne wyjście. Ona spadła na nas jak plaga. Powinniśmy ją zabić, zanim zacznie wywierać zły wpływ, zanim takich jak ona będzie więcej. Chryste, ona może przekazać swoje durne poglądy Indiankom! - Midas splunął.

- Nie zastrzelę jej - odparł Kamienny Człowiek.

- Cieszę się, że nie zamierzasz przekroczyć pewnych granic - zauważył Niedźwiedź sarkastycznie.

- Ona pewnie teraz maluje twoje łóżko na różowo - mruknął Midas, na co Niedźwiedź uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Coś wam powiem. Zabiorę ją do Circle City. Tam sobie przezimuje, a wiosną wsiądzie na statek. Jeśli się zgodzi, to jutro ruszamy.

- Hurra!

- Jeszcze się nie ciesz, Midasie - powiedział szybko Niedźwiedź - Zabiorę ją jedynie wtedy, kiedy sama będzie tego chciała. Nie chcę mieć do czynienia z wrzeszczącymi i kąpiącymi kobietami.

- Ona nie pójdzie - rzekł Dryblas.

- Też tak sędzę - zgodził się z nim Niedźwiedź.

- Pójdzie! Założę się, że jeśli jeden z nas zacznie się do niej dobierać, to taka przyzwoita dama jak ona ucieknie, gdzie pieprz rośnie - obiecywał Midas.

W tym momencie Niedźwiedź przechylił się ponad piecykiem i złapał go za kołnierz.

- Nie zamierzasz chyba skrzywdzić tej dziewczyny. Midas błyskawicznie odskoczył z przerażeniem w oczach.

- N-nie mam zamiaru nic jej zrobić - wyjąkał. Niedźwiedź puścił go, podniósł swój zniszczony kapelusz

i otrzepał z kurzu. Wcisnął go na posiwiałe skołtunione włosy i wstał.

- No, chłopcy, na mnie czas. Ale zanim pójdę, stawiam dolara na dziewczynę.

- Przyjmuję zakład. Stawiam dolara, że ta kobieta jutro wyjedzie - odpowiedział Midas.

- A ja założę się o dolara... - Głos Dryblasa załamał się i zamarł. Zażenowany chłopak zamknął usta.

- Nie musisz się tego wstydzic. To naturalne - uspokoił go Kamienny Człowiek.

- Mnie się widzi, że ona zostanie - powiedział chłopiec i uśmiechnął się szeroko.

Cień przemknął po nieruchomej twarzy Kamiennego Czł

wieka. Myśl o spędzeniu zimy w jednym namiocie z jazgoczącą kobietą ścięła mu krew w żyłach.

- Tak ci się widzi? To popatrz jeszcze raz, chłopcze. I nie mrugaj - rzekł Kamienny Człowiek.

- Możesz mrugać, ile tylko zechcesz, Dryblasie. Dama zdecydowanie zostaje.

Na dźwięk głosu Devon Kamienny Człowiek poderwał głowę. Stała już wewnątrz namiotu, ze splecionymi zabloconymi rękami, a krople wody kapąły z kapelusza na jej brudne czoło jak ślina z psiego języka w upalny sierpniowy dzień. Jakim cudem ta kobieta wygląda tak pedantycznie i przyzwoicie mimo spływającego po twarzy błota?

Uśmiecha się jak zadowolony kot, pomyślał ze złością. Albo jakby słyszała zakłady chłopaków i chciała wystąpić z własnym!

Cholera, jak długo ona tu stała?! Na tyle poznał już charakter dziewczyny, aby zdawać sobie sprawę, że jeśli słyszała rozmowę chłopaków, to nie ma siły, która zdołałaby ją wykurzyć z jego domu.

- Od jak dawna kryjesz się za płachtą namiotu? - Popatrzył na nią wrogo.

- Nie kryłam się - prychnęła pogardliwie i spojrzała na niego z wyższością.

- Spytał inaczej: jak długo stałaś za klapami namiotu?

- Przez chwilę.

- A jak długo trwała ta chwila?

- Nie wiem dokładnie. Po prostu przez chwilę.

- Kobieto... - W tym słowie zabrzmiało ostrzeżenie. Ostrzeżenie, którym kompletnie się nie przejęła.

- Nie udało się panu mnie przestraszyć, panie MacKenna. A teraz: gdzie są środki czystości. Chcę już zacząć.

W namiocie zaległa tak głucha cisza, że aż dreszcz przeszedł po krzyżu Devon, ale zmusiła się, żeby podnieść głowę jeszcze wyżej. Prześliznęła się obok potężnej postaci swego współnika

i podeszła do bezładnie ustawionych szeregów przeładowanych półek, które zajmowały środek namiotu. Wielkie stopy zakurzonych butów leżały obok worków mąki, które z drugiej strony sąsiadowały z miskami i puszkami grochówki Camp-bella.

Skrzywiła się. Uporządkowanie tego bałaganu będzie jeszcze trudniejsze, niż myślała. Zupa powinna stać tam, obok...

- Wynoś się!

Grzmiący rozkaz wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się od półki z zupą i napotkała uporczywe spojrzenie współnika.

- Nie wyjdę, dopóki nie znajdę tego, czego potrzebuję.

- Potrzebujesz biletu na powrotny rejs statkiem do domu.

- Potrzebuję mydła, wody i wiadra. Nie sądzę, abyś potrafił rozpoznać te przedmioty.

- Kobieto, masz dziesięć sekund na wyniesienie się z mojego sklepu!

- Zrobił krok w jej stronę.

- Aha! Tu jest mydło, tuż obok kilofów! Dlaczego nie szukałam tam od razu? - Klasnęła w dłoń, chwyciła środki czystości w ramiona i ruszyła do drzwi.

Kiedy przechodziła obok Kamiennego Człowieka, chwycił ją za nadgarstek i mocno pociągnął. Wylądowała w jego ramionach, z policzkiem przytulonym do męskiej piersi. Flanelowa koszula pachniała dymem z palonego drewna.

Kamienny Człowiek pochylił głowę.

- O ósmej przyjdę do domu na kolację. Postaraj się przynajmniej raz zamknąć usta i słuchać - szepnęła ochryple wprost do jej ucha.

Ciepły oddech połaskotał policzek Devon. W jej brzuchu zatrzępotały skrzydełkami roje motyli. Porządnie znoszona flanela, do której przytulała policzek, wznosiła się i opadała jak spokojne morze. Przed dobrą chwilę nie uświadamiała sobie, że została znieważona. Wyrwała mu się.

- Ja mam się zamknąć! Posłuchaj mnie. Kamienny Człowieku. To przez twoją niekompetencję i błędy znaleźliśmy

się w tym położeniu. I od tej chwili to ty masz mnie słuchać -wysyczała.

- Nigdy.

Objęła zamyślonym spojrzeniem źle zorganizowany sklep.

- Połowa tego śmietnika jest moja. Jestem twoją współpracowniczką i do wiosny z powodzeniem możesz mnie słuchać.

- Nigdy.

- Przyjdzie wiosna, zabiorę to, co zarobię, i opuszczę ten... przyczę na obliczu ziemi. Ale do tego czasu jesteśmy równoprawnymi współpracownikami - kontynuowała, jakby Kamienny Człowiek w ogóle się nie odezwał.

- Nie zostaniesz tu tak długo, kobieto.

- Nie stawiaj na to, Kamienny Człowieku. Ja potrafię przetrwać. - Spojrzała na niego lodowato, przycisnęła do piersi z trudem znalezione środki czystości i opuściła namiot.

- Co to jest ten przyczę na obliczu ziemi? - zapytał Dryblas po wyjściu Devon.

- To ona, synu. To ona. - Kamienny Człowiek nie odrywał wzroku od kłap namiotu.

Wyciągnął kieszonkowy zegarek i sprawdził godzinę; była ósma. Nie mógł już dłużej zwlekać. Chłopcy poszli sobie przed kilku godzinami. Czas zamknąć faktorię i iść do domu.

Dom. Już samo to słowo wprawiało go w stan napięcia. Jeszcze wczoraj namiot był jego domem; dzisiaj - kto wie?

Obozowisko było ciche i spokojne, tak jak lubił. Deszcz zmienił się w srebrzystą mżawkę, która osiadała na szaro-niebieskich świerkach niczym drobne kryształki. Kałuże wydawały się białe na tle morza błota. Nie było mgły i niebo lśniło matowym, bursztynowo-błękitnym światłem wczesnego wieczoru; to była dziwna, typowa dla jesieni na Jukonie poświata. Wiedział z doświadczenia, że jutrzejszy świt będzie wspaniały, jakby stworzony do fotografowania. Stał w drzwiach

sklepu z rękami w kieszeniach. Powinien szykować szklane naczynia i chemikalia, a co robił? Chowal się w namiocie jak niesforny uczeń, który boi się wrócić do domu. Wymruczał przekleństwo. To przez nią zachowywał się jak Dryblas, głupio i nerwowo.

Wytań spocone dłonie w szorstki drelch spodni. Pierwszy raz od wyjścia z więzienia miał ochotę się napić. Szklaneczka szkockiej dobrze by mu teraz zrobiła. Cholemnie dobrze.

Zaraz, zaraz, pomyślał. Dlaczego, do diabła, ja się denerwuję? To ona powinna być przerażona! To ona ma stąd wyjechać. Nie wiedział dokładnie, jak do tego doprowadzić, ale zdecydowanie miał zamiar zrobić coś, żeby uciekła stąd z podkulonym ogonem jak ostrzelany kojot. Tak, to ona powinna być zdenerwowana. Bo w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin będzie już pakować manatki i szykować się do podróży. Żadna chuda, mała kobieta nie będzie...

Nie myśl o trudach podróży na Dalekiej Północy! To jej wina, że się tu znalazła. Gdyby była mężczyzną, jak się tego spodziewał, nic takiego by nie zaszło. Po prostu musi skłonić jej wysokość do wyjazdu. Ciekawe, czy będzie bardzo trudno? Była tylko kobietą, i to cholernie głupią. Mądra w ogóle nie zeszlaby tu ze statku. Przechytrzy ją!

Z uśmiechem narzucił kurtkę i ruszył do domu. Nie miał się czym przejmować. Jutro o tej porze mała przemądrzała kobietka będzie w połowie drogi do Fortymile.

Szczęśliwej podróży.

Już od dobrej minuty stał przed wejściem do swojego namiotu i przekonywał się, że Devon jest głupia, a on mądry. Było w niej jednak coś, co odbierało mężczyźnie pewność siebie...

Nagle otworzyły się drzwi i znalazł się twarzą w twarz z zarumienioną i ożywioną Devon. Ich oczy się spotkały i mężczyźnie opadła szczęka. Dziewczyna umyła się i wy

glądała... młodziej. Ogarnęło go poczucie winy. Tutejsze szlaki nie były łaskawe dla kobiet jej postury.

- Panie MacKenna?

Jej cierpki głos wyrwał Kamiennego Człowieka z zamyślenia. To przecież nie jego wina, że Devon była kobietą. Zamknął usta z głośnym kłapinięciem zębami, a jego oczy się rozszerzyły.

- Zmarnowałaś wodę na kąpiel? Módl się, żeby zostało dość do picia, bo w przeciwnym razie to ty ją przyniesiesz! - warknął.

Jej twarz zastygła w wyrazie przerażenia i cokolwiek Devon miała zamiar powiedzieć, słowa nie przeszły jej przez usta. Minął ją i wpadł do namiotu. Zrobił dwa kroki i stanął jak wryty. Odwrócił się na pięcie i wbił w nią oczy jak sztylety.

- Co ty... Śmierdzi tu jak w jakimś cholernym szpitalu!

- Lepszy szpital niż wychodek. - Wytrzymała jego wściekle spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

- Dlaczego...

- Nie kłóćmy się, panie MacKenna. Przygotowałam dla nas dobrą kolację i nie chciałabym jej zepsuć. Ogłosyśmy zawieszenie broni. Może po jedzeniu uda nam się osiągnąć kompromis.

Kamienny Człowiek starał się opanować i przypomniał sobie, że ma misję do spełnienia. Poznał już tę kobietę na tyle, by wiedzieć, że jeśli ją rozzłości, to ona tylko lepiej się okopie na wybranej pozycji. A jej okopy były już i tak wystarczająco głębokie.

- Dobrze. Co oznacza ten drugi zapach? - mruknął, pozwalając, aby Devon pomogła mu zdjąć kurtkę.

- Kolację. Usiądź, proszę - powiedziała i wskazała ręką stół. Na jej twarzy pojawił się cień smutku.

Przyglądał się, jak wygładza zgniecenia na jego starej kurtce i starannie wiesza ją na niższym haku. Pewnie ją ręce świerzbiły, żeby ją wyprasować.

- Chryste! - wymamrotał bez tchu. Na stole leżał jaskrawo-czerwony obrus, a na nim dwie śnieżnobiałe, płócienne serwetki.

- O co chodzi, panie MacKenna?

- Nic nie mówiłem. I nazywaj mnie Kamiennym Człowiekiem. -
Opadł na jeden z zastępujących krzesła pniaków i przysunął go do stołu.

Krzętała się przy piecyku, podnosiła pokrywki, mieszała, próbowała, sprawdzała, otwierała i zamykała drzwiczki piekarnika. Obserwowanie jej przyprawiało go o zawrót głowy.

- Panie... hm... Kamienny Człowieku, jak długo mieszkasz na terytorium Jukonu? Tu jest tak pusto i samotnie. Ale może to właśnie lubisz. Ja osobiście uważam, że... - Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, nerwowo. Gadala jak najęta, co przyprawiało go o ból głowy.

- Ile masz lat? - zapytał, kiedy przerwała dla zaczerpnięcia oddechu.

Z hałasem odłożyła pokrywkę na garnek i odwróciła się, żeby spojrzeć na niego z mocnym rumieńcem na bladej twarzy.

- Przepraszam, nie spodziewałam się, że... to znaczy, większość mężczyzn nie zadałaby takiego pytania. Mam dwadzieścia dziewięć lat.

Przyglądał jej się przez dłuższy czas. Nie była brzydka, jeśli ktoś lubi chude i piegowate. Pewnie jest mnóstwo na tyle zdesperowanych mężczyzn, żeby się z nią ożenić.

- To chyba za dużo, żeby się włączyć po kraju jak dziewczynka w krótkiej spódniczce. Dlaczego się nie ustatkujesz i nie urodzisz dzieci?

- Nie jestem stara. I nie chcę z tobą rozmawiać o moich osobistych sprawach. - Wyraźnie trzęsły jej się ręce, kiedy wzięła jego kobaltowoniebieski, metalowy talerz i zaczęła nakładać kolację. Z matematyczną precyzją ustawiła na stole naczynia i przyglądała wszystko - włosy, policzki, bluzkę. Potem zasiadła jak księżniczka i podniosła widelec.

Kamienny Człowiek z rozbawieniem spojrzął na stojący przed nim talerz. Jedzenie było idealnie rozmieszczone: plastry mięsa łośia obficie polane sosem na godzinie dwunastej,

masło i ostro przyprawiona rzepa na godzinie czwartej, a pieczywo na siódmej. Zapach sprawił, że pociekła mu ślinka. Od śniadania nic nie jadł, a to był najpiękniej podany posiłek, jaki w życiu widział. Oparł łokcie na stole i opiekuńczym gestem otoczył ramionami talerz. Był to bezwiedny odruch, który pozostał mu z więziennych czasów, kiedy jedzenie należało chronić za wszelką cenę. Brudnymi rękami wziął puszystą bułkę, przełamał ją głośno, umoczył w sosie, palcami nałożył na nią wielki kawał rzepy i wsunął to wszystko do ust. Żując głośno, wpełchnął jeszcze kawał mięsa i rozejrzał się wokół stołu.

Devon nie spuszczała z niego szeroko otwartych oczu.

- Co się z tobą dzieje? - Kamienny Człowiek przestał na chwilę żuć.
- Nic - odpowiedziała szybko i natychmiast spuściła wzrok na swój talerz. Odkroiła kawałek mięsa wielkości naparstka.

- To dobrze - powiedział, maczając kolejny kawałek bułki w sosie. Znow pochylił głowę, ale nie spuszczał z niej oczu. Niewiarygodne: jadła zgodnie z ruchem wskazówek zegara! Nie dotknęła rzepy, dopóki nie zniknął ostatni kawałek mięsa. Zdegustowany, pociągnął nosem i wrócił do jedzenia.

- Jak ci smakuje? - zapytała ochryłym, jakby przepitym głosem.
- Znakomicie. - Wpełchnął ostatni kawałek bułki do już i tak pełnych ust. Głośno przełknął, wypił duży łyk wody, rozparł się na krześle i beknął.

W tym momencie Devon upuściła widelec. Dźwięk uderzającego o surowe drewno metalu zabrzmiał w ciszy namiotu nieprzyzwoicie głośno. Kamienny Człowiek wstał i nalał sobie filiżankę kawy.

- A teraz, pani... hm... Devon, musimy rozwiązać nasz problem. - Przez chwilę rozglądał się po ciasnym pomieszczeniu i zauważył półkę, którą zbudowała na jego książki.

Dotąd leżały, gdzie popadło: na łóżku, pod piecykiem, za zimowymi butami - w zależności od tego, gdzie akurat był, kiedy znudziło mu się już czytanie.

Dobry Boże, musiała rozglądać się za nimi, jak poszukiwacz złota za dziesięciodolarowym samorodkiem. Jęknął. Midas miał rację. Do jutra jego łóżko będzie nie tylko różowe, ale różowe w białe kwiatki! Była tu zaledwie od sześciu godzin, a już czuł się nieswojo we własnym domu. Odchrząknął.

- Nie możemy mieszkać razem. To się nie uda. Przytknęła serwetkę do ust, potem położyła ją obok talerza

i podniosła wzrok.

- Dokąd się przeprowadzisz?

- Nigdzie się nie ruszam! - Mocniej zacisnął palce wokół kubka. Ta kobieta była niewiarygodna!

- Ja też nie.

Powoli. Pomyśl. Kamienny Człowiek nienawidził myślenia; to nie była jego mocna strona. Chciał jedynie przyłożyć tej babie w ten chudy tyłek i wyrzucić z namiotu. Tylko najwyższym wysiłkiem woli udało mu się opanować.

- Nie wiesz, jaka jest tutejsza zima. Osiemdziesiąt stopni poniżej zera nie należy do rzadkości. Nie możesz sobie nawet wyobrazić takiego mrozu.

- Daj mi dwieście dolarów, to wrócę do domu. - Przygryzła dolną wargę.

- Do diabła, Devon, nawet gdybym miał tyle pieniędzy, nie mogłabys wrócić do domu statkiem. Nie w tym roku.

- Chyba nie sądzisz, że pójdę na piechotę?

Ustawił stołek na wprost niej i kłamał, patrząc jej prosto w oczy.

- To nie jest taka trudna wyprawa. Wszyscy już robiliśmy tę trasę. A Niedźwiedź zaofiarował się...

- Nie. - Wstała, zebrała brudne naczynia i włożyła je do miski w połowie wypełnionej wodą. Stała plecami do niego,

ale nie musiał widzieć jej twarzy, żeby stwierdzić, że jest wściekła. Jej ciało było aż sztywne od tłumionej złości.

- Devon... - Jego głęboki, ciepły głos odbił się echem w namiocie.
- Nie pójdę, Kamienny Człowieku. Nigdzie. Wbij to sobie do tępej mózgownicy. Jestem tutaj i zostanę aż do wiosny. -Nadal bezlitośnie trzaskała naczyniami.

A niech to wszyscy diabli! Gwałtownie usiadł i oparł kudłatą głowę na dłoniach. Ona mówiła poważnie! Miała zamiar zostać! Na pewno istniał jakiś sposób, żeby ją zmusić...

Nagle zabrzmiały mu w głowie słowa Midasa: *Zalóżę się, że gdyby któryś z nas zaczął się do niej dobierać, to taka cnotliwa dama jak ona uciekłaby, gdzie pieprz rośnie...*

Przyjrzał jej się z namysłem.

Uciekłaby, gdyby próbował się z nią kochać?

Zaschło mu w gardle. To była jego jedyna nadzieja.

Powoli wstał i ze skrupowaniem przeszedł przez namiot. Zatrzymał się tuż za nią. Poczul słodki jak deszcz zapach Devon. W odróżnieniu od innych kobiet, których dotykał, ta ładnie pachniała. Był przyzwyczajony do kobiet, które śmierdziały starym dymem tytoniowym i tanim alkoholem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że jej włosy będą w dotyku jak wilcze futro: miękkie, długie i odrobinę kłujące.

Skupił się na białej szyi. Skóra była tak jasna jak świeżo ubita śmietana posypana cynamonem.

Położył rękę na ramieniu Devon, obserwując ze zdziwieniem lekkie drżenie własnych palców. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz trzęsły mu się ręce.

Jak się dotyka kobiety, której się nie zapłaciło? Będzie krzyczeć? Uderzy go? Będzie płakać?

To nieważne, tłumaczył sobie, to po to, żeby wyjechała. Zwilżył językiem suche jak wiór usta i gapił się na mleczną

delikatną skórę Devon, pragnąc - o dziwo! - żeby jego ręce były czyste.

A potem, starając się przygotować wewnątrz na jej reakcję, dotknął jej.

Jego palce objęły szczupłe ramiona Devon i lekko je ścisnęły.

Drgnęła, kiedy poczuła dotyk, ale jedynym dźwiękiem, jaki wydała, było głośne wciągnięcie powietrza. Kamienny Człowiek czuł pod wilgotną dłonią delikatny jak motyl dreszcz obawy. Potem dziewczyna opanowała się, a jej ciało zeszywniało.

Dłoń mężczyzny przesuwiała się cal po calu po szorstkiej tkaninie ubrania ku szyi. Dziewczyna oddychała szybciej, chrapliwie, nierówno jak zwierzyna łowna. Zmusił się do zachowania bardzo wolnego tempa; chciał ją trochę nastraszyć, a nie śmiertelnie przerazić.

Jego brudne palce prześliznęły się po koronkowym drapiącym obszyciu sztywno wykrochmalonego bawełnianego kołnierzyka, wsunęły się pod jego rąbek i dotknęły skóry. Małe zagłębienie pod obojczykiem było jak stworzona specjalnie dla jego zgrubiałych opuszków palców kołyska z mlecznego weluru. Czuł jej szybki, równy puls.

Dreszcz przeszył ciało Devon, wywołując uśmiech na ustach mężczyzny. Jego plan działał. Lada moment uniesie swoje pomięte spódnice i ucieknie do domu.

- Co robisz? - zapytała nerwowo.

Nie przestając gładzić nasady szyi, przysunął się bliżej do dziewczyny. Miękką znoszona flanela jego roboczej koszuli przylgnęła do sztywnych, biało-granatowych pasków jej ubrania. Wolną ręką wyciągnął spinki, które przytrzymały włosy.

- Odpręż się - szepnął jej do ucha, wyciągając ostatnią. Nawet w jego własnych uszach głos zabrzmiał ochryple. Rdzawe loki opadły kaskadą na proste jak deska plecy Devon. Dziewczyna tylko pisnęła jak mała myszka; innej reakcji nie było.

Nie mógł nie zauważyć, w jaki sposób włosy kobiety odbijają światło. Setki czerwonych i złotych iskerek skrzyło się w gęstych rudych puklach. Poczul dziwny, nieznan wcześniej impuls. Przez ułamek sekundy pragnął zanurzyć twarz w jej włosach i poczuć, jak miękkie sploty ocierają się o jego skórę.

Nawymyślał sobie w duchu. Musiał pamiętać o swoim planie. I co z tego, że ma ładne włosy? Takie same jak rudy lis, a nie ma bardziej chytrego i podstępnego stworzenia pod słońcem. Wszystko dlatego, że od tak dawna nie był z kobietą.

Pamiętaj o planie! Przysunął się jeszcze bliżej i zapach dziewczyny omal nie zwałił go z nóg. Pachniała tak inaczej, tak... ładnie. Pachniała deszczem, letnim powietrzem i mydłem domowej roboty. Pocałował płatek ucha.

Lekki dreszcz przebiegł jej skórę, wibrując pod stwardniałymi opuszkami jego palców. Ciągle smakując jej słodycz, odwrócił ją do siebie i objął.

Nie chciała spojrzeć na twarz Kamiennego Człowieka. Patrzyła wprost przed siebie; szeroko otwarte, błyszczące oczy utkwiała w szeregu guziczków męskiej koszuli. Mocno zaciskała wargi, ale i tak nie była w stanie powstrzymać ich drżenia.

Czuł jej ciepły oddech we włosach na piersi, widocznych w wycięciu koszuli.

- Devon... - Imię dziewczyny samo spłynęło z jego ust.

Nie podniosła oczu. Jej mały różowy język wysunął się, zostawiając na wargach wilgotny, lśniący ślad.

Objął ją jeszcze mocniej. Oddychał coraz szybciej.

Do licha! Zachowywał się jak niedoświadczony żółtodziób, a nie trzydziestodwuletni mężczyzna, który dorastał w jednym z najgorszych burdeli Nowego Orleanu. Zaszło mu w ustach, ręce drżały.

Musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją. Natychmiast!

Ujął jej twarz. Wplątał palce we włosy i uniósł głowę dziewczyny. Jego ciemne, szorstkie dłonie kontrastowały z jej białą jak mleko skórą. I były nieprzyzwoicie wręcz brudne. Skręcało go ze wstydu.

Ich spojrzenia się spotkały. W głębi zielonych jak las oczu Devon Kamienny Człowiek zobaczył błysk przerażenia. Poczul jeszcze większy wstyd. Ileż to razy przysięgał sobie, że nigdy nie skrzywdzi człowieka? A teraz próbował to zrobić...

Nie, nie zrani jej, przecież chciał ją tylko przestraszyć. Wyjedzie stąd nietknięta. Ze zwierzęcym niemal jękiem pochylił głowę i pocałował ją w jedyny sposób, jaki znał: brutalnie, bez czułości, bez uczucia.

Czysty instynkt - siła, z którą nigdy nie walczył - sprawił, że jego pocałunek stawał się coraz mocniejszy. Jego ręce swobodnie wędrowały po ramionach dziewczyny, zsuwały się w dół po plecach i przyciskały ją do męskiego ciała. Ciepło jej piersi i ud przenikało przez materiał znoszonego ubrania Kamiennego Człowieka. Szybki i płytki oddech Devon laskotał go w brodę.

Pryśła jego mocna jak skała samokontrola. Znikły wszelkie myśli o planie. Dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Przyciskał do siebie jej ciało. Nacisk na wargi dziewczyny zmienił się; stał się subtelniejszy, delikatniejszy. Język mężczyzny przekroczył barierę kobiecych warg i próbował, delektował się. Smakowała tak cudownie, tak słodko...

Sporo czasu zajęło zagubionemu w morzu doznań

zmysłowych Kamiennemu Człowiekowi odkrycie, co się właściwie dzieje. Dziewczyna pozwalała mu się całować!

- Co ty, do diabła, robisz?! - warknął ze złością, uniósł głowę i odsunął Devon od siebie.

Przesunęła palcami po czerwonych śladach, które na atlasowej skórze wokół ust zostawiła jego broda. Delikatnie dotykała nabrzmiątych warg. Z ogromną ulgą odkryła, że choć poziom higieny osobistej tego mężczyzny tylko odrobinę przewyższa poziom higieny podwórzowego wieprza, to przynajmniej zęby szoruje porządnie.

- Pozwoliłam panu spróbować, panie MacKenna. Pewnie ja na pana miejscu zrobiłabym to samo. W każdym razie nie udało się panu przestraszyć mnie tak, żebym uciekła z krzykiem. Podjęłam decyzję, że zostaję, i nic jej nie zmienia - mówiła ochryple, oddychając nierówno.

- Ty dziwko! - warknął i wytarł usta wierzchem dłoni.

- Nie jestem dziwką, panie MacKenna, i kiedy pocałuje mnie pan następnym razem, radzę uważać na swoje... klejnoty, bo kolano potrafi być potężną bronią - odparła i wzrokiem wskazała miejsce, o które powinien w przyszłości zadbać.

- Jedyne, czego może pani w przyszłości dotykać bez obaw, to moje klejnoty.

- A ja myślałam, że nie mam powodu do wdzięczności! - powiedziała z ponurym uśmiechem.

Zielonkawę światło lampy naftowej nadawało dziwną niezmierną atmosferę podobną do grobowca wewnątrz namiotu. Piecyk trząskał i syczał, metalowa płyta wierzchnia klekotała pod naporem jasnego pomarańczowego ognia.

Devon miała ochotę krzyknąć. Jedyнным ludzkim dźwiękiem w namiocie było nieustanne bębnienie jej palca w drelich. Dzwoniło jej w uszach. Przez trzy godziny siedzieli z Kamiennym

Człowiekiem w odległości pięciu stóp od siebie i nie padło między nimi ani jedno słowo, ani sylaba.

Teraz, postanowiła. Nawet mruknięcie przyniesie mi ulgę.

Nie pamiętała, aby w ciągu dwudziestu dziewięciu lat życia była kiedykolwiek tak zdenerwowana. To on doprowadzał ją do szału. Zawsze nienawidziła pełnej wrogości ciszy. Przypominała jej ojca.

Jako dziecko nie miała wpływu na swoje życie. Ale teraz była dorosła i sytuacja się zmieniła - to ona ustanawiała reguły. Odmawiała życia w wrogości przez dziesięć miesięcy. Całe dzieciństwo musiała chodzić na palcach wokół ojca, który ponuro milczał albo terroryzował wszystkich atakami złości. Zginie, jeśli znów będzie musiała to robić.

Wyprostowała ramiona, podniosła głowę i utkwiała we wspólniku uporczywe spojrzeń.

- Co jest złego w rozmowie? - zapytała. Nawet na nią nie spojrział znad czytanej książki. Zerwała się i zaczęła spacerować. Starła się nie załamywać

rąk. Może podzielała mniej napastliwy ton.

- Może zagrałibyśmy w karty? Na przykład w wista? Żadnej reakcji.

- Co byś powiedział na filiżankę herbaty? - spróbowała znowu.

Mniej niż nic. Z najwyższym wysiłkiem trzymała temperament na wodzy. Nie pozwoli, by Kamienny Człowiek doprowadził ją do wybuchu złości. Z wysiłkiem ułożyła usta w coś na kształt uśmiechu.

- Czytasz *Wyspę skarbów*? Muszę przyznać, że nigdy bym nie pomyślała, że taki mężczyzna jak ty...

- Zamknij się! - Zatrzasnął książkę.

Uśmiechnęła się triumfalnie. Zwycięstwo nie było wielkie, ale lepsze to od tego przeraźliwego milczenia.

- Nie zamknę się.

- A więc mów, co tylko zechcesz. Od tej chwili jestem

głuchy na twoją paplaninę. - Ponownie otworzył książkę i wbił wzrok w pomarszczone od wilgoci stronicę.

Paplaninę! Dłonie Devon same zacisnęły się w pięści tak mocno, że aż kostki zbiały. On miał czelność kwestionować jej zręczność w prowadzeniu konwersacji! On! Wielki, brudny, odrażający osiłek, który...

Wyteżyła umysł. Nie było sensu zniżać się do jego poziomu, poziomu Neandertalczyka. Kulturalni, inteligentni ludzie potrafią dyskutować bez podnoszenia głosu, a ona niewątpliwie była inteligentna.

- Jesteśmy istotami ludzkimi, panie MacKenna, a istoty ludzkie rozmawiają. Tym różnimy się od zwierząt. Oczywiście w przypadku niektórych z nas ta różnica jest bardzo niewielka. - Wyniośle spojrzała na niego z uniesioną głową.

Obelga została wypowiedziana tak spokojnie, że chwilę trwało, zanim Kamienny Człowiek zrozumiał, iż został znieważony. Kiedy to do niego dotarło, zerwał się na równe nogi.

- Kim ty, do licha, jesteś, żeby mnie oceniać?! Jestem, jaki jestem! Jak ci się nie podoba, to wynoś się stąd do diabła! Nikt cię tu nie zapraszał.

- Nieprawda. Ty mnie zapraszałeś. - Usta Devon rozciągnęły się w lichej imitacji uśmiechu.

- Przestań mi o tym przypominać! - Jego twarz stała się purpurowa, a na skroni pulsowała mała błękitna żyłka.

Dziewczyna lekko westchnęła. Pokonanie tego mężczyzny nie dawało jej satysfakcji. To tak jakby zabrała dziecku cukierek. Prawdziwym zwycięstwem byłoby pokonanie ich animozji. Trzeba mu w jakiś sposób pokazać najbardziej elementarne przyjemności życia towarzyskiego. W przeciwnym razie... Zadrzała na myśl o tym, co będzie w przeciwnym razie.

- Panie MacKenna, spróbujmy dojść do porozumienia, dobrze? Bo inaczej czeka nas długa i wyjątkowo nieprzyjemna zima - powiedziała pojednawczo.

- Dla mnie nie będzie nieprzyjemna. - W jego oczach błyszczała złość.

- Niech pan choć na pięć sekund przestanie szczyrzyć na mnie zęby i posłucha. Ja nie umiem postępować z ludźmi. Unikam ich, rozumie mnie pan, panie MacKenna?

- Przestań tak mnie nazywać, do cholery! Nie jestem królem Anglii.

- Na szczęście dla Anglików! - Riposta wyrwała jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- I o to chodzi! - Rzucił książkę w stronę na prędcie skleconej półki, ale chybił. Tom odbił się od obwisłego płótna ściany i wylądował na podłodze. Mężczyzna nie poświęcił mu nawet jednego spojrzenia, wstał i zdjął koszulę.

- Co robisz? - Devon gapiała się na niego z wybałuszonymi oczami. Wszystkie jej mięśnie były napięte do ostatecznych granic. Teraz z kolei spodnie Kamiennego Człowieka opadły na podłogę i leżały zwinięte w harmonijkę u jego kostek. W jego złotych oczach pojawiły się złośliwe iskierki.

- Tańczę - odpowiedział. Pochylił się, żeby rozwiązać sznurowadła, i rzucił buty, a potem ściągnął śmierdzące skarpetki i zarzucił je na sznur do suszenia ubrań.

Devon musiała odskoczyć, żeby nie dostać wilgotnymi skarpetkami w twarz. Wpatrywała się we współnika, zaciskając z całej siły pięści. Wciągnął najbrudniejszą czerwoną bieliznę, jaką kiedykolwiek w życiu widziała. Podrapał się pod przepoconymi pachami i w pachwinach, po czym powiedział jej dobranoc i wdrapał się na posłanie.

Devon stała jak wrośnięta w podłogę, z otwartymi ustami. Czym innym było podjęcie logicznej decyzji o dzieleniu z tym człowiekiem podwójnego łoża przez całą zimę, a czym innym wsunięcie się między prześcieradła!

Nerwowymi ruchami podniosła z podłogi jego zmietoszone spodnie i koszulę i je powiesiła.

Kamienny Człowiek odwrócił się z dziwnym jak na tak

wysokiego mężczyznę kocim wdziękiem, oparł głowę na ręce i obserwował Devon. W mrocznym kącie namiotu jego niesamowite oczy o barwie whisky dziwnie lśniły.

- Przestań się miotać - zażądał.

Głośno przełknęła ślinę, niezdolna oderwać oczu od niego i od łóżka. Szorstki szary koc okrywał go niczym brudny śnieg. Zakrywał brodę i wąsy, ale Devon i tak wiedziała, że mężczyzna śmieje się z jej zmieszania. Oczywiście, nie był to wesoły uśmiech. Jego oczy były twarde jak szkło, tylko o wiele zimniejsze. Wiedziała, że koc kryje tylko złośliwie skrzywione usta. To pewnie jedyny rodzaj uśmiechu, w jaki jego wargi są w stanie się ułożyć.

Jego wargi. Bez ostrzeżenia wróciła jej pamięć o pocałunku, o ustach Kamiennego Człowieka, z początku zimnych i twardych, a potem nagle delikatnych, prawie zapraszających. Boże, chyba nie spróbuje ponownie tego zrobić? A może?

- Masz zamiar iść go łóżka w tej sukni?

- Dżentelmen odwróciłby się do ściany odezwała się sztywno.

- Naprawdę? W takim razie dżentelmen ma nudne życie -mruknął przeciągle. Tym razem wyraźnie się uśmiechał.

Devon nerwowo rozglądała się po namiocie w poszukiwaniu ustronnego miejsca. Nie było nic takiego; żadnego zakątka czy kryjówki, gdzie mogłaby się schować przed jego wścibskim, przenikliwym wzrokiem.

- Nie ma co tego odwlekać. Rozbierzesz się tu, przede mną, albo na zewnątrz, przed nimi wszystkimi.

Szybko zdmuchnęła lampę. Trochę pomogło. Światło zmieniło się z dziwnego zielonkawego na brudnobrązowe. W pełnym cieniu półmroku linie straciły ostrość i zmieniły się w niewyraźne kształty. Ciało Kamiennego Człowieka było niczym wyłaniające się z metalicznej szarości góry i doliny. Jego spokojny, równy oddech brzmiał jak krzyk w gęstej ciszy namiotu.

- Kiedy tutaj robi się ciemno? - mruknęła.

- We wrześniu - padła odpowiedź z ciemnego kąta łóżka. Głos mężczyzny był pełny, głęboki, drwiący.

Zebrała się na odwagę i zdjęła spódnicę, żakiet i bluzkę, potem włożyła przez głowę białą bawełnianą koszulę nocną i dopiero wtedy pozbyła się bielizny.

Ozdobiona koronkami koszula falowała wokół jej kostek, podczas gdy Devon szukała swojego haka na ubranie. Niełatwo było odnaleźć go w półmroku. Wymacała drogę wzdłuż piecyka i stołu aż do masztu nośnego, którego szukała. Powiesiła rzeczy na haku, starając się ukryć gorset i halkę pod ubraniami wierzchnim.

Teraz! Odetchnęła, skuliła ramiona i skierowała się do łóżka. Poruszała się wolno, jej bosa stopy cicho stąpały po uszczelnionej mchem podłodze. Energicznie podniosła koc. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu na myśl o spaniu w jednym łóżku z mężczyzną. Mocno zaciskając oczy, wdrapała się na ramę z nieheblowanych desek i wśliznęła się pod koc.

Głośno wciągnęła powietrze. Wielkie nieba, w tym łóżku nie było prześcieradeł! Zniszczony, brudny koc drapał ją w nogi. I śmierdział! Pierwszą rzeczą, jaką jutro zrobi, będzie rozpakowanie pięknej haftowanej pościeli.

Devon leżała sztywno jak deska, z kocem podciągniętym pod samą brodę. Obok niej Kamienny Człowiek ułożył się wygodniej na płaskim, okropnie śmierdzącym materacu. Oddychał coraz wolniej.

Wypuściła powietrze z płuc w długim, pełnym ulgi westchnieniu. Zasnęła. Nic jej nie groziło. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Boże wszechmocny...

Coś przebiegło po jej gołej nodze. Wrzasnęła rozdzierająco i wyskoczyła z łóżka.

- Co, do cholery?! - Zerwał się na równe nogi.

- Robactwo - szepnęła, wpatrując się w łóżko. W jej wyobraźni

koc sam się ruszał. Boże, mogła znieść nieporządek, wrogość, brud, ale nie insekty!

- Chryste, i to wszystko? Jeśli będziesz tu jeszcze za tydzień, w ogóle przestaniesz na nie zwracać uwagę.

Przez długi czas stała obok łóżka, ze wzrokiem wbitym w rozrzucone koce. Mogła myśleć tylko o swoich starannie ułożonych w kufrze, ślicznych prześcieradłach i o miękkim, pachnącym świeżością łóżku w domu. Straciła wszelką nadzieję i zaczęła dygotać na całym ciele.

- Nie doprowadzisz mnie do płaczu. I nie zmusisz mnie do wyjazdu - powiedziała z naciskiem do wielkiego jak góra mężczyzny leżącego w łóżku.

Odpowiedział jej spokojny, równy oddech. Poczula, że jej powieki stają się coraz cięższe. To był długi wyczerpujący dzień.

Powoli ułożyła się znowu na zbutwiałym, płaskim materacu i podciągnęła brudny, szorstki wełniany koc aż pod brodę. Leżała sztywno i nieruchomo, starając się opanować drżenie dolnej wargi.

Boże, spraw, aby to był tylko sen. Potworny, koszmarny sen.

Devon, rozbita, obudziła się niechętnie. W wyschniętych ustach czuła posmak piasku i starego buta. Po raz pierwszy w życiu nie umyła zębów przed snem. Dlaczego?

Przypomniała sobie i poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Pojękując, uniosła się na łokciach i z trudem otworzyła oczy, czując piasek pod powiekami. W jej polu widzenia pojawiły się czyjeś nogi. Leżące na szarym kocu skrzyżowane kończyny były gołe, białe i chude. Wielkie nieba! To jej własne nogi! Wyrwał jej się głośny krzyk przerażenia. Usiadła prosto i obciągnęła nocną koszulę, aby zakryć kostki. Kiedy materiał owinął się wokół stóp, podciągnęła je w górę i obronnym gestem objęła kolana.

Ostrożnie, nie podnosząc wzroku, zerknęła w prawo.

Kamiennego Człowieka nie było. Wyprostowała się i odchyliła do tyłu. Uderzyła się o zrobiony z nieheblowanego świerkowego drewna zagłówek łóżka tak mocno, że aż przeszył ją dreszcz.

- Dzień dobry.

Natychmiast zeszytniała, zerkając nerwowo na lewo. Kamienny Człowiek siedział przy stole, popijając coś z poobijanego blaszanego kubka w niebieskie ciapki. Poczula zapach mocnej czarnej kawy. Odetchnęła głęboko; ten cudowny, dobrze znany aromat uspokajał ją.

- Dzień dobry. Dawno wstałeś? - zapytała ostrożnie.

- Dość dawno, aby trochę pomyśleć. - Mężczyzna podniósł się, nalał drugi kubek kawy i podał Devon.

Nie powiedziała głośno tego, co przyszło jej do głowy.

Uśmiechnęła się tylko i wzięła od niego kubek. Oplotła palcami blaszane naczynie. Ciepły metal miał przedziwne działanie uspokajające. Poczula, że jej serce przestaje tak szybko walić i oddech wraca do normy.

- Pan... Niech mnie diabli porwą, jeśli będę mówić do ciebie: panno O'Shea! - mruknął Kamienny Człowiek i skrzywił się, a potem jego twarz skamieniała.

- Dobrze, możesz mówić do mnie: Devon - rzekła z uśmiechem.

- Wszystko jedno. Rzecz w tym, że myślałem bez przerwy o naszym problemie, a myślenie to nie jest moja najmocniejsza strona, jak wiesz, i nie widzę żadnego wyjścia. Ty nie możesz wyjechać, ja nie mogę zbudować ci namiotu. Musimy razem spędzić tę zimę.

- Wiem. - Westchnęła.

- Uważasz, jak sądzę, że zrobiłaś zły interes. Ja jeszcze gorszy.

Devon otworzyła usta, żeby ostro się odciąć, ale nie pozwolił sobie przerwać.

- Zaczekaj. Nie to miałem na myśli. Chciałem współnika, który uwolniłby mnie od obowiązku prowadzenia faktorii, żebym mógł wyjechać i robić zdjęcia. A co mam? Cholerną babę, której nie mogę zostawić samej.

- Nie jestem kretynką. Radzę sobie sama, odkąd skończyłam czternaście lat. Na pewno poradzę sobie przez kilka godzin dziennie w twoim... to znaczy w naszym sklepie.

- Radziłaś sobie sama w St. Louis, a to nie to samo co na terytorium Jukonu. Jesteś jedyną białą kobietą na przestrzeni wielu mil, a ta dolina przyciąga facetów bardziej niż łóżko kurwy. Sama nie byłabyś tu bezpieczna.

- Potrafię o siebie zadbać! - Dumnie uniosła głowę.

- Jasne! Kobieto, nawet gówna nie ochronisz. - Roześmiał się nieprzyjemnie, bez wesołości.

Oparła brodę na podciągniętych do góry kolanach. Z niechęcią musiała przyznać, że jej współnik miał rację. Na myśl o tym, że mogłaby zostać sama z takim człowiekiem jak Midas, robiło jej się zimno.

- Więc co zrobimy?

- Nie będziesz się pojawiać w moim sklepie i wchodzić mi w drogę. Tak zrobimy. - Gwałtownie zerwał się na nogi, chwycił kurtkę z haka i zarzucił ją na ramiona.

- Zaczekaj chwilę, nie możesz... - Umilkła. Nie słuchał. Nie poświęcił jej nawet jednego spojrzenia; wcisnął podniszczony kapelusz na głowę i wypadł z namiotu.

Devon wyskoczyła z łóżka. Oparła zaciśnięte w pięści ręce na biodrach i patrzyła na zatraskujące się za nim drzwi. Kamienny Człowiek MacKenna powinien dwa razy pomyśleć, zanim zaczął dyktować jej, co ma robić. Przebyła długą drogę, żeby zacząć nowe życie jako współwłaścicielka sklepu i nic jej od tego nie powstrzyma. Dopiła kawę, ubrała się i porwała środki czystości. Szarpnęła wąskie drewniane drzwi, wyszła i stanęła jak słup soli, porażona tym, co zobaczyła. Poczula się jak Alicja, przechodząca na drugą stronę lustra. To był

całkiem inny świat. Ani śladu po wczorajszej bagnistej, śmierdzącej, mglistej kupie gnoju. Ziemia pod jej stopami była najwyżej nieco wilgotna. Niebo, jakiego jeszcze nie widziała -safirowy błękit, który przypominał Devon bezdenne jezioro. I zieleń! Wszystkie drzewa i krzewy lśniły w złotym słońcu. Gdzieś tam można już było zauważyć pierwsze jesienne barwy.

Dziewczyna wstrzymała oddech z wrażenia. Ta kraina była dzika, wolna, piękna. Zaciśnęła palce na rączce wiadra, uniosła spódnicę i skierowała się w stronę faktorii.

Kamienny Człowiek znów siedział za obrzydliwą koślawą ladą. I znów z wysuniętą do przodu głową wpatrywał się w jakieś kwadratowe kawałki jasnozielonego szkła. Czarne jak węgiel, brudne włosy kosmykami opadały mu na twarz. Szerokimi opuszkami palców bębnił o ladę. Piecyk był zimny, odpychający.

Jednym przenikliwym spojrzeniem oszacowała wygląd sklepu. Było jeszcze gorzej, niż myślała. Rzędy krzywych półek i do połowy wypełnionych lad. Towary pozrzucone beładnie na kupę, bez żadnego porządku i koncepcji, a na domiar złego - wszystko pokryte grubą warstwą kurzu.

Devon głęboko wciągnęła powietrze i natychmiast tego pożałowała. Udało jej się rozpoznać zapach zepsutego jedzenia, brudnych skarpetek, wilgotnego drewna i nafty. Postanowiła wstrzymać oddech i mówić jednocześnie.

- Zgłaszam się do pracy.
- Wracaj do domu. - Wbił w nią zwężone oczy.
- Znów zaczniemy się kłócić? - Przeciągnęła palcem po wierzchu najbliższej półki. Została na nim gruba warstwa kurzu.
- Po prostu idź stąd.

Podeszła do lady i z uśmiechem zdmuchnęła kurz z palca prosto w twarz Kamiennego Człowieka.

- Dość tego gadania. Biorę się do roboty.
- Do jakiej roboty? - Popatrzył z pogardą na jej muślinową

lawendową suknię ze wzorkiem w stokrotki i na śnieżnobiały fartuszek.

- Do sprzątania. - Poglądziła wiadro.
- Nie.
- Tak.

Jego pięść spadła z ogromną siłą na kulawą ladę. Słoik z gwoździami spadł na podłogę i się rozbił, a tuzin zardzewiałych gwoździ rozsypał się po zniszczonej podłodze i wpadł w wypełnione błotem szpary. Devon cofnęła się.

- Nie! Wystarczy już, że mój namiot śmierdzi jak jakiś cholerny szpital. Nie zrobisz tego samego w moim sklepie -ryknął Kamienny Człowiek.

- W naszym sklepie! - Dziewczyna pomaszerowała do wielkiej beczki z wodą, stojącej na prawo od lady.

- Nie możesz używać tej wody do sprzątania. Jest do picia. Jeśli chcesz mieć wodę do sprzątania, to ją sobie przynieś. Do diabła, czy ty nikogo nie słuchasz?! - wrzasnął, widząc, że Devon spokojnie, jedną po drugiej, wlewa pełne chochle wody do wiadra.

- Nie! Wydaje się, że jest to jedyna łącząca nas cecha.

Kamienny Człowiek musiał dostrzec w jej oczach determinację, bo tylko popatrzył spode łba, po czym oparł zarośnięty podbródek na splecionych dłoniach.

- A sprzątaj sobie, co zechcesz, ale powiedz choćby jedno słowo, a wylecisz stąd! - warknął. I przez minutę czekał na reakcję.

- Zimno.

Devon nucila coś pod nosem. Fałszowała! Kamienny Człowiek zgarbił się, unióśł ramiona, a głowę opuścił na piersi. Chryste! Jej głos brzmiał jak zawodzenie rosomaka z przestrzelonym gardłem, jękliwie i żałośnie. To przyprawiało go o ból głowy.

Przeszył dziewczynę wzrokiem. Jego spojrzenie było twarde, złe. Ktoś, kto postanowił, że nie należy bić kobiet, nigdy nie spotkał Devon O'Shea. Kamienny Człowiek wydał długie, niskie westchnienie, znów żałując, że nie należy do ludzi bez oporów puszczających w ruch pięści. Oparł łokcie na ladzie, ułożył głowę na splecionych palcach i zastanawiał się, dlaczego ta baba nie może być przynajmniej normalna. Kobieta powinna być głupia, bierna i łatwo podporządkowująca się mężczyznom.

Chciał tylko, żeby ktoś poprowadził sklep, kiedy on będzie fotografował. A co dostał? Chorobliwie gadatliwą babę, która podnosi jego buty, zanim rąbną o podłogę, a myśli jak generał armii.

Chryste, przecież on teraz jest bardziej uwiązany w sklepie niż poprzednio...

Próbował oderwać wzrok od Devon, ale na próżno. Jego

oczy żyły własnym życiem i nieustannie ściagały dziewczynę. Nie mógł przestać się na nią gapić, tak bardzo nie pasowała do tego miejsca. Zacisnął zęby. Gdyby ta kobieta wiedziała, jak idiotycznie wygląda w jej swojej kwiecistej sukience i z tymi swoimi loczkami! Pulsowanie w skroniach nasiliło się, a potem zeszło w dół, do podstawy czaszki. Czuł się tak, jakby ktoś walił go w głowę młotem.

Kiedy Devon zaczęła sprzątać, zmieniła się w szalejące po namiocie tornado. Jej ruchy były tak szybkie, że aż zamazywały się kontury. Najpierw wytarła wszystkie półki. W następnej sekundzie zajęła się oddzieleniem przepiłowanych desek od solidnych klocków drewnianych, z których były zrobione podstawki pod półki. Kwadratowe po lewej stronie lady, podłużne po prawej.

Potem wyszorowała półki; jej drobne dłonie, wirujące po drewnie, ani na chwilę nie zatrzymały się, nie zwolniły nawet. Kamienny Człowiek patrzył, przejęty grozą, jak drzazga za drzazgą wbija się w jej jasne ciało. Czekał na okrzyk bólu, ale się rozczarował. Nie poskarżyła się ani razu. Ani razu! Właściwie, poza tym wołającym o pomstę do nieba nuceniem, nie odezwała się ani słowem.

Zaczynało go denerwować milczenie dziewczyny!

Z chmurną miną przeczesywał palcami czarną, przetykaną siwizną brodę, szarpiąc ją w zamyśleniu. Kto by powiedział, że cisza może być tak irytująca?

Otworzył kieszonkowy zegarek i spojrzał na cyferblat. Pierwsza. Sprzątała już od czterech godzin, a dopiero połowa namiotu była czysta. W każdym razie wystarczająco czysta dla jej wysokości.

- Cholera! - wymamrotał głośno.
- O co chodzi, Kamienny Człowieku? - Zerknęła zza błyszczącej półki.

- O nic - mruknął.

Devon wyprostowała się powoli, przyciskając dłonie do

krzyża, żeby ulżyć mięśniom pleców. Jej drobne piersi prężyły się pod sztywną bawełną fartucha. Kamiennemu Człowiekowi zaparło dech. Wyglądała inaczej; już nie tak butnie. Kilka niesfornych loczków wymknęło się z jej fryzury i wilo swobodnie po spoconym czole. Pojedyncza kropla potu ściekała po łabędziej szyi, znikając pod obramowanym koronką kołnierzykiem. Tkanina przylegała do szyi jak druga skóra. Devon rozglądała się, jakby czegoś szukała.

- Mogę zrobić kawy?

- Rób, co chcesz. - Opuścił rondo kapelusza i zaczął się wpatrywać we własne skrzyżowane ręce. Słyszał ciche stukanie jej wąskich obcasików na wysuszonych deskach podłogi, kiedy dziewczyna krzątała się koło piecyka. Nagle nieproszony stanął mu przed oczami obraz jej nóg, które widział dziś rano. Długie i białe, wyglądały prawie niezmiernie na tle szorstkiej wełny koca.

Stukanie obcasów ucichło. Zamarł, czekając, aż Devon przerwie ciszę kolejną głupią uwagą. Ale się nie odezwała, więc niechętnie wyjrzał spod brudnego randa kapelusza. I natychmiast tego pożałował. Patrzyła wprost na niego, a w kącikach jej ust pojawił się delikatny uśmiezek.

- Mam napalić w piecu? A może wolisz sam to zrobić? *Mam napalić w piecu?* Powiedziała to takim tonem, jakim

te bogate angielskie damulki zwracają się do swoich pomywa-czek. I to spojrzenie! Krew w nim zawrzała. Jeszcze jeden uśmiezek, mówiący: mogę cię owinąć wokół małego palca, a ta panna Doskonalska wylądzuje na pupie w samym środku największego błota Jukonu!

- Ja to zrobię. To mój piec i ja w nim napalę - mruknął Kamienny Człowiek, dźwignął swoje wielkie ciało z wygodnego krzesła i powłókł się do zimnego małego piecyka. Wyjął zapałkę, podniósł metalową pokrywę i zapalił ogień.

Devon opadła na trójnożny stołek i westchnęła zmęczona.

- Muszę powiedzieć, że sprzątanie tego... namiotu jest dla

mnie prawdziwym wyzwaniem. Lubię wyzwania, a ty? - Przyglądała kosmyk włosów, który wysliznął się z fryzury i spoczywał swobodnie za uchem.

Mruknął coś w odpowiedzi i powoli opuścił się na stojący obok niej stołek. Obserwował ją kątem oka. Zaczynała opadać z sił. Biedactwo, pomyślał z drwiną, to sprzątanie to dla niej za dużo. Pewnie nieprędko znów się za to weźmie. Dzięki Bogu...

- No, wracam do roboty. Nie mogłam dziś spać spokojnie, wiedząc, że nasz sklep to taki chlew. - Zerwała się i starała wygładzić przybrudzony przód fartuszka.

- Chyba żartujesz! - Patrzył na nią w osłupieniu.

- Czy wyglądam na kobietę, która stroi sobie żarty z brudu?

- Nie. I prawdę mówiąc, nie wyglądasz na kobietę, która żartuje z czegośkolwiek. A co z kawą? - Jego usta wykrzywiły się w ponurym grymasie.

- To należy do ciebie, durniu. - Uśmiechnęła się do niego jak do dziecka. I zanim zdążył odpowiedzieć, wróciła do pracy. I znów zaczęła nucić.

Zerwał się na równe nogi, instynktownie przyjmując pozycję do walki: nogi szeroko rozstawione, ramiona opuszczone, dłonie mocno zaciśnięte w pięści. Dureń! Nazwała go durniem!

Tego już za wiele! Naprawdę za wiele. Chwytał ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Błysk strachu w jej oczach był dla niego wystarczającą nagrodą. Boże, pomyślał, spraw, aby wreszcie zaczęła się mnie bać.

- Twoja połowa sklepu jest czysta. A teraz chcę zostać sam - rzekł chrapliwie. Pochylił głowę tak, że tylko ciele dzieliły ich twarze.

- Przykro mi. Kamienny Człowieku, ale zaczęłam sprzątanie od twojej połowy. - Jej przażenie w jakiś tajemniczy sposób zmieniło się w triumf.

Jeszcze mocniej ścisnął ramię Devon. Myślał intensywnie.

I co teraz? Uderzyć ją? Kuszący pomysł. Naprawdę kuszący. Nie, to by podziałało tylko na krótką metę.

Mijały sekundy. Stali w odległości kilku cali, patrząc sobie w oczy; ręka Kamiennego Człowieka nadal była zaciśnięta na jej miękkim ramieniu. Ciężką, napiętą ciszę namiotu zakłócały tylko ich chrapliwe oddechy.

- Przynajmniej przestań nucić - warknął w końcu, znalazłszy sposób, aby ocalić swą dumę, i puścił jej rękę. Nie zamierzał zrobić jej krzywdy. Chciał tylko, żeby się zamknęła.

- Dobrze.

Zesztywniał, czekając, co będzie dalej. Znając ją, spodziewał się jakiegoś ale. Czekał i... nic. Uśmiechnął się z ulgą. Udało mu się; wygrał tę rundę.

Spojrzał na dziewczynę. Zbiła go z nóg promiennym uśmiechem - i prowokująco głośno zaśpiewała *When the corn is waving, Annie*. Aż uszy wiodły! Patrzył na nią z rozbawieniem i potrząsnął głową. Mimowolnie poczuł niechętny szacunek dla jej sprytu. Była bystra.

- Dobrze. Możesz nucić, tańczyć, pokazywać sztuczki karciane. Tylko nie śpiewaj, bo to woła o pomstę do nieba. -Skapitulował.

- Nie miej pretensji, jeśli to zrobię! Podskoczyła do wiadra i je porwała.

Devon odetchnęła głęboko i z satysfakcją. Sklep był nienagannie czysty, towar ułożony na nowych miejscach, a półki ustawione porządnie i zgodnie z logiką. Wrzuciła mokrą szmatę do wiadra i skrzywiła się, kiedy szara z brudu woda przelała się przez brzeg i pomyje bryzgnęły na świeżo wyszorowaną podłogę. Powoli, z westchnieniem wstała na nogi i ruszyła w stronę drzwi. Otworzyła je szarpnięciem i obejrzała się za siebie.

- Która godzina, Kamienny Człowieku? To były pierwsze słowa, jakie wymówiła od czterech godzin.

Nie odpowiedział.

Spojrzała na współnika i uśmiechnęła się. Mocno tupnęła, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Już możesz zdjąć nauszniki. Nie będę więcej nucić! - krzyknęła.

- Obiecujesz?! - wrzasnął. Kiedy energicznie kiwnęła głową na potwierdzenie, zdjął nauszniki z futra bobra.

- Która godzina? - zapytała ponownie.

- Piąta.

- Jak tu pięknie - powiedziała bardziej do siebie niż do Kamiennego Człowieka, wyrzawszy na dwór. Było jeszcze zupełnie jasno, o późnej porze świadczyła tylko dziwna różowawa mgiełka, otulająca niektóre bardziej odległe drzewa.

- Tak sądzisz?

Po raz pierwszy Devon nie usłyszała w jego głosie sarkazmu. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Ich spojrzenia się spotkały.

- Uważam, że to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie w życiu widziałam. Takie dzikie, wolne. Nie dziwię się, że chcesz je fotografować.

- Niewiele osób rozumie moje zauroczenie tym krajem. Już niedługo przestanie być dziki. Tylu ludzi tu przyjeżdża, rozbija obóz... - wyznał cicho. Jego twarz była odprężona, prawie rozświetlona uśmiechem.

Nagle ktoś wpadł na Devon i ją odepchnął. Zdążyła tylko zauważyć brudną, brązową kurtkę i zachłysnąć się smrodem niemytego ciała i whisky.

- No, no, a cóż to za milutka scenka? - wycedził Midas Magowin, zatrzymując się dopiero na środku namiotu.

Devon odzyskała równowagę i z uśmiechem patrzyła na garbate strasydło. Mały człowieczek przyglądał się dziew

czynnie przez ramię, oglądając ją z pogardą. Westchnęła. Nie miała ochoty stawiać czoła nienawiści tego starucha. To był dla niej ciężki dzień.

- Cóż, Kamienny Człowieku, domyślałam się, że przegraliśmy zakład. Ta dziwka zostaje - powiedział Midas, nie spuszczać dziewczyny z oka.

Devon poczuła, że ogarnia ją gniew. Wyraźnie czekała, żeby Kamienny Człowiek się odezwał. Nie zrobił tego jednak.

- Pozwolisz mi tak do mnie mówić? - zapytała współnika.

- Potrzebujesz obrony? Kup sobie psa. - Kamienny Człowiek wzruszył ramionami.

Zacisnęła usta i w myślach policzyła do dziesięciu. Dopiero kiedy odzyskała panowanie nad sobą, utkwiała nieruchome spojrzenie w Midasie.

- Po co tu przyszedłeś?

- Potrzebuję zupy - rzekł do Kamiennego Człowieka, odwracając się plecami do dziewczyny.

- To sobie weź.

Ostrożnie, jakby toczył przed sobą jajko, Midas ruszył na swoich chudych nogach w stronę półki, na której zwykle stały zupy

- Co, do diabła...?! Gdzie są te cholerne zupy?

- No wiesz, Midasie! Tylko dlatego, że jest tu trochę czystiej, nie umiesz... O, do diabła! Powinny być tutaj! - Kamienny Człowiek podszedł do Midasa i z osłupieniem wpatrywał się w półki.

Devon usłyszała, że w głosie współnika pobrzmiwa złość, wzdrygnęła się i szybko przeszła przez sklep. Są ludzie, którzy nie lubią zmian. Podejrzewała, że on do nich należy.

- Tutaj stoją. - Wskazała ostatni rząd półek.

Obaj mężczyźni podeszli tam. Najwyraźniej nie mogli oderwać oczu od doskonale rozmieszczonych, absolutnie czystych regałów sklepowych. Kamienny Człowiek popatrzył na nią z góry, zaciskając zęby.

- Co te zupy tu robią? No, odpowiedz!
- Devon nerwowo oblizała wargi. Na pewno spodoba mu się nowa organizacja sklepu. Na pewno. Kiedy tylko do niej przywyknie...
- Czekają na nabywców.
- A dlaczego nie czekają na swoim stałym miejscu?
- Tam trudno je było znaleźć.
- Nie mnie i nie moim klientom.
- Wiesz, od tej chwili każdemu będzie łatwiej.
- Niby dlaczego?

- Bo wszystko jest poustawiane w porządku alfabetycznym! - Dziewczyna nie mogła powstrzymać pełnego dumy uśmiechu.
- W porządku alfabetycznym? Ustawiałaś towar w porządku alfabetycznym?! - Kamienny Człowiek krzyknął głębokim basem z niedowierzaniem.
- Devon poczuła lekki niepokój. Dlaczego on nie wygląda na uszczęśliwionego?
- Tak. To zdecydowanie ułatwi orientację. Zobacz, zupa stoi między zapalkami a żelaznymi gwoździami. Oczywiście, dość trudno mi było podjąć decyzję, czy gwoździe umieścić pod G czy pod Ż, ale zdecydowałam... - Wiedziała, że paple, ale nie była w stanie zahamować potoku słów. Zawsze paplała, kiedy była zdenerwowana.
- Większość z moich klientów nie umie czytać! Nie rozpoznaliby G, nawet gdyby wyrosło tuż przed ich nosem i rąbnęło ich w łeb.
- O, mój Boże! Nigdy by mi nie przyszło do głowy... - Devon zakryła usta ręką.
- Wynoś się stąd! - ryknął jak lew.
- Nie. Ja popełniłam błąd i ja go naprawię. Muszę tylko... - Stała wyprostowana, z dumnie podniesioną głową.
- Natychmiast!
- Nie.

Policzki jej współnika nabiegły krwią, a oczy ciskały błyskawice. Jednym ruchem złapał Devon na ręce i odrzucił klapy namiotu.

- Zostań tu, Midasie. Za chwilę wracam! - zawołał przez ramię.
- Dobrze, Kamienny Człowieku. Pod twoją nieobecność zacznę wypisywać na ścianach abecadło. - Zachichotał radośnie.

Devon kopała i krzyczała, kiedy niósł ją główną ulicą. Otworzył drzwi ich namiotu mocnym szarpnięciem, aż uderzyły o belkę podtrzymującą sufit.

Wpadł do środka. Dziewczyna waliła pięściami w jego potężną pierś.

- Puść mnie! - krzyknęła.
- Z przyjemnością.

I zanim zdążyła nabrać powietrza, by odpowiedzieć, już leciała w powietrzu, rzucona jak worek kartofli. Z impetem upadła na łóżko, zagłębiając się w zniszczonym materacu. Z brudnych prześcieradeł wzbijał się kurz, drażniący jej oczy i łaskoczący nos. Podniosła się na czworaki i przyczaiła, gotowa do skoku. Najbardziej pierwotne instynkty żądały dopuszczenia ich do głosu. Chciała trzasnąć w złośliwą twarz mężczyzny, wydrapać mu te niesamowite złote oczy. Zaciśnęła ręce w pięści i wpatrywała się w Kamiennego Człowieka zwężonymi z wściekłości oczami. Oddychała szybko i głośno.

- Ty... - wysyczała.

Błyskawicznie rzucił się na nią i złapał za nadgarstki. Słowa zamarły jej na ustach, ciężko dyszała. Jeszcze wzmocnił ucisk dłoni, dopóki nie otworzyła pięści.

- Raz na zawsze wybij sobie z głowy bicie się ze mną. Nie jestem podobny do mężczyzn, których znałaś w St. Louis. Nie przestrzegam głupich norm społecznych. I oddam każdemu, kto ze mną zacznie. - Kamienny Człowiek mówił chrapliwie, a jego oczy błyszczały jak topazy.

Te słowa zgasiły płonący w niej gniew jak kubek zimnej wody. On mówi poważnie, pomyślała ponuro. Naprawdę mógłby ją uderzyć i nikt tutaj by się tym nie przejął. Otrzeźwiło, ale i przeraziło ją odkrycie, jak bardzo jest tu samotna i bezsilna. Nie należała do kobiet lękliwych i przywykła panować nad sobą. Z wysiłkiem zdławiła własną dumę. Nie czas na ostrą reakcję. Trzeba pomyśleć, przeanalizować swoje położenie i znaleźć rozsądne wyjście.

- Dobrze, nie będę wszczynać z tobą bójkę. Przyznaję, że jesteś o wiele silniejszy. A teraz puść z łaski swojej moje nadgarstki, dobrze? - powiedziała trzęsącym się głosem.

Rozluźniła palce. Wyrwała ręce, spłotła dłonie i położyła na kolanach. Spuściła głowę. Patrzyła na swoje ręce, takie małe i białe na tle przybrudzonego fartucha. Głęboko odetchnęła, zbierając siły.

- Devon?

Nie podniosła oczu. Nie chciała zobaczyć drwiny w jego triumfującym spojrzeniu.

Wskazującym palcem dotknął podbródka dziewczyny i uniósł jej głowę. Nie było w jego oczach tego, co spodziewała się w nich znaleźć. Wydawał się stary i bezgranicznie smutny. I prawie skruszony. Serce Devon zabiło mocniej i wbrew jej woli obudziła się w niej isierka nadziei. Ale po chwili uświadomiła sobie, że nie stało się nic, co mogłoby dać jej nadzieję. Zawsze była optymistką, nawet w trudnych dniach dzieciństwa.

- Devon, nie budź w nas większej wrogości niż to konieczne - powiedział miękko.

Spojrzała mu prosto w oczy i po raz pierwszy zauważyła mahoniowe plamki, przyciemniające złote tęczęwki.

- A dlaczego koniecznie musimy być wrogami?

- To przeze mnie. Nie lubię ludzi. - Cień smutku zniknął z jego oczu. Stały się znów chłodne i dalekie.

- To bez sensu. Nie lubię buraków, ale kiedy moja ciocia

Edna podała je na Dzień Dziękczynienia, zjadłam pełny talerz -rzekła bez zastanowienia.

- Ja mówię bez sensu? Nie rozumiem połowy tego, o czym papłasz. Nie obchodzi mnie, czy dławiałaś się każdym rozgotowanym burakiem swojej ciotki. Chciałbym po prostu, żebyś wreszcie się zamknęła. Czy proszę o zbyt wiele?

Devon natychmiast zauważyła swój błąd. A niech to! Było w tym mężczyźnie coś takiego, że ilekroć otwierała usta, przestawała myśleć. Jeśli miała się z nim dogadać, musiała umieścić maksimum treści w kilku starannie dobranych słowach. Paplanina o burakach ciotki Edny była niewątpliwie błędem taktycznym. Zadał jej pytanie... Pytanie! Może wreszcie uda im się do czegoś dojść. Rozpromieniła się.

- Cóż, skoro zadałeś pytanie, pozwól mi odpowiedzieć. Jesteś moim współnikiem i współlokatorem w tym namiocie. Nie możemy spędzić siedmiu miesięcy w całkowitym milczeniu. Ja raczej lubię rozmawiać i... - Kamienny Człowiek patrzył na nią, jakby była wściekłym psem.

- Trzymaj się z daleka ode mnie i od mojej faktorii. Jeśli choć na sekundę wściubisz czubek nosa do sklepu, popływasz sobie w rzece Jukon. Czy wyrażam się jasno?

Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu. Dość już tej uprzejmości i ogłady. Pora ustanowić pewne podstawowe reguły.

- Rozumiem cię, Kamienny Człowieku. Problem jednak, jak sądzę, polega na tym, czy ty rozumiesz mnie.

- Próba zrozumienia różnych rzeczy to twoja specjalność, panienko. Ja nie dałbym funta kłaków za to, że życie ma jakikolwiek sens. I jedyne, czego pragnę, to żeby zostawiono mnie w spokoju.

- Masz rację, ja rzeczywiście lubię wszystko systematyzować

i jeśli sądzisz, że kilka ostrych słów i rzucenie mnie na łóżko pozwoli ci narzucić mi twoją wizję naszych wzajemnych stosunków, to bardzo się mylisz.

- Naszych wzajemnych stosunków? Zapomnij o tym. Nie jesteś warta zachodu. - Słowo „stosunków” wypłuł jak wybity ząb. Przyglądał jej się przez chwilę niebezpiecznie błyszczącymi oczami. Potem odwrócił się na pięcie i wypadł z namiotu jak burza.

- A idź, idź i do diabła z tobą! Żadna odległość od ciebie nie może być zbyt duża - mruknęła, wyskakując z łóżka.

Tupnęła nogą ze złości. W tej krótkiej chwili, kiedy oczy Kamiennego Człowieka były takie smutne i zagubione, zbliżyli się do siebie. Gdyby tylko udało im się wówczas wypowiedzieć właściwe słowa! A przecież Devon była zwykle taka komunikatywna! Wszyscy to powtarzali. W domu przychodzili do niej ludzie ze sporej odległości po mądre rady.

I tu tkwią korzenie problemu, pomyślała. Przywykła do ludzi, których rozumiała bez trudu, a Kamiennego Człowieka, Corneliusa MacKenny, nie była w stanie rozgryźć. Dlaczego cały czas był zły? Przecież ta jego nienawiść do niej nie miała sensu. Prawdę mówiąc, to ona właśnie była skrzywdzona. To ona przemierzyła tysiące mil, żeby dzielić plugawą norę z mężczyzną, który nigdy się nie kąpie i mówi mniej niż drzewo.

To ona powinna wpaść w szal, do licha!

Kamienny Człowiek dostał to, czego chciał. Miał przecież współnika, i to wyjątkowo zdolnego i godnego zaufania. Czego się spodziewał, zamieszczając ogłoszenie? Czy sądził, że obecność współnika w niczym nie zmieni jego życia?

Nagle wszystko stało się jasne, jak zwykle, kiedy spokojnie rozważyła problem. Przyjęła złą taktykę. Nigdy nie dotrze do Kamiennego Człowieka, jeśli będzie opanowana i logiczna,

ponieważ on nie kierował się rozumem. On żył i postępował tak, jak dyktował mu instynkt.

Rozwiązanie było proste. Musi zmienić jego życie w piekło na ziemi. Musi sprawić, żeby błagał ją o kompromis.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jej współnik był jak uparty muł, a wszyscy wiedzą, że każdy muł prędzej czy później się ruszy. Trzeba tylko przyciągnąć jego uwagę.

Okrzyk bólu Devon odbił się od obszarpanych drelichowych ścian namiotu. Z przekleństwem odrzuciła młotek. Przekoziółkował w powietrzu, rąbnął w stół z nieheblowanych świerkowych desek i zanim spadł na podłogę, zostawił w drewnie wgłębienie w kształcie półksiężyca.

Dziewczyna spojrzała na stłuczony kciuk. Ból promieniował aż do nadgarstka. To wszystko jego wina, pomyślała ponuro. Przez ostatni tydzień ona i Kamienny Człowiek żyli jak w obozie wojskowym. W milczeniu, wrogości, w stanie wojny. Z ambicją generała i determinacją piechura wprowadzała w życie plan powalenia współnika na kolana. Przez siedem piekielnie długich dni nie odezwała się ani słowem. Nawet kiedy wydusił z siebie jakąś niezbyt błyskotliwą uwagę, nie odpowiadała. Nie odzywała się, nie uśmiechała, nawet nie patrzyła w jego stronę.

I kto zwrócił uwagę na jej posępne milczenie? Tylko ona!

Próbowała też - delikatnie, rzecz jasna - podtruć Kamiennego Człowieka. Wszystkie ugotowane przez nią posiłki były gorsze od świńskich pomyj. Wczorajsza kolacja była zdecydowanie najpaskudniejsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek w życiu przyrządziła: twardy jak kamień chleb, zimna fasola

z puszki, rozgotowane morele i niedogotowany przesłodzony ryż. Wszystko było tak wstrętne, że nic nie wzięła do ust.

A Kamienny Człowiek pożarł dwie dokładki, beknął głośno i pogrzyżył się w lekturze.

Ból oderwał ją od wspomnień i zwrócił uwagę na chwilę obecną. Delikatnie ssała pulsujący czubek palca. Jak tak dalej pójdzie, zostanie bez kciuka, zanim skończy szafę. Najwyraźniej nie była w stanie wykonać niczego, co mogłoby stać o własnych siłach.

Do diabła z tym, zdecydowała nagle. Dlaczego miała marnować czas, próbując zmusić głupie przedmioty, żeby utrzymywały równowagę? Dlaczego jej na tym zależało? Przecież niestabilna szafa nie zaburzy wystroju wnętrza namiotu. Dlaczego nie przybić jej po prostu do ściany, żeby mieć to z głowy? Natychmiast przystąpiła do realizacji swego pomysłu i przesunęła chwiejny twór do rogu namiotu. Popchnęła z prawej strony aż do samej, w połowie drewnianej, a w połowie brezentowej, ściany. Wyjęła młotek i przybiła deskę w odpowiednim miejscu. Cofnęła się o krok, otarła pot z czoła i przyjrzała się swojemu dziełu.

Nie najgorzej. Oczywiście w normalnych warunkach można by się zastanawiać, czy cztery zbite razem deski to szafa. Ale na terytorium Jukonu nic nie było normalne.

Potem, kiedy jej ubrania zostały już starannie rozwieszane na ukrytych w szafie hakach, a buty i bielizna schowane do pudełek po jutowych linach, poczuła się lepiej.

Jej życie było uporządkowane. Książki, które ze sobą przywiozła, stały na półkach, kapelusze leżały w pudłach, na łóżku była świeża pościel, a jedzenie poukładała starannie na zewnątrz namiotu, w norze, którą Kamienny Człowiek nazywał spiżarnią. Devon składała, szorowała, trzepała, budowała i pakowała, dopóki palce nie odmówiły jej posłuszeństwa.

Przyszedł czas, żeby zrobić następny krok. Żeby uporządkować resztę życia.

Wiedziała, co powinna zrobić. Egzystencja u boku Kamiennego Człowieka przez ostatni tydzień była najgorszym okresem w jej życiu. Gorszym nawet od życia w cieniu klnącego ojca alkoholika. Jako mała dziewczynka zawsze starała się jakoś sobie wytłumaczyć przekleństwa ojca. Był pijany albo przepracowany, albo taki miał sposób okazywania emocji. Ale nie była już małą dziewczynką i nie należała do ludzi okłamujących samych siebie.

A to nieprawda, że zdoła przeżyć jeszcze jeden dzień z Kamiennym Człowiekiem. Nie zdoła; a przynajmniej nie w ten sposób jak poprzednich siedem dni. Jej nerwy były w strzępach.

Przejechała pół świata, żeby rozpocząć nowe życie, a co robi? Wraca do dzieciństwa z tym tylko wyjątkiem, że pijackie awantury zostały zastąpione milczącym dystansem.

Miała już dosyć. Była w końcu współwłaścicielką sklepu i im szybciej dotrze to do Kamiennego Człowieka, tym lepiej dla nich obojga.

Wyjęła przybrany kwiatami słomkowy kapelusz ze swojej nowej szafy i włożyła go na głowę. Wyprostowała się; jej zielone oczy zabłyśły, obciągnęła spódnicę i ruszyła do drzwi. Podjęła decyzję. Koniec cichych dni.

Spokój należał do przeszłości.

Mała panna Porządnicka wkroczyła do faktorii jak współwłaścicielka, którą - niestety - była. Wszystkie mięśnie Kamiennego Człowieka napięły się. Włosy na jego karku stanęły w gotowości i zadrzały jak różdżka.

Dziewczyna zatrzymała się na pustym środku namiotu, oparła ręce na biodrach i wpatrzyła się w niego nieruchomym wzrokiem. Jej determinacja zawisała w powietrzu jak chmura. Nie można się było pomylić co do zamiarów Devon. Przybyła tu, żeby wypełnić pewną misję.

- Witaj, Kamienny Człowieku.

Zsunął zniszczony stary kapelusz nad krzaczaste brwi, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

- Tak myślałam, że to zbyt piękne, żeby mogło dłużej trwać.
- Co masz na myśli? - spytała wojowniczo. Uśmiechnął się.

Zburzenie jej spokoju nie było wielkim zwycięstwem, ale w tej wojnie należało się cieszyć najmniejszą nawet wygraną.

- Przez ostatni tydzień przeżywałaś katusze. Twoja twarz była aż czerwona i ściągnięta od wysiłku wytrwania w milczeniu, więc nie miałem wątpliwości, że w końcu eksplodujesz -powiedział.

- A więc zauważyłeś! - Zaciśnięte w ponurą linię usta Devon nieco złagodniały.

- Jestem niemy, nie ślepy.
- Nie jesteś niemy i przykro mi, że chwilami dawałam ci do zrozumienia, iż tak uważam. Mogę zrobić kawę?

Podeszła do niego. Udawała słodsza niż miód i to sprawiło, że żołądek Kamiennego Człowieka skurczył się ze zdenerwowania. Ale czy odrobina kawy może zaszkodzić? Wpatrywał się w kobietę przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

- Jasne.

Dlaczegoż by nie? Może robić tyle kawy, ile zechce, może nawet gadać, ile zechce. Już dojrzał do tej nieuniknionej konkluzji. Nie był w stanie zdominować jej na zawsze. Była zbyt pełna życia, animuszu. Ale teraz był gotów stawić jej czoło. Od kilku dni przygotowywał się psychicznie do tej rozmowy, wiedząc, że dziewczyna stanowczo zażąda uznania swoich praw. Zadrzał na myśl o spędzaniu z nią całych dni w faktorii, a całych nocy obok niej w łóżku. Przez całą zimę będzie cierpieł na ból głowy.

- Wiesz, Kamienny Człowieku, mogłabym ci tu pomóc -powiedziała, rozpalając ogień.

Zaczęło się: proponowała pomoc. Przelknął głośno ślinę

i pożałował, że nie umie się modlić. To był dobry moment, by poprosić Wszechmocnego o ratunek.

- Kamienny Człowieku? - Głos Devon wyrwał go z zamyślenia.

Musiał udzielić odpowiedzi. Teraz. Natychmiast przypomniał sobie wymyślony ubiegłej nocy plan: plan A. Dywersja.

- Co byś powiedziała na założenie ogrodu? To coś dla ciebie. Pomyśl, ile brudu mogłabyś uprzątnąć.

- Ale już prawie jesień! Ogrody zakłada się wiosną. A poza tym przyjechałam tu, żeby pracować w sklepie.

Zacisnął powieki, starając się nie zwracać uwagi na ból głowy, który narastał u podstawy czaszki. Jedno zdanie zniweczyło plan, nad którym tak ciężko pracował. Bezwiednie zaczął masować skronie, wsłuchując się w stukot jej wąskich obcasików na twardej drewnianej podłodze. Hałas narastał -kobieta zbliżała się. Pocierał skronie i starał się przypomnieć sobie plan B.

- Chcę ci złożyć propozycję - odezwała się Devon. Natychmiast otworzył oczy.

- Mam już dość twoich propozycji do końca życia!

- Więc może ty mi zaproponujesz coś interesującego. -W jej niskim, gardłowym głosie brzmiało wyzwanie.

Zacisnął zęby. Znów miała na ustach ten uśmiech, mówiący: mogę cię owinąć wokół palca.

- Na przykład co?

- Na przykład: założę się, że można lepiej prowadzić ten interes.

Dzbanek do kawy zaczął bulgotać. Pokrywka postukiwała, objając się o staromodny cynowy dzbanek, a para buchnęła w pełne kurzu powietrze. Devon podeszła szybko, zdjęła dzbanek z ognia i nalała dwie filiżanki kawy.

Kamienny Człowiek z obawą obserwował jej oszczędne, ekonomiczne ruchy.

Była wzorem powściągliwości. Widział to w jej ruchach,

w pełnej determinacji linii podbródka. Ta kobieta pewnie nigdy nie zrobiła nieprzemyślanego kroku, nie wzięła nieprzemyślanego oddechu i pewnie zawsze z góry planowała następny ruch.

- Daj mi dokończyć, Kamienny Człowieku. Jeśli nie zdołam poprawić funkcjonowania naszego sklepu, to aż do wiosny będę się trzymała z dala od niego.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Patrzył na nią podejrzliwie.

- A co będzie na wiosnę?
- Wyjadę, kiedy rzeka odmarznie. Nieważne jak. Zmarszczył czoło. Czuł, że kobieta znów próbuje go przechytryć. Do diabła! Dlaczego nie potrafił myśleć szybciej?

- A kto osądzi, czy interes funkcjonuje lepiej pod twoim kierownictwem?

- Ty! - Spojrzała mu prosto w oczy.
- Daj spokój, przecież nie jesteś głupia.
- Wypróbuj mnie.

Rozum dyktował mu, żeby roześmiać się jej w twarz. Z pewnością znów myślała szybciej od niego. Ale jego instynkt krzyczał głośno i wyraźnie: ona nie może wygrać! Liczyła, że wspólnik zachowa się honorowo. Nie mógł przegrać. Jak zwykle usłuchał wewnętrznego głosu.

- Dobrze, masz cztery dni na zrobienie czegoś, co rozreklamuje sklep. Jeśli niczego nie wymyślisz, jesteś wylana. W porządku?

Błysnęła oślepiająco białymi zębami w uśmiechu, a Kamienny Człowiek poczuł nagłe ukłucie niepokoju.

- W porządku. Potrzebne mi będzie parę rzeczy: stoiki i tym podobne...

Kamienny Człowiek poczuł, że kamień spada mu z serca. Uśmiech wypłynął na jego wargi. Miała zamiar gotować! Pomyślał o ohydnych niedogotowanym ryżu, jaki mu wczoraj podała. I o chlebie - celnie rzucona kromka mogła zabić

małego psa z odległości pięćdziesięciu kroków. Ugotowała tylko jeden smaczny posiłek, pierwszego dnia. Trafiło się ślepej kurze ziarno. To musiał być czysty przypadek, bo przecież nikt nie będzie świadomie paskudził jedzenia dla siebie.

Dobrze zrobił, że zdał się na instynkt. Jak zawsze. Mężczyźni z terytorium Jukonu nie zapłacą za takie gotowanie. On wmuszał w siebie jej ponure kolacje dla świętego spokoju. Dla niego cisza była o wiele ważniejsza od smaku potraw.

Ale nie dla innych mężczyzn! Mogli być zdesperowani, lecz nie byli w aż takiej rozpacz, żeby jeść ugotowane przez Devon posiłki. Nawet Midas umiał zrobić jadalne grzanki!

Wypluł wielki kawał tytoniu do zucia i uśmiechnął się szeroko, kiedy grudka upadła na podłogę u stóp Devon i poplamiała niebieskie buciki na wysokich obcasach. Za cztery dni skończą się jego problemy. Roześmiał się w duchu.

- Pozwól, Devon, że ci pomogę...

Kiedy Kamienny Człowiek wszedł tego wieczoru do namiotu, od razu wiedział, że stało się coś złego. Naprawdę złego. Zatrzymał się tuż przy wejściu i instynktownie zacisnął palce na ryglu, zamykającym drzwi.

Namiot był przechylony. Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Co, u licha...!

- Witaj w domu, Kamienny Człowieku! - zawołała z ożywieniem Devon, pomagając mu zdjąć kurtkę. Przewiesiła ją starannie przez ramię i pospieszyła w stronę haka, zamiatając spódnicą podłogę.

Jego spojrzenie mimowolnie ześliznęło się po jej prostych jak deska plecach i spoczęło na biodrach. Powabne krągłości kołysały się pod marszczoną zieloną spódnicą.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie go zaniepokoiło.

- Dlaczego namiot się przechylił? - zapytał, oblizując wyschnięte nagle wargi.

- Przechylił? Namiot? - Zatrzymała się.

Kamienny Człowiek zauważył, że dziewczyna zeszywniała nagle i się skrzywił.

- Tak, Devon, namiot się pochylił. Dlaczego?

- Cóż, może to przez moją szafę - wykrztusiła. Odwróciła się powoli i rumieniec wypłynął na jej wysokie kości policzkowe.

- Szafa? Jaka znowu szafa? I jak niby szafa mogłaby przechylić namiot?

Przesunęła się w lewo. Dokładnie za nią, tam gdzie zwykle był róg namiotu, rozpieął się ogromny krzywy twór. Wyglądał jak na wpół rozwalona skrzynka po zupach w puszcze, którą ktoś rozerwał na dole.

Oczy mężczyzny zwięziły się, przesuwając się po walącej się konstrukcji. Była przybita gwoździami do ściany. Przybita! Potrząsnął głową i przeczesywał palcami skłębione nad czołem czarne włosy. Jak ktoś tak błyskotliwy w niektórych sprawach może być tak bezdennie głupi w innych?

- Myślę, że kotara zasłaniająca szafę mogłaby poprawić jej wygląd. Może perkalowa? - dobiegł go nerwowy głos Devon.

- Perkalowa? A kto ci powiedział, że możesz powiesić takie cholerne babskie świństwo w moim namiocie? - Zacisnął zęby, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Rzuciła się do przodu i zatarasowała je własnym ciałem.

- O, nie, nie pozwolę ci wyjść. Przygotowałam kolację, a ty teraz usiądziesz i zjesz ją jak dżentelmen. No, przynajmniej postaraj się jeść jak dżentelmen - dodała, obejrawszy go od stóp do głów.

Zareagował na jej szyderstwo gniewnym grymasem. Do diabła z jej przekonaniem, że jest lepsza od niego! Oparł potężne ręce o futrynę po obu stronach dziewczyny i pochylił głowę tak, że znajdowała się o kilka cali od jej twarzy.

Wyprostowała się i odpowiedziała na jego zimne spojrzenie tym samym. W ciszy namiotu słychać było tylko ich szybkie oddechy. Chwila się przeciągała. Żadne z nich nie poruszyło się, żadne się nie cofnęło.

- To śmieszne. Zostajesz na kolacji czy nie? - przerwała ciszę Devon.

- Dobrze. - Wypluł to słowo. Rzeczywiście poczuł, że się ośmieszył.

W jaki sposób doprowadziła go do tego? I to z łatwością!

Wywinęła się z jego ramion i pospieszyła do piecyka, przy którym natychmiast przystąpiła do swojego wieczornego rytuału, tańca wokół pieca albo, jak to nazywał, miotania się wróbla zamkniętego w szklanym naczyniu. Zanurzała i wyciągała, otwierała i zamykała, dźgała i dziurawiła, próbowała i smakowała.

I to wszystko dla jedzenia, które przypominało pomyje!

Kamienny Człowiek pocił się, obserwując jej pracę. Podszedł do stołu, opadł na najbliższe krzesło i oparł łokcie na blacie. Podniósł oczy, kiedy poczuł delikatny, słodki zapach. Devon postawiła na stole pociętą puszkę po zupie, pełną różowych kwiatków polnych.

Jęknął.

Następną rzeczą, jaką dostrzegł, był lecący w jego stronę niebieski talerz w kropki. Turkotał na nierównej powierzchni stołu. Mężczyzna wyciągnął rękę, żeby go złapać, a wtedy na wpół ugotowany kawałek bekonu przeskoczył nad jego łokciem, wylądował na kolanach i zostawił na nich tłustą plamę. Położył boczek na talerzu i podniósł oczy. Naprzeciw niego przy stole siedziała, uśmiechając się, wcielona niewinność.

- Smacznego, Kamienny Człowieku.

To były ostatnie słowa wypowiedziane w namiocie od przeszło dwóch godzin. Zanim Devon skończyła zmywanie, miała już stargane nerwy, podarte na strzępy przez tę przeklętą ciszę. Wykręciła ścierkę do wycierania naczyń i rozwiesiła ją

na sznurku. Starła z twarzy kilka kropel wody i spojrzała na Kamiennego Człowieka. Siedział wygodnie rozparty na krześle, a długie nogi skrzyżował w kostkach. Stojąca obok niego mała lampka migotała wesoło, malując brunatny namiot w czerwone i złote refleksy. W dużych brudnych rękach mężczyzny spoczywała książka w skórzanej oprawie.

Spojrzenie Devon przeniosło się na jego twarz. Ostre, jak wyrzeźbione linie kości policzkowych zostały złagodzone przez blade wieczorne słońce, a oczy, zazwyczaj twarde i zimne, błyszczały ożywieniem. Patrzył na stronicę książki, całkowicie nią pochłonięty.

Serce Devon ścisnęło się. Kamienny Człowiek wyglądał jak samotny mały chłopiec, zatopiony bez reszty w przygodowej baśni ze swojej pierwszej książki...

Setki myśli przemknęły przez jej mózg, ale najważniejsze było: może. Może pomyliła się w ocenie tego człowieka. Może on nie był neandertalczykiem, brudnym, ulepionym z gorszej gliny osiłkiem, jakim się wydawał na pierwszy rzut oka. Może pod tymi brudnymi, sztywnymi jak druty czarnymi włosami i wysmolonymi ubraniami krył się człowiek o ludzkim sercu.

Tak bardzo chciała doszukać się w nim jakiejś wartości; czegoś, co pozwoliłoby im osiągnąć kompromis. Co pozwoliłoby przetrwać zimę.

Powinna jeszcze raz postarać się dojść z nim do porozumienia. Właściwie próbowała tego od chwili, kiedy się tu znalazła. Nie miała innego wyjścia. Od tego zależało jej zdrowie psychiczne. Nie przetrwa zimy zamknięta w ciasnym namiocie z milczącym troglodytą.

- Co dzisiaj czytasz? - Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał lekko.

Nawet nie podniósł wzroku.

Przysunęła się i zerknęła mu przez ramię.

- *The Red Badge of Courage*. Raczej... smutne, nie sądzisz?

- Nie.

Start. Dotknęła jego włosów. Czarny lok owinął się wokół jej białego palca.

- Wiesz, Kamienny Człowieku, strzyżenie...

Beknął głośno, a Devon skrzywiła się, jakby ją coś zabolalo.

- Bardzo to miło z twojej strony. A wracając do tego, co mówiłam...

- Myślę, że przerywając mi, niewiele osiągniesz.

- Masz rację. A więc, jak mówiłam, strzyżenie i golenie ani trochę by nie bolało. A mogłoby nawet się okazać, że jesteś mniej... to znaczy, miałam na myśli... bardziej atrakcyjny.

- Jest coś, co mniej sobie cenię od gówna. Atrakcyjny wygląd. - Głośno zamknął książkę. Znowu beknął, wypluł tytoń na podłogę, wstał i zaczął się rozbierać.

Szarobrazowa plwocina opryskała koronkową plisę u dołu spódnicy Devon. Oczy dziewczyny rozszerzyły się z niedowierzania, kiedy patrzyła na wstrętne plamy szpecące tkaninę, którą z takim trudem uprasowała. Skoczyła do Kamiennego Człowieka i całym ciężarem ciała uwiesiła się na jego rękawie, żeby odwrócić współnika twarzą do siebie.

- Nigdy więcej! Próbowałam być miła, ale teraz ustanawiam pewne reguły. Jeszcze raz spluniesz na podłogę, a pożałujesz! - wyszczała bardzo kategorycznie.

- Tak? Co mi zrobisz? - zapytał z wymuszonym uśmiechem.

- Po każdym posiłku będę śpiewać.

- Nie zrobisz tego! - Uśmiech zamarł mu na ustach.

- Właściwie uważam, że mam całkiem ładny głos.

- Dobrze.

- Aha, jeszcze jedno. Nie będziesz wskakiwał między moje czyściutkie prześcieradła w tych odrażających brudnych, długich gaciach.

- Nie są odrażające, do diabła! - W jego oczach błysnęła złość.

- Są odrażające, do diabła! - Oparła ręce na biodrach i patrzyła na niego wyzywająco.

Przez minutę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Kamienny Człowiek ustąpił.

- Dobrze, wygrałaś - wymamrotał. Ściągnął z łóżka jeden z koców, owinał się nim jak peleryną i położył się na zimnej twardej podłodze.

Devon przyglądała mu się z rozbawieniem.

- Wolisz spać na lodowatej podłodze, niż włożyć czyste gacie?
- Ta podłoga jest cieplejsza niż ty, kobieto. A teraz zamknij się i daj mi spać.

Światło raziło ją w oczy. Devon przewróciła się na brzuch i naciągnęła koc na głowę, zakopując się głębiej w szarym wełnianym kokonie. Nie miała ochoty wstawać; ostatnio zdecydowanie wolała wypełnione snami noce niż okropne dnie.

Nagle poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy. Pociągnęła nosem; stęchła wełna pachniała mocniej od naparu, ale jej nos trudno było oszukać. Aromat nie był złudzeniem; unosił się w powietrzu tuż obok niej. Ślinka napłynęła do ust dziewczyny.

Pod przykryciem obciągnęła białą bawełnianą koszulę aż do kostek i usiadła.

Kamienny Człowiek jak zwykle siedział przy stole; skrzyżowane w kostkach długie nogi wyciągnął przed siebie, a dużymi dłońmi obejmował niebieski blaszany kubek. I jak zwykle starannie unikał patrzenia w jej stronę. Devon pociągnęła stójkę sztywnej nocnej koszuli i odchrząknęła.

- Dzień dobry, Kamienny Człowieku.

Zerknął na nią znad filiżanki podpuchniętymi zaczerwienionymi oczami.

- Dobry - mruknął.

Poczuła złośliwe zadowolenie, widząc go w tak jawnie nie najlepszej formie. Ostatnia noc musiała być dla niego straszna.

Kurz w oczach i w nosie, twarda jak kamień, zimna podłoga i małe pelzające stworzonka, które oblażyły jego ciało. Triumfalny uśmiech zagościł na wargach dziewczyny. Być może dzisiejszej nocy czysta piżama nie będzie już budziła w nim takiego wstrętu.

- Śniadanie gotowe - powiedział niespodziewanie. Odstawił kubek i wstał.

Devon zauważyła, że po raz pierwszy nakrył do stołu, oczywiście na swój sposób. Na stole leżały dwa talerze, dwa widelce i dwa metalowe kubki. Bez obrusa i bez serwetek. Ale jednak się postarał. Uśmiechnęła się.

Kamienny Człowiek zajął się wielką, stojącą na piecyku patelnią.

Dzięki Bogu. Kilka chwil prywatności. Odrzuciła koc, wyskoczyła z łóżka i szybko dopadła szafy. Zdjęła z haka czerwony, flanelowy szlafrok, wsunęła ręce w bufiaste rękawy i szybko zapięła dwadzieścia jeden perłowych guziczków, biegnących od szyi po kostki.

Sięgnęła do swoich idealnie uporządkowanych pudełek, wyjęła wełniane kaptcie i wsunęła je na nogi. Ubrana od stóp do głów, westchnęła z ulgą. Była przyzwoitą kobietą.

- Jak to cudownie, że okazałeś się taki troskliwy i zrobiłeś śniadanie.
- Podeszła do stołu, usiadła i nalała sobie kubek aromatycznej parującej kawy.

- Zacząłem chudnąć.

- Tak? Przykro mi to słyszeć. - Wypiła łyk kawy, żeby ukryć uśmiech.

- Czy mogłabyś podać mi puszkę po kawie? - poprosił, wskazując dużą czerwoną puszkę wiszącą na belce, umocowanej w połowie rury piecyka.

Devon odwiązała sznurek i puszka spadła jej w dłoń. Poczowała dziwny, podobny do alkoholu zapach. Zatkaną usta, podając mu naczynie.

- Co to?

- Zakwas. - Włożył pełną łyżkę śmierdzącej substancji do ciasta. Patrzyła ze wstrętem, jak przekłada swoją odurzającą substancję do płaskiego, żelaznego rondla, starannie formując cztery idealne kulki. Po chwili placki nabrały głębokiej złoto-brązowej barwy.

Zsunął kilka placków i kawałek chrupiącego bekonu na talerz i podał dziewczynie.

- Smacznego - powiedział i rzucił się na swój pełen jedzenia talerz.

Dźgnęła placek widelcem, jakby się spodziewała, że ten zacznie uciekać. Ani drgnął. Pochyliła się nad talerzem i ostrożnie powąchała. Nie śmierdziało.

- To placki, nie perfumy. Po prostu je zjedz.

Uniosła głowę. Ich oczy się spotkały. Policzki Devon zarumieniły się ze wstydu. Kamienny Człowiek był tak miły, że zrobił śniadanie, a ona tylko krytykowała.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Ja po prostu...

- Kobieto, zimną na terytorium Jukonu je się trzy rzeczy: fasolę, bekon i placki na zacierze. Więc naucz się je lubić.

Krzywiąc się trochę, odkroiła małe kawałki i wsunęła go do ust. Najpierw gryzła z pewnym ociąganiem, potem szybciej, z uśmiechem na twarzy.

- Są przepyszne!

- To dobrze - rzekł niewyraźnie, z pełnymi ustami. Devon nie mogła oderwać od niego oczu. Siedział zgarbiony, otaczając długim ramieniem talerz, jakby się spodziewał, że w każdej chwili ktoś może mu go wyrwać. Zmieszał razem jedzenie, w rezultacie miał na talerzu czerwono-brązową breję. Aż się wzdrygnęła na ten widok. Widelec Kamiennego Człowieka zawisł w powietrzu i dziewczyna poczuła na sobie wzrok współnika.

- Masz jakiś problem?

- Nie. - Wbiła spojrzenie we własny, bardzo porządnie wyglądający talerz.

- To dobrze. - Pochłonął ostatni kęs, rzucił widelec na stół, a ten odbił się od blatu i spadł na jego stopę.

Devon odłożyła cicho swój sztućce i spojrzała na towarzysza, strasznie żałując, że nie ma serwetki do otarcia ust. Samo patrzyenie na jedzącego współnika sprawiało, że czuła się... brudna.

- Już idziesz? - spytała.

- No. - Słowo wydobyło się z jego ust razem z beknieniem. Wytarł rękawem tłuste resztki śniadania z ust i brody.

- Za cztery dni będziemy wychodzić razem.

Tylko odchrząknął w odpowiedzi. Złapał lekki płaszcz i kapelusz i ruszył do drzwi. Zatrzymał się z ręką na ryglu. Devon zeszywniała. Wpatrywał się ze skupieniem w drzwi, jakby o czymś myślał. Intensywnie myślał.

- Ja... no... uprałem pizamę - wymamrotał w końcu. Zanim skończył mówić, szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na dwór.

Drzwi zatrasnęły się za nim, aż zadrzała belka podtrzymująca strop. Devon uśmiechnęła się do siebie. Czystość! To niewiele, ale na początek wystarczy.

Później, po uczesaniu włosów, umyciu zębów i sprzątnięciu namiotu, Devon zajrzała do szafy i zastanawiała się, co włożyć. Zdecydowała się na prostą białą bluzkę z kołnierzykiem stójką i granatową spódnicę. Właśnie wkładała ją przez głowę, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Zasłoniła gorset bluzką i nerwowo spojrzała w prawo.

- Kto tam?

- Ojciec Michaels - usłyszała piskliwy męski głos.

- Chwileczkę, ojcze! - zawołała, wkładając bluzkę i wiążąc małą niebieską wstążeczkę na szyi. Podbiegła do drzwi i otworzyła.

Stojący na progu mężczyzna skojarzył jej się w pierwszej chwili z pisklkiem, które wypadło z gniazda. Był mały,

naprawdę malusieńki, a w jego okrągłej twarzy dominował długi nos podobny do dzioba i oczy, które były jakby o wiele za duże. Zdeformowane ciało jeszcze bardziej wzmacniało jej pierwsze wrażenie. Robił wrażenie przechylonego w lewo, a jego głowa z gęstwiną niesfornych jaskraworudych kędziorów spoczywała sztywno na uniesionych ramionach. Wyglądał, jakby jakiś olbrzym uszkodził go przez nieuwagę.

Ale oczy księdza przyciągnęły uwagę dziewczyny - były ożywione, intensywnie niebieskie, tryskające humorem i radością życia. Jego dobry humor natychmiast udzielił się Devon, rozpędzając chmurny nastrój ostatnich kilku dni. Poczula się tak, jakby powiew wiosny oczyścił jej duszę.

- Proszę, niech ojciec wejdzie. Jestem Devon O'Shea.

- A ja jestem ojciec Michaels, ratujący tutejsze zagubione i poszukujące duszyczki. Usłyszałem o tobie, jak tylko wszedłem dziś rano do obozu, naprawdę. Kobieta nie może oczekiwać, że nie zostanie na terytorium Jukonu zauważona.

- Tego już zdążyłam się nauczyć. Proszę wejść. Ma ojciec ochotę na filiżankę kawy? - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Jeszcze jaką! - Twarz przybysza zmarszczyła się w radosnym uśmiechu. Wszedł niezgrabnie, kulejąc, do namiotu. Pospieszyła tuż za nim i odsunęła jeden z ciężkich, wyciosanych z pni stołków.

- Wielkie dzięki, panienko - powiedział, opadając powoli na twarde siedzenie.

- Nie jestem katoliczką, ojciec - wyznała Devon, nalewając kawę.

- A, tak. Gdybym tu szukał tylko katolików, niepotrzebnie odmrażałbym dupę... to jest, chciałem powiedzieć: tyłek. Jestem tu od pięciu lat i chyba jeszcze nie spotkałem katolika. Chociaż krążą pogłoski, że gdzieś koło Rampart mieszka jakaś katolicka rodzina. - Mrugnął do niej i zachichotał.

Nalała dwie filiżanki kawy i postawiła je na stole, a potem usiadła obok księdza.

- A co przygnało ojca do tego zapomnianego przez Boga zakątka?
- Bóg nie zapomina o żadnym zakątku, moje dziecko, powinniśmy o tym pamiętać i nie sugerować takich rzeczy.

- Przepraszam - szepnęła skruszona.

Na jego twarzy pojawił się psotny uśmiech.

- Tak, wiem, że ci przykro. W każdym razie przyjechałem tutaj, żeby znaleźć brata. I go znalazłem. Żył w mieście rozpusty, w Skagway, ze starą Indianką. I był całkowicie zwariowany na punkcie żółtego proszku. Umarł miesiąc po tym, jak go odnalazłem, a ja... cóż, zobaczyłem, że jest tu bardzo dużo do zrobienia. I zostałem.

- Mogę to zrozumieć. Jestem tu dopiero od tygodnia, a już zdążyłam zauważyć kilka dusz, które potrzebują pomocy - powiedziała z krzywym uśmiechem.

- A co z twoją własną duszą, moje dziecko? Z tego, co słyszałem, przeżywasz teraz trudne chwile.

Uśmiechnięte wargi dziewczyny zadrżały. Już od tak dawna nikt nie zainteresował się jej samopoczuciem i uczuciami. Już od tak dawna nie mogła sobie pozwolić na słabość. Niespodziewanie jej oczy wypełniły się łzami. Szybko odwróciła głowę.

- Co ci jest, moje dziecko? - Ksiądz kościstą ręką pogładził jej dłoń.

Próbowała opanować dławienie w gardle. Prysło jej opanowanie; czuła, że jakaś część jej duszy topnieje. Na rękę ojca Michaela spadała łza.

- Nie wiem. Ja nigdy nie płaczę - wyszeptała.

- W takim razie zgaduję, że masz powód. Wszyscy czasem musimy się wypłakać. Nawet najsilniejsi z nas.

Podniosła głowę, szukając wzrokiem maleńkiej pomarszczonej twarzy ojca Michaela. Współczucie w jego oczach było jak stalowa obręcz, zaciskająca się wokół jej serca. Łzy dławiły ją w gardle. Nagle poczuła, że ciężar, który dźwigała od dawna na

ramionach, miażdży ją i dusi. Rozpaczliwie potrzebowała rozmowy.

- To był... trudny tydzień, ojcze. Kamienny Człowiek i ja nie potrafimy znaleźć wspólnego języka.

- Tak, spodziewałem się, że tak będzie. Kamienny Człowiek jest twardy. Twardy i samotny. - Ksiądz uściśnął dłoń dziewczyny i ją puścił.

- Samotny?!

- Tak. Zresztą nic w tym dziwnego, zważywszy na to, że nigdy nie miał prawdziwych rodziców ani prawdziwego domu. nigdy nie zaznał spokoju.

- Co masz na myśli? - Głośno pociągnęła nosem i wytarła łzy rękawem.

Ojciec położył rękę na blacie stołu i podniósł się niezgrabnie. Obszukał swoją za dużą kurtkę, wyjął kilka wygniecionych, wielokrotnie oglądanych fotografii i wręczył dziewczynie. Ostrożnie wzięła do ręki stare zdjęcia.

Pierwsza przedstawiała zbitą z bali chatę, stojącą na zarośniętym polu. Oczy Devon szybko prześliznęły się po przygnębiającej fotografii i przeniosły na następne.

Ale niemal wbrew własnej woli znowu spojrzała na chatę. Było w niej coś niepokojącego. Uważnie jej się przyjrzała. Chata była stara, zniszczona, a trawa i rosnące w niej kwiaty sięgały prawie do parapetów okien. Devon odniosła dziwne wrażenie, że może zobaczyć szum wiatru w kwiatach.

Dom był opuszczony. Ktoś go zbudował, z miłością, własnymi rękami, a potem z jakiegoś powodu odszedł. Dlaczego? Umarł? Miał rodzinę?

Zdjęcie nie dawało odpowiedzi.

Zaniepokojona, skoncentrowała uwagę na drugiej fotografii. Był to portret eleganckiej starej kobiety, siedzącej ze sztywno wyprostowanymi plecami w fotelu. Wyglądała jak królowa.

Ale znowu coś było nie tak. Devon zmrużyła oczy w skupieniu. Co tu nie grało?

I nagle zrozumiała. Stara kobieta była sama; zawsze była sama. Bez ślubnej obrączki na chudych jak szkielet i pokrytych siatką ciemnych żył rękach, bez fotografii dzieci na obwieszanej mnóstwem obrazków ścianie za jej plecami. Nawet bez wiernego psa u boku. Czy zawsze była sama? Czy taki był jej wybór?

Stara, dobra, niezamężna ciotka Devon. Ta myśl przemknęła przez jej mózg z szybkością błyskawicy i zabolą tak, że dziewczyna o mało nie krzyknęła. Zdjęcie wypadło z jej trzęsących się rąk i sfrunęło na stół. Ta kobieta, ten wyraz oczu... to ja. To moja przyszłość.

- Jak się czujesz, moje dziecko? Nagle tak strasznie zbladłaś.

Ledwo słyszała słowa księdza. Palce Devon, bez udziału jej woli, znów sięgnęły po zdjęcie, delikatnie gładziły twarz wychudzonej kobiety. Czują ból tej starej damy. Zacisnęła szczęki, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Właściwie akceptowała swoją samotność, odmawiała przyjęcia do wiadomości istnienia jakiejś pustki w duszy. Zawsze będzie sama i samotna, wiedziała o tym. To był jej wybór sprzed wielu lat, dokonany w dniu śmierci matki.

A jednak czasem, jak w tej chwili, potrzeba posiadania własnego dziecka była tak dojmująca, że rozciąła pancerz samokontroli niczym sztylet.

Fotografia obudziła w niej te uczucia, sprawiła, że tęskniła za tym wszystkim, czego nigdy nie miała. Za ciepłym pocałunkiem męża, za bezzębnym uśmiechem dziecka, za ręką, która przeprowadzi przez chłodne lata schyłku życia.

Przełknęła łzy. Była sama i samotna, jak ta kobieta na zdjęciu.

- Moje dziecko?

Pytanie księdza przebiło się przez mgłę jej myśli. Wróciła do rzeczywistości. Wzięła fotografię i położyła ją odwróconą na stole.

- Wszystko w porządku, ojcze. Naprawdę. Ale dlaczego

pokazał mi ksiądz te zdjęcia? - Odpowiedziała szybko; może zbyt szybko, bo nie udało jej się ukryć drżenia głosu.

- Zrobił je Kamienny Człowiek.

- Mój Boże, nigdy bym nie pomyślała, że jest zdolny do takiej... głębi!

- Jest w tym człowieku o wiele więcej, niż można dostrzec na pierwszy rzut oka. Zawsze jest zły, właściwie wściekły jak diabeł. Ale, moim zdaniem, to dlatego, że głębiej odczuwa niż większość ludzi. I dlatego, że się boi.

- Boi się? Kamienny Człowiek? - Spojrzała na księdza z dezaprobatą.

- Boi się, że mógłby kogoś potrzebować. Ten lęk sprawił, że żyje samotnie. A wiesz, co jest ważne? To, że bez obaw powierzyłbym mu własne życie. - Ojciec Michaels powiedział to uroczyście, patrząc znacząco na Devon.

A ona wpatrywała się w fotografię chaty, usilnie próbując choć na mgnienie oka dostrzec człowieka, który stał po drugiej stronie obiektywu. To był najbardziej przejmujący wizerunek, jaki kiedykolwiek widziała. I całkowicie niepasujący do człowieka, z którym od tygodnia mieszkała. To było bez sensu! Jakim cudem dusza artysty i poety mogła znaleźć miejsce w ciele odpychającego wulgarnego neandertalczyka?

- Ale dlaczego? Dlaczego jest tak wściekły na wszystkich?

- Bóg jeden wie. Ja nie wiem. Mówi się... po prostu się mówi... nie wiem, ile w tym prawdy, o kobiecie w jego przeszłości. Złej kobiecie. Są też jakieś spekulacje o jakimś mrocznym wydarzeniu. Nie wiem, o co chodzi. Ksiądz znów usiadł i napił się kawy.

- Kamienny Człowiek nie chciałby, żebym o tym wiedziała.

- On nie rozmawia z nikim oprócz Niedźwiedzia, a nie sądzę, żeby ci dwaj mówili o uczuciach. Wszyscy przyjeżdżają na terytorium Jukonu, żeby uciec od rozmów, a Kamienny Człowiek bardziej niż ktokolwiek inny. - Ksiądz potrząsnął głową.

- Tak, on wysoko sobie ceni milczenie - powiedziała miękko.

Głowa duchownego wykonała mały, ptasi ruch, jakby daremnie próbowała się naprostować. Kiedy przemówił, jego piskliwy głos był dziwnie miękki.

- Nie ceniałabyś milczenia, gdybyś się bała odsłonić przed ludźmi?

- Może?... Chyba tak - odpowiedziała po chwili zastanowienia.

Ojciec Michaels głośno odstawił kubek i wstał z wysiłkiem. Poprawił kołnierz kurtki.

- No, moje dziecko, muszę już się zbierać. Jest tu kilka dusz, które trzeba zbawić.

- Dziękuję, ojczu. Dojdę do porozumienia z Kamiennym Człowiekiem. Na pewno. - Impulsywnie chwyciła księdza za rękę.

Uścisnął jej dłoń i radosny uśmiech rozświetlił jego pomarszczoną twarz.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Masz duszę, moje dziecko. Tylko niezwykła kobieta może przyjechać do Jukonu. A tylko jedna w swoim rodzaju może tu pozostać. Bóg z tobą.

Dopiero godzinę po odejściu księdza Devon była gotowa udać się na poszukiwania. Zamknęła za sobą namiot i głęboko wciągnęła do płuc świeże powietrze późnego lata. Poczła słodki delikatny zapach, płynący od strony rzeki Jukon. Dziwne, ale zapachniało jej wiosną, choć na drzewach pojawiły się już pierwsze jesienne barwy.

Poprawiła pilśniowy kapelusz koloru khaki i opuściła na oczy śliczną białą woalkę. Przepiękny krajobraz był cichy. Mocniej zacisnęła palce w eleganckich rękawiczkach wokół drucianego uchwyty ozdobnej blaszanej puszki. Drugą ręką uniosła spódnicę i ruszyła w stronę gór. Porośnięta mchem

ziemia ugięła się pod jej stopami jak materac na sprężynach. Ślady jej stóp znikaty niemal natychmiast.

W połowie drogi do celu zatrzymała się, postawiła cebrzyk i pozwoliła oczom błędzić po wzgórzach, które mieniły się wspaniałymi odcieniami szkarłatu, złota i zieleni. Rozsiane tu i ówdzie kępy różowych kwiatów wyglądały jak pociągnięcia pędzla artysty. A ten zapach! Oddychała głęboko, rozkoszując się mieszkanką kwiatowych woni.

Nawet ziemia miała bardziej wiosenne niż letnie kolory. Maleńkie akcenty barw ożywiały zielonkawozłote bagienne porosty. Różowe, czerwone, niebieskie, żółte - wszystkie kolory tęczy tańczyły poruszane lekką, aromatyczną bryzą.

Jak mogła kiedyś myśleć, że to paskudny kraj? Albo opustoszały?

Kiedy dotarła do pastwisk u podnóża góry, serce zabiło jej mocniej. Znalazła to, czego szukała. Po siedmiu dniach na terytorium Jukonu i prawie dwóch miesiącach podróży miała przed sobą widok, od którego nogi się pod nią ugięły. Oblizła się. Świeże czarne jagody!

Uśmiechnęła się. Kamienny Człowiek był bez szans.

Pac!

- A niech to licha! - Devon zamordowała kolejnego krwiopijcę. Będzie miała na policzku ślad po ukłuciu, no i po uderzeniu. Jukońskie komary były większe od pluskiew. Nie słyszała niczego poza ich brzęczeniem.

Zacisnęła zęby. Dlaczego, na litość boską, wybrała najładniejszy kapelusz zamiast największego? Ta cholerna gaza raczej je zachęcała, niż odstraszała. Dziewczyna była pewna, że kilku z tych latających wojowników podnieca sama walka z woalką.

Pac! Znów się uderzyła. Mocno.

Dłużej już tego nie zniesie. Czuliła, że na skutek własnej

lekkomyślności popadnie w niedokrwistość. Komary wysysały przynajmniej kwartę jej krwi na minutę.

Spojrzała na kubek. Był prawie pełen, podobnie jak fartuch.

Wystarczy. Kamienny Człowiek nie określił, o ile mają wzrosnąć obroty sklepu ani na jak długo. W całej dolinie nie ma więcej niż dwudziestu pięciu ludzi. Ile mogą zjeść dżemu?

A poza tym, pomyślała ponuro, nie warto oddawać życia za pracę w sklepie.

Zdjęła poplamione jagodami białe rękawiczki, starannie związała razem cztery rogi fartucha i przelożyła ramię przez otwór. Potem podniosła wiaderko i skierowała się w stronę domu.

W powrotnej drodze przyłapała się na rozmyślaniach o fotografiach, które pokazał jej ojciec Michaels, i o człowieku, który je zrobił. Takie poruszające, wstrząsające zdjęcia...

Zwolniła kroku. Wiatr zmienił kierunek, rozwiewał jej włosy z cichutkim szumem, a myśli dziewczyny popłynęły razem z nim.

Nagle przypomniał jej się pocałunek. Ten z pierwszej spędzonej razem nocy. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie pragnie zepchnąć go do zakamarków niepamięci, że ma ochotę myśleć o nim całymi dniami.

Nie z powodu samego pocałunku, naprawdę nie dlatego. Ale w chwili, kiedy usta Kamiennego Człowieka dotknęły jej warg, gdy jego język wsunął się do jej ust, poczuła coś dziwnego i nieznanego. Mrowienie, które ogarnęło całe ciało. Po raz pierwszy w życiu poczuła się... kobietą. Kiedy jego silne ramiona ją objęły...

Może powinna znów uderzyć się w twarz? Dobry Boże, przecież rozmyślała o tym, że pożądał jej mężczyzna! Przecież to była zwykła napaść, nic więcej. Po prostu użył ust zamiast rąk. Wcale nie pragnął jej ciała; chciał się jej pozbyć.

To pewnie przez te komary, pomyślała. Wysały krew z jej mózgu. Nieważne, co mówił ojciec Michaels, i nieważne, jak

świetnym fotografem był jej współnik, to nie był on typem mężczyzny, z którym kobieta może się zaprzyjaźnić. W każdym razie nie taka kobieta jak ona. Jego przyjaciółki, jeśli w ogóle jakieś miał (w co szczerze wątpiła), musiały nosić takie przezwiska jak Cycata czy Ognista... Jednakże...

Zapomnij o fotografiach! Na tym polegał jej problem. Te zdjęcia miały w sobie coś, czego racjonalny umysł Devon nie mógł zignorować: były zagadkowe. I jej współnik - wielki, milczący, zgorzkniały Kamienny Człowiek - był zagadkowy. A Devon Margaret O'Shea nigdy, ani razu w życiu nie zdołała się zmusić do zostawienia nierozwiązanej zagadki. To by było jak zostawienie bałaganu w domu, kiedy nic nie leży na swoim miejscu.

Zrezygnowała z prób usunięcia z mózgu niepokojących ją w sposób wręcz obsesyjny pytań. Nie było na tym najlepszym ze światów żadnej metody, która pozwoliłaby jej usnąć snem sprawiedliwego, nie rozwiązawszy wprawdzie zagadki.

Ale jak? Przyspieszyła kroku. Był tylko jeden sposób. Musiała się przedrzeć przez zaporę gburowatości, jaką otoczył się Kamienny Człowiek. Musiała w jakiś sposób dotrzeć do człowieka, który się krył za maską z lodu, człowieka, który zrobił te fotografie.

Kamienny Człowiek spojrzął na kieszonkowy zegarek. Siódma. Poczł zdenerwowanie. Jeszcze godzina, pomyślał ponuro. Jeszcze godzina cudownej ciszy, a potem będzie musiał zamknąć sklep i wrócić do domu.

- Dom. - Wymówił to słowo z pełnym niesmaku westchnieniem.

Już nie miał domu. Miał namiot jak z podręczników dla dam - wszędzie kwiaty, obrusy, czyste prześcieradła. Brakowało firaneczek i to tylko dlatego, że nie miał okien. Skrzywił się. Tak, nie pozwoli małej pannie Doskonałskiej wyciąć dziury w brezentowej ścianie. Nieomal słyszał jej głos: *Nad stołem absolutnie musi być okno. Poranne słońce jest takie śliczne...*

Dzięki Bogu, za dwa dni będzie po wszystkim. Już nie mógł się doczekać. Już za dwa dni przyjdzie do sklepu objuczona swoimi niejadalnymi frykasami. A on będzie mógł wyrzucić ją na zbity pysk!

Uśmiechnął się. W ostatnich dniach całymi godzinami wyobrażał sobie to spotkanie i wyraz twarzy Devon, gdy usłyszy od niego słowo: przegrałaś. Najwspanialsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszał.

Mała panna Doskonalska pewnie zaleje się łzami albo zemdleje.
Boże, nie mógł już się doczekać!

Ciężkie kłęby pary owiewały twarz Devon i osiadały na gęstych włosach, okalających twarz dziewczyny. Kilka rudawych loczków uwolniło się z uwięzi i wilo swobodnie po spoconym czole.

Owinęła ręcznikiem rączkę ciężkiej żelaznej patelni, zdjęła ją z ognia i postawiła na stole. Wierzchem dłoni starła z czoła kroplę konfitury i pozwoliła sobie na długie, pełne zmęczenia westchnienie. To już ostatnia partia na dziś. Pochyliła się i zajrzała do patelni.

- Idealna - powiedziała głośno, zlizując startą ze skroni kolejną sporą plamę. Jagodowa konfitura była ciemnogrnatowa. Ostrożnie, żeby się nie oparzyć, wlała smakołyk do czystych słoików, na wierzchu umieściła tłuszcz łosia, żeby odciąć dostęp powietrza, i mocno przykręciła pokrywkę. Policzyła dzisiejsze słoiki. Trzydzieści dwa. Jeśli dodać wczorajsze, zrobiła ich już pięćdziesiąt siedem. A zostały jeszcze dwa dni.

Szybko uprzątnęła ślady gotowania, włożyła słoiki do skrzynki i wsunęła ją pod łóżko, żeby nie rzucała się w oczy. Spojrzała na kieszonkowy zegarek. Siódma czterdzieści pięć.

Kamienny Człowiek będzie w domu za piętnaście minut. Westchnęła ze zmęczenia i rzuciła się na łóżko. Nie była w stanie ugotować kolacji. Nie dzisiaj. Padała ze zmęczenia.

Zapadła się głęboko w materac, który poprzedniego dnia wypchała na nowo. Otoczył ją delikatny zapach ziemi, wydzielany przez świeżo zebrane mchy i porosty. Patrzyła na zszarzały obwisły dach, pozwalając napiętym mięśniom się rozluźnić.

Jej myśli odpłynęły... wprost ku fotografiom Kamiennego Człowieka. Zacisnęła powieki. Dlaczego nie mogła zapomnieć

o tych przeklętych zdjęciach? Ostatnio, ilekroć robiła sobie chwilę przerwy, czuła, że tajemnicze fotografie są znów na granicy jej świadomości.

Nie mogła znaleźć niczego, co łączyłoby je z człowiekiem, który zrobił te zdjęcia, i to doprowadzało ją do szału.

Nic tu do siebie nie pasowało. Tyle elementów układanki nie trafiło jeszcze na swoje miejsca!

W ciągu ostatnich dwóch dni dużo myślała o wspólniku i doszła tylko do dość oczywistego wniosku. Było w nim coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Gdzieś pod tymi skołtunionymi włosami i brudem kryła się wyjątkowa dusza. Dusza, która była zdolna dostrzec i odczuć opuszczenie chaty i ból starej kobiety.

Te myśli sprawiły, że Devon złagodniała. Może ojciec Michaels ma rację; może Kamienny Człowiek rzeczywiście bał się, że będzie potrzebował drugiego człowieka. Może był samotny i może - to tylko przypuszczenie - potrzebował przyjaciela.

Na tę myśl jej serce zadrzało. Jeśli był samotny, to ona była mu potrzebna, bo tylko przyjaciel może złagodzić ból osamotnienia. Poczła iskierkę nadziei. Przez całe życie troszczyła się o innych, rozwiązywała ich problemy. Dobrze się czuła w tej roli. Natomiast bez poczucia, że komuś pomaga, była zagubiona i zdezorientowana.

Rozejrzała się po ciasnym wnętrzu namiotu i przypomniała sobie brud, którym wszystko było oblepione w dniu, kiedy po raz pierwszy tu weszła. Pamiętała robactwo, kurz, błoto i zeschnięte jedzenie.

Przed jej przybyciem życie Kamiennego Człowieka było jak zmora. Znalazła na to sposób, a teraz znajdzie sposób na organizacyjne problemy faktorii. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym. On naprawdę jej potrzebował, nawet jeśli nie jako przyjaciela, to przynajmniej jako wspólniczki; bo tylko ona była w stanie zmienić tę faktorię w pierwszorzędną sklep.

Początkowo nie będzie tym zachwycony, nie miała co do tego wątpliwości. Mężczyźni w ogóle nie lubią zmian. Ale kiedy Devon skończy i Kamienny Człowiek zobaczy, że wszystko w jego życiu chodzi jak dobrze naoliwiony zegarek, dostrzeże różnicę; zrozumie, że jej potrzebuje.

Może uda jej się nawet pomóc mu powrócić do rasy ludzkiej...

O to chodzi! To dlatego Bóg przysłał ją tutaj! Devon była jedyną osobą, która mogła uporządkować życie Kamiennego Człowieka i pomóc mu wrócić do cywilizacji.

Zerwała się: w jej zielonych oczach płonęła determinacja. Niezależnie od tego, czy Kamienny Człowiek jest tego świadom, czy nie, zaprzyjaźni się ze swoją współpracowniczką.

Choćby oboje mieli przepłacić to życiem!

Kamienny Człowiek zatrzymał się przed wejściem do namiotu, zbierając siły, żeby wytrzymać jazgot tej kobiety. Zgarbił się, ukrył głowę w kołnierzu letniej kurtki i otworzył drzwi. Uderzyła w niego fala wilgotnego gorąca. Zatrzasnął za sobą drzwi i głęboko wciągał słodkie, pachnące cynamonem i jagodami powietrze.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i odwrócił się w tamtą stronę. W samą porę, żeby zauważyć współpracowniczkę zeskakującą z łóżka. Nawet z tej odległości wyraźnie widział, że jej oczy lśnią, a blada zwykle twarz promienieje. Jęknął w duchu. Coś knuła! Pewnie chciała okna...

Mocno uderzyła stopami o podłogę i podbiegła do niego. Kilkanaście mocno skręconych loczków, które opadły jej na czoło, podskakiwało w rytm jej kroków.

- Witaj, Kamienny Człowieku. Czy mogę wziąć twoją kurtkę? - Zatrzymała się tuż przy nim w obłoku błękitnego muślinu. Zacisnęła zęby, żeby na nią nie wrzasnąć. Mógł sam zdjąć

kurtkę, ale nie warto było o to walczyć. Już się tego nauczył, choć drogo za tę wiedzę zapłacił. Gdyby odmówił, zaczęłaby biegać w kółko jak kurczak z obciętą głową, a wyglądałaby na głupią i zranioną. Wzruszyła szerokimi ramionami, zdjął kurtkę i podał dziewczynie.

Wzięła ją skwapliwie, wygładziła zagniecenia i odwiesiła starannie na jego hak.

- Co jest na kolację? - Podeszedł ciężko do stołu i usiadł na stołku.
- Napijesz się kawy? - Pospieszyła do swojego ukochanego piecyka.
- Może być. A co jest na kolację? - Zesztywniał. Czyżby nie słyszała pytania?

- Fasola i placki - odpowiedziała, podając mu kubek gorącej kawy. Postawiła patelnię na rozgrzanym do czerwoności piecyku, otworzyła puszkę fasoli i wlała czerwonawą breję do garnka.

- Dobrze! - Nawet ona nie potrafi zepsuć fasoli. Wyjął z półki swój zaczytany egzemplarz *Olivera Twista*, oparł się o ścianę namiotu i zaczął czytać.

- Jeszcze kawy? - spytała po chwili.
- Aha. - Spojrzał na fusy na dnie kubka. Spod oka obserwował, jak Devon owija uchwyt dzbanka ścierką i napelnia jego kubek.
- Dzięki.
- Ależ proszę bardzo - padła wesółą odpowiedzi. Upił mały łyk i wrócił do książki.
- Wiesz, Kamienny Człowieku, rozumiem już doskonale, dlaczego tu zamieszkałeś. St. Louis wydaje mi się teraz nijakie i bezbarwne.

Uniósł głowę, żeby przyjrzeć się dziewczynie. Oczywiście, nie patrzyła na niego. Krzątała się wokół pieca. Mieszała i próbowała, smakowała i nalewała. Jej ciasno związany na

czubku głowy koczek rozluźnił się od gorąca jeszcze bardziej i gęste loki rdzawych włosów wiły się swobodnie wokół twarzy Devon. Biała bluzka opinała jej okrągłości.

Zaparlo mu dech w piersiach. Tak rzadko myślał o współniczce jak o kobiecie, że kiedy uświadamiał sobie jej ewidentną kobiecość, czuł się zdecydowanie niezręcznie. Chrząknął i odwrócił wzrok.

- Hę?

- A więc wracamy do chrząkania? Myślałam, że mamy to już za sobą - rzekła z łagodnym uśmiechem i zaczęła nakładać fasolę na talerze.

Nie mógł nic na to odpowiedzieć, bo nie miał pojęcia. o czym ona papie.

Ostrożnie postawiła na stole dwa talerze, przesuwając jeden w jego stronę po jaskrawoczerwonym obrusie. Potem wręczyła mu szklankę zimnej przegotowanej wody z rzeki i serwetkę. Rzucił jej roztargnione spojrzenie.

- Ustąp mi. Pozwól mi udawać przed samą sobą, że masz zamiar jej użyć. - Cały czas się uśmiechała.

Wziął swą dużą ręką ten ozdobny mały skrawek materiału i zabrał się do jedzenia.

Zerknął na Devon, żeby sprawdzić, czy nadal je zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Wciąż to robiła; nadal jadła każdą potrawę z osobna.

- Nie odpowiedziałeś mi, wiesz?

- Hę? - Najwyraźniej nie zrobił dużych postępów. Popatrzył na nią z widelcem w ustach.

- Powiedziałaś, że to przepiękna kraina.

- A, tak, mówiłaś. - Wrócił do jedzenia.

- Ostatnio wychodziłam na dwór w sprawie interesów i obejrzałam sobie okolice. I nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć je w jesiennych barwach.

- Jest ładnie - wymamrotał z ustami pełnymi fasoli.

Znów zapadło milczenie, ale tym razem pełne napięcia. Niespokojnie poruszył się na stołku. Miał takie wrażenie, jakby ktoś oczekiwał, że będą trajkotać jak hieny nad ścierwem. Potrząsnął głową. Devon tak go skołowała, że już sam nie wiedział, czego się jeszcze spodziewać. Bezmyślnie otarł usta serwetką i wrócił do jedzenia.

Usłyszał, że dziewczyna po drugiej stronie stołu głośno wciąga powietrze. Podniósł wzrok. Wpatrywała się w serwetkę. Powoli spod zarostu na jego policzki wypłynął gorący rumieniec. Poczul się jak wiejski głupek. Zerwał się, zrzucając serwetkę na podłogę.

- Przestań się na mnie gapić, do diabła!

Opuściła wzrok na swój talerz. Wzięła widelec i zaczęła jeść.

- Widziałam dziś przepięknego ptaka. Miał wielobarwne upierzenie: białe i jasnoszare, czarną głowę i jaskrawoczerwony dziób.

- To była arktyczna mewa - powiedział Kamienny Człowiek. Wytarł usta rękawem i podniósł wzrok.

Cisza. Błogosławiona cisza.

Usłyszał cichuteńki brzęk metalu, kiedy Devon odłożyła widelec na talerz. Nie spojrział na nią. Gdyby zauważyła, że słucha, mogłoby to ośmielić ją do dalszego gadania.

- Pomyślałam, że może chciałbyś się czegoś więcej o mnie dowiedzieć.

- Absolutnie nie! - Nawet nie przestał jeść.

- Przyjechałam tu, bo szukałam nowego celu w życiu. Dawniej opiekowałam się siostrą, Colleen, ale kiedy dorosła i wyszła za mąż, przestała mnie potrzebować. Czułam się... zagubiona. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale pomyślałam, że jeśli znajdę coś, w czym będę dobra... Nie wiem, sądziłam chyba, że jeśli zrobię coś dla samej siebie, coś, co lubię, to nie będę już się czuła taka samotna. Możesz to zrozumieć? -zapytała z drżeniem w chropawym głosie.

Kamienny Człowiek odłożył widelec. Czy był w stanie

zrozumieć samotność? Podniósł głowę; ich oczy się spotkały. W głębi zielonych źrenic zobaczył cień smutku, pełnej niepokoju tęsknoty. Ten cień widywał często we własnych oczach, kiedy spoglądał w lustro.

Jakim cudem mógłby nie zrozumieć? Był samotny przez całe życie i przez całe życie szukał.

- Rozumiem. To dlatego ja... - Nie zdobył się na wyznanie. To nie jej sprawa, co on robi i dlaczego.

- Dlatego robisz zdjęcia. To chciałeś powiedzieć?

- Tak, robię zdjęcia. - Popatrzył na nią zaskoczony.

- Fotografia to artystyczny sposób na nieśmiertelność. Sądę... - mówiła łagodnym, niskim, kojącym głosem.

Słowa Devon tkały wokół niego sieć zadowolenia. Odchylił się na stołku, popijał kawę i słuchał. W namiocie zapanowała ciepła, rodzinna atmosfera.

Po chwili jego głowa stała się ciężka i opadła. Oczy się zamknęły. Było coś tak kojącego w brzmieniu jej głosu...

- Kamienny Człowieku?

- He? - Poderwał głowę.

Patrzyła wprost na niego ogromnymi, zielonymi oczami, które jarzyły się w bladej twarzy. Miała ochotę się uśmiechnąć; widział drganie kącików jej ust.

- Jesteś śpiący? - zapytała miękko.

- Nie, absolutnie nie!

- Pamiętasz moje ostatnie pytanie?

Poczuł się nieswojo. Nie przypominał sobie ani słowa z tego, co dziś powiedziała. Poza tym o ptakach.

- Moje pytanie było proste: czy sądzisz, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić?

Zerwał się na równe nogi. A żeby ją szlag trafił! Znów to zrobiła. Znów go przechrzyła. I jak łatwo jej poszło! Trochę gorącej fasoli, łagodny uśmiech, kilka dobrze przemyślanych słów, a on słuchał jej gadaniny.

Powinien się zastrzelić! I to teraz, zanim będzie jeszcze gorzej, zanim kompletnie straci rozum.

- Nie, już ci raz powiedziałem, że ja nie mam przyjaciół wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Ale...

- Żadnych ale.

Natychmiast znalazła się tuż przy nim. Bez słowa położyła miękką, białą dłoń na jego przedramieniu. Nawet przez flanelowy rękaw poczuł ciepło jej skóry. Jej dotyk był delikatny, ale silny. Uprzejmy, lecz stanowczy.

- Zapomnij, że to powiedziałam. Dobrze nam dzisiaj szło. Nie psujmy tego. - Głos Devon był tak cichy, że Kamienny Człowiek ledwo go słyszał. Spojrzał na nią z góry i napotkał oczy. Były wielkie i piekielnie obiecujące. Nagle zaschło mu w gardle, miał kłopoty z przełykaniem.

- Dobrze, zapomnijmy o tym - powiedział chrapliwie.

- Dziękuję. - Westchnęła z ulgą. Puściła jego rękę, odgarnęła loczki z twarzy i wzięła się za sprzątanie ze stołu. Kiedy zaczęła zmywać, Kamienny Człowiek usłyszał jej nucenie, chrapliwe i fałszywe. Nuciała *Jestem tylko ptaszkiem w złotej klatce*. Jej głos w jakiś przedziwny sposób zmniejszył panujące w namiocie napięcie. Kamienny Człowiek jęknął. Jeżeli to mu nie przeszkadzało, to znaczy, że miał poważny problem.

- Musisz nucić? - zapytał ochryple.

- Wolałbyś, żebym głośno śpiewała? - Rzuciła mu figlarny uśmiech.

- A nie mogłabyś nucić sobie w duchu?

- Rozumiem, Kamienny Człowieku, że to był żart. Kto by pomyślał, że masz poczucie humoru? - odparła złośliwie.

- Nie mam poczucia humoru.

- A może tylko wydaje ci się, że nie masz. Możliwe, że w głębi duszy jesteś bardzo dowcipny.

- Mało prawdopodobne.
- A jednak naprawdę uśmiechnąłeś się do mnie i zażartowałeś. Lepiej uważaj, bo może się okazać, że zaczynasz mnie lubić.
- Na to nie ma żadnych szans. - W ostatniej chwili udało mu się zdławić uśmiech.

Kamienny Człowiek śledził wolno przesuwaną się cień na płótnie namiotu i z niedowierzaniem kręcił głową. Devon znów próbowała jeździć na tym cholernym rowerze!

Brzęk, potem głuche uderzenie. Okrągły cień przedniego koła rąbnął mocno w błotnistą, pokrytą koleinami ziemię i znieruchomiał. Rowerzystka poleciała na kierownicę. Kiedy w nią uderzyła, wesoło zadźwięczał mały dzwonek umieszczony obok lewej ręki.

- Och!

Kamienny Człowiek nie mógł powstrzymać uśmiechu. Cekał, pewien, że dziewczyna spróbuje znowu. Jeśli cokolwiek dowiedział się o swej współniczce, to tego, że nigdy się nie poddaje. Nie zawiodła go. Po kilku sekundach cień znów usiadł na siodełku, wyprostował się, postawił stopę na pedale i ponownie przechylił się do przodu.

Głuche uderzenie. Tym razem jednak dziewczynie udało się przejechać przez koleinę. Ostatnie, co Kamienny Człowiek zobaczył, był błysk jaskrawoczerwonej ramy i czarnych kół roweru, kiedy szybko mijała otwarte klapy namiotu.

- Dzięki Bogu - mruknął. Dopóki jeździła na tym idiotycznym

urządzeniu, nie sprzątała ani - Boże uchwaj! - nie uczyła się gotować.

Następnego dnia Kamienny Człowiek nadal się uśmiechał. Lada chwila wypowie magiczne słowo: przegrałaś. Ledwo panował nad rosnącym podnieceniem. Miał to słowo na końcu języka. W każdej chwili, w każdej sekundzie Devon mogła wkroczyć ze swoimi niejadalnymi specjałami.

Uśmiechnął się. Do licha, czuł się świetnie!

Po raz pierwszy, odkąd dziewczyna przekroczyła próg faktorii, był górą. Musiał jedynie wziąć do ust jeden kęs, a całkowicie uczciwie przegra zakład. Mężczyźni na terytorium Jukonu nie byli aż tak zdesperowani, żeby jeść takie świństwa!

Otworzył kopertę zegarka i sprawdził godzinę. Siódma. Devon się spóźniła. Pewnie próbowała swoich pomysłów i ma pietra, pomyślał.

- Cześć, Kamienny Człowieku.

Spojrzał na nią. Nie miała ze sobą ani jednego słoika jedzenia. Uśmiechnął się szeroko. Prawdopodobnie wyrzuciła to paskudztwo.

- Nie zapomniałaś czegoś, Devon?

- Nie. Właściwie to mam nawet coś specjalnego. Chodź. Odchyliła klapy namiotu.

Niedźwiedź spokojnie wkroczył do środka, dotykając w geście powitania swego pamiętającego lepsze czasy kapelusza.

- Dzień dobry, Devon. Dzień dobry, Corneliusie.

- Przyszedłeś, żeby być świadkiem porażki tej damy, Niedźwiedziu?

- Podejrzewam, że zobaczę, jak ktoś odszczekuje swoje słowa. - Niedźwiedź usiał przy stole i dobrodusznie się uśmiechnął.

Devon podbiegła do drzwi, aż jej szaroniebieska spódnica zawirowała wokół kostek. Wyszła na zewnątrz. Po chwili klapy

namiotu rozsunęły się i pojawiło się coś niebieskiego. Wchodziła tyłem! Kamienny Człowiek zeszywniał, a oczy zrobiły mu się okrągłe za zdziwienia, kiedy patrzył na jej apetycznie zaokrągloną pupę. Miał kolejny, niepodważalny dowód jej kobiecości. I kto by pomyślał, że taka koścista, mała istota może mieć taki apetyczny tyłeczek?

W polu widzenia pojawiły się jej plecy i ramiona. Z trudem coś ciągnęła, starając się wstąpić to, cokolwiek to było, do namiotu.

Spojrzenie Kamiennego Człowieka objęło jej wątle zgarbione ramiona, a potem ześliznęło się po pochylonych plecach ku krągłości pośladków. Nie nosiła tych przeklętych rzeczy... -jakże się one nazywają, terniura, czy turniura? Wszystko jedno, ona tego nie nosiła. Spódnica opinała jej drobne ciało tak jak powinna, jak Bóg przykazał.

Znów zaczęła kręcić pupą. Kamienny Człowiek, wbrew własnej woli, zareagował natychmiast.

- Chryste! Co ty robisz? - mruknął bez tchu i ruszył wielkimi krokami w jej stronę. Odchylił klapę namiotu i zobaczył długi wyładowany tobogan.

- A jak ci się zdaje, co robię? - zapytała, prostując się.

Prychnął zde gustowany, złapał za sznurek i wciągnął tobogan do namiotu. Sanki podskakiwały na nierównej drewnianej podłodze, a przy każdym podskoku słychać było brzęk szkła.

- Stój! - krzyknęła, kiedy cały ładunek słoików niebezpiecznie przechylił się w lewo.

Szedł dalej. Szkło brzęczało w rytm jego kroków. Devon rzuciła się za nim i złapała sznurek, próbując mu go wyrwać. Kamienny Człowiek puścił sznurek w chwili, kiedy dziewczyna szarpnęła drugi raz. Poleciała do tyłu i wylądowała na tyłku w obłokach muślinu. Z podłogi podniosły się kłęby kurzu, wciskając się do nosa i gardła dziewczyny. Kichnęła głośno.

W namiocie rozległ się serdeczny śmiech Kamiennego Człowieka.

- Przepraszam, nie zamiotłem dzisiaj. Jakoś umknęło to mojej uwagi.

Wbrew samej sobie Devon poczuła, że zaczyna się leciutko uśmiechać. Śmiech jej współnika zabrzmiał tak wspaniale, tak szczerze. To niemal wystarczyło, żeby zapomniała, że przecież śmieje się z niej. Niemal wystarczyło!

- No, chodź, wstawaj. - Wyciągnął do niej rękę. Ostentacyjnie zignorowała wyciągniętą dłoń, otrzepała kurz

i wstała. Odsunęła kosmyk, który przylepił jej się do ust, potem odgarnęła włosy z czoła i wcisnęła je do ciasno związanego na czubku głowy koczka.

- A teraz możemy zacząć próbę - powiedziała.

- Czy jesteś pewna, że chcesz mieć świadka? zapytał miękko. Było mu jej niemal żal. Tak bardzo się starała.

Devon spojrzała na Niedźwiedzia.

- Chodzi ci o niego? On nie jest świadkiem, jest degustatorem.

- To ja jestem sędzią! - Kamienny Człowiek przestał się uśmiechać.

- Pomyślałam, że przydałaby ci się opinia... klientów. Kiedy podzieliłam się tą myślą z Niedźwiedziem, był uszczęśliwiony, że może ci pomóc. Właściwie to napomknął coś o uczciwej walce.

- Tak? Chyba jesteś już za stary, żeby przywdziewać zbroję. Niedźwiedziu? - Rzucił przyjacielowi kose spojrzenie.

- Ja tylko próbuję pomóc parze znajomych. - Niedźwiedź uśmiechnął się szerzej.

Kamienny Człowiek skrzywił się. Chryste, gdyby nie wiedział, że ta dziewczyna nie ma pojęcia o gotowaniu, mógłby się znaleźć w nie lada kłopotcie. Ale w tej sytuacji był tylko trochę zirytowany. Nie lubił scen.

- No, dobrze. Co tam masz? - zapytał mrukliwie.

- Jedzenie! - Uśmiechnęła się triumfalnie.
- Jakie jedzenie?
- Wydaje mi się, że nie jesteś zadowolony? - Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Z całą pewnością nie jest zachwycony! - Niedźwiedź zachichotał.
- Ale czy nie sądzisz, że jedzenie to dobry pomysł? Jestem pewna, że żywność to dochodowy interes. - Devon była teraz zupełnie poważna.

- Twoja żywność nie przyciągnie nawet much.
Coś błysnęło w jej oczach. Złość? Triumf? Ulga? Nie był pewien; cokolwiek to jednak było, Kamienny Człowiek poczuł się nieswojo.

- Czemu się tak przyglądasz? - spytał.
Tym razem nie było wątpliwości co do jej nastroju. Była szczęśliwa. Choć w głębi duszy trzęsła się ze strachu. Twarz dziewczyny zaróżowiła się, a uśmiech był szeroki jak wrota stodoły. Nawet jej zakurzone drobne dłonie klasnęły z radości.

- Stój spokojnie, przyprawiasz mnie o zawroty głowy -zażądał.
- Przepraszam. - Uspokoiła się, ale uśmiech pozostał.
- Dlaczego się uśmiechasz? - Kamienny Człowiek nie chciał jej o to pytać, lecz nie był w stanie się powstrzymać.

- Ja... wprowadziłam cię troszeczkę w błąd. Źle gotowałam, żeby zrobić ci na złość.

Serce na chwilę przestało mu bić. Znowu to zrobiła! Znowu go przechytrzyła!

Zanim zdołał wykrztusić słowo, Devon przycisnęła do boków spódnicę, jakby była czarodziejską peleryną, zakrywającą skarby. Wyładowany tobogan zdawał się rosnać, wypełniając szczupłą powierzchnię niewielkiego namiotu swą złowieszczą obecnością.

- Co to jest? - zapytał głucho Kamienny Człowiek.

- Konfitury, dżemy, sosy... - Przeciągała palcem po metalowych pokrywkach słoików i w tym miejscu zrobiła pauzę dla większego efektu, po czym dodała z emfazą: - Szesnaście jagodzianek i cztery ciasta z brzoskwiniami z puszki.

- Boże... - Jęk narastał w głębi gardła Kamiennego Człowieka, zanim wydobyl się z jego ust. Rzuciła go na obie łopatki!

W mgnieniu oka Devon była przy nim i lekko położyła drobną białą rękę na jego przedramieniu.

- Poszukiwacze złota ustawią się po to w kolejce. Szczególnie zimą, kiedy będą mieli serdecznie dosyć fasoli i placków na zakwasie. Tylko pomyśl, świeża konfitura jagodowa w styczniu! - Mówiła najgłośniejszym głosem.

Zacisnął powieki, starając się nie przyjąć do wiadomości tego co oczywiste. Założył się i przegrał.

- Kamienny Człowieku? - W głosie Devon pojawiła się nutka zdenerwowania.

Czekała, czuł to. Czekała, żeby się dowiedzieć, jakim człowiekiem jest jej współnik. Podniósł powieki. Jego oczy były matowe i bez wyrazu.

- Tak?

- Masz zamiar wycofać się z zakładu?

Dobre pytanie. Rzucił niepewne spojrzenie na tobogan. Ucisk na jego ręce zacieśnił się, czuł drżenie palców dziewczyny. Zszarzałe ściany namiotu zaczęły na niego napierać. Nielatwo było rozwiązać ten dylemat. On o tym wiedział i ona o tym wiedziała. Powinien roześmiać się jej w twarz. To była jego dolina, jego faktoria, jego życie. Żaden człowiek pod słońcem nie miałby mu za złe odstąpienia od zakładu. Nawet Niedźwiedź. Nikt. Z wyjątkiem tego w lustrze.

- Kamienny Człowieku?

Z ciężkim westchnieniem otworzył kopertę zegarka. To był bezwiedny gest, jeden z tych, jakie robimy pod wpływem stresu. Jednostajny ruch wskazówek jakoś go uspokajał.

Wpatrywał się w zegarek przez kilkanaście długich jak wieczność sekund, aż wreszcie ściany namiotu wróciły na swoje miejsce. Rozjaśniło mu się w głowie. Przegrał zakład, to było oczywiste. Przyszedł czas, żeby przyznać się do porażki.

- Wygrałaś. - To były najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział.

Podskoczyła i zapiszczała z radości.

- Och, Kamienny Człowieku, wiedziałam, że jesteś...

- Jeszcze się nie ciesz.

- Ale... - Zamarła; ręce, którymi klaskała, zatrzymały się w pół drogi.

- Żadnych ale. Wygrałaś, przyznaję. Teraz musisz dać mi coś w zamian.

- Co masz na myśli? - Wbiła w niego wzrok.

- Możesz pracować w faktorii przez osiem godzin dziennie, ale pod jednym warunkiem. Twój limit gadania wynosi dziesięć słów na dniówkę. W chwili, kiedy z twoich ust padnie jedenaste słowo, kończysz dzień pracy.

- To niemożliwe!

- Spójrz na to z innej strony: nie będziesz miała z kim rozmawiać. W tej sytuacji zachowanie milczenia nie będzie chyba takie trudne? - rzekł z uśmiechem.

- A jeśli się nie zgodzę? - Wpatrzone w niego oczy Devon zwęziły się.

- Wtedy się przekonasz, że wygrałaś zakład o nic, bo zamknę faktorię, spakuję moje towary i wyprowadzę się stąd.

- To nie fair! - Stała z otwartymi ustami.

- Nie.

- Nie zrobisz tego.

- Przekonaj się.

Włożyła kciuk do ust i zaczęła ogryzać paznokcie. Kamienny Człowiek przyglądał jej się zafascynowany. Niemal widział drobne

trybiki, obracające się w jej mózgu. Próbowała to przemyśleć, dokładnie i z każdego punktu widzenia.

- Umowa stoi? - zapytał wreszcie, nie mogąc już znieść oczekiwania.
- Sto słów. - Wyjęła palec z ust.
- Dwadzieścia. - Szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Targowała się!

- Sześćdziesiąt.
- Czterdzieści.
- Umowa stoi - rzuciła ponuro.

Westchnął z ogromną ulgą. Czterdzieści słów wytrzyma, a jeśli dobrze to rozegra, może zdoła ją sprowokować, żeby zużyła cały swój limit przed południem.

- Dobrze.
- Nie bądź taki zadowolony, mój panie. Jeszcze nie skończyliśmy!

Usłyszeli śmiech Niedźwiedzia.

- Muszę już iść. Moim zdaniem, to była uczciwa walka.
- Dzięki, Niedźwiedziu! - zawołała Devon w ślad za wychodzącym z namiotu potężnym mężczyzną.

- Tak, Niedźwiedziu, piekielne dzięki.

W chwili, kiedy zostali sami, dziewczyna odwróciła się do Kamiennego Człowieka.

- Dobrze, a oto moje warunki.
- Ty nie masz prawa stawiać warunków.
- Mam, jeśli każesz mi trzymać głowę na kłódkę. Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. Był gotów

wiele zapłacić za jej milczenie.

- W porządku. Czego chcesz?
- Pozwolisz mi zorganizować sklep po swojemu i go sprzątać.

Codziennie.

- A jeśli się nie zgodzę?
- Zostanę tu dłużej. Może nawet całe następne lato.
- Nie zniosłabyś tego.

- Naprawdę? Przekonaj się. - Jedna kształna brew dziewczyny uniosła się.

Jęknął w duchu. Była w stanie to zrobić. I zrobi to, po prostu jemu na złość.

- Świetnie, do diabła! Rób, co chcesz. Zresztą zawsze to robisz. Ale nie otwieraj przy tym ust - warknął.

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się.

Kamienny Człowiek z bezsilną rozpaczą przyglądał się, jak Devon rozładowuje swój drogocenny tobogan. Zapowiada się cholernie długa zima...

Następnego ranka Kamienny Człowiek otworzył zegarek i tępo patrzył na małe czarne wskazówki. Dziewięta. Zmarszczył czoło i schował czasomierz do kieszeni. Ten dzień, który dopiero się rozpoczął, wydał mu się otwartą, ziejącą na niego paszczą, która już wyśmiewała się z niego i próbowała przstraszyć, że go połknie, a teraz ziewała mu prosto w nos. Dopiero od godziny pracował razem z Devon, a już czuł się chory. Rozbolała go głowa.

- Wiesz, Kamienny Człowieku...

Cały wewnątrz skulił się ze strachu. Boże, jak on strasznie zaczął nienawidzić tych słów, odkąd spotkał Devon. Nieodmiennie następowała po nich sugestia, jak można poprawić jego naturę bądź wygląd. Albo i jedno, i drugie.

Zacisnął zęby i ostentacyjnie nie zwracał na nią uwagi. Jak zwykle jego wysiłki poszły na marne.

- Mogę ci pomóc uporządkować twoją kolekcję zdjęć. Rzucił jej spojrzenie, które miało mówić: odczep się ode mnie, babo.

- Oczywiście, nie widziałam jej, ale mogę sobie wyobrazić, że zdjęcia są... w nieładzie. - Ciągnęła pogodnie, nieświadoma albo obojętna na jego uczucia w tym względzie.

Wziął dwadzieścia trzy zapalki, związał je razem i włożył do małego słoika, stojącego obok wagi do złota. Cienkie

drewnianka zabrzęczały o okrągłe, szklane ścianki. Zużyłaś już siedemnaście, mój mały generale. Ta myśl nieco go pocieszyła.

- Jeżeli dotkniesz moich fotografii, utnę ci te białe jak lilia paluszki - powiedział spokojnie.

- Nie musisz być od razu tak... - szeptęła pobladła Devon. Wziął kolejne sześć zapalek.

- Poczekaj! To było tylko pięć słów. „Nie musisz” powinno być uznane za jedno słowo. - Nie odrywała oczu od zapalek w brudnych palcach Kamiennego Człowieka.

- „Nie musisz”. Dwa słowa. Nie będę liczyć tej kłótni, bo to uzasadniona dyskusja. Zostało ci więc jeszcze kilka słów. Chcesz je teraz wykorzystać? - Wrzucił sześć zapalek do słoika.

Głośno zamknęła usta i podeszła do półek, które zaczęła porządkować. Kamienny Człowiek przyglądał się, jak z idealną, wojskową precyzją ustawiała równiuteńki rządki puszek z grochówką Campbella, i w kącikach jego ust pojawił się lekki uśmiech.

- Dlaczego ustawiłaś grochówkę obok pomidorowej? Devon uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Bardzo się cieszę, że zapytałeś. To była trudna decyzja, dlatego że...

- Stop! To już czterdzieści. Wykorzystałaś limit. - Starannie wybrał jedenaście zapalek.

- Och! Ty! - Spojrzała na niego i głośno tupiąc, wymaszerowała z namiotu.

Kiedy wyszła, Kamienny Człowiek westchnął przeciągle. Uśmiechnął się beztrudnie, aż w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Udało mu się. Przechytrył ją! Wyszła przed dziewięcią trzydzieści i nie będzie jej do końca dnia.

Do licha, ależ wspaniale jest postawić na swoim!

W dwa dni później Devon, stojąc przed równiutkim rzędem puszek zupy, mocno zacisnęła usta. Mało brakowało, a powiedziałyby: zrobione. Zdołała się powstrzymać w ostatniej chwili i zacisnęła zdradzieckie usta w wąską linię. Nie miała zamiaru pozwolić komukolwiek na robienie z siebie frajerki, a już na pewno nie komuś takiemu jak Kamienny Człowiek. Nie wypada, żeby przechytrył ją osobnik tylko odrobinę bystrzejszy od dżdżownicy.

Już dwa razy udało mu się ją podejść. Wykorzystał jej słabość do mówienia przeciwko niej. I to dwa dni z rzędu! Wczoraj dotrwała do dziesiątej trzydzieści.

Skrzywiła się na własną głupotę. Jeśli dalej tak będzie, to nie przepracuje do wiosny ani jednej pełnej dniówki.

Dziś Kamiennemu Człowiekowi nie uda się mnie sprowokować, obiecała sobie w duchu. Dzisiaj Devon będzie najlepszym, najbardziej milczącym współnikiem, jakiego można sobie wyobrazić. Prędzej czy później ten uparciuch dostrzeże, jakim cennym nabytkiem jest dla jego firmy. Może nawet cofnie wówczas zakaz mówienia?

Rozejrzała się po sklepie i pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmiech. Wszystko było idealne. Uporządkowane i czyste jak łąka. Jej ciasta zostały ułożone w efektowne półkole na pace stojącej za starym piecem. Jagodzianki, jak wykwintne księżycy o złocistej skórcie, okalały z obu stron większe placki. Półki były proste, bez najmniejszej smużki kurzu, a towary rozmieszczone na nich z matematyczną precyzją. Oczywiście, nadal w porządku alfabetycznym, ale co to szkodzi, skoro Devon była w sklepie na co dzień? Ludzie nie musieli umieć czytać; musieli tylko umieć poprosić.

Teraz brakowało już tylko klientów.

W chwili, kiedy Devon o tym pomyślała, klapy namiotu rozsunęły się i do środka wszedł Dryblas z jakimś mężczyzną, którego jeszcze nie знаła.

- Dryblas! - krzyknęła radośnie i pospieszyła do niego. Zza

pleców usłyszała cichutki brzęk zapalki, wrzuconej do szklanego słoika. Uśmiech zamarł jej na ustach.

- Dzień dobry, panno Devon - przywitał się Dryblas, przyciskając do piersi zerwany z głowy stary, sfatygowany kapelusz. Przelknął głośno ślinę, a zdradziecki rumieniec objął nawet jego szyję z wystającą grdyką.

Devon skinęła mu głową, pozwalając, żeby oczy mówiły za nią.

- Ten tutaj to Kopacz Haines. Zabiera mnie do Circle City, żebym się zabawił. - Dryblas wskazał głową stojącego obok ciemnowłosego, kędzierzawego mężczyznę.

Devon spojrzała na Kopacza. Niewysoki człowieczek o małpiej twarzy uśmiechnął się szeroko, prezentując dziurawe żółte zęby. Jego szare zapadnięte oczy w wymizerowanej, pokrytej zmarszczkami twarzy płonęły w sposób typowy dla wieloletnich poszukiwaczy złota.

- Sie masz, panienko.

- Witam, panie Haines. - W ciepłym uśmiechu i jasnych oczach mężczyzny dostrzegła szczere powitanie.

- Jaki znowu „panie”? Jestem po prostu Kopacz. O, siemanko, Kamienny Człowieku. Co u ciebie? - Chichocząc, rozejrzał się po sklepie i dostrzegł właściciela.

- Wszystko w porządku - odpowiedział Kamienny Człowiek, nie podnosząc głowy.

Devon dotknęła ramienia Dryblasa, a kiedy spojrzał w jej stronę, wskazała mu wzrokiem ciasta i placki.

- A niech mnie gęś kopnie, spójrz na te ciasta, Kopaczu!

- Boże wszechmogący, świeże ciasta! Co mamy zrobić, żeby je dostać? - Kopacz wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami w wystawione przez Devon wypieki.

- Ciasta po dolarze za sztukę. Jagodzianki dodajemy za darmo do dziesięciodolarowych rachunków. - Devon ważyła każde słowo, eliminując w myślach wszystkie, które były zbędne.

- Darmo? - Kamienny Człowiek podniósł głowę. Dziewczyna kiwnęła głową i skrzywiła się, kiedy kolejnych dziesięć zapalek trafiło do słoika.

- A niech mnie gęś kopnie! Potrzebuję mnóstwa rzeczy! Chciałem je kupić w Circle City, ale te ciastka wyglądają piekielnie apetycznie - powiedział Dryblas, lykając ślinkę.

- Chodź, chłopcze, zrobimy zaopatrzenie na zimę! - zawołał Kopacz i wzięła młodszego kolegę za ramię.

Przez następne pół godziny Devon krążyła wokół klientów jak kwoka wokół kurczaków. Biegała, kiwała głową, wskazywała ręką. Tylko nie odzywała się ani słowem, bo postanowiła udowodnić Kamiennemu Człowiekowi, że potrafi być użytecznym - i milejącym! - współpracownikiem. Kiedy Kopacz i Dryblas wybrali już wszystkie potrzebne rzeczy, podeszła z nimi do lady.

Przeszła za plecami współlnika i stanęła przy wadze.

- Ja trzymam kasę. - Kamienny Człowiek wstał z krzesła.

- Nie! - Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Kamienny Człowiek usiadł z powrotem i wrzucił do słoika kolejną zapalke.

- Dobrze, zrób to ty, moja pani.

- Co my tu mamy?

Promiennie uśmiechnięta, zwróciła się do klientów. Brała do ręki każdy sprawunek, sprawdzała na liście cen i wpisywała sumę na kawałek papieru. Bekon, 2 funty 80 centów; fasola, 5 funtów 75 centów; cukier, 10 funtów 2 dolary

i 50 centów; kawa, 3 funty - 3 dolary; dżem, dwa słoiki 2 dolary.

Ostatnim sprawunkiem było małe, jaskrawopomarańczowe pudełeczko. Wzięła je do ręki i obracała na wszystkie strony, szukając jakiegokolwiek napisu, informującego o zawartości. Zmarszczyła czoło. Na pudełeczku nie było ani słowa. Dryblas zaniósł się kaszlem, więc podniosła na niego wzrok. Twarz

młodego człowieka była czerwona jak burak, a grdyka poruszała się nieustannie, jakby bez jego kontroli.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. Potakująco kiwnął głową, ale nadal się krztusił.

Wszystko z nim w porządku, panienko. - Kopacz wyszczerzył zęby i grzmotnął swojego towarzysza w plecy.

Devon znów zaczęła się przyglądać trzymanemu w ręce pudełeczku. Co to mogło być? Spojrzała na listę cen, szukając czegokolwiek, co by jej pomogło.

- Są po dolarze, panno Devon. - Dryblas znów zaczął się krztusić.

- Ale co to jest?

Kaszel Dryblasa przypominał już atak apopleksji. Dziewczyna rzuciła mu szybkie spojrzenie i z niepokojem zmarszczyła czoło. Biedny chłopiec miał problemy z oddychaniem, a jego twarz wyglądała tak, jakby za chwilę miała eksplodować.

- Na Boga, Dryb...

Nie dokończyła, bo Kamienny Człowiek wstał z krzesła, wyjął jej z rąk pudełeczko i rzucił je na stertę zakupów.

- To będzie dziesięć dolarów i pięć centów, chłopcy

- Zaraz, chwileczkę... - zjeżyła się Devon.

- Zaufaj mi.

Dziwny ton jego głosu powstrzymał dziewczynę. Kamienny Człowiek wyglądał na... uszczęśliwionego. Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i dostrzegła w oczach współnika iskierki z trudem powstrzymywanej wesołości. Uśmiech czał się też w kącikach jego ust.

- Hej, panno Devon, dostaniemy jagodziankę? Odpowiedziała uśmiechem na pytanie Kopacza i skinęła głową.

- I dwa kawałki ciasta za darmo. Tylko opowiedzcie o tym innym ludziom.

Kiedy dwaj mężczyźni opuścili sklep, Devon znów usłyszała dźwięk wpadających do słoika zapalek, ale nawet to nie było

w stanie stłumić jej entuzjazmu. Wykonała dobrą robotę; jej żywność zaczęła napędzać interes.

Kiedy się odwróciła, zauważyła, że Kamienny Człowiek przygląda jej się z osobliwym wyrazem twarzy. Uśmiechał się, a w jego oczach była łagodność, jakiej nigdy wcześniej w nich nie widziała. I jakiej się w nich nie spodziewała.

- O co chodzi? - zapytała niepewnie.
- Zapomniałem już, że takie kobiety jak ty istnieją. - Uśmiechnął się tak serdecznie, że dziewczyna poczuła ciepło, rozplywające się po całym ciele aż po koniuszki palców.
- Kobiety takie jak ja? Co masz na myśli?
- Damy - powiedział miękko.
- To znaczy? - Popatrzyła na niego podejrzliwie, bo przypomniawszy sobie kazanie Midasa o tym, jak okropne są damy.
- W pudełku były gumy. - Skrzywił się, widząc, że dziewczyna nadal nie rozumie. - Prezerwatywy. No, wiesz, takie małe...
- Wiem, co to są prezerwatywy! - Twarz Devon była purpurowa. Zakryła policzki rękami. Dobrze pamiętała fragment książki doktora Cowana *Nauka o nowym życiu*, poświęcony środkom antykoncepcyjnym. Z gardła dziewczyny wydobył się jęk. Dość tego! Odjęła ręce od policzków. Była współwłaścicielką sklepu, a nie jakąś głupią, polującą na męża panienką z dobrego domu. Na terytorium Jukonu nie ma miejsca na kobiecą nadwrażliwość. Podniosła głowę, starając się spojrzeć na to chłodno i bez emocji.
- Gummy. - Zmusiła się do wymówienia ordynarnego słowa, żeby udowodnić, że nie jest nim zażenowana.
- Bardzo dobrze. - Kamienny Człowiek skrzywił usta.
- Gdyby były ułożone w rozsądnym miejscu, domyśliłabym się, co to jest.
- Tak? To znaczy? - Uniósł pytająco jedną brew do góry.
- Nie bardzo pasują między rękawiczkami i skarpetami.
- No, nie wiem. Mnie to miejsce wydaje się równie dobre

jak każde inne. A nawet lepsze od większości. A gdzie ty byś je umieściła? Może z narzędziami ręcznymi? - Cedził słowa, jakby się zastanawiał.

- Powinam była wiedzieć, że z tobą nie da się logicznie dyskutować! - Devon ruszyła w stronę najbliższej półki.

W namiocie rozległ się jego ciepły gardłowy śmiech, który nieoczekiwanie dla dziewczyny wywołał w niej dreszcz. Z wysiłkiem powstrzymała się od spojrzenia na Kamiennego Człowieka, ale niewiele to dało. Oczami duszy widziała jego rozjaśnioną uśmiechem twarz.

Kompletnie go ignorując, zgarnęła pomarańczowe pudełeczka do fartuszka i podeszła do półki z towarami od P do Z. Ciągle chichotał, kiedy zrobiła miejsce pomiędzy pilnikami a ryżem.

- Do widzenia, Devon. - zabrzmiał jego ciepły, wesoły głos.

Obejrzała się. Pomachał słoikiem pełnym zapalek. Cicho zabrzęczały w szklanym naczyniu. A niech to! Już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknęła. Reguły są regułami. Wypadła ze sklepu jak burza, nie oglądając się za siebie.

Kamienny Człowiek zerknął na zegarek i uśmiechnął się do siebie.

Devon skrzywiła się, rozglądając się po sklepie. Panowała w nim przygnębiająca cisza. Jedynym dźwiękiem w namiocie było bębnienie jej palca. No cóż, pomyślała filozoficznie, przynajmniej jeszcze się nie odezwałam. Stojący obok wagi słoik był pusty, a minęła już jedenasta.

Gdyby tylko było coś do roboty...

Nagle do sklepu wpadł jakiś obcy człowiek. Potknął się ze zmęczenia w drodze do stołu, odsunął stół i opadł na jego twarde siedzenie. Pochylił do przodu ramiona i westchnął. To było długie, przeciągłe westchnienie, które miało powiedzieć światu, że stół jest piekielnie wygodny.

Devon z przerażeniem patrzyła na ślady błota, jakie zostawiły na podłodze mokre kalosze przybysza.

- Jak się miewasz, Kamienny Człowieku? - rzucił nowo przybyły, zdejmując z głowy kapelusz.

Dobrze, jeśli nie jesteś jakimś cudem przywróconym do życia Kłamliwym George'em.

- Tym razem nie kłamię. Znalazłem ją. Znalazłem potężną żyłę. - Roześmiał się głośnym, szczerym śmiechem, od którego trzęsły się jego mocne szczęki.

A ja jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Gość uśmiechnął się szeroko, a jego długie, obwisłe wąsy zjeżyły się pod wydatnym nosem. Wsadził ręce do ogromnych kieszeni kurtki, wyjął łuskę pocisku z dubeltówki winchestera i rzucił ją na ladę. Głośno uderzyła o drewnianą powierzchnię.

Kamienny Człowiek patrzył na nią, jakby się spodziewał, że go ugryzie. Jego brwi zbiegły się w jedną linię, a ponury grymas wykrzywił rysy twarzy, kiedy wziął łuskę do ręki.

Devon patrzyła zafascynowana, jak jej współnik zdejmuje wierzch łuski i odwraca ją do góry dnem. Kawalki złotej rudy potoczyły się na ladę.

- To złoto nie pochodzi z pobliskiej rzeki. - Kamienny Człowiek dopiero po dłuższej chwili podniósł oczy na George'a.

- Z Rabbit Creek.

- O, cholera... - Wspólnik Devon powoli wypuścił powietrze.

- Tak, wyznaczyłem już granice działki i szukam teraz Ogilvy'ego, żeby ją zarejestrować. Pomyślałem, że wpadnę tu po drodze i dam ci znać, żebyś mógł dotrzymać słowa. George wyszczerzył zęby.

- Oczywiście. - Kamienny Człowiek odpowiedział tak zmęczonym i starczym głosem, że Devon ledwo go rozpoznała. Bez słowa zgarnęła złoto z powrotem do pustej łuski i oddał George'owi.

Dziewczyna stała z boku, niepewna, jak się ma zachować. Jej współnik najwyraźniej nie był zachwycony wiadomością George'a. Ale dlaczego? Przecież odkrycie złota w dolinie było czymś dobrym. Podobnie jak klient z łuską pełną złota. To musi być dobre!

- Proszę zaczekać. Nie ma pan ochoty kupić mojego ciasta? - zapytała, widząc, że przybysz zbiera się do wyjścia.

- Nie, dziękuję. Moja indiańska żona piecze świetne ciasta.

Rozczarowana Devon obserwowała, jak opuszcza faktorię. Kiedy obejrzała się w stronę lady, zauważyła, że wspólnik nie policzył jej słów.

- Kamienny Człowieku?
- To już koniec.
- Co to znaczy?

- Na terytorium Jukonu przekształcenie się opustoszałej doliny w prosperujące miasto trwa dziesięć minut. To dlatego używamy namiotów - łatwo je zwinąć i ponownie rozstawić. Do diabła, wieści o odkryciu George'a rozejdą się błyskawicznie, a minutę później zaczną tu ściągać tłumy ludzi od Fairbanks do Nome i grodzić swoje działki. Osiedlą się tutaj i moja spokojna dolina...

- Klienci! Nasz sklep od rana do wieczora będzie pełen klientów! - Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

- Nie wszyscy będą poszukiwaczami złota. Pierwsi ściągną sklepikarze. Do wiosny ta dolina będzie jakimś cholernym miastem!

Devon zagryzła dolną wargę. Nie mogli stawić czoła konkurencji, nie z osobowością Kamiennego Człowieka.

- Musimy być najlepsi. Może zrobię trochę więcej...
- Dość już. Idź do domu powiedział zmęczonym głosem, wrzucając do słoika czterdzieści zapalek.

- Ale...
- I to już! - Uderzył pięścią w ładę.

Devon zerwała się na równe nogi i pobiegła do drzwi. Zderzyła się z wchodzącym właśnie Midasem. Jego pogardliwy śmiech uderzył w nią, kiedy się cofnęła.

- Wychodzisz? Tak szybko? - kpił z dziewczyny. Jeszcze wyżej podniosła głowę i minęła go bez słowa.

Wychodząc, usłyszała jego kapiący od nienawiści głos.

- No, Kamienny Człowieku, wcześniej się dziś pozbyłeś tej dziwki. Dobrze ci idzie.

Devon zatrzymała się, czekając na odpowiedź współnika. Nie doczekała się.

Zacisnęła pięści z bezsilnej złości. Kiedy ten człowiek zrozumie, że współnicy muszą nawzajem stawać w swojej obronie?

Siedząc przy stole na wprost Kamiennego Człowieka, Devon obserwowała, jak przesuwa jedzenie na talerzu. Gapił się na kolację szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Ani razu nie podniósł wzroku znad talerza. Serce dziewczyny wezbrało współczuciem. Był najwyraźniej przygnębiony. Zastanawiała się, jak można wpaść w taką depresję z powodu małej kupki złota. Ale w głębi serca wiedziała. To nie ta znaleziona garstka kruszcu tak bardzo go martwiła, tylko to, co za sobą pociągała. Tysiące chciwych mężczyzn, ryjących ziemię w poszukiwaniu złotego piasku. Po raz setny już pomyślała o przepowiedni współnika. Czy rzeczywiście do wiosny ta bagnista łąka zmieni się w miasto? Miasto z prawdziwymi ulicami, prawdziwymi sklepami i prawdziwymi ludźmi? Czy można mieć nadzieję?

- Kamienny Człowieku - zagadnęła ostrożnie.

- Muszę wyjść. - Zerwał się od stołu, beknął głośno, wierzchem dłoni starł z brody resztki jedzenia i rzucił nieużywaną serwetkę na stół. Porwał kurtkę z haka i ruszył do drzwi.

Devon podbiegła i stanęła mu na drodze.

- Dokąd?

- Na dwór. - Spojrzał na nią z góry i dziewczyna dostrzegła jakiś błysk w jego oczach. Może był to błysk strachu, a może bólu. Trwało to tylko sekundę, bo natychmiast powieki opadły mu na oczy jak zwykle.

- Nie wychodź. - Położyła rękę na jego ramieniu.

- Dlaczego nie? Zaraz zaczniesz gadać mi nad uchem.

Dzisiaj tego nie zniosę. Wzdrygnął się, kiedy poczuł dotyk jej ręki na ramieniu.

- Nie będę gadać.
- Obiecujesz? - Oczy mężczyzny zwęziły się.
- Obiecuję. Ale... czasem, kiedy omówi się problem, to wydaje nam się mniejszy. - Devon dokończyła zdanie, zniżając głos aż do szeptu.

Kamienny Człowiek przewiercał ją spojrzeniem. Cisza w namiocie zdawała się gęstnieć. Przerzywały ją tylko ich oddechy. Na zewnątrz zerwał się wiatr. Zadrzały drzwi w zawiasach, potem cały namiot. Deszcz malował wzory na obwisłym płótnie nad ich głowami.

- Proszę, nie wychodź.
- Dobrze. Zresztą nie mam dokąd pójść. Niedźwiedź poszedł na polowanie. - Napięcie zniknęło z twarzy Kamiennego Człowieka. Opuścił potężne ramiona.

Ręka Devon zsunęła się wzdłuż jego ramienia aż do dłoni. Zaprowadziła go do stołu, nalała dwa kubki kawy i usiadła. Napiła się i zaryzykowała.

- To kwestia punktu widzenia. Jak wszystkie złe rzeczy.
- Co masz na myśli?
- Uważasz, że to źle, iż twoja dolina przekształci się w dynamicznie rozwijające się miasto, prawda? To dlatego, że patrzysz na to ze złego punktu widzenia. Spójrz z innej perspektywy. Napływ ludzi oznacza klientów. A im ich więcej, to więcej dolarów. Więcej dolarów z kolei to pieniądze na odczytniki fotograficzne.

- Pewnie masz rację. Jednak... - mruknął, popijając kawę, ale nie dała mu dokończyć.

- I jest jeszcze coś, coś ważniejszego od pieniędzy. Będziesz tutaj jedynym fotografem. Twoje zdjęcia mogą się stać kronikarskim zapisem gorączki złota. Potem możesz przenieść się w inne miejsce, w kolejną dziką okolicę.

- Skąd, do diabła, tak dobrze mnie znasz? - Spojrzał na dziewczynę i ich oczy spotkały się nad krawędzią kubka.

Od ciepła jego złotomahoniowych oczu dreszcz przebiegł po krzyżu Devon. Uśmiechnęła się.

- Nie sposób mieszkać z człowiekiem przez trzy tygodnie i nie dowiedzieć się o nim czegoś, niezależnie od tego, jak bardzo pragnie się ukryć.

- Dziękuję - rzucił prawie niedosłyszalnie.

- Nie ma za co. Po to mamy przyjaciół. - Wpatrywała się z natężeniem w ciemnobrązowy płyn w swoim kubku. Po tym, co powiedziała, nie podniosła wzroku. Nie mogła. Czuła na sobie spojrzenie Kamiennego Człowieka. Jego oczy były jak dwa rozżarzone węgielki, przepalające jej czaszkę. Poczowała, że na jej policzki wypływa powoli rumieniec. Nie powinna była tego mówić. Za wcześniej za to; on jeszcze nie był gotów się z nią zaprzyjaźnić.

- W takim razie może powinienem był już dawniej znaleźć przyjaciela.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, ale po jego słowach wypuściła z płuc powietrze w długim, pełnym ulgi westchnieniu. Kamienny Człowiek prawie powiedział, że są przyjaciółmi. Prawie.

Ale to już coś.

Przyjaciele...

Trzy tygodnie później Kamienny Człowiek nadal obracał to słowo w myślach na wszystkie strony i zastanawiał się, dlaczego go użyła. Czy naprawdę sądziła, że są przyjaciółmi? Czy ona naprawdę jest taka naiwna? Każdy idiota wie, że kobieta i mężczyzna nie mogą się zaprzyjaźnić. Do diabła, on nie potrafił zaprzyjaźnić się nawet z mężczyznami, a przecież rozumiał ich sposób myślenia. Oderwał wzrok od czyszczonych właśnie

szklanych naczynek na odczynniki, żeby na nią spojrzeć. Jak zwykle skakała wokół jak ptaszek szukający robaka. Przechodziła od półki do półki, sprawdzała, wycierała kurz, ciągle coś przestawiała albo wyrównywała rządki. Westchnął i wrócił do swojego zajęcia. Devon przynajmniej była cicho.

- Kamienny Człowieku?

Przeważnie była cicho. Zanim na nią spojrział, wrzucił dwie zapalki do słoika.

- Tak?

Przestała się snuć między półkami i właśnie podnosiła klapy namiotu. Wyjrzała na dwór i zapytała przez ramię:

- Kto powiedział, że Jack Kelley może przyjechać do miasta i rościć sobie prawa do chaty Spike'a?

Kamienny Człowiek westchnął ze zmęczeniem. Niestety, nie pomylił się, przewidując konsekwencje odkrycia George'a dla swojej kochanej doliny. Codziennie przybywali nowi poszukiwacze złota; nowe namioty wyrastały jak wiosenne kwiaty - w ciągu jednej nocy. A Jack Kelley był najgorszy ze wszystkich. Robił wrażenie całkowicie zaprzątniętego ideał przekształcenia doliny w prężnie rozwijające się miasto.

- Nikt inny jej nie chciał. - Kamienny Człowiek wzruszył ramionami.

- To nie w porządku, że on otwiera w tej chacie nowy sklep. Popsuje nam interesy.

- Uprzedzałem cię, co będzie, kiedy wybuchnie gorączka złota. Ci cholerni poszukiwacze są w stanie usłyszeć cicho wyszeptane słowo z odległości wielu mil. Wyobrażam sobie, że kiedy Jack usłyszał o odkryciu żyły, natychmiast zwinął interes w Fortymile i przeniósł go tutaj. A to jeszcze, do licha, nie wszystko! Słyszałem, że Joe Ladue kupił teren wzdłuż rzeki i próbuje sprzedawać działki po dwadzieścia pięć dolarów za sztukę.

Devon zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Rozumiem, dlaczego Jack tu przyjechał. Ale nie rozumiem, dlaczego wszyscy klienci kupują u niego. Czy chata z bali tak bardzo się różni od namiotu?

- Nie, nie dla poszukiwaczy złota.

- To o co chodzi? - Odwróciła się twarzą do współnika. Kamienny Człowiek wrzucił do słoika kolejne cztery zapalki,

zanim odpowiedział.

- Jack pozwala chłopakom przesiadywać w sklepie i gadać do woli. I pożyczają sprzęt do wydobywania złota każdemu, kto potrafi utrzymać się na nogach.

Devon nie odezwała się i Kamienny Człowiek ledwo powstrzymał się od śmiechu. Nauczył się już rozszyfrowywać ten niepewny, udręczony wyraz jej twarzy. Liczyła. Szybko podsumował; zostało jej pięć słów. Devon zastosowała swą zwykłą sztuczkę przy rozgrywce słownej starała się wyglądać na zakłopotaną. Osiągnęła to co zwykle. Czyli nic. Mężczyzna wpatrywał się uparcie w szkiełka, dławiąc śmiech.

- Sprzęt? - powiedziała pytająco, kiedy już nie mogła wytrzymać.

- Czasem sklep daje poszukiwaczowi złota potrzebne do przetrwania zimy zaopatrzenie w zamian za udział w złotoności działce.

Cztery słowa.

- Możemy też to zrobić. Wrzucił cztery zapalki do słoika.

- Ostatnie, czego bym sobie życzył, to zostać współnikiem gromady oszalałych poszukiwaczy. Nie, dziękuję, moje złoto jest tutaj, przed nami. Poza tym większość z nich nigdy nie znajdzie go dość, żeby kupić tytoń do fajki, o zapłacie za narzędzia nie wspominając.

Podeszła do swojej ukochanej półki z wypiekami, której dekorację zmieniła wczoraj. Miała pochyloną głowę, więc

Kamienny Człowiek domyślił się, że jest głęboko zamyślona. Zdrętwiał na samą myśl, co to dla niego oznacza. Ale przynajmniej na razie był pewien, że spędzi resztę dnia w błogiej ciszy.

- Do widzenia, Dev.

Była tak głęboko zamyślona, że nawet na niego nie spojrzała.

- Cześć - mruknęła z roztargnieniem i zniknęła za kłapami namiotu.

Zamykając sklep, Kamienny Człowiek zdał sobie sprawę, że głowi się nad milczeniem Devon. Aż się skulił, uświadamiając sobie, że już w chwili wejścia do namiotu dziewczyna zmusi go do wysłuchania wniosków, do których doszła po wielogodzinnych rozmyślaniach.

Miał rację. Zwróciła się do niego, kiedy tylko otworzył drzwi.

- O, cześć! Wróciłeś do domu! Zastanawiałam się nad...

- Zaczekaj. Najpierw usiądźmy do stołu, a potem opowiesz mi o swoim nowym planie. - Uniósł rękę, żeby powstrzymać potok jej słów.

Devon podeszła do wiadra z wodą, podniosła ciężką, metalową pokrywę i podała mu kubek. Potem odwróciła się do sterty skrzynek, służących jej za kredens. Rozejrzała się po rzędach idealnie równo ustawionych pudełeczek i butelek, aż wreszcie wydobyła puszkę opatrzoną napisem: Foley's „Tabletki dla całej rodziny”.

Wyjęła dwie tabletki.

- Proszę. Powinny pomóc na ból głowy.

- Skąd wiesz, że boli mnie głowa?

- Zawsze cię boli, kiedy zaczynam mówić. Więc nawet jeśli w tej chwili cię nie boli, to zaraz zacznie.

Słumił uśmiech i połknął tabletki. Nalał sobie kubek kawy i rozsiadł się wygodnie.

- No, dobrze. Strzelaj.

- Doszłam do wniosku, że Jack Kelley ma taki ruch w interesie, bo nikt nie wie o moich wypiekach. Podejrzewam, że Kopacz i Dryblas zatrzymali tę informację dla siebie. Spojrzała pytająco na Kamiennego Człowieka.

- To możliwe. - Westchnął. Zastanawiał się już, ile czasu zajmie jej zrozumienie tego.

- Nic cię to nie obchodzi?

- Raczej nie. Cenię spokój.

- Nie rozumiesz? Potrzebujesz pieniędzy na odczynniki. Tyle się teraz dzieje wokół rzeki, że nie możesz dłużej czekać z rozpoczęciem fotografowania. - Devon opadła na stołek naprzeciwko współnika.

Kamienny Człowiek smętnie się zadumał. Rzeczywiście wydarzenia nabierały tempa. Thronduick zostało przemianowane na Klondike przez ludzi zbyt leniwych lub tępych, żeby nauczyć się od Indian prawidłowej wymowy. No i mnóstwo ludzi pokroju Joego Ladue zaczęło tu handlować. Rabbit Creek zostało optymistycznie przemianowane na Bonanza Creek i zaczęło się nawet mówić o nadaniu dolinie imienia jakiegoś geologa, George'a Dawsona.

Oczywiście, stali mieszkańcy, tacy jak Kopacz czy Midas, nie zapadli na gorączkę złota, ale nowo przybyli wytyczali działki jak szaleni.

- Mieszkamy tutaj i powinniśmy skorzystać na tym, co się tu dzieje. - Słowa Devon wyrwały Kamiennego Człowieka z zamyślenia.

- Jak? - Podniósł głowę i dziewczynie udało się zajrzeć mu w oczy.

- Przez reklamę.

- W żadnym wypadku, Dev. To nie jest... - Zaczął podnosić się z krzesła.

- Zaczekaj! Wysłuchaj mnie!

Mów. - Kamienny Człowiek opadł znów na twarde siedzenie krzesła.

- Proszę tylko o jedną wywieszkę. Szyld z informacją o moich ciastach i dżemach.
- Będzie tu wyglądało jak w jakimś cholernym San Francisco. Wargi dziewczyny zadrgały, a ich kąciki uniosły się.
- Jeden szyld nie zmieni twojej doliny w miasto, a pomoże zarobić na wszystko, co potrzebne do fotografowania.

Kamienny Człowiek zastanowił się nad tym, co powiedziała.

I nie tylko nad tym. Rozejrzył się po namiocie i dostrzegł wszystko, co dziewczyna w nim zrobiła. Zarówno namiot, jak i jego ubrania były czyste. Kolacje zawsze gorące i podawane z uśmiechem. Prześcieradła na jego łóżku świeże i śnieżnobiałe, a materac pachnący i miękki. Do diabła, już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio robactwo pierzchało mu spod nóg!

- Dobrze. Jeden szyld. Jeden mały szyld.
- Dziękuję, Kamienny Człowieku. Dziękuję! To podziękuję, sam zobaczysz! - krzyczała, podskakując i klaszcząc w ręce.

Kamienny Człowiek przyglądał się Devon, która wirowała po namiocie, jak wybierająca się na pierwszy bal dziewczyna. Jej twarz pałała z radości, a oczy błyszczały niczym bagienne porosty w ostrym słońcu. Uśmiechnął się na ten widok. Devon wyglądała na szesnastoletnią dziewczynę.

Jak łatwo sprawić jej radość, pomyślał. W przeciwieństwie do innych kobiet w jego życiu: Mibelle i matki... Ugodzony złymi wspomnieniami, zerwał się i kopnął stołek, który stał mu na drodze. Dlaczego był tak cholernie głupi? Przecież już prawie polubił paplaninę tej dziewczyny!

- Dostyc gadania. Siadajmy do kolacji - warknął.

Devon zastygła na chwilę w tanecznej pozie i uśmiech zniknął z jej twarzy. Kamienny Człowiek dostrzegł ból w oczach dziewczyny i ścisnęło mu się serce, ale postanowił to zignorować. Życie jest okrutne i nie ma co udawać, że jest inaczej.

- Zostało trochę gulaszu - powiedziała drżącym głosem Devon.

Pokroję chleb. - Odwrócił wzrok od dziewczyny.

- W takim razie pójde do spizarki po puszkę owoców.

- Dobrze. - Starał się skoncentrować na krojeniu, ale wsłuchiwał się w zmierzające do drzwi ciche kroki. Nagle Devon zmyliła krok, jakby się zawahała, i wyczuł, że chce mu coś powiedzieć. Miał wrażenie, że powietrze w namiocie zgęstniało.

Drzwi otwały się i wiatr wtargnął do wnętrza. Kamienny Człowiek zamarł w oczekiwaniu. Po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi. Powoli wypuścił powietrze z płuc. Wyszła.

Powinien być ostrożniejszy. Nie wolno sobie pozwalać na opuszczenie gardy. Kiedy to zrobił poprzednio, zapłacił za to pięcioma latami w cuchnącej celi. To był błąd, którego nie wolno mu już nigdy powtórzyć.

A jednak chwilami miał wrażenie, że tak łatwo byłoby polubić Devon... Tak cholernie łatwo.

Devon wyszła na dwór i oparła się o płótno namiotu. Wiatr potargał jej włosy, uwolnił ze spinek kilka kosmyków i smagał ją nimi po policzkach. Zaciśnęła powieki, ale nie na wiele się to zdało. Oczy jej zwilgotniały.

Co złego zrobiła? Nie powiedziała przecież niczego, co mogłoby go zranić, do niczego go nie zmuszała, nawet nie paplała za wiele. Była szczęśliwa, to jej jedyna wina.

Kilka łez spłynęło po jej zaczerwienionych od wiatru policzkach. Czuła się tutaj tak osamotniona, głupia i nieopanowana. A zachowanie Kamiennego Człowieka nie miało najmniejszego sensu. Przeskakiwał od przyjaźni do wrogości z łatwością, z jaką cyrkowiec chodzi po linie.

Dziewczyna otarła łzy i nagle rozzłościła się na samą siebie. Przecież doskonale wiedziała, że jej nadzieje są płonne. Kamienny Człowiek odpychał ją, ilekroć choć trochę się do siebie zbliżali.

Ta myśl uderzyła Devon. Czyżby to było takie proste? Czy to możliwe, że on boi się z nią zaprzyjaźnić? Boi się, że zacznie jej potrzebować? Tak sądził ojciec Michaels. Tak przecież powiedział.

Uśmiechnęła się. Jeśli rzeczywiście w tym tkwił problem, to może dzisiejszy wybuch Kamiennego Człowieka był dobrym znakiem? Może oznaczał, że udało jej się zrobić małą szczelinę w lodowym pancerzu, którym otoczył swoje serce?

A jeśli tak, to już byli przyjaciółmi.

Na podłodze leżała rozpruta wzdłuż szwu, rozpostarta jak wachlarz, najstarsza muślinowa halka Devon. Dziewczyna wpatrywała się w materiał, gryząc nerwowo paznokcieć kciuka. Chyba się nadaje, zdecydowała. Kucnęła przy swojej byłej halce i trzymając pędzelek w zębach, zajrzała do słoiczków z farbą. W całym sklepie były tylko te dwa, jeden z czerwoną farbą, drugi z białą.

Nerwowo zerknęła spod oka na Kamiennego Człowieka. Na szczęście ciągle przeglądał swoje ukochane przybory fotograficzne. Gdyby za wcześnie podniósł wzrok, miałyby problem. A przecież to nie jej wina. Skąd mogła wiedzieć, że jest za mało farby?

Odsunęła od siebie niepokojące myśli i znów przyjrzała się farbie. Bardzo, bardzo wolno wlała zawartość obu puszcerek do słoika. Kolory zmieszały się natychmiast, dając w efekcie wyjątkowo jadowity odcień różu. Zresztą, pomyślała Devon, na terytorium Jukonu każdy odcień różowego wydałby się szokujący.

Zanurzyła pędzel w słoiku i powoli wyciągnęła. Różowa farba oblepiająca czarne włosie zaczęła skapywać do słoika wielkimi kroplami. Skuliła się i ponownie zerknęła z ukosa na współnika. To mu się niewątpliwie nic spodoba!

Przesunęła się w lewo, żeby własnym ciałem zasłonić halkę przed wzrokiem Kamiennego Człowieka, i przystąpiła do dzieła. Pół godziny później odłożyła pędzel i wstała.

Jaskraworóżowy napis głosił:

ŚWIEŻE WYPIEKI, CIASTKA, HERBATNIKI. PRZY RACHUNKU POWYŻEJ 10 \$ CIASTKO GRATIS. Litery zostały wypisane kaligraficznym pismem, ani jedna plamka nie szpeciła tła. Devon cofnęła się o krok i podziwiała własne dzieło. Szyld był dobry. Dobry, czysty i...

Różowy!

- Skończyłaś?

Aż podskoczyła na dźwięk głosu Kamiennego Człowieka. Całe ciało dziewczyny napięło się boleśnie. Odwróciła się z drżeniem i napotkała zaciekawiony wzrok współnika.

- Tak, skończyłam.

Zatknął kciuki za podniszczone szelki, wyszedł zza lady i zbliżył się do Devon.

- Zobaczmy.

Każdy nerw w jej ciele dygotał. Patrzyła na zbliżającego się Kamiennego Człowieka szeroko otwartymi oczami. Jego kroki odbijały się gromkim echem w jej wyostrozonym nagle słuchu. Ten szyld był dla niej tak ważny! To był jej wkład we wspólny interes. Sposób na udowodnienie, że jest potrzebna. Błagam, Boże, nie pozwól mu mi go zabrać! Kamienny Człowiek stanął jak wryty cztery kroki przed reklamą.

- O, do jasnej cholery! To jest różowe. Różowe!

Wstrzymała oddech i wbiła wzrok w rzeźbione rysy mężczyzny. Zaschło jej w ustach i nie była w stanie wykrztusić ani jednego jako tako inteligentnego zdania. Wspólnik patrzył na nią pytająco.

- Mogę wytłumaczyć...

- Nie chcę słuchać żadnych tłumaczeń. - Znowu zerknął na szyld.

Devon nerwowo zagryzła dolną wargę. Wydawało jej się,

że czas stanął w miejscu. Jeśli Kamienny Człowiek każe jej wyrzucić tę reklamę, to będzie oznaczać, że nie chce jej pomocy. I jej nie potrzebuje. Ta myśl doprowadzała ją do rozpacz. Nie chciała być bezużyteczną lalką, sterczącą w milczeniu u boku Kamiennego Człowieka przez osiem godzin dziennie. Odbyła długą podróż, żeby być współnikiem. Chyba zdążył się już o tym przekonać.

Cisza przytłaczała ją, darła na strzępy jej wątłe panowanie nad sobą, jakby kocimi pazurkami. W końcu nie była w stanie już dłużej jej wytrzymać. Otworzyła usta, żeby się odezwać.

Nagle Kamienny Człowiek odwrócił się i popatrzył wprost na nią. Ogień płonący w bursztynowych oczach palił jej twarz. Wstrzymała oddech i niewypowiedziane słowa zamarały jej na ustach. Czowała, że mężczyzna ma zamiar zażądać, by zniszczyła szyld!

Tymczasem on zrobił rzecz najdziwniejszą i najmniej spodziewaną. Wybuchnął śmiechem!

- Midas od początku twierdził, że pomalujesz mi wszystko na różowo. Wygląda na to, że stary skunks miał rację!

Devon przyglądała mu się całkowicie zaskoczona. Kamienny Człowiek był tym rozbawiony! Na widok jej miny roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Dobry Boże, Dev, masz otwarte usta, a nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Taki cud zdarzył się po raz pierwszy.

Dziewczyna była urzeczona jego śmiechem, miała wrażenie, że stoi przed nią inny człowiek. Wyżłobione przez smutek linie wokół jego ust wygładziły się, a oczy lśniły jaśniej niż słońce w pełni lata. Zamrugała ze zdziwienia. Był prawie przystojny!

W tej jednej chwili zniknęły wszystkie jej obawy związane z nadciągającą zimą. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła się młoda i wolna. Uśmiechnęła się, a jej duszę wypełniła radość.

Po chwili namiot drżał od ich wspólnego śmiechu. Devon bez zastanowienia podeszła do współnika. Czowała się tak cudownie

w jego towarzystwie! Położyła rękę na ramieniu Kamiennego Człowieka i przytuliła policzek do jego twarzy.

Natychmiast zeszytywniał i przestał się śmiać. Dziewczyna poczuła się okropnie skrępowana. Także i jej radosny śmiech umilkł i w namiocie zapanowała niezręczna cisza.

- Zawieśmy wreszcie ten szylt.

Palce Devon zsunęły się po miękkiej flaneli rękawa. Szukała wzrokiem w chłodnym profilu Kamiennego Człowieka jakiegokolwiek, choćby najdrobniejszego, śladu, że ten mężczyzna, którego widziała przez ułamek sekundy, naprawdę istniał. Nadaremnie. W jego oczach nie było już najmniejszej iskierki radości, a usta miał znowu surowo zaciśnięte.

- Farba musi wyschnąć - powiedziała po chwili milczenia.

- W takim razie wracam do swojej roboty.

- Dobrze.

Znowu zapadła cisza. Każde z nich wróciło na swoje stałe miejsce: on za ladę, a ona do stołu. Robiła to co zwykle: parzyła kawę, układała od nowa wypieki, odkurzała. Ale jej oczy biegły co chwila do siedzącego za ladą mężczyzny. Ciągle myślała o słowach ojca Michaela: w Kamiennym Człowieku jest o wiele więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Następnego dnia ich skrępowanie minęło. Wrócili do rutyny, do milczenia i odliczania słów. Devon rozejrzała się po sklepie. Wszystko było w porządku, jak zawsze w ciągu ostatniego miesiąca. Ale tylko z pozoru, bo tak naprawdę wszystko się zmieniło.

Czuła się zupełnie inaczej niż wczoraj. Wspólny śmiech zmienił ich wzajemne stosunki. A przynajmniej zmienił oczekiwania Devon w stosunku do współnika. Brak wrogości już jej nie wystarczał. Chciała tego śmiechu, tego poczucia wspólnoty. Przyszło jej do głowy, że może jeśli poprosi Kamiennego

Człowieka o pomoc, uda im się znowu odnaleźć wczorajszą bliskość. Zaprzątnięta tą myślą, wstała.

- Siadaj, Devon. Ciągłe pada.
- Wiem, ale...

- Ale masz nadzieję, że jeśli będziesz co dziesięć sekund zrywać się z krzesła i sprawdzać, to szybciej przestanie padać? Odpręż się, twój szyld zawiśnie jeszcze dzisiaj. To tylko przelotny deszcz. Stawiam dolara przeciw psiemu gównu, że przed drugą zaświeci słońce - powiedział ze śmiechem.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli sama sprawdzę. I że mi darujesz to psie gówno. - Uśmiechnęła się.

Wyszczerył zęby i wrócił do swoich odczynników.

- Nudzę się.
- Chciałaś pracować w sklepie. - Nie patrząc na nią, wrzucił dwie zapalki do słoika.
- To może sobie pośpiewam. Tylko nie licz tego jak słów!
- Nie! - Devon wreszcie udało się zwrócić na siebie uwagę współnika.
- A masz lepszą propozycję?
- A co byś powiedziała na partyjkę pokera? - Z westchnieniem odsunął na bok odczynniki.
- Nie umiem w to grać.
- Gra się na pieniądze. Siadaj. Zasady są takie...

W ciągu następnej godziny wiatr wzmógł się i wył w gałęziach rosnących w pobliżu namiotu osik. Łało jeszcze mocniej. Strumienie lodowatej wody uderzały w obwisły dach namiotu jak kamienie i spływały po płóciennych ścianach. Brunatne wody rzeki Jukon wezbrały i podmywały brzegi.

Ale wewnątrz namiotu było ciepło i sucho. Mały piecyk syczał i trzaskał, lecz skutecznie ogrzewał powietrze tego ciemnego, burzowego dnia. Devon i Kamienny Człowiek siedzieli naprzeciw siebie przy zniszczonym stole, z łokciami wygodnie opartymi na blacie, i patrzyli sobie na ręce.

- Aha! - triumfalnie zawołała dziewczyna, wykładając dwie damy.

Kamienny Człowiek wyprostował się. Devon pochyliła się do przodu, niecierpliwie przyglądając się, jak przeciwnik jedną po drugiej wyklada karty na stół. Czwórka, as, czwórka, szóstka... czwórka. Starła się zachować kamienną twarz wytrawnego gracza.

- Znowu wygrałeś - powiedziała głośno, ale pod nosem dodała: - A niech to wszyscy diabli!

- Zauważyłaś zmianę, Devon?

- Nie. - Wyjęła mu z rąk karty i zaczęła je starannie układać kolorami na cztery zgrabne kupki.

- Przestało padać.

- Przestało! - Ręce dziewczyny znieruchomiały, a potem zerwała się z miejsca i pobięła po płaszcz. Złapała w przelocie szyld, młotek i gwoździe i ruszyła do wyjścia.

- Devon?

- Tak?

- Pamiętasz dzień swojego przyjazdu?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- A pamiętasz, jak wylądowałaś pupą w błocie?

- O, nie!

- Nie martw się. Zawiesimy ten cholerny szyld. - Wyciągnął na dwór stary stół, który natychmiast zagłębił się w błocie na sześć cali. Kamienny Człowiek zaczekał, aż stół przestanie się zapadać, a potem sprawdził jego stabilność.

- Chyba w porządku. Wskakuj.

- Jesteś pewien? - Devon spojrzała nieufnie na koślawy mebel.

- Zaufaj mi. - Podał jej rękę. Jego mocne palce zacisnęły się wokół jej dłoni, a szorstka, stwardniała od pracy skóra potarła delikatne ciało wewnątrz kobiecej dłoni. Dotyk męskiej ręki był ciepły i miły.

- Powieszę tutaj. - Uniosła spódnicę i wskoczyła na blat stołu.

Sfatygowany mebel pod jej ciężarem zaczął się chwiać i kiwać i jeszcze głębiej zapadł się w błoto. Devon uczepliła się ręki Kamiennego Człowieka i puściła ją dopiero, kiedy stół znieruchomiał. Wzięła głęboki oddech i wspięła się na palce. Przybiła szyld z jednej strony i odwróciła się do Kamiennego Człowieka, żeby zapytać go o zdanie. Stół zachwiał się przy gwałtownym ruchu dziewczyny i zanim zdążyła krzyknąć, już szybowała w powietrzu. Z całym impetem upadła na pierś współnika. Stracił równowagę i rąbnął plecami w błoto. Devon poleciała na niego, głową do przodu. Siła uderzenia sprawiła, że zaparło jej dech w piersiach, a głowa jej pękała. Leżała zamroczona.

Powoli świat wracał na swoje miejsce. Zamrugła i wytarła twarz z błota. Pochwyciła spojrzenie wpatrzonych w nią oczu. Widziała tylko je. Reszta twarzy mężczyzny była pokryta grubą warstwą ciemnej mazi. Nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- O, mój...

- Uważasz, że to zabawne?

- Nie, ja tylko... no... - Starła się przybrać poważny wyraz twarzy.

Kamienny Człowiek wyciągnął ręce z błota, czemu towarzyszyło obrzydliwe mlaśnięcie. Devon spojrzała na dwie wielkie bryły czarnego szlamu, a potem przeniosła spojrzenie na twarz Kamiennego Człowieka. Pod warstwą obrzydliwej mazi zobaczyła jego wargi. Uśmiechnięte!

- A więc uważasz to za zabawne! - Zaciśnięte dłonie na ramionach dziewczyny. Spomiędzy palców trysnęło błoto i spłynęło w dół na jej spódnicę.

- Hej, dlaczego... - Wytrzeszczyła na niego oczy.

- No, teraz jest śmiesznie. - Ciepłe palce Kamiennego Człowieka, umazane w mokrej, zimnej ziemi, przesuwały się

ku szyi Devon. Sprzeczne emocje przyprawiły dziewczynę o dreszcz. Potem palec mężczyzny dotknął jej warg i leciuteńko je pogładził. Devon oblizwała usta i poczuła smak błota.

- No, dobrze. To nie jest zabawne.

Kamienny Człowiek wybuchnął serdecznym śmiechem. Zabłocona broda trzęsła się, a na tle brudnego zarostu błysnęła oślepiająco biały uśmiech. Jakby słońce przedarło się przez chmury. Devon uśmiechnęła się w odpowiedzi i zanim zdążyli się obejrzeć, już zanosili się od śmiechu jak dwoje uczniów.

- Podnieśmy się. Nie mogę oddychać wykrztusiła wśród wybuchów śmiechu.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Jej nogi spoczywały po obu stronach Kamiennego Człowieka. Kręciła się, na próżno próbując wyciągnąć kończyny z błota. Potem oparła ręce o pierś mężczyzny, starając się od niego odepchnąć. Nieświadomie przycisnęła przy tym miednicę do jego bioder.

- Nie ruszaj się! - Kamienny Człowiek natychmiast spowaźniał.

Na dźwięk jego rozkazującego głosu Devon zamarła w bezruchu, z rękami opartymi na jego piersi i nogami, obejmującymi ciało współnika. Usłyszała szybki, urywany oddech mężczyzny. Sama również zaczęła szybciej oddychać. Czując oczy Kamiennego Człowieka wbite w jej usta i nagle okazało się, że jest w stanie myśleć już tylko o tym, że pragnie jego pocałunku.

Przysunęła się bliżej, przytuliła twarz do jego torsu. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone; piersiami wyczuwała szybką pracę jego płuc, czuła zapach ciepłego, pachnącego tytoniem oddechu. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem, myśląc o dotyku męskich warg na swoich ustach.

- Pomyślałaś o naszym pocałunku?

W następnej sekundzie siedziała sama w błocie, a Kamienny Człowiek stał nad nią ogromny jak wieża. Skrzyżowała ramiona i zerknęła na niego, strasznie zmieszana.

- Zawieśmy ten cholerny sztyl, zanim znów się rozpadą.

- To chyba znaczy, że nie myślałeś o pocałunku mruknęła do siebie. Strzepnęła błoto ze spódnicy i próbowała wstać.

- Masz cholerną rację, nie myślałem. Ten pocałunek nic nie znaczył. I nie patrz na mnie maślanymi oczami jak jakaś pensjonarka. - Rzucił jej piorunujące spojrzenie, po czym złapał zwisający róg szyldu, naciągnął go do drugiego palika podtrzymującego namiot i przybił. Wsadził młotek do kieszeni spodni i wpadł jak burza do namiotu.

- Wolałam cię, kiedy się śmiałeś - powiedziała ponuro podążająca za nim Devon.

- A ja wolałem cię, kiedy szybowałaś w powietrzu szybciej niż wiatr.

Devon i Kamienny Człowiek zmyli z siebie błoto, wrócili do sklepu i do swojej codziennej rutyny. Ona siedziała przy stole, on stał za ladą. Dziewczyna udawała, że szyje, ale nie zrobiła przez godzinę ani jednego ściegu. Zastanawiała się, analizowała, próbowała zrozumieć reakcję własnego ciała na dotyk Kamiennego Człowieka. Najwyraźniej powinna jeszcze raz przeczytać *Naukę o nowym życiu* doktora Cowana. A szczególnie rozdział *Sztuka kochania: używanie i nadużywanie technik miłosnych*. Dlaczego ciągle myślała o tym głupim pocałunku? I co, na litość boską, sprawiło, że zapytała o niego Kamiennego Człowieka? Az jęknęła w duchu. Ilekroć przypomiwała sobie swoje pytanie, miała ochotę nawymyślać sobie od idiotek. Co ją napadło? Niemal słyszała własne słowa: *Pomyślałeś o naszym pocałunku?*

O, Boże!

- Proszę, proszę. Czyżby to byli moi ulubieńcy? Jak się macie? - Dobiegł ich znajomy głos.

- Ojciec Michaels! Jak się ojciec miewa?! - zawołała Devon.

Odłożyła tamborek do haftowania i podbiegła do księdza. Garbaty mężczyzna pozwolił zaprowadzić się do stołu.

- Skrzypię jak skrzypce, moje dziecko. Dziękuję, że zapytałaś.

Dziewczyna nalała mu kubek gorącej kawy i podała ciastko z brzoskwiniami z puszki. Ksiądz odsunął je od siebie.

- Nie, moje dziecko, nie mogę kupić ciastka, nie mam pieniędzy. Zostawcie smakołyki dla tych, którzy płacą.

- Zjedz, proszę, ojcze. - Devon usiadła obok księdza i ujęła obie jego dłonie.

- To by nie było w porządku.

- To nasze ciastka, ojcze, a my możemy je dać, komu chcemy. Prawda, Kamienny Człowieku?

- Jasne. Chcemy, ojcze, żebyś zjadł to ciastko. A nawet dwa. Devon przeszedł dreszcz. Wyprężyła się jak struna. Powiedział: my. My, czyli: moja współniczka i ja.

- Dziękuję, współniku.

Kiwnął głową. Spojrzeli na siebie przez całą długość namiotu. Bezwiednie wstała i ruszyła w jego stronę. Nie mogła oderwać wzroku z jego twarzy. Zatrzymała się przed ladą.

- Wiesz, Kamienny Człowieku... - Zauważyła, że się wzdrygnął, i zamarła.

- Co?

- Moglibyśmy zostać partnerami. - Odważyła się dokończyć zdanie.

- Powiedziałem tylko, że ksiądz może zjeść ciastko. Nie wyciągaj z tego zbyt daleko idących wniosków.

- To było coś więcej, i doskonale o tym wiesz. Powiedziałeś: my.

- Przejęczyłem się.

- Nie.

- Dobrze, powiedziałem to i wiedziałem, co mówię. Postaraj się, żebym nie pożałował tych słów. - Odsunął z oczu kosmyk włosów i westchnął.

- Postaram się. Prawdę mówiąc, mam zamiar uczynić cię bardzo, bardzo szczęśliwym. - Uśmiech zaigrał wokół jej ust.

- I tego właśnie się boję - jęknął.

Odwracając się, zauważyła, że mały, stojący obok wagi szklany słoik jest pusty. Przypomniała sobie wydarzenia tego dnia. Pomiedzy grą w pokera a wieszaniem szyldu wypowiedziała setki słów. Spojrzała na Kamiennego Człowieka.

- Gdzie są zapalki?

- Znikły. - Skrzywił się zakłopotany.

- Znikły? Co to znaczy?

- To znaczy: znikły i do diabła z nimi! Przyzwyczailem się do twojej paplaniny. Ale jeśli zaczniesz robić koło tego za wiele hałasu, zapalki wrócą do łask.

Devon usłyszała śmiech ojca Michaela. Musiała mocno zagryźć dolną wargę, żeby się nie rozeźmiać. Tylko największym wysiłkiem woli zdołała zachować kamienną twarz; nawet najmniejsza isierka triumfu nie zabłysła w zielonych oczach. Wiedziała, że nie wolno jej wprawić współnika w zakłopotanie. Nie teraz, kiedy wszystko zmierza we właściwym kierunku.

- Nie będę robić koło tego hałasu - powiedziała tylko.

12

Midas Magowin wpatrywał się w szyld zwężonymi w wysiłku, małymi jak paciorki, ciemnoszarymi oczkami. ŚWIEŻE WYPIEKI, CIASTKA, HERBATNIKI. PRZY RACHUNKU POWYŻEJ 10\$ CIASTKO GRATIS... Zdrętwiał. Co znaczy to słowo? Skrzywił się.

- Przekłeta baba! - mruknął pod nosem. Kto, jej zdaniem przeczyta ten szyld? Jakaś podobna do niej, przemądrzała belferka?! Zawołał Kopacza i Dryblasę. Wpadli z impetem do namiotu, kierując się wprost do ciepłego piecyka i głośno waląc buciorami w drewnianą podłogę. Midas przysunął sobie najbliższy stojący stół i usadził na nim kościsty tyłek. Jego oczka szybko omiotły całe pomieszczenie, ale nigdzie nie było ani śladu małej kobietki. Pewnie wymalowuje następne różowitkie napisy na swojej bieliźnie.

- Hej, Kamienny Człowieku, gdzie ta dziwka? - zapytał, wyciągając z kieszeni kapoty butelkę gorzały.

Devon, ukryta pod ladą, którą właśnie odkurzała, znieruchomiała i czekała bez tchu na odpowiedź współlnika.

- Wynoś się, Midasie - odpowiedział Kamienny Człowiek po długiej chwili.

Devon westchnęła rozczarowana i oparła czoło o świeżo wyszorowaną półkę. Kiedyż on wreszcie stanie w jej obronie?

- A co to za sposób traktowania klienta, Kamienny Człowieku? Przyszedłem po darmowe ciastko. I gdzie je masz?

- Nie ma żadnych ciastek za darmo. Zabierz swój chudy tyłek z mojego stołka i spadaj.

Zmęczona Devon podniosła się z podłogi i wyszła zza lady.

- Są ciastka gratis, Kamienny Człowieku, ale jako dodatek do rachunku - wyjaśniła spokojnie.

- Na szyldzie jest co innego! - wrzasnął Midas.

- Naprawdę? - Dziewczyna popatrzyła na starego złoźnika.

- Naprawdę, do diabła! Szyld mówi o ciastkach gratis.

- Mówi o ciastkach dodawanych gratis do dziesięciodolarowego rachunku.

- To jakiś chwyt reklamowy! A ty, Kamienny Człowieku, akceptujesz jakieś babskie wymysły? - Midas pozezował małymi oczkami na właściciela sklepu.

- Nie sądzę, aby to była kwestia płci, Midasie. Szyld jest jasny i zrozumiały.

- Ta cholerna baba nie umie nawet namalować porządnego szyldu! - Midas skrzyżował żylaste ręce na piersi, wojowniczo wysunął brodę naprzód i popatrzył ponuro na Devon.

- A wiesz, Midasie, moim zdaniem, szyld jest w porządku. Co prawda dopiero teraz dowiedziałem się, co tam jest napisane, ale jest niezwykle... kolorowy - wtrącił Kopacz Haines.

- A Niedźwiedź wczoraj mówił, że szyld bardzo ożywił osadę. - Dryblas nieśmiało uśmiechnął się do Devon.

- Naprawdę tak powiedział? - Ich dobroć złagodziła nieco przygnębienie dziewczyny.

- Niedźwiedź jest głupi jak całe stado baranich łbów! - Midas pociągnął nosem z dezaprobatą.

Kamienny Człowiek rzucił Devon spojrzenie mówiące: nie przejmuj się tym starym pierdołą. Starła się nie przejmować.

Podeszła do pieca, owinęła rękę rąbkiem fartucha i zdjął z płyty dzbanek kawy.

- Czy ktoś ma ochotę?
- Ja poproszę! Kopacz z zapalem kiwnął głową.
- Co się dzieje nad Bonanza Creek? - zapytała, wlewając gorący płyn do kubka.
- Nie wiem, ale słyszałem, że złoto już się tam skończyło. Jeśli chcesz znać moją opinię, to ta działka George'a aż do wzgórza nie jest warta funta klaków, to gówno - wymamrotał Kopacz, siorbiąc kawę.
- To samo mówił Midas, panno Devon - wtrącił Dryblas.
- Tak? A dlaczego? - spytała, żeby podtrzymać rozmowę.
- Nie twoja sprawa! Niedobrze mi się robi, jak widzę te twoje przemądralne babskie próby włączenia się w tutejsze życie. Coś ci powiem. Nie pasujesz tu i nigdy nie będziesz pasować. Nigdy! - wybuchnął Midas.

Devon zbladła i odruchowo cofnęła się krok. A może on ma rację, pomyślała zrozpaczona. Czowała instynktowną, prawie przemożną potrzebę, żeby podbiec do Kamiennego Człowieka, wtulić się w jego silne ramiona i znaleźć w nich pocieszenie. Oczywiście, nie ruszyła się z miejsca, bo nie wiedziała, jak się szuka pocieszenia. Przez całe życie to ona pocieszała innych, była opoką, dającą innym wsparcie. Stara, dobra, rozsądna Devon. Nie wiedziała teraz, jak odwrócić role. Pomyślała, że Kamienny Człowiek z pewnością równie mało wie o pocieszaniu strapionych jak ona o szukaniu pocieszenia. A nie było tu nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić, nikogo, w czyje ramiona tak dobrze byłoby się schronić.

- Nigdy! - powtarzał Midas zawzięcie.
- Stul pysk, Midasie! Nie masz prawa tak mówić do mojej współniczki! - Stanowczy głos Kamiennego Człowieka zagrzmiął w namiocie jak wystrzał armatni.

Mojej współniczki! Kolana ugięły się pod Devon, serce waliło jak młotem, a tzy dusiły w gardle. Zrobił to! Stała!

w jej obronie. Poszukała go wzrokiem. Patrzył na nią, a w jego oczach, o dziwo, była czułość. Czułość, która ogrzała jej serce.

- Nie pozwól mu się zranić - odczytała z ruchu jego warg. To poparcie wystarczyło jej w zupełności. Dumnie podniosła głowę i pomaszerowała do stołu. Stała przed pokręconym staruchem, wyjęła butelkę gorzały z jego kościstej ręki i postawiła na stole.

- Hej, nie możesz...

- Owszem, mogę. I im szybciej to do ciebie dotrze, tym lepiej dla nas obojga. To mój sklep i mam takie samo prawo do życia na terytorium Jukonu jak ty. - Devon wbiła w niego twarde, lodowate spojrzenie.

- Nie masz żadnych praw! - Zerknął na dziewczynę z ukosa. Zbliżyła się i przygwoździła go spojrzeniem.

- Mam wszelkie prawa. Jestem teraz obywatelką Jukonu i mam być traktowana tak jak wszyscy inni mieszkańcy tej okolicy. Chcę, żeby dano mi święty spokój.

Midas przełknął z trudem. Wystające jabłko Adama wędrowało w górę i w dół po jego żylastej szyi. Patrzył na dziewczynę oczami płonącymi wrogością jak szkolny zabijaka, który napotkał równego sobie przeciwnika.

- Zapędziła cię w kozi róg, Midasie - powiedział Kopacz Takie prawa obowiązują na terytorium Jukonu i musisz ich przestrzegać. My, Jukończycy, nie prześladowujemy się nawzajem. Gdybyśmy chcieli, żeby ktoś wtykał nos w nasze sprawy, mieszkalibyśmy w San Francisco czy w Bostonie.

Midas zerwał się na równe nogi. Wyrwał Devon swoją drogocenną flaszkę i przycisnął do zapadniętej piersi. W jego oczach płonęła nieskrywana nienawiść.

- Chcesz, żebym cię zostawił samej sobie, kobieto? Dobrze. Nie zbliżyłbym się do ciebie nawet, żeby cię wyciągnąć z ognia. I nie ruszę twojego ciastka, choćbym miał umrzeć z głodu. Chodźcie, chłopaki - zwrócił się do Kopacza i Dryblasa.

- Chyba tu jeszcze przez chwilę posiedzę. Kopacz uśmiechnął się od ucha do ucha, aż jego żółte zęby zaślniły w popołudniowym słońcu niczym złoto.

- Idziesz, Dryblasie? - warknął Midas.

- Ja... ja chyba też zostanę. - Dryblas uparcie wpatrywał się we własne dłonie.

- To zostańcie i niech was szlag trafi! - wrzasnął Midas i wypadł jak burza z namiotu.

Devon uśmiechnęła się oszołomiona. Kamienny Człowiek stanął w jej obronie! Odważyła się znowu na niego zerknąć. Nie spuszczał jej z oka. Czowała jego spojrzenie, ciepłe jak syrop klonowy. W głębi złotych oczu błyszczała duma. Powoli skinął jej głową z aprobatą. Ten milczący gest trafił wprost do serca dziewczyny. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ktokolwiek był z niej dumny. Największym jej marzeniem w dzieciństwie było zobaczyć taki wyraz w oczach ojca.

Posłała Kamiennemu Człowiekowi promienny uśmiech. Odwzajemnił go i Devon aż zachłysnęła się z radości. Z największym wysiłkiem oderwała wzrok od współnika i zwróciła się do Dryblasa i Kopacza:

- No, chłopcy, opowiedzcie mi o Bonanza Creek. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co się tam dzieje.

- O rany, panno Devon, w tym głupim strumieniu po prostu nie ma złota! - Dryblas wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak? A dlaczego?

- Dolina jest zbyt szeroka...

- Wierzby pochylają się w złym kierunku...

- Wszyscy wiedzą, że złotodajna działka George'a jest na złym brzegu rzeki Jukon...

Devon bezskutecznie starała się skoncentrować uwagę na teoriach mężczyzn. Po paru minutach zrezygnowała z usiłowań. Mogła myśleć wyłącznie o oczach Kamiennego Człowieka i o tym, jak skinął jej głową w milczącym uznaniu. W tej jednej chwili, w krótkim jak mgnienie oka momencie, Devon

udało się zajrzeć do duszy mężczyzny, starannie ukrywanej za brudną fasadą. W jego oczach był ból i, co ważniejsze, zrozumienie. Zrozumienie tego, co znaczy być odrzuconym.

Ojciec Michaels miał rację. Pod brudnym, odstręczającym zewnętrznym pancerzem Kamienny Człowiek ukrywał samotne zbolełe serce.

Takie samo jak jej własne.

Po zamknięciu sklepu Devon wyszła z ciepłego namiotu. Jej oczy musiały przyzwyczajać się przez chwilę do panującego na ulicy mroku. Spojrzała na lewo. Wiatr szarpał jesiennymi złocistymi liśćmi osikowego zagajnika, których jaskrawe barwy przyćmiła już nadciągająca noc. Na przeciwnym krańcu ulicy nowy tartak i saloon Joego Ladue ostro odcinały się na tle ciemnego jak węgiel drzewny nieba. Szyby okien srebrzyście lśniły w księżycowej poświacie.

Zimny wiatr ze wzgórz wdarł się z wyciem na główną ulicę. Dziewczyna owinęła się ciasniej wełnianym płaszczem, dziękując w duchu Kamiennemu Człowiekowi, że radził jej dziś ciepło się ubrać. Znów miał rację; jesień przeradzała się już w zimę. Noce stawały się coraz dłuższe i chłodniejsze.

Zmarszczyła czoło na myśl o Kamiennym Człowieku. Dziwnie się zachowywał dziś po południu i ta zmiana ją dotknęła. Po tym jak stanął w jej obronie w starciu z Midasem, popadł w głębokie milczenie. Patrzył na nią, ale ani się do niej nie odezwał, ani nie uśmiechnął. Spoglądał jakoś inaczej niż dotychczas. Jakby zobaczył ją w zupełnie innym świetle. Patrzył naprawdę dziwnie. A jeszcze dziwniejsze było to, że zostawił ją samą. Jak tylko Dryblas i Kopacz wyszli, wymamrotał, że ma coś do załatwienia, i opuścił sklep.

Devon energicznym krokiem ruszyła do domu. Namiot był pusty i ciemny. Wymacując drogę wzdłuż półek z książkami,

odwiesiła płaszcz i szybko rozpałała ogień. Piecyk w kilka minut ogrzał chłodne nocne powietrze. Dziewczyna zapaliła lampę naftową i postawiła na stole. Złote światło wyrwało z ciemności niewielki krąg. Położyła na stole talerze i nakrycia, włożyła fartuszek i wzięła się za gotowanie kolacji.

Kamienny Człowiek cicho podszedł do namiotu. Zatrzymał się przy drzwiach i wpatrywał w klamkę. Boże, czuł się jak idiota. Dlaczego, u licha, to zrobił? Odwrócił głowę i zacisnął zęby, aż ostro zarysowały się kości szczęki. Zmarszczył czoło i się zaczerwienił. Sam się wystawił na pośmiewisko. Zacisnął powieki, przekonany, że Devon za chwilę zarzuci go pytaniami. Cholera!

Za późno, żeby zawrócić. Wyprostował się, podniósł głowę i wziął głęboki oddech. Niebieska flanelowa koszula napięła się na potężnej klamce piersiowej. Szybko nacisnął klamkę, zanim zdążył się rozmyślić. Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły w palik. Namiot zadygotał. Wilgotna czerwona skarpetka spadła na podłogę.

Zobaczył plecy Devon. Stała przy piecu. Wszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Wróciłeś do domu! - zawołała.

Zesztywniał i mocno zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki. Mimowolnie stanął w postawie obronnej, mocno wparł nogi w podłogę, zwieszane wzdłuż boków ręce zacisnął w pięści, a głowę podniósł.

Devon głośno odłożyła metalową pokrywkę na garnek i odwróciła się w stronę mężczyzny, przeczesując palcami włosy.

- Jestem taka... och! - Zamarła i zakryła dłonią usta. W namiocie zapadła ciężka do zniesienia cisza. - Kamienny Człowiek? - zapytała tak cicho, że ledwie słyszał jej głos. Skinął tylko głową, bo tak zaschło mu w gardle, że nie mógł wydobyć głosu.

Devon opuściła rękę, którą zasłaniała usta, i zrobiła jeden niepewny krok w stronę mężczyzny.

- To naprawdę ty?

Obliział usta. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie marzył, żeby zapaść się pod ziemię. Zmobilizował całą odwagę, żeby nie uciec. Stał jak wrośnięty w podłogę. Czuł się jak eksponat w słynnym panoptikum potworów Phineasa Taylora Barnuma.

- To ja, ale nie zwracaj na mnie uwagi. Proszę.

- Mogę powiesić twoją kurtkę? - Miękki uśmiech błąkał się na wargach Devon.

Kamienny Człowiek zacisnął powieki i podziękował w duchu dziewczynie. Kiedy otworzył oczy, napotkał jej spojrzenie. Stała tak blisko, że widział małe, cynamonowe piegi na jej nosie, czuł subtelny zapach ubrania. Pachniała jak letnia noc. delikatnie, kwiatowo i bardzo obiecująco.

- Co jest na kolację? - zapytał chrapliwym głosem. Zdjął kurtkę i podał ją dziewczynie. Ich oczy znowu się spotkały. Szybko odwrócił wzrok.

- Gulasz z karibu, brzoskwinie z puszki i grzanka. Jak zwykle. Nie wiedziałam, że dzisiejszy wieczór będzie... szczególny.

- Bo nie będzie. Po prostu ogoliłem się i wykapałem. Nie ma o co robić hałasu. Zawsze się gołę przed nadejściem zimy -mruknął.

- Z tego, co słyszałam, zima się zacznie za trzy tygodnie.

- Jest kawa? - Zmienił temat.

- Oczywiście. Usiądź. - Podeszła do piecyka i oszczędnymi, pełnymi gracji ruchami, które przypominały mu jastrzębia unoszącego się na skrzydłach wiatru, nałala dwa kubki napoju.

- Nieźle wygląda - mruknął, kiedy nałożyła gulasz na dwa blaszane, emaliowane talerze.

- Dziękuję. - Płynnym ruchem postawiła na stole jedzenie. Po obu stronach gulaszu leżały połówki brzoskwiń, a na wierzchu grzanka. Usiadła.

Kamienny Człowiek spojrział na swój talerz. W gęstym,

brunatnym sosie dostrzegł marchewkę, cebulę i ziemniaki. Pachniało wspaniale! Ślina napłynęła mu do ust i zaburczało w brzuchu. Złapał łyżkę, ale się zatrzymał. Nie! Przygotował sobie plan i musi go zrealizować. Tylko ten jeden raz; jeden, jedyny raz i będzie mógł wrócić do swoich przyzwyczajzeń. Położył obie dłonie na kolanach i cierpliwie czekał, żeby Devon zaczęła jeść pierwsza.

Dziewczyna wyjęła leżącą pod widelcem serwetkę, rozłożyła ją i wygładziła na kolanach.

Kamienny Człowiek skrzywił się. Teraz albo nigdy. Wziął w dwa palce śnieżnobiałą wykrochmaloną serwetkę i ją strzepnął. Widelec z brzękiem uderzył o stół. Mężczyzna znieruchomiał i spojrzał na dziewczynę.

Devon nie podniosła oczu znad swojego talerza. Pewnie nie mogła się zdecydować, od której jarzyny zacząć jedzenie. Kamienny Człowiek znów sięgnął po serwetkę. Tym razem udało się i rozłożył ją na kolanach jak białą flagę. Odetchnął z ulgą. Akcja się powiodła.

Przyglądał się, jak Devon niezwykle delikatnie podnosi łyżkę i nabiera odrobinę gulaszu. Włożyła ją do ust i jadła bezgłośnie. Kto to słyszał, żeby jeść gulasz bez mlaskania? Dzięki Bogu, że to tylko jeden wieczór! Zaczął jeść, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu.

Devon poczuła, że fala ciepła ogarnia całe jej ciało. Kamienny Człowiek starał się naśladować jej maniery! Cóż, nie szło mu najlepiej (prawdę mówiąc - fatalnie), ale się starał. Naprawdę się starał! Spojrzała przez stół i napotkała jego spojrzenie. Oblała ją fala gorąca, ale po chwili wbił oczy w swój talerz.

Chciał, żeby udawała, że nic się nie zmieniło. Był skrępowany własnym zachowaniem i pragnął, żeby dziewczyna je zignorowała. Ale czy mogła?

Pięściła spojrzeniem napiętą na ramionach i klatkę piersiowej niebieską flanelową koszulę. To była taka przyjemność zobaczyć go w czymś innym niż zniszczony beżowy łach, który stale

nosił. Oczy Devon przylgnęły do skrawka nagiej, opalanej skóry, widocznej w otwartym kołnierzyku. Skóra wydawała się ciemniejsza, bo była porośnięta kędzierzawymi czarnymi włosami. Dziewczyna zastanawiała się, jakie są w dotyku. Miękkie? Sprężyste? Rumieniec wypłynął jej na policzki, wywołany tymi niegodnymi damy rozmyślaniami.

Migotliwe światło lampy naftowej złociło jego włosy. Opuszczone rzęsy rzucały bursztynowe cienie na opalone policzki. Właściwie był przystojny! Bez przetykanej siwizną brody wydawał się o dziesięć lat młodszy. Oczy Devon przesuwają się po czystych, wyrazistych liniach szczęki, po orlim nosie, aż dotarły do najpiękniejszych ust, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Do ust, które kiedyś całowały jej wargi...

- Czemu się tak przyglądasz? - spytał niskim, chrapliwym głosem.
- Niczemu. Chcesz ciasta? - Szybko odwróciła wzrok.
- Nie, dziękuję. - Podniósł serwetkę do ust. Przyglądała mu się, kiedy wycierał wargi, i poczuła, że przez

jej ciało przepływają wraz z krwią jakieś dziwne emocje. Wydawało jej się, że jest tak lekka, iż mogłaby płynąć w powietrzu. Tak bardzo się starał!

Ale dlaczego? - pomyślała nagle. Dlaczego tak się zmienił?

- Dlaczego? - szepnęła.

Kamienny Człowiek czuł, że powinien na nią spojrzeć. W jej głosie było tyle bólu, tyle tęsknoty. Ich oczy się spotkały. Siedzieli w złocistym kręgu drżącego światła lampy naftowej. Za plecami Devon nie istniało już nic; ciemna pustka. Świat kończył się na nich dwojgu. Mężczyzna zatonał w oczach kobiety.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie.

Oblizwał usta. Miała prawo wiedzieć, a on z niewiadomych przyczyn chciał jej to powiedzieć. Ale odpowiedź: Bo nie zasłużyłaś na atak Midasa, zamarła mu na ustach. Po latach milczenia trudno mu było zdobyć się na powiedzenie tych kilku

słów. Odślonięcie się zawsze było błędem. Już bardzo dawno temu nauczył się, że lepiej ukrywać myśli i marzenia. Szczególnie przed kobietami.

Już prawie zima, a ja nie znoszę sopli w wężach i brodzie.
-Wzruszył ramionami.

- A ja myślałam... - Uśmiech zniknął z twarzy Devon.

Kamienny Człowiek poczuł się niewyraźnie, widząc rozczarowanie dziewczyny. Tchórz! A niech to diabli! Przecież zaplanował ten wieczór dla niej, chciał ofiarować jej choć trochę tego ciepła, które ona dawała jemu. Więc dlaczego, kiedy nadszedł czas, żeby jej to udowodnić, na przykład mówiąc prawdę, wycofał się do bezpiecznej strefy izolacji?

- Nie, to nieprawda - wyrwało mu się.

- Co? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Marzył, żeby mieć teraz brodę, którą mógłby szarpać i która ukryłaby rumieniec, wypływający na policzki. Przyszedł czas, żeby powiedzieć jej prawdę. Żeby jej coś wyznać, a nie robił tego, odkąd skończył siedemnaście lat. Żeby wyznać, że mu na niej zależy.

- Ogoliłem się i w ogóle, bo pomyślałem, że po zachowaniu Midasa możesz potrzebować pociechy. Nie miał prawa tak na ciebie wrzeszczeć i... no, cóż, wiem, że przywiązujesz wagę do takich drobiazgów, i ja...

- Tak? - próbowała mu pomóc.

- Nie chciałem, żebyś się podle czuła.

Devon poczuła, że dławią ją łzy. Przelknęła ślinę, żeby pozbyć się guli z gardła. Zrobił to dla niej. Dla niej! Po raz pierwszy w życiu poczuła się kimś ważnym.

Zauważyła rumieniec na policzkach mężczyzny i jej duszę wypełniła bolesna niemal czułość. Kamienny Człowiek był tak wysoki i tak z pozoru szorstki, ale w głębi duszy był równie przerażony i wrażliwy jak ona.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- I dzięki Bogu. Pozmywajmy naczynia. - Zerwał się

od stołu. Zdjął z haczyka za piecem dużą miednicę do zmywania, nalał do niej przegotowanej rzecznej wody z beczki stojącej w rogu namiotu i postawił na stole. Dolał garnek gorącej wody, wrzucił kostkę mydła ługowego i tak długo je mydlił, aż woda zabarwiła się na szaro. Zebrał ze stołu brudne blaszane naczynia i włożył je do miednicy. Szarawa woda przelała się przez brzeg i utworzyła na obrusie ciemną, dużą plamę.

- Przepraszam. - Rzucił na Devon niepewne spojrzenie.

- Odrobina wody to naprawdę nie problem. Chcesz dzisiaj pozmywać?

- Tak.

Devon wzięła ścierkę do wycierania i stanęła obok niego. Patrzyła na miednicę, zafascynowana szybkimi, pewnymi ruchami rąk mężczyzny. Trochę białej piany osiadło na porośniętej drobnymi ciemnymi włoskami ręce i powoli spływało do wody.

- Czy mogłabyś wziąć ode mnie ten talerz, zanim ręce pomarszczą mi się jak suszone śliwki? - W jego głosie brzmiał tłumiony śmiech, którego Devon jeszcze nigdy nie słyszała.

- Przepraszam. - Zachichotała.

Zmywali i gawędzili o drobiazgach, o minionym dniu, o Jukonie, o szaleństwie, które sprawia, że dorośli mężczyźni porzucają dla złota domy i dotychczasowe życie. Jeszcze nigdy tak często w tym namiocie nie rozbrzmiewał śmiech. Devon pierwszy raz w życiu czuła się tak wspaniale. Wydawało się, że proste wyznaczenie, że mu na niej zależy, wyzwoliło Kamiennego Człowieka. Jego chłodny dystans i izolacja, podyktowane obawą przed zranieniem, znikły jak ręką odjął. Był jej współnikiem, jej przyjacielem.

Dziewczyna niechętnie wytarła ostatni kubek w obawie, że kiedy skończą wspólną pracę, nastrój pryśnie. Musiała wymyślić coś, co by ich łączyło. I to szybko.

Kamienny Człowiek podniósł miednice i ruszył w stronę drzwi. Pobieгла za nim.

- Dokąd idziesz?

- Do spizarni - odpowiedziała i zniknęła w niewielkim, krytym płótnem pomieszczeniu. Wróciła do namiotu po niespełna minucie z małym zielonym pudełkiem przyciśniętym do piersi.

- Co knujesz?

- Zaraz zobaczysz. - Szybko nastawiła wodę do gotowania i na rozgrzaną do czerwoności płytę piecyka postawiła dużą żeliwną patelnię. Wrzuciła do niej kawał tłustego boczku, a kiedy zaczął skwierczeć, wzięła za rękę Kamiennego Człowieka i poprowadziła w stronę łóżka.

- Usiądź tu. Te cholerne krzesła są piekielnie twarde i...

- Nie musisz się tłumaczyć. Wystarczy powiedzieć, że coś sobie zaplanowałaś i mam ci nie wchodzić w drogę. Mam usiąść tutaj?

Przytaknęła. Oparł się o zagłówek i z lekkim uśmiechem na ustach obserwował oszczędne ruchy Devon. Po chwili usłyszał trzaskanie prażonej w dużym garnku kukurydzy. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dziewczyna przygotowywała dla nich ucztę!

Wsypała prażoną kukurydzę do starej czerwonej puszki po kawie, przygotowała dwa kubki parującej herbaty z mlekiem i zanosła to wszystko ostrożnie do łóżka. Podała Kamiennemu Człowiekowi kubek, a puszkę postawiła obok niego. Siedzieli obok siebie na łóżku jak dwoje podlotków, popijając herbatę i gawędząc o wszystkim, od pogody poczynając, a na najnowszych wynalazkach kończąc. O wszystkim, tylko nie o nich obojgu.

Nie minęła godzina, a do namiotu wkraść się chłód. Nawet piecyk nie był w stanie ogrzać zimnego powietrza. Kamienny Człowiek bez słowa wstał z łóżka i wyjął czarny futrzany koc z szafki, stojącej obok półki z książkami. Wrócił na miękki

materac, okrył Devon aż pod brodę i starannie otulił ramiona dziewczyny.

- Przecież ty też musisz się przykryć. Przysuń się do mnie, to zmieścimy się pod kocem oboje - powiedziała.

Przysunął się i naciągnął koc także na siebie. Devon odwróciła się i przytuliła twarz do męskiego torsu. W drżącym świetle lampy naftowej jej skóra była złocista, a oczy prawie czarne. Wydawało się czymś najzupełniej naturalnym, że Kamienny Człowiek otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie. Położyła mu głowę na ramieniu. Wdychał świeży zapach czystych włosów dziewczyny. Oparł się o zagłówek łóżka, pociągając Devon za sobą.

- O czym ci teraz opowiedzieć? Może o dziwnym telegrafie bez drutu pana Marconiego? - zapytała cicho.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Chciałbym posłuchać opowieści o szczęściu - odpowiedział po chwili zastanowienia.

- W takim razie źle wybrałeś temat.

Kamienny Człowiek poczuł, że ciało dziewczyny zeszytywniało. Leżał bez ruchu. Z niewiadomych przyczyn był zawsze przekonany, że życie Devon upływało jak w pięknej baśni. Mała panna Doskonańska. Czyżby, jak on, zaznała cierpienia? Zaniepokoił się. Położył rękę na głowie kobiety i bezwiednie odgarnął jej włosy z twarzy. Nie chciał pytać o coś tak intymnego jak cierpienie. To nie jego sprawa.

Znieruchomiał, bo nagle uświadomił sobie, że chce, aby to była jego sprawa. Chciał stać się częścią życia Devon. Nie próbował tego analizować, po prostu zaakceptował ten fakt. Wiedział, że następnego dnia będzie pewnie tym przerażony, ale teraz, po raz pierwszy w życiu, naprawdę zapragnął poznać drugiego człowieka aż do głębi.

- Chcesz o tym porozmawiać? zapytał.

- Tak, chyba tak - odpowiedziała po długim zastanowieniu.

13

Devon sama nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. Co w nią wstąpiło? Nigdy nie mówiła o swojej przeszłości. Nawet o niej nie myślała. A przynajmniej starała się nie myśleć. A może przez te wszystkie lata czekała, żeby ktoś o to zapytał? Jako dziecko unikała mówienia o swoim życiu, bo sprawiało jej to ból. Zawsze udawało jej się uchronić Colleen przed ojcem i w rezultacie siostra nie zauważała jego paskudnego zachowania i nie pytała o nie. Ani nikt inny. Pewnie dlatego, że to Devon zawsze opiekowała się innymi, to ona rozwiązywała ich problemy. Stara dobra, rozsądna Devon. Ona na pewno nie ma żadnych problemów.

Przyłgnęła do Kamiennego Człowieka. Kiedy wtulała się w jego ramiona, przeszłość wydawała się mniej groźna, mniej przerażająca. To była jej szansa. Tu, w jego silnych ramionach, mogła oczyścić duszę i szukać uzdrowienia. Mogła sobie pozwolić na słabość.

Boże, jak ona pragnęła po raz pierwszy się odprężyć! A jednocześnie obawiała się tego. Już wiele lat temu zepchnęła wspomnienia głęboko na dno serca. Jeszcze nigdy nie wydobyła ich na światło dzienne i nie spojrzała na nie oczami dorosłego

człowieka. Teraz bała się wydobyć je z ukrycia, bała się, że jeśli zacznie płakać, to nie będzie mogła przestać.

Odgarnęła włosy z twarzy. Ciepło, bijące od Kamiennego Człowieka, dodawało jej siłę, łagodziło obawy. Boże, dopomóż, pomyślała, muszę otworzyć tę moją puszkę Pandory... Głośno odetchnęła, wysunęła się z ramion mężczyzny i spojrzała na niego z góry.

- Jeśli opowiem ci o moim ojcu, o moim dzieciństwie, czy możesz obiecać, że nie będziesz mi przerywać? Myślę, że jeśli przerwę, nie będę w stanie znowu zacząć. Muszę powiedzieć wszystko albo nic.

- Ja? Mam ci nie przerywać? - Kamienny Człowiek uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Devon ponownie się do niego przytuliła, przygotowując się psychicznie do ciężkiej próby, jaką miało być dla niej mówienie o ojcu. Pomyślała, że będzie jej łatwiej, jeżeli zdoła zachować dystans. Jeśli będzie udawać przed sobą, że opowiada o cudzym życiu, a nie o własnym, to wystarczy tylko wypowiadać słowa, przytulić się do Kamiennego Człowieka i wszystko będzie dobrze.

- Mój ojciec był kiedyś dobrym człowiekiem, przynajmniej tak twierdziła mama. Byli bardzo młodzi, kiedy się spotkali, nie mieli jeszcze dziewiętnastu lat. Pobrali się dla żartu. Ojciec pewnie chciał ją tylko zaciągnąć do łóżka, ale ją, która była prawdziwą damą, można było doprowadzić do łóżka tylko przez ołtarz. Oczywiście, nie wiedziała, jak wielki błąd popełnia. Wiedziała tylko, że Paddy O'Shea jest najprzystojniejszym i najweselszym mężczyzną, jakiego spotkała. Zakochała się w nim po uszy. Wszystko szło jak po maśle, dopóki nie zaszła w ciążę.

Devon z całej siły zacisnęła pięści. Wargi jej drżały. Opowiadasz cudzą historię, powtarzała sobie w duchu.

- Paddy nie chciał zostać ojcem. Mówił, że nie chce tej odpowiedzialności i wydatków. Żądał, żeby mama „coś z tym zrobiła”. Wiem o tym, bo powtarzał mi to przy każdej okazji.

Dziewczyna nie chciała rozwodzić się nad tym bolesnym dla niej tematem i szybko przeszła do dalszego ciągu opowieści.

- Na trzeźwo nie był taki zły. Był bardzo... zorganizowany. Lubił porządek. Zawsze strasznie się starałam odkładać każdą rzecz na właściwe miejsce. Ale ilekroć ojciec wracał do domu, zawsze kazał mi wszystko przestawiać. Mawiał, że dobra córka powinna wiedzieć, gdzie co ma leżeć. Nigdy nie udało mi się być dość dobrą córką. A tak się starałam! - Jej głos zdrzął.

Opowieść sprawiała jej straszny ból. Starła się go opanować, nie widząc powodu, żeby rozwodzić się nad czymś, czego nie można zmienić. Skoro zaczęła, musiała dokończyć, ale odezwała się znowu, dopiero kiedy udało się jej zapanować nad głosem.

- Oczywiście ojciec niezbyt często był pijany. Ale kiedy już był, zachowywał się wyjątkowo podle. Krzyczał, wył, wpadał w furję. I miał pas...

Pas... Devon nie chciała o nim mówić, nie chciała o nim myśleć. Ale nagle ojcowski pas stanął jej przed oczami i nie mogła odsunąć od siebie tego obrazu. Zaciśnięła powieki, rozpaczliwie starając się zapomnieć. Lecz wspomnienia napływały nieproszone: matka, sponiewierana na ciele i na umyśle; ona, wciśnięta w kąć, patrząca na to wszystko i tonąca we łzach, zawsze we łzach; twarz ojca, pijana i złośliwa, i pas. Zawsze pas.

Mimowolnie się wzdrygnęła. Kamienny Człowiek przytulił ją mocniej.

- Bił cię? - W jego głosie brzmiała wściekłość, nieomal furia.
- Prosiłam, żebyś nie przerywał.
- Bił cię?
- Nie bił mnie - odpowiedziała, czując, że Kamienny Człowiek będzie powtarzać pytanie, dopóki nie otrzyma odpowiedzi. Takiej odpowiedzi udzielała zresztą także samej sobie i była to prawda. Nigdy jej nie bił, chyba że za karę. Wtedy, kiedy nie była dobrą córką. Więc dlaczego na samą myśl o ojcu, żołądek zaciskał jej się w twardy, bolesny węzeł?

Wyklepała wielokrotnie powtarzaną odpowiedź, pomyślał Kamienny Człowiek. To proste zdanie rozdarło mu serce. Devon tak bardzo starała się panować nad sobą, być doskonałą. Ogarnęła go ślepa furia na myśl o człowieku, który nauczył córkę, że musi być doskonała, żeby zasłużyć na miłość.

Nie bił mnie. To automatycznie wypowiedane zdanie było tarczą, która miała powstrzymać jej analityczny umysł przed zgłębianiem tego tematu. Ale ból tkwił w niej nadal, ukryty pod cienką warstewką samokontroli, szczelnie zamknięty w skrzynce z napisem NIE OTWIERAĆ. Kamienny Człowiek wiedział o tym doskonale, bo miał trzydzieści dziewięć lat i taki sam ból ukryty na dnie serca.

Devon nie mogła do końca życia udawać, że nie została zraniona. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego tak go to obchodzi. Ale obchodziło. I to bardzo. Chciał jej pomóc. Lecz jak? W jego życiu nie było niczego, co mogłoby przygotować go do roli pocieszyciela. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy: mocniej przytulił dziewczynę.

Można uderzyć człowieka, nie używając pięści. Ale zapomnij już o tym, Dev. Jestem tu i zaopiekuję się tobą powiedział impulsywnie.

Wstrzymała oddech. Dziwne, ale mu uwierzyła. Pierwszy raz w życiu poczuła, że ktoś ją chroni.

- Ojciec mnie nienawidził! - Przeraziła się, usłyszawszy własne, cichuteńko wyszeptane słowa. Łzy popłynęły po jej policzkach. Płakała nad ojcowską miłością, której nigdy nie zaznała, nad matczyną opieką, bez której zawsze musiała się obywać, nad własnymi, tylekroć powstrzymywanymi łzami. Płakała, dopóki nie wypłakała wszystkich nagromadzonych w duszy łez. Dopóki nie poczuła się silniejsza. Uzdrawiona.

Wyjęła z kieszeni fartuszka haftowaną chusteczkę i wytarła nos. Niepewnie spojrzała na Kamiennego Człowieka. We wpatrzonych w nią oczach było tyle czułości, że zapało jej

dech w piersiach. Nagle z niepokojem pomyślała o swoim wyglądzie. Rozczochrane włosy wyglądały pewnie, jakby piorun w miotłę strzelił. A oczy! Boże, jej oczy przypominały niewątpliwie wysuszone przez słońce kałuże, suche, popękane i czerwone.

Odgarnęła włosy z twarzy i próbowała się uśmiechnąć.

- Wyglądałam się.
- Dziękuję, że mi zaufałaś - odpowiedział miękko. Devon znowu poczuła dławienie w gardle i łzy w oczach.

Nie zdołała wykrztusić słowa podziękowania. Gdyby się odezwała, popłynąłby kolejny potok łez. Poczula nagłe zażenowanie i szukała sposobu, żeby rozładować atmosferę. Odgarnęła włosy z oczu Kamiennego Człowieka, żeby zająć czymś ręce. Znalazła! Uklękła, wpatrzona w jego włosy.

- Mogę cię ostrzyć?

Uśmiechnął się. Sam nie wiedział, jakich słów się spodziewał, ale z pewnością nie takich! W jednej chwili Devon rozdrapywała rany, a w następnej wracała do porządkowania! Wzruszył ramionami. W tej chwili nie mógł jej niczego odmówić.

- Proszę.

Devon wyskoczyła z łóżka, rozpromieniona podbiegła do szafy i po chwili wróciła z parą dużych srebrzystych nożyczek.

- Usiądź tutaj. - Klepnęła w oparcie krzesła.

Wykonał polecenie, a dziewczyna owinęła mu wokół szyi ścierkę do wycierania naczyń.

- Do kołnierzyka, dobrze?
- Byle nie krócej! - Niespokojnie popatrzył na nożyczki. Przez chwilę w namiocie było słychać tylko metaliczny

dźwięk nożyczek i ciche trzaskanie lampy naftowej. Kamienny Człowiek siedział nieruchomo, tylko od czasu do czasu uderzał nogą w podłogę.

Devon przystąpiła do wyrównywania boków. Wsunęła się pomiędzy uda mężczyzny i wygodnie oparła lewą nogę na jego kolanie. Wyprostował się gwałtownie.

- Siedź spokojnie - zażądała.

Znieruchomiał, wpatrzony w miękko falującą między jego nogami spódnicę. Czuł przez grubą wełnę spodni ciepło kobiecego ciała. Przebiegł go dreszcz i ulokował się w kroczu. Znow się poruszył.

- Kamienny Człowieku, siedź spokojnie!

Czy rzeczywiście głos Devon był trochę ochryply, czy to tylko jego imaginacja? Czy dziewczyna też poczuła przyływ pożądania? Odchylił się do tyłu i natychmiast tego pożałował. Piersi Devon znajdowały się tuż przy jego twarzy, w odległości dłoni. Gwałtownie wciągnął powietrze, zatrzymał je w płucach, jak długo się dało, a potem powoli wypuścił. Jego oddech musnął rąbek obszytego koronką, śnieżnobiałego fartuszka.

Dziewczyna dotknęła miękkimi, delikatnymi palcami lewej ręki podbródka Kamiennego Człowieka, żeby unieść jego głowę. Nie poddał się, wpatrzony wprost przed siebie, w obwisły materiał namiotu. Był nie patrzeć na kobiece piersi.

- Podnieś głowę.

Niechętnie spełnił polecenie i spojrzał prosto na twarz Devon. Poczul, że tonie w jej oczach. Z największym trudem odwrócił wzrok. Bliskość dziewczyny podsuwała mu różne pomysły. Pomysły, które nie miały prawa przychodzić mu do głowy w odniesieniu do takiej kobiety jak ona. Oblał się zimnym potem. O czym on, do jasnej cholery, myślał? To nie była dziwka... To dama! I co, na Boga, ma zrobić mężczyzna, który zapragnie damy?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Nadbiegła!

Zerwał się na równe nogi, nadeptując na rąbek koronkowej halki Devon. W namiocie rozległ się trzask rozdieranej bawełny. Dziewczyna straciła równowagę i oparła się o tors Kamiennego Człowieka. Nożyczki upadły na podłogę, w stertę czarnych jak noc włosów. Zarzuciła mu rękę na szyję, żeby nie upaść. Poczul, że twarde jak kamyki sutki ocierają się o jego bawełnianą

koszulę. Wpatrywał się w sufit, walcząc o odzyskanie panowania nad sobą. Koncentrował się na każdym oddechu, żeby zmusić do uległości własne zdradzieckie ciało. Wyczuł, że Devon unosi głowę.

Boże... Chwycił dziewczynę za ramiona, żeby ją od siebie odsunąć, ale kiedy poczuł pod palcami miękkie kobiece ciało, jego samokontrola prysła jak bańka mydlana. Powoli, bardzo powoli przyciągnął Devon do siebie. Kiedy spojrzał w jej ogromne, pełne oczekiwania oczy, był zgubiony. W głębi jego umęczonej, surowej duszy pojawiło się coś ciepłego i jasnego, jakaś rosnąca nadzieja.

- Cornelius? - Jej głos był gardłowym pomrukiem, który spłynął w dół po jego sztywnym jak kij kręgosłupie niczym roztopione masło.

Devon wspięła się na palce, tylko centymetry dzieliły ich twarze. Męczyzna czuł, jak delikatny oddech dziewczyny łaskocze jego szyję. Jej usta były tuż-tuż...

Chciała, żeby ją pocałował, mały głuptasek.

Odkrycie, że on też tego pragnie, trafiło go jak piorun. Zaszło mu w gardle. Już nie pamiętał, kiedy pragnął pocałować kobietę. Miewał czasem ochotę na szybki numerek w łóżku, owszem, tak, ale na pocałunek? Taki głęboki pocałunek w usta, jak Bóg przykazał? Nigdy...

- Devon, nie bądź idiotką. Nie wiesz, do czego to prowadzi. - Kamienny Człowiek bez powodzenia próbował stłumić ostre, prawie desperackie nutki w swoim głosie.

Dziewczyna patrzyła na niebo bez mrugnięcia okiem. Nie miał racji. Chciała, żeby ją pocałował, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. Tylko w jego ramionach było jej wygodnie, bezpiecznie i ciepło, tylko w jego ramionach miała wszystko, co potrzebne do szczęścia. Wszystko, czego nigdy nie zaznała. Ale to już jej nie wystarczyło. Chciała więcej. Chciała, choćby jeden jedyny raz zaznać namiętności.

Wyciągnęła z włosów kilka niepotrzebnych już spinek.

Rozczochrany, zwinięty na czubku głowy koczek rozsypał się i ogniście rude loki opadły jej aż do pasa.

- Pokaż mi, do czego to prowadzi - szepnęła.
- Boże, Dev... - jęknął i ujął jej twarz w dłonie z delikatnością, o jaką się nie podejrzewał. Kciukami gładził aksamitną skórę policzków. Była tak cholernie miękka...

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego i spojrzała tak, że zabrakło mu tchu. Pochylił głowę, żeby ją pocałować. Stała na palcach i ich usta spotkały się w połowie drogi.

Kamienny Człowiek działał powoli, żeby nie przestraszyć Devon. Jego język przesuwiał się po jej zaciśniętych wargach, prosząc, nie żądając, dopóki powoli, nieśmiało nie otworzyła ust. To bezgłośnie zaproszenie sprawiło, że serce zaczęło mu walić w piersiach jak młotem. Objął ją jeszcze mocniej i zanim się zorientował, uchwycił się jej jak tonący. Po latach samotności tak cudownie było znaleźć się w czyichś ramionach, być obejmowanym, całowanym, być dla kogoś ważnym.

Zacisnął powieki w milczącej modlitwie. Pierwszy raz w życiu znalazł coś prawdziwego.

Coś prawdziwego. Te słowa przyprawiły go o dreszcz. Z głębokim, pełnym grozy jękiem oderwał usta od warg dziewczyny i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi.

Był idiotą, cholernym, trzydziestodziewięcioletnim idiotą.

Jak można być tak głupim? Taki facet jak on nie znajdzie szczęścia, a z pewnością nie w ramionach takiej kobiety jak Devon. Damy.

Dotknęła jego twarzy. Dłoń dziewczyny była ciepła i wilgotna. Przywiodła mu na myśl inne, bardziej intymne części jej ciała. Jęknął.

- Cornelius?

Złagodniał na dźwięk jej głosu. Opanował się i spojrzał na Devon. Patrzyła na niego pełnymi miłości oczami. Walczył z ogarniającą go rozpaczą. Przez całe życie czekał na takie

spojrzenie, ale teraz było już za późno. Był za stary, żeby zbudować dom i otoczyć go płotkiem z białych palików, zbyt przyzwyczajony do chodzenia własnymi drogami. Był mieszkańcem Jukonu, samotnikiem. Zawsze nim był i zawsze będzie. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęło go tak głębokie poczucie straty, że aż nogi się pod nim ugięły.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - poprosiła rozmarzona Devon.

Powiedziała „pocałuj mnie”, ale Kamienny Człowiek słyszał tylko zatraskującą się przed nim bramę do szczęścia. Ona mogła być na tyle naiwna, żeby nie wiedzieć, do czego mogą doprowadzić takie pocałunki, ale on, do cholery, wiedział doskonale. Mężczyzna nie ma prawa kochać się z taką kobietą jak Devon, a potem iść swoją drogą. A przynajmniej on nie ma prawa. Jeśli nie chce żyć otoczony parkanem z białych palików, musi przerwać to, co się z nimi dzieje.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, złapał dziewczynę za ramiona i odsunął od siebie.

- Na litość boską, o co chodzi? - zapytała ze zniecierpliwionym westchnieniem.

- Lekcja skończona.

- Lekcja? Jaka lekcja? Chciałam następnego pocałunku.

- Znajdź sobie kogoś innego.

- Nie chcę nikogo innego. Chcę ciebie. - W oczach dziewczyny pojawił się pierwszy błysk bólu.

To proste wyznanie niemal sprawiło, że się poddał. Pomyślał z rozpaczą, że jeśli teraz nie wyjdzie, to porwie ją w ramiona i da jej to, o co tak niewinnie poprosiła.

Z niskim pomrukiem schwycił kurtkę z haka i skierował się do wyjścia.

- Poczekaaj, Corneliusie, proszę. Porozmawiajmy o tym. Zatrzymał się. Znów przywdział maskę, którą nosił na twarzy przez dwadzieścia dwa z trzydziestu dziewięciu przeżytych lat, i spojrzał na Devon.

- Nie nazywaj mnie tak. Jestem Kamienny Człowiek.

A to, pomyślał, wybiegając z namiotu, jest największe kłamstwo ze wszystkich!

Devon skrzywiła się, kiedy drzwi głośno się zatrzasnęły. Do diabła z nim! Miała już serdecznie dość tego, że on natychmiast ucieka, kiedy zaczyna być interesująco.

Przez dłuższy czas patrzyła na drzwi, starając się siłą woli zmusić Kamiennego Człowieka do powrotu. Wreszcie podeszła do piecyka i zrobiła sobie herbaty. Usiadła z kubkiem naparu i z książką, postanawiając czekać na jego powrót.

- Możesz uciec, ale się nie ukryjesz. Jeszcze o tym porozmawiamy - powiedziała cichym, pełnym determinacji głosem.

Ale w tej chwili, w pustym samotnym namiocie, ta myśl stanowiła doprawdy dość słabą pociechę.

Kamienny Człowiek stał na brzegu Jukonu z rękami założonymi na piersiach. Martwy księżyc o ospowatym obliczu zanurzał kościste sine palce w rzecę. Mężczyzna wbił zmrużone, niewidzące oczy w płynący z prądem pierwszy w tym roku kawałek kry, blade księżycowe światło wydobywało jej nieregularny, przypominający trójkąt kształt.

Zaczął padać nocny deszczyk, najpierw słabiutki, potem przybierający na sile. Krople wody smagały jego czoło i wygolone policzki, ściekały po szyi. Niecierpliwie otarł twarz, podniósł kołnierz i schował w nim brodę.

Atak żywiołów przykuł jego uwagę zaledwie na mgnienie oka. Na jedną wspaniałą sekundę uwolnił go od rozmyślań o Devon.

Nigdy w życiu nie pragnął tak rozpaczliwie kobiety. Dlaczego? Zadawał sobie to pytanie już chyba po raz setny od chwili opuszczenia namiotu. Dlaczego jej pragnął?

Już wiele lat temu nauczył się obywać bez seksu. Dorastając w Malowanej Lali nauczył się, że seks to tylko kilka sapnięć

i pchnięc w ciemności. Nic, co mogłoby przewrócić życie do góry nogami. A nawet jeśli najsłynniejszy dom publiczny w Nowym Orleanie nie udzielił mu wystarczającej lekcji, to zrobiło to z pewnością więzienie. Do licha, nawet po pięciu latach w tej piekielnej dziurze nie miał najmniejszych problemów z ignorowaniem kłopotliwych kobiet.

Ale Devon była inna. Kamienny Człowiek ostatnio coraz częściej uświadamiał sobie, że jej się przygląda i, co gorsza, przysłuchuje. Polubił jej sposób mówienia - taki spokojny -i sposób, w jaki na niego patrzyła. Nie jak na brudnego, niewiele wartego wyrzutka społeczeństwa, ale jak na kogoś ważnego.

Wiedział, że jest dla niej ważny, i z niewiadomych przyczyn ona była ważna dla niego.

I właśnie na tym polegał problem. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że zaczyna mu na tej kobiecie zależeć, ale aż do dziś nie uświadamiał sobie jak bardzo. Powtarzał w myślach do znudzenia, że Devon jest dla niego tylko przyjacielem, współnikiem, współobywatelem Jukonu, ale nie mógł już dłużej się okłamywać. Nie po tym pocałunku. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: była kobietą, a on jej pragnął.

Boże, wpadł w tarapaty!

Na szczęście wiedział, jak sobie z tym problemem poradzić. Radził sobie z nim przez całe życie i zawsze w ten sam sposób - uciekając od problemu.

Przyszła czas, żeby wynieść się w diabły z tego cholernego Dawson City.

Głośne pukanie do drzwi wyrwało Devon z głębokiego snu. Powoli otworzyła oczy. Zobaczyła surowe deski. Zamrugła. Co, na litość... Zaczęła sobie z pośpiechem przypominać. No, tak. Zasnęła

z głową opartą o blat stołu, czekając na Kamennego Człowieka. Powoli podniosła głowę i rzuciła jeszcze niezbyt przytomne spojrzenie na łóżko. Było puste. Żołądek jej się ścisnął. Nie wrócił na noc do domu. A niech to szlag trafi! Nieźle się gdzieś ukrył. Z trudem wyprostowała się na krześle i wzięła łyk od dawna już zimnej herbaty. Chłodny płyn pomógł jej pozbyć się z ust kwaśnego smaku.

Znów usłyszała pukanie. Jeszcze głośniejsze.

Starła z oczu resztki snu.

- Kto tam?! - zawołała.
- Niedźwiedź.

Pozbyła się niepokoju. Uśmiechnęła się. Niedźwiedź był tym człowiekiem, z którym mogła porozmawiać o zenujących wydarzeniach tego wieczoru. Był też jedyną osobą na świecie, która naprawdę знаła Kamennego Człowieka. Zerwała się na równe nogi.

- Już idę!

Podbiegła do porcelanowej miski, napełniła ją wodą, oplukała twarz i umyła zęby, potem szybko zaplotła włosy. Wygładziła straszliwie pogniecioną spódnicę i uznawszy, że przypomina już człowieka, pospieszyła do drzwi.

- Witaj, Niedźwiedziu. Co za miła niespodzianka - powiedziała radośnie.

- Cześć, Devon.

Zmarszczyła czoło, słysząc to zdawkowe powitanie. Normalnie kiedy Niedźwiedź, wchodził do sklepu, uśmiechał się od ucha do ucha. Dziewczyna wzięła go za rękę, poprowadziła do stołu i podsunęła mu krzesło.

- Usiądź. Zaparzę kawę.

Zrobił, co mu kazała. Podeszła do pieca i spojrzała na niego. Był taki spokojny. I wyglądał na zmęczonego.

- Dobrze się czujesz?
- Przysłał mnie Cornelius.

Ton jego głosu zmroził dziewczynę aż do kości. Dzbanek

do kawy wypadł jej z rąk i z głośnym hałasem uderzył o płytę pieca.

- Dlaczego? Przez dłuższą chwilę zbierała odwagę, żeby zadać to proste pytanie.

- Wyniósł się. Powiedział, że jedzie nad Rabbit Creek robić zdjęcia poszukiwaczom złota. Mówi się, że ta żyła złota Kłamliwego George'a jednak istnieje.

Przez moment Devon bała się, że wybuchnie płaczem, ale po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Nic dobrego nie przyjdzie z wyplakiwania się przed Niedźwiedziem; mógłby tylko poczuć się skrępowany. Podeszła do stołu i usiadła. Mocno zacisnęła powieki i policzyła w duchu do dziesięciu. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że Niedźwiedź się jej przygląda. Smutek, malujący się w jego dużych brązowych oczach, omal nie zniszczył jej z trudem osiągniętego panowania nad sobą. Łzy znowu zaczęły ją dławić.

- Powinien był się pożegnać. - Chciała, żeby w jej głosie zabrzmiała złość, ale był w nim tylko żal i osamotnienie.

Niedźwiedź przysunął się do dziewczyny. Przez chwilę myślała, że weźmie ją za rękę, ale nie zrobił tego.

- Może nie - powiedział.

- Bo co, jest niemy? - zapytała z niezwykłą goryczą.

- Nie wyładowuj się na mnie, dziewczyno. Zostałem obrugany za niewinność.

- Przepraszam. - Devon usłyszała nutki rozbawienia w jego głosie i natychmiast poczuła się jak zepsute dziecko.

- Może Cornelius nie mógł się pożegnać. Może odejście od ciebie wymagało całej jego siły.

- No, tak. Jasne. Oczywiście, trzeba dużo odwagi, żeby uciec.

- Rozczarowałaś mnie, Devon. Cornelius zawsze mówił, że jesteś piekielnie bystra.

- Jestem bystra! - zjeżyła się dziewczyna.

- W takim razie powiedz mi, moja bystra panienko, dlaczego większość ludzi ucieka od kogoś. - Niedźwiedź wetknął brudną

wykałaczkę między przednie zęby, odsunął do tyłu krzesło i badawczo spojrzął na Devon.

- Nie wiem. Ja opuściłam St. Louis, bo bałam się tego, kim mogłabym się stać, gdybym została - powiedziała po chwili namysłu.

- Aha!

- Nie patrz na mnie tak, jakbyś właśnie rozwiązał wszystkie moje problemy. Co z tego, że uciekłam, bo bałam się zostać. Co to ma wspólnego z Kamiennym Człowiekiem? Co mogłoby go przerazić?! - zawołała zniecierpliwiona.

- To, że mógłby zostać zraniony - odparł szeptem Niedźwiedź i tym razem wziął dziewczynę za rękę.

Devon zaniemówiła na chwilę. Gdyby ktokolwiek inny zasugerował coś tak idiotycznego, roześmiałaby mu się w twarz. Ale nie jemu, bo zbyt dobrze znał Kamiennego Człowieka.

- On musi wiedzieć, że ja nigdy bym go nie zraniła powiedziała w końcu.

- On nie jest takim mózgowcem jak ty, Devon. Widziałś kiedyś starego wilka samotnika? - Niedźwiedź przysunął się bliżej, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie.

- Właśnie, gdybyś widziała, może odrobinę lepiej rozumiałabyś Corneliusa.

- Pomóż mi go zrozumieć, Niedźwiedziu. Proszę.

- Czasami wilk zostaje odrzucony przez stado i musi samotnie wędrować po lasach. Kiedy widzi ognisko obozu, podchodzi bliżej. Czuje zapach pieczonego mięsa i wie, że mógłby zabić samotnie siedzącego idiotę. Ale wilk nie rusza się z miejsca; po prostu stoi w ciemności, czeka i obserwuje.

- I taki jest Cornelius? Zbliża się do ognia, ale ciągle się go boi?

- Coś w tym rodzaju. Pamiętaj, panienko, że on przez wiele lat żył samotnie. Tak długo kierował się instynktem,

że go nie kwestionuje. Kiedy coś mu mówi, żeby uciekać, ucieka.

- A ja go czymś przestraszyłam. Ale nigdy bym go nie zraniła. - Tym razem głos Devon był miękki i przepełniony bólem. Westchnęła.

- Wiem, dziewczyno. I kiedy Cornelius to zrozumie, wróci. Człowiek nie może zbyt długo wyć do księżycy! - Uśmiechnął się do niej.

- Mam nadzieję, że szybko to zrozumie, bo cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną. Próbowала się roześmiać.

- Za bardzo bym na to nie liczył. Wróci, kiedy wróci. Myślisz, że mógłby szybko zrozumieć coś takiego? Mrugnął do niej.

- Nie, raczej nie podejrzewam. - Mimowolnie się uśmiechnęła.

- Cóż, zaopiekuję się tobą, dopóki on nie wróci. Rano odprowadzę cię do sklepu i będę cię miał na oku w ciągu dnia.

- To nie jest ko...

- Dla Corneliusa to było konieczne. Powiedział, że mam nad tobą czuwać, jakbyś była członkiem mojej rodziny.

- Naprawdę? - Serce jej mocniej zabiło.

- Naprawdę.

Devon poczuła się tak lekka, jakby mogła latać. Rzeczywiście mu na niej zależało i właśnie dlatego odszedł. Przeraził się własnych uczuć.

Miała nadzieję, że jest nimi śmiertelnie przerażony!

Kamienny Człowiek schronił się pod zwieszające się szarpane wiatrem, na wpół już opadłe z liści gałęzie drzewa i patrzył na deszcz, siekący wody rzeki Jukon. Podniósł wełniany kołnierz kurtki aż do porośniętej kilkudniowym zarostem brody i zgarbił się pod uderzeniami ulewy. Szukał na ślepo pnia

drzewa, a kiedy się obejrzał, wielka kropla deszczu wpadła mu wprost do oka.

- Do diabła! - syknął, mrugając. Do diabła z deszczem, do diabła z zimnem, do diabła z nią! Przede wszystkim do diabła z nią! Czuł się jak zamrożone psie gówno. Myślenie o Devon doprowadzało go do szaleństwa.

Przez całe życie był w drodze, wędrował, ale po raz pierwszy uciekał od kogoś. Uciekał od cholernej kobiety. I jak w tej sytuacji można zachować szacunek do samego siebie?

A co gorsza - wszystko szło nie tak. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a już czuł się zmęczony, chory i obolały. Był zdecydowanie za stary, żeby wałęsać się po lasach u progu zimy, za stary, żeby bawić się w trapera. Gdyby chciał spędzać noce, siedząc tyłkiem w błocie, nie budowałby sobie miłego, przytulnego namiotu.

Miły, przytulny namiot. Obraz domu nieproszony pojawił się przed jego oczami. Nie tego obwisłego, śmierdzącego namiotu, który zbudował dziesięć lat temu, ale domu, który Devon wyczarowała za pomocą czystych prześcieradeł, dobrych posiłków, cichego śmiechu i polnych kwiatów. To był pierwszy dom, jaki miał. Było oczywiście mnóstwo miejsc, w których wieszał swój kapelusz, mnóstwo dachów nad głową, ale to nigdy nie był dom. Miejsce, gdzie był u siebie. Miejsce, za którym tęsknił, kiedy je opuszczał.

Nie! Przecież odmrażał sobie tyłek właśnie dlatego, że chciał się pozbyć takich myśli! Jego miejsce nie było tam, nie przy niej. Był samotnikiem, pustelnikiem. Przez obiektyw aparatu obserwował, jak inni budują swoje życie. Nie brał udziału w budowie własnego.

Jedyna pociecha, że zdążył uciec, zanim Devon zdołała wkraść się do jego życia. Mogła wśliznąć się do sklepu i do jego namiotu, i (musiał to przyznać) do jego serca, ale nie stała mu się, do cholery, niezbędna do życia. Jeszcze nie. Był ciągle panem siebie, przez nikogo nierządzonym i przed nikim, poza

sobą, nieodpowiedzialnym. Czyż nie udowodnił tego, odchodząc od niej bez trudu?

Przeżył po prostu chwilowe zakłócenie jasności sądów -a i to nie była jego wina. Podeszła go. Sprawiała, że czuł się tak bezpiecznie, iż opuścił gardę. Ale nigdy więcej. Od tej chwili będzie bez przerwy w pogotowiu. Musi tylko zerwać z nawykiem sympatii do niej.

Ale jak to zrobić, zastanawiał się. Była tylko kobietą. To nie powinno być trudniejsze niż rzucenie whisky - a to mu się udało od pierwszego dnia! Tak, postanowił. Pokręci się wokół Bonanza Creek, zrobi kilka zdjęć, wyrzuci Devon z myśli i wróci do domu taki, jaki był, zanim ta dziewczyna wkroczyła w jego życie. To potrwa pewnie dzień lub dwa. Najwyżej trzy.

Nasunął kapelusz niżej, aż do brwi, przyciągnął kolana do piersi i objął je ramionami. Zamknął oczy i oparł się o pień drzewa. Tak, dwa dni z dala od niej i będzie jak nowy. Kamienny Człowiek MacKenna.

Ale ostatnim obrazem, jaki pojawił mu się przed oczami, zanim zapadł w sen, była para zielonych oczu.

14

Devon miała rękawiczki, ale otoczyła palcami metalowy kubek, żeby choć trochę ogrzać ręce. Pociągnęła łyk i westchnęła z zadowoleniem, czując przyjemne ciepło spływające w dół, aż do gardła. Ze swego miejsca przy piecu obrzuciła sklep leniwym spojrzeniem. Wszystko wydawało się w porządku, bez skazy. Nie było tu absolutnie nic do zrobienia. Nic. A niech to wszyscy diabli! Nie minął jeszcze tydzień od wyjazdu Kamiennego Człowieka, a ona już umierała z nudów. I z samotności.

- Witaj, panienko.

Spojrzenie dziewczyny pobiegło w stronę wejścia do namiotu. Kopacz Haines stał na progu i po raz pierwszy, od kiedy się spotkali, nie uśmiechał się.

- Witaj, Kopaczu. Napijesz się herbaty?

Podszedł do piecyka i przysunął sobie stojący najbliżej dziewczyny stółek. Z ciężkim westchnieniem opadł na jego twarde drewniane siedzenie.

- Mów mi Marvin. Nie czuję się dziś Kopaczem.

- Co się stało? spytała Devon, pochylając się ku niemu.

- Nic takiego. Właśnie dokonałem największego odkrycia w moim życiu i nic z tym nie mogę zrobić. Ot co! Albo wiesz,

jednak napiję się tej herbaty. - Mówił z niezwykłą jak na niego goryczą. Zdjął grube zimowe rękawice i cisnął je na ziemię obok pieca.

- Co masz na myśli? - Zmarszczyła czoło i nałala mu kubek herbaty. Skwapliwie złapał go i otoczył sękatymi paluchami.
 - Ja, we własnej osobie, Marvin Joseph Haines, odkryłem złudę Eldorado.
 - Nad strumieniem? Złudę?
 - Wiesz przecież, że każdy poszukiwacz może szukać złota wzdłuż brzegu na działce długości pięćdziesięciu stóp? No więc ja znalazłem piętnastopową wyrwę w ziemi. Całych piętnaście stóp Eldorado! I nikt nie ma praw do tego terenu. Tylko pomyśl, dziewczyno! To jest warte fortunę. Dla kogoś, ale nie dla mnie... - Zgarbił się nagle.
 - Dlaczego nie dla ciebie?
 - Cóż, zgłosiłem oczywiście wniosek o zapisanie tej działki na mnie, ale tylko po to, żeby ją sprzedać.
 - Sprzedać? To bez sensu. Kopaczu. Przecież jesteś poszukiwaczem złota, więc dlaczego sam nie...
 - Nie stać mnie na to, dziewczyno. Musiałbym pracować całą zimę, nie zarabiając ani grosza. Żadnego polowania, żadnej traperki, nic z tych rzeczy. Tylko kopanie. Uderzasz kilofem w wybrane miejsce na zapisanej na ciebie działce i zaczynasz kopać, żeby dostać się do złota. Wieczorem rozpalasz ognisko i aż do rana podtrzymujesz ogień. O świcie znów łapiesz się za kilof i walisz w zamrożoną ziemię. Nie wiadomo, czy do wiosny zarobisz miedziaka czy miliony. Tak to wygląda.
 - Pewnie, że to niełatwe, ale jesteś silny i...
 - Siła nie napelni brzucha fasolą. I nie da mi narzędzi.
 - Jack Kelley...
 - Jest splukany.
- Devon wypila łyk herbaty. Kamienny Człowiek nie zaakceptowałby

tego, o czym właśnie pomyślała. Ale przecież poszedł sobie, do licha. Gdyby przejmował się tym, jak ona prowadzi sklep, nie włóczyłby się po okolicy. Na ustach dziewczyny pojawił się lekki uśmieszek. Teraz to był jej sklep. I decyzja należała do niej.

- Z przyjemnością wypożyczę ci narzędzia.

- Nie, dziewczyno. Nie mogę się na to zgodzić. Kamienny Człowiek ma ugruntowaną, negatywną opinię o pożyczaniu narzędzi w zamian za udział w zyskach. Prawdę mówiąc, uważa, że to się niezbyt różni od kradzieży. - Kopacz przełknął głośno ślinę.

- Widzisz tu gdzie Kamiennego Człowieka?

- No, nie.

- A widziałeś go tutaj w ciągu ostatnich sześciu dni?

- Też nie.

- Można więc bez obaw uznać, że to ja prowadzę sklep i jako jego kierowniczką mogę podjąć decyzję o wypożyczeniu narzędzi przyjacielowi. - Uśmiechnęła się do Kopacza.

Nerwowo oblizał wargi. Devon nieomal widziała walkę, jaką ze sobą toczył w głębi duszy. Z jednej strony rozpaczliwie pragnął przyjąć jej ofertę, z drugiej jednak bał się zignorować wolę Kamiennego Człowieka. Zachłanność zwyciężyła.

- Zgadzasz się, do licha! Pożyczę od ciebie narzędzia, ale robię to tylko dlatego, że wiem z całą pewnością, że to jest duże złoże. Nie podejmujesz najmniejszego ryzyka.

- Dobrze! - Rażnym krokiem podeszła do lady. Wyjęła z papeterii arkusz śnieżnobiałego papieru w linie i sięgnęła pod ladę do schowka, w którym trzymała wieczne pióro. Starannie napisała drukowanymi literami: *Sklep MacKenny zobowiązuje się dostarczyć zimowe zaopatrzenie w zamian za czterdziestoprocentowy udział w złotodajnej działce...* - Podaj mi numer swojej działki.

- Ogilvy zapisał ją jako czternaście A, Eldorado. Ale wiesz, najczęściej żądają pięćdziesięciu procent udziału.

- Wiem, ale mnie wystarczy czterdzieści. W końcu to ty wykonujesz całą robotę.

- Nie zawiodę cię, dziewczyno! - Kopacz dumnie wypiął zapadniętą pierś.

- Wiem. A teraz musimy ustalić, co chcesz wypożyczyć. Masz robotę do wykonania. - Uśmiechnęła się.

I uśmiechała się jeszcze długo po tym, jak Kopacz wybrał to, co było mu potrzebne, i wyszedł ze sklepu. Jeśli Kamienny Człowiek dowie się, że Devon pożyczka zaopatrzenie poszukiwaczom złota, przyleci do domu w tędy.

A Kopacz Haines na szczęście kocha mówić.

Devon mocno zacisnęła szczękające z zimna zęby. Dygocząc, przysunęła się bliżej gorącego piecyka i pottrzymała drżące ręce nad wierzchnią metalową płytą. Myśl o zdjęciu wełnianej nocnej koszuli była zdecydowanie odrażająca. Niestety, nie miała wyboru. Sklep musiał działać w normalnych godzinach. Krzywiąc się, zrzuciła koszulę i błyskawicznie włożyła skarpetki, koszulkę, pantalon, halkę i spódnicę, wszystko wełniane. Zapinając guziki swetra, podeszła rażno do drzwi i wyjrzała na dwór, zdobywając za pomocą jednego spojrzenia wszystkie potrzebne jej informacje.

Wypiła łyk kawy na wzmocnienie, usiadła przy stole i zaczęła pisać.

Pierwszy grudnia 1896.

Dzisiejszy dzień jest mroźny i słoneczny. W nocy nie spadł świeży śnieg - zaspę w przybliżeniu osiemnastocalowe.

Widziano kilku poszukiwaczy złota w pobliżu saloonu - pewnie jest zbyt zimno, żeby zostali w terenie. Zbliża się ostra

zima i mężczyźni, którzy od kilku miesięcy szukali złota nad Bonanza Creek, wracają do domu.

Pióro zadrzało w jej palcach, uniosła je nad kartkę papieru. Początek nie był dobry. Nie wszyscy mężczyźni wrócili do domu. Nie ten, na którym jej zależało. Łzy zamglily jej wzrok. Minęło już czterdzieści jeden dni od odejścia Kamiennego Człowieka, a ona tęskniła za nim z każdym dniem bardziej. A wszystko z powodu jednego pocałunku, który wszystko zmienił. Jedno krótkie zetknięcie się ust zniszczyło platoniczną z pozoru przyjaźń. Zostawiło ich obnażonych i wystawionych na ciosy, niezdolnych do udawania, że im na sobie nie zależy.

Kamienny Człowiek, jak przystało na Kamiennego Człowieka, uciekł przed tą prawdą.

Devon, jak przystało na Devon, analizowała to. Bez przerwy myślała o pocałunku - chłodno, jak o przypadku klinicznym, obiektywnie, z pasją. Dwukrotnie przeczytała książkę doktora Cowana. Nie pomogło. Po prostu nie potrafiła racjonalnie wytłumaczyć faktu, że pragnęła od Kamiennego Człowieka więcej niż jednego pocałunku. Na litość boską, chciała więcej!

I nie miało znaczenia, że on jej nie kocha i że doktor Cowan zaliczyłby ją do kobiet rozpustnych. Po raz pierwszy w jej życiu liczyły się tylko uczucia - jej uczucia do Kamiennego Człowieka. Chciała choćby raz w życiu być kochana, tak jak kobieta powinna być kochana, a Kamienny Człowiek był jej ostatnią, jedyną szansą.

Marzyła, oczywiście, ale co komu szkodzą marzenia? A poza tym, powiedziała sobie, nie prosiła o wiele - chciała mieć tylko jedno cudowne wspomnienie, które mogłaby zabrać ze sobą do domu.

Już kilka tygodni temu podjęła decyzję, która z każdym dniem stawała się silniejsza. Teraz potrzebowała już tylko jednego: jego powrotu. Pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Stała z oczu

lekką mgiełkę i przywołała uśmiech na twarz. Dzięki Bogu za Niedźwiedzia. Przyjaźń, która nawiązała się między nimi w ciągu ostatniego miesiąca, trzymała ją przy życiu. Bez niego długie godziny spędzane w sklepie byłyby nie do zniesienia.

Włożyła obramowaną futrem kurtkę z kapturem, zimowe rękawice i otworzyła drzwi. Poczowała na twarzy powiew lodowatego powietrza i zatoczyła się do tyłu. Niedźwiedź chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, żeby osłonić od wiatru.

- Włóż kaptur - polecił.

Naciągnęła wełniany kaptur i go zawiązała. Niedźwiedź otoczył ręką jej talię i rzucili się oboje na mroźny wiatr, zatrzaskując za sobą drzwi.

- Popatrz na rzekę! - zawołał Niedźwiedź.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć na Jukon. Ogromne, spiętrzone bryły lodu wirowały powoli w leniwie płynącej wodzie. Straszny, wydobywający się jakby spod ziemi jęk towarzyszył zamieraniu rzeki w lodowych okowach.

- W ciągu jednego, dwóch dni całkowicie zamarznie - stwierdził.

Kiedy weszli do sklepu, Niedźwiedź natychmiast podszedł do pieca i napalił w nim. Devon pospieszyła za nim, chcąc sprawdzić swój jukoński termometr. Niedźwiedź ustawił na ladzie cztery butelki, w jednej była rtęć, w drugiej whisky, w trzeciej nafta, a w czwartej środek przeciwbólowy Perry'ego Davisa. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby odczytać temperaturę. Zamarzła tylko rtęć.

- Tylko czterdzieści poniżej zera - zażartowała.

- To możesz włożyć kostium kąpielowy.

Roześmiana wzięła dzbanek do kawy i podeszła do wyjścia, żeby napełnić go śniegiem.

- Nie rób dla mnie kawy.

- Co?

- Usiądź, Devon. - Siedział przy stole z pochyloną głową.

Ogarnęło ją nagle, bolesne przeczucie. Przez te wszystkie dni, które spędzili razem, Niedźwiedź ani razu nie odezwał się do niej takim tonem. Tonem ojca, który postanowił wymierzyć dziecku karę. Podeszła do stołu i usiadła.

- Siedzę, możesz mówić.

- Odchodzę.

- Do swojego namiotu? - zapytała drżącym głosem. Niedźwiedź, który już się podnosił z miejsca, usiadł ponownie i ujął małą, białą rękę Devon. W jego oczach był smutek.

- Sklep będzie jeszcze działał przez dwa, trzy tygodnie. Potem zrobi się za zimno. W zimie my, mieszkańcy Jukonu, siedzimy w namiotach, pijemy, żeby się rozgrzać, i marzymy o tym, żeby spędzić Boże Narodzenie gdziekolwiek indziej.

- Zostań, proszę. Przygotuję takie święta, o jakich nigdy nie zapomnisz. Zrobimy... - Jej z natury nieco ochryPLY głos jeszcze się obniżył z desperacji.

- Już cicho. Nie wyjeżdżam na zawsze; chcę tylko znaleźć Corneliusa. Zbyt długo wykręca się od obowiązków. Pora, żeby wrócił do domu... - Uścisnął jej rękę.

Piorun strzelił z jasnego nieba i ugodził Devon w samo serce. Pora, żeby wrócił do domu, powiedział Niedźwiedź. Serce zaczęło jej walić tak głośno, że niemal słyszała jego uderzenia.

- Cóż, będę się zbierać. - Niedźwiedź znów próbował wstać, ale dziewczyna złapała go za rękę.

- Nie! Nie chcę, żeby wrócił w taki sposób, wierzgając i krzycząc przez całą drogę.

- Nie bój się. Jeśli zacznie krzyczeć, to go znokautuję. - Niedźwiedź się roześmiał.

- To nie jest zabawne. On nie będzie chciał wracać - powiedziała żałośnie.

- Nie, absolutnie nie będzie chciał. - W ciepłych oczach Niedźwiedzia pojawiły się wesołe iskierki.

Devon próbowała się uśmiechnąć, ale tym razem jej się nie udało. W oczach zakręciły się jej łzy.

- Ja... chciałabym, żeby wrócił, bo za mną zatęsknił, a nie dlatego, że jest nieprzytomny.

- Wiem, ale nie możemy dłużej czekać. Sama nie przeżyjesz, a ja nie mogę z tobą zamieszkać. Będzie mi brakowało naszych porannych rozmów, dziewczyno.

Podbiegła do niego, a Niedźwiedź otoczył ją ramieniem. Poczuli się tak, jakby dotarła do bezpiecznego portu. Przytuliła policzek do jego znoszonej flanelowej koszuli i mrugała zawzięcie, żeby powstrzymać potok łez.

- Ja też będę za tobą tęskniła.

- Nie będzie mnie tylko przez chwilę. Sądzę, że spotkam Corneliusa wracającego do domu. - Jeszcze mocniej ją do siebie przycisnęła.

- Uważaj na siebie, Niedźwiedziu. - Głośno pociągnęła nosem.

- Zawsze na siebie uważam, dziewczyno. I szykuj tę świąteczną kolację, przyjdę.

- Co ja bez ciebie zrobię? - Odsunęła się, kiedy ramię mężczyzny opadło.

- Nie się nie martw. Ojciec Mick wrócił wczoraj z obozu Indian i powiedział, że zaopiekuje się tobą.

- To nie będzie to samo.

- Dziękuję. Miło jest takiemu staremu, wielkiemu chłopisku choć raz w życiu poczuć się kimś ważnym. No, dbaj o siebie. I nie zapomnij, co ci powiedziałem: Kamienny Człowiek może i jest potężny i trochę groźny, ale ma serce większe niż całe terytorium Jukonu. On tylko o tym nie wie. Niedźwiedź odchrząknął z zażenowaniem.

- W takim razie uczy się tak wolno jak nikt, kogo spotkałam - powiedziała żałośnie.

- To cię nie dziwi, co? - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie, ani trochę - odparła z wymuszonym uśmiechem.

Oddech Kamiennego Człowieka stał się szybki i ciężki, a z każdym wydechem z jego sinych ust wychodziły kłęby pary. Zatrzymał się i spojrzął w niebo. Śnieg bił mocno w jego niczym nieostonowane policzki, jakby ktoś wbijał mu w skórę tysiące rozżarzonych do czerwoności igieł. Mrugał, starając się mimo grubej pokrywy chmur zlokalizować położenie słońca. Nie było to możliwe. Nie dająca ciepła kula kryła się gdzieś na wschodzie, ocale zaledwie ponad linią arktycznego horyzontu. Miał tylko cholerną nadzieję, że nadal posuwa się po zamrożonej rzece Jukon w stronę Dawson City.

Złapał uchwyt liny, którą był obwiązany w pasie i pochylił się do przodu. Sznur naprężył się i wbił się w jego okryte rękawicami palce. Zacisnął zęby i pochylił się znowu. Tym razem ciężko obciążony tobogan przywiązany na drugim końcu liny ruszył z miejsca i sunął za nim w rytm jego umęczonych kroków.

Po kilku godzinach śnieg przestał padać. Na aksamitnym niebie pojawił się księżyc, rzucając na świeży śnieg miękkie, drżące, biało-niebieskie światło. Ziemia lśniła jak bryłka soli kamiennej. Zwolnił kroku i przyglądał się opustoszałym brzegom rzeki w poszukiwaniu miejsca do rozbicia obozu. Coś zamigotało wśród drzew. Przetarł zmęczone oczy i spojrzął jeszcze raz. Drżący promień księżyca przesunął się po czymś metalowym - po rurze od piecyka. Z pełnym wdzięczności westchnieniem ruszył przez sięgający ud śnieg. Pod namiotem zdjął kaptur i zawołał:

- Jest tam kto?!

Cisza. Przyciągnął tobogan bliżej do namiotu i otrzepał ze śniegu okrywający go brezent. Chwilę grzebał w swoich manatkach, wreszcie wydobył śpiwór, puszkę fasoli i otwieracz do konserw.

Wszedł do pustej, zimnej siedziby i po omacku szukał drogi w ciemnym wnętrzu. Szybko znalazł piecyk. Jego palce błędziły

po metalowej płycie w poszukiwaniu zapalek. Zapalił jedną i przez chwilę rozglądał się w jej świetle.

Natychmiast to zauważył i się uśmiechnął. Namiot należał to tubylca, który przestrzegał niepisanych praw Jukonu. Nieobecny właściciel zostawił stertę drewna i puszkę fasoli dla wędrowca, który będzie tędy przechodził.

Kamienny Człowiek rozpałił ogień i natychmiast poczuł się w namiocie jak w domu. Kłamstwo! Po raz pierwszy w swoim długim samotnym życiu dowiedział się, jakie to uczucie mieć dom. To nie ma nic wspólnego z ciepłym ogniem i puszką fasoli. Dom to miejsce, do którego się należy. Za którym się tęskni. Przez większą część ostatnich sześciu tygodni starał się uciec od tej właśnie myśli. Ale była zawsze tuż pod powierzchnią, czekając z ujawnieniem się na pierwszą oznakę słabości. Każdej nocy, kiedy siadał samotnie pośrodku zimnej, ciemnej nicości, czuł się coraz słabszy.

Ucieczka nie na wiele się zdała; prawdę mówiąc, problem stawał się coraz poważniejszy. Przez całe tygodnie był sam i, jeśli pozwalał sobie na szczerłość, musiał przyznać, że czuje się samotny. Tęsknił za najdziwniejszymi rzeczami za chrapliwym, zmysłowym brzmieniem jej głosu, za jej śmiechem, za gestem, którym wręczała mu serwetkę, za cichutkimi płaczliwymi dźwiękami, które wydawała podczas snu.

Przyznaj się, tchórz. Tęsknisz za nią!

Nie! Jest tylko chory i zmęczony ucieczką, to wszystko. To dlatego w zeszłym tygodniu zawrócił w stronę domu. Z wyczerpania.

Ale jeśli uwierzysz w to, staruszku, to mogę ci sprzedać linię kolejową ze Skagway do Dawson City.

Do licha! Kamienny Człowiek nie zamierzał już marnować czasu na myślenie o niej. Otworzył puszkę fasoli i postawił ją na ogniu, a potem rozejrzał się za dzbankiem do kawy. Znalazł go, napełnił śniegiem i nastawił do gotowania. Po chwili z dziobka zaczął wydobywać się strumień pary; zbierała się

na zszarzałym obwisłym suficie i natychmiast zamarzała. Przez chwilę przyglądał się soplom lodu, a potem sięgnął po puszkę fasoli i władował sobie do ust olbrzymią bryłę na wpół zamrożonej czerwono-brązowej brei. Szykował się właśnie do pochłonięcia następnej porcji, kiedy usłyszał jakiś hałas. Ostrożnie ruszył w stronę drzwi, podniósł kłapy i wyjrzał na zewnątrz.

- Cor... ne... lius...! - Echo w dolinie niesło jego imię.
- Niedźwiedź? To ty?! - odrzyknął.
- A kto... do diabła... mógłby... cię... szukać?! - przyniosło odpowiedź echo.

Kamienny Człowiek uśmiechnął się szeroko. Dobry Boże, przynajmniej raz dobrze było mieć z kim porozmawiać. To oderwie jego myśli od Devon. Devon! Uśmiech zniknął z jego twarzy. Ogarnęło go przerażenie. Boże, tylko nie ona! Niedźwiedź nie należał do ludzi, którzy ucinają sobie towarzyskie pogawędki. A już na pewno nie przy sześćdziesięciu stopniach poniżej zera. Niedźwiedź wpadł na polanę.

- Wszechmocny Boże, jest zimniej niż... - wysapał, potykając się przy wejściu do namiotu.

- Czy u niej wszystko w porządku? - Kamienny Człowiek złapał przyjaciela za rękę.

- Tak, a teraz daj mi coś gorącego do picia. Niedźwiedź spojrział na niego przekrwionymi, podkrążonymi oczami.

Kamienny Człowiek odwrócił się na pięcie, wrócił do namiotu i nalał dwa kubki wrzątku. Niedźwiedź przyjął jeden z wdzięcznością i grzał na wpół zamrożone palce o gorący metal.

- Już niemal byłem gotów przerwać poszukiwania. Szukam cię od ponad dwóch tygodni. Pewnie przeszedłem ze czterdzieści mil, a znalazłem cię dwie mile od obozu.

- Dlaczego mnie szukałeś? Powinieneś był wiedzieć, że wrócę. Właśnie wracam.

- Wygonił cię mróz?
- A może z twojego powodu?

Ogrzawszy się nieco, Niedźwiedź założył nogę na nogę,

odchylił się na krzesło i wpatrywał się w przyjaciela zmrużonymi, wszystkowiedzącymi oczami.

- Co to oznacza?
- Po prostu małą pogawędkę.
- Przez całe życie nie odbyłeś małej pogawędki, Corneliusie. Powiedz wreszcie, do cholery, co się dzieje w tym twoim ptasim mózdzku?!

Polubiłem ją. Te słowa podsunął mu mózg. Kamienny Człowiek chciał to komuś powiedzieć, a Niedźwiedź był jedynym człowiekiem na świecie, któremu mógł się zwierzyć. Ale trudno było złamać wieloletnie przyzwyczajenie; nie wiedział, jak zacząć. Więc zamiast zacząć opowiadać, co mu leży na sercu, siedział w milczeniu z zaciśniętymi ustami.

- Dobrze, zacznijmy od tego, co najłatwiejsze. Dlaczego wracasz do domu?

- Mam obowiązki w sklepie i sądziłem, że pora do nich wrócić. - Kamienny Człowiek wiercił się na krzesle, jakby zrobiło mu się niewygodnie.

- Sądzę, że nie słyszałeś. - Niedźwiedź wyjął z kieszeni wykałaczkę i wsunął ją w szparę między przednimi zębami.

- O czym nie słyszałem?
- Kopacz Haines przejął twoje „obowiązki”. Zadomowili się z Devon w twoim namiocie szczęśliwi jak...

Kamienny Człowiek skoczył na równe nogi. Z największym trudem opanował przemożną potrzebę uderzenia pięścią w szeroką twarz przyjaciela. Niedźwiedź powoli wstał i położył rękę na piersi Corneliusa.

- Stary byk, a chce się bić jak gówniarz! Podejrzewam, że chodzi o coś więcej niż „obowiązki”, co?

Kamienny Człowiek osunął się na krzesło i nagle poczuł się stary. To niesamowite, co ona z nim zrobiła. Nie był już nawet w stanie ukrywać swoich uczuć. Nosił je na twarzy równie ostentacyjnie, jak pan młody obrączkę.

- To nieprawda?

- Oczywiście, że nie. Corneliusie, my dwaj nie jesteśmy ludźmi stosującymi jakieś gierki. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to. - Usiadł obok.

Kamienny Człowiek popatrzył na swojego jedynego przyjaciela. On miał rację, te słowa powinny zostać wypowiedziane. Może i on, kiedy je usłyszy, będzie się z nich śmiał. Warto spróbować. Niewypowiedziane go niszczyły.

- Tęsknię za nią - rzucił szybko, zebrawszy całą odwagę. W chwili, kiedy padły te przerażające słowa, zeszywniał, czekając na znane już sobie doskonale uczucie rozpacz. Ale tym razem, o dziwo, wyznanie nie doprowadziło go do rozpacz. Właściwie poczuł się wyzwolony.

- Podejrzewałem, że tęsknisz. A na wypadek, gdybyś chciał wiedzieć, to powiem ci, że ona też tęskniła.

- Tęskniła? Niedźwiedziu, stary przyjacielu, żyjemy na okrutnym świecie. - Przez chwilę ogarnęła go oszałamiająca radość. Ale po chwili przyszło otrzeźwienie. Zachowywał się jak idiota, myśląc, że w przyszłości czeka go coś poza zimnym namiotem i aparatem fotograficznym. Czyż Devon nie powiedziała mu, że nie może się już doczekać chwili opuszczenia terytorium Jukonu? Nie był do końca pewien, czego chce od tej kobiety, ale nie miał wątpliwości, że tego nie dostanie. Potrząsnął głową.

- Nie, Corneliusie, my po prostu żyjemy na świecie. Witaj.

Przez kilka następnych godzin dwaj starzy przyjaciele siedzieli przy stole, popijając wrzątek. Wymienili nie więcej niż dziesięć słów, ale żadne nie było zbędne. Kiedy zabrakło wody, Kamienny Człowiek wstał i rozprostował zmęczone mięśnie.

- Chcesz jeszcze wody?

- Nie, pójdę już spać - odpowiedział Niedźwiedź i wyciągnął spod stołu zrolowany futrzany śpiwór.

Kiedy Kamienny Człowiek sięgał po swój, załopotaly kłapy namiotu. Odwrócił głowę w stronę brezentowych drzwi i uważnie nasłuchiwał. Usłyszał ciężki oddech i człapanie oblepionych

śniegiem butów, którego nie sposób pomylić z żadnym innym dźwiękiem. Wstał równocześnie z Niedźwiedziem, żeby powitać przybysza. Nie zdążyli podejść do drzwi, kiedy do namiotu wpadł młody mężczyzna. Kamienny Człowiek już na pierwszy rzut oka rozpoznał *cheechako*, czyli kogoś, kto niedawno zamieszkał na terytorium Jukonu. Wyglądał na zmęczonego, głodnego i zagubionego.

- Mamy ogień, chłopcze. Wejźdź i...

- Nie ruszać się! - Chłopak wyciągnął z kieszeni pistolet i wymierzył go w pierś Niedźwiedzia.

- Nie jesteśmy uzbrojeni. To Jukon, młodzieńcze, nie San Francisco. Jeśli potrzebujesz czegoś, wystarczy poprosić. Kamienny Człowiek zrobił ostrożny krok w stronę *cheechako*.

- Słuchaj, synu, jeśli jesteś głodny...

- Tak jestem głodny, ale nie twojej przeterminowanej fasoli, staruszk. Jestem głodny złota - wyszczał.

Broń poruszyła się w rękach chłopaka. Skóra trzymającej pistolet ręki była wilgotna, a spoczywający na spuście palec drżał. Mieli problem.

- Słuchaj, chłopcze... - zaczął Niedźwiedź.

- Zamknij się! Gdybym chciał pogadać, pojechałbym do Skagway. Dawaj złoto.

- Nie jesteśmy poszukiwaczami złota. Nie mamy ani szczypty złotego piasku. Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź bagaże. Są na zewnątrz - powiedział Kamienny Człowiek.

- Nie macie złota? - Chłopak nerwowo spojrzął za siebie. Nie. Jeśli...

- Niedźwiedź zrobił krok w stronę napastnika.

Zdanie zostało przerwane przez ogłuszający grzmot wystrzału. Błysk rozświetlił na chwilę ciemności i Kamienny Człowiek dostrzegł kątem oka, że Niedźwiedź zatacza się do tyłu. Ogarnięty wściekłością, rzucił się na chłopaka. Znowu zabłysło światło i w ciele Kamiennego Człowieka eksplodował ból. Zmrużył oczy, żeby go wytrzymać. Bezskutecznie próbował zlokalizować ból. Był wszechogarniający. Znowu zmrużył oczy. Chłopak zniknął.

Świat zaczął wirować. Kamienny Człowiek próbował utrzymać się na nogach, ale ciało stało się nagle strasznie ciężkie i bezwładne, a kończyny jak z ołowiu. Pochylił się, a potem mocno uderzył kolanami o podłogę. Ból przeszył jego uda. Jęknął, upadając twarzą na zimne deski podłogi.

- Niedźwiedziu - wychrypiał, macając ręką surowe deski w poszukiwaniu przyjaciela. Palce pośliznęły się na czymś ciepłym, lepkiem i mokrym. Kałuża prawie natychmiast zamarzała. Zainteresował się na sekundę, w czym leży, ale ta myśl zaraz od niego odpłynęła. - Niedźwiedziu. Głos był już słabszy, bardziej chrapliwy. Obliział opuchnięte, suche wargi i zupełnie bez sensu zaczął marzyć o szklance lemoniady. Usłyszał dziwne brzęczenie i poczuł potworny pulsujący ból głowy.

Wparł mocne dłonie w deski podłogi i próbował się podnieść, ale zniknęła gdzieś siła jego ramion, natomiast napłynęła fala mdłości.

Był już nieprzytomny, kiedy upadł na podłogę.

Przenikliwe brzęczenie w uszach obudziło Kamiennego Człowieka. Przeklęte pszczoły! Przekręcił się, starając się wygodniej ułożyć. Podciągnął w górę kolano i gorący jak ogień ból przeszył udo. Wszystko zaczęło odpływać.

- Niedźwiedziu? - To słowo spłynęło z jego opuchniętych, popękanych ust. Znów oparł dłonie o podłogę i próbował się podnieść. Ręce rozjechały mu się na czymś śliskim i lodowatym. Upadł w zamarznąłą kałużę własnej krwi. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Ciężko dysząc, starał się podnieść na kolana. Świat zawirował. Poczł gorycz w gardle, ale to zdopingowało go do podjęcia kolejnej próby poruszenia się. Zacisnął zęby i skoncentrował się na oddychaniu. Kiedy mdłości ustąpiły, zaczął, mimo rozdzierającego bólu, cal po calu czołgać się do przodu. Ogień wygasł już dawno i namiot był zimny i ciemny jak grób.

Dotarł do stołu i się zatrzymał. Zacisnął palce wokół nogi z nieheblowanego drewna i podciągnął się na kolana. Rozdzierający ból eksplodował w górnej części uda. Wróciły szarpiące mdłości. Chwytał brzeg stołu zbielełymi palcami. Dzięki niezwyklej determinacji udało mu się wstać.

- Niedźwiedziu? - wychrypiał znowu.

Jego palce błędziły po blacie stołu w poszukiwaniu zapalek. Znalazł je i zapalił jedną. Drżące, czerwonożółte światło rozjaśniło wnętrze namiotu, wydobywając z mroku ciało leżącego twarzą do dołu Niedźwiedzia.

Krew zastygła w żyłach Kamiennego Człowieka. Trzęsącymi się palcami zapalił lampę i mozolnie ruszył wzdłuż namiotu. Każdy krok opłacał bólem nogi. Wydawało mu się, że dotarcie do przyjaciela zajęło mu całe godziny.

- Niedźwiedziu?

Nie doczekał się odpowiedzi; nie usłyszał też najłżejszego szmeru oddechu. Cisza zamknęła się nad nim. Z przerażenia ścisnął mu się żołądek. Kamienny Człowiek opadł na podłogę.

- Do diabła, Niedźwiedziu, wstawaj!

Chwyił przegub dłoni przyjaciela, rozpaczliwie szukając pulsu. Ale ciało, którego dotykał, było zimne jak lód. Spadł na niego przytłaczający ciężar. Ból nogi był niczym w porównaniu z rozdzierającym bólem serca. Patrzył na martwego przyjaciela boleśnie suchymi oczami. Nie zasłużyłeś na taką śmierć. Ze wszystkich ludzi na świecie ty najmniej na to zasłużyłeś.

Zabronił sobie myśleć o tym, na co Niedźwiedź zasługiwał. Z ogromnym bólem podniósł się na nogi. O żalobie pomyśli później, jeśli w ogóle. Teraz musiał starać się przeżyć. Dla siebie samego. Dla Devon. Uświadomił sobie, że się zmienił. Jeszcze kilka miesięcy temu położyłby się u boku starego druha i zasnął. Do niedawna życie nie było dla niego tyle warte, aby o nie walczyć. Teraz to się zmieniło. Pierwszy raz wiedział, że na końcu drogi ktoś na niego czeka.

Musiał dotrzeć do domu, zanim wykrwawi się na śmierć. Niedźwiedź mówił, że jak daleko są od niego? Dwie mile? Powinien dać radę. Musi!

Zdjął swoją kurtkę z oparcia krzesła i się nią otulił. Ściągnął z szyi bandanę i obwiązał nią udo, zaciskając tę zaimprovizowaną opaskę, dopóki cała noga nie zaczęła pulsować.

Więzienie nauczyło go, że ból nie mija, dopóki nie zaczniemy go ignorować. Wziął głęboki, drżący oddech i starał się skoncentrować na stojącym przed nim zadaniu.

Co zrobić z Niedźwiedziem? Zamarznięta ziemia, siarczasty mróz i śnieg uniemożliwiały pogrzebanie czy spalenie ciała.

Silny zawrót głowy omal nie powalił Kamiennego Człowieka na kolana. Ciężko oparł się o stół i czekał na powrót równowagi.

Musiał podjąć decyzję. Teraz! Mógł zostawić Niedźwiedzia w namiocie, ale jeśli to zrobi, ciało przyjaciela zostanie pożarte przez drapieżniki, jeśli nie teraz, to na wiosnę. Kamienny Człowiek nie mógł się na to zgodzić. Zraniona noga prawdopodobnie nie pozwoliłaby mu tu wrócić przed nadejściem wiosny, a myśl o wilkach rozszarpujących ciało Niedźwiedzia sprawiała ból nie do zniesienia. A więc mógł zrobić tylko jedno: załadować zwłoki na sanki i zaciągnąć je do Dawson City.

Pokuśtykał w stronę drzwi, krzywiąc się, kiedy ból przeszywał jego nogę. Każdy krok musiał okupić cierpieniem. Kiedy się pochylił, żeby zawiązać śniegowce, powrócił fala zawrotów głowy. Zatoczył się do tyłu i mocno stąpnał na zranioną nogę. Ból był porażający. Upadł na wyładowany tobogan. Stracił przytomność. Ogarnęła go ciemność.

Po kilku minutach odzyskał świadomość i drgnął. Do licha! Wyciągnął okrytą rękawicą dłoń za śniegu i złapał się dobrze umocowanego na toboganie ładunku, żeby się podnieść.

Zanim udało mu się ułożyć potężne ciało Niedźwiedzia na sankach, owinąć je brezentem i przywiązać, był już całkowicie wyczerpany. Trzęsącymi się, odmawiającymi posłuszeństwa palcami obwiązał się w pasie liną, naciągnął kaptur na głowę i próbował pociągnąć sanki. Ani drgnęły. Zacisnął zęby i spróbował znowu. Tym razem udało mu się poruszyć tobogan. Cierpiący i słaby podniósł zdrową nogę, żeby zrobić krok. Rana zaboląta tak strasznie, że potknął się i upadł. Lodowaty śnieg aż parzył go w twarz. Zacisnął zęby i wstał. Przez dłuższy

czas dyszał ciężko, a potem zrobił okupiony potwornym cierpieniem krok. Potem drugi. I następny.

Zanim nadszedł świt, Kamienny Człowiek oddychał już z ogromnym trudem i bardzo szybko. Żebra bolały go z zimna, a twarzy w ogóle nie czuł. Zamarzająca noga pałała jednocześnie żywym ogniem. Ale szedł dalej, wiedząc, że jeśli się na chwilę położy, to już po nim. Już nie wstanie. Myśl o Devon trzymała go przy życiu. W ciągu ostatnich godzin obraz dziewczyny stał się jego latarnią morską. Nie widział okrywającego wszystko wokół śniegu, nie widział aksamitnego nieba roziskrzonego gwiazdami ani rosnących wzdłuż brzegu rzeki drzew, przypominających upiorne zjawy. W jego mózgu był tylko obraz jej twarzy w chwili, kiedy widzieli się ostatni raz - jej oczy lśniące jak bagienne porosty w ostrym słońcu i usta, wilgotne i czekające na jego wargi.

Jeśli umrze, już nigdy nie będzie mógł jej pocałować. A tak bardzo tego pragnął! Proszę, Boże, pomyśl błagalnie, pozwól mi umrzeć w domu. Nie proszę o wiele - dom jest chyba o milę stąd. Roześmiał się bezgłośnie, pozbawionym radości śmiechem. Utrata krwi zaczęła odbijać się na pracy jego mózgu. Bóg nigdy nie odpowiedział na żadną jego modlitwę. Ani razu. Więc dlaczego sądził, że tym razem spełni jego prośbę?

Devon nałała sobie kubek gorącej herbaty i otworzyła książkę *Portret damy*. Bez żadnego ostrzeżenia drzwi namiotu otwarły się, uderzając w belkę podtrzymującą namiot. Cały namiot zadygotał, a przez, otwór wpadł do wnętrza podmuch lodowatego powietrza i kłębiący się tuman śniegu. Dziewczyna zerwała się z miejsca.

Kamienny Człowiek, zataczając się, wszedł do środka. Kiedy odwrócił się do niej, przestała oddychać. Wyglądał jak śmierć. Jedyne oczy zachowały swą barwę w pozbawionej koloru twarzy, ale i te bursztynowe tęczówki były mętne

i bez wyrazu. Śnieg osiadł na krzaczastych brwiach i pokrytej kilkudniowym zarostem szczęce. A na wąsach była gruba warstwa szarego lodu.

Kubek wypadł z ręki dziewczyny i uderzył o podłogę. Niesamowity dźwięk odbił się echem w martwej ciszy namiotu.

Kamienny Człowiek chciał coś powiedzieć, ale z opuchniętych, popękanych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Devon podbiegła do niego. Otoczyła go w pasie ramieniem, a potem ściągnęła mu kaptur i rękawice. Kamienny Człowiek objął ją. Dziewczyna czuła drżenie rąk, którymi przyciskał ją mocno do siebie. Dobry Boże, pomyślała z przerażeniem, on jest zimny jak sople lodu.

- Dev? - usłyszała chrapliwie wyszeptane słowo. Podniosła głowę. Mężczyzna pochylił się nieco i lodowate usta dotknęły leciutko jak motyl warg dziewczyny, a później znieruchomiał, powieki opadły mu na oczy. Czekała przez chwilę, a potem odsunęła się od niego. Runął na podłogę.

- O, mój Boże! Kamienny Człowieku, wstań!

Upadła przy nim na kolana i szukała na jego nadgarstku pulsu. Walczyła z ogarniającą ją paniką. Trzęsącymi się rękami próbowała zerwać z mężczyzny zamrożoną kurtkę. Bezwładne ciało stawiało jej opór przy każdym ruchu, nie była w stanie go unieść.

- Boże, Kamienny Człowieku, pomóż mi błagała z jękiem.

Nie odpowiadał. Podniosła się i pobiegła do kredensu. Zrzuciła na podłogę tuzin noży, zanim znalazła nóż myśliwski. Pocięła nim kurtkę, zdjęła ją z niego i odrzuciła.

- Dobrze, Kamienny Człowieku. Teraz musimy wstać - wysapała. Wsunęła się pod niego i używając własnego ciała jak lewarka, próbowała podnieść go do pozycji siedzącej. Był jak worek zmarzniętych kartofli.

- Teraz, kiedy policzę do trzech... - Gdy doliczyła do

trzech, mocno wparła ręce w deski podłogi i odepchnęła się w górę. Jęknęła. - Pomóż... mi... O, Boże, nie dam rady. Boże! - wysapała, upadając na podłogę.

Ręka Kamiennego Człowieka przesunęła się powoli w stronę nogi od łóżka, potem ją objęła.

- Teraz!

Szarpnęła się do góry i udało jej się podnieść go na kolana. Trzymając się kurczowo ramy łóżka, wstał i rzucił się w poprzek posłania. Głowa dotykała brezentowej ściany namiotu, a nogi zwisały z drugiej strony łóżka.

Devon położyła rękę na czole Kamiennego Człowieka. Było rozpalone. Wdrapała się na łóżko obok niego. Przewrócenie go na plecy zajęło jej kilka minut. Rozpięła guziki ciepłej koszuli z wełnianej flaneli i rzuciła ją na podłogę. Potem rozpięła guziki grubych, także wełnianych spodni i zaczęła je ściągać. Zatrzymały się na udach. Spojrzała i zdrętwiała. Na czerwonych kalesonach widniała czarna, sięgająca aż do pachwiny plama. Mocniej szarpnęła spodnie. Ani drgnęły.

Och, na litość boską. Przesunęła się do tyłu, aż do kolan leżącego mężczyzny. Złapała mocno za pasek i pociągnęła. Udało jej się ściągnąć spodnie, ale oderwała się też część kalesonów wraz z przyklepionym do niego kawałkiem zakrwawionej skóry.

Kamienny Człowiek zadrżał, ale się nie poruszył.

Devon z grozą patrzyła na jego nogę, pokrytą od kolana aż po pachwinę zaschniętą krwią. Zauważyła coś w górze uda; wydawało jej się, że to przepaska. Materiał był czarny od krwi i twardy jak skała. Przecięła go nożem myśliwskim.

Świeża krew trysnęła z dziury w ciele Kamiennego Człowieka. Spłynęła po rozszarpanej czerwonej wełnie kalesonów i wsiąkała w koc, na którym spoczywał mężczyzna. Błyskawicznie utworzyła sporą kałużę.

Otwór po kuli! Ten widok wyrwał ją z odrętwienia. Przycisnęła zwiniętą w kłębek nocną koszulę wprost do rany. Kiedy upływ krwi nieco się zmniejszył, podniosła udo mężczyzny i obejrzała je z drugiej strony. Westchnęła z ulgą. Kula przeszła na wylot.

Podbiegła do szafy i wyjęła koszyk z przyborami do szycia. Postawiła go na łóżku, pospieszyła do piecyka i nastawiła wodę do gotowania w trzech rondlach. Czekając, aż się zagotuje, niecierpliwie postukiwała nogą o podłogę. Była o krok od paniki, całe jej ciało dygotało jak w febrze.

Nie bądź głupia! Myśl! Co zrobić najpierw?

Zatamować krwotok! Podbiegła do szafy i wyciągnęła letnią muślinową spódnice. Rozdarła delikatny materiał od góry do dołu, zwinęła go w rulon i obwiązała nim udo mężczyzny najwyżej, jak mogła. Na wysokości tętnicy pomiędzy materiał a skórę wsunęła drewnianą łyżkę, a potem obracała ją zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dopóki opaska uciskowa nie była wystarczająco ciasna.

Potem wyjęła z koszyka z przyborami do szycia nożyczki, jedwabne nici, igłę do haftowania, lniane płótno oraz pincetę i wszystko, poza płótnem, wrzuciła do gotującej wody. Niecierpliwie czekając, aż wysterylizują się narzędzia, co chwila wycierała chłodną ściereczką płonące gorączką czoło Kamiennego Człowieka. W końcu, nie mogąc już dłużej czekać, wylała wrzątek do miednicy i ostrożnie wyjęła narzędzia.

Zbielałymi, trzęsącymi się palcami ujęła pincetkę i zagłębiła ją w czerwono-czarną dziurę w ciele mężczyzny. W tej samej chwili, kiedy metal dotknął zaognionej, krwawiącej rany, szarpnął się i napiął mięśnie. Devon zaczęła przemawiać do niego uspokajająco i po kilku minutach się odprężył. Sprawnie oczyściła ranę ze strzępów ubrania, odłożyła pincetę i sięgnęła po nożyczki.

Boże, oddałaby wszystko, żeby tylko móc mu dać coś na uśmierzenie bólu, ale nie miała nic takiego. Ani alkoholu, ani

laudanum. Nic. Nie było nawet czasu, żeby pobiec do sklepu po środek przeciwbólowy Perry'ego Davisa. Zacisnęła zęby i zaczęła obcinać nożyczkami poszarpane brzegi rany. Dopiero kiedy skończyła, odważyła się rzucić zaniepokojone spojrzenie na twarz Kamiennego Człowieka. Odetchnęła z ulgą. Był ciągle nieprzytomny.

Nawlekła igłę.

Trzeba to zrobić!

Zbliżyła do siebie równe brzegi rany i zamknęła oczy, zbierając siły. Szybkim ruchem wbiła igłę w ciało. Natychmiast zesztyniała, czekając na reakcję mężczyzny. Nie było żadnej. Był chłodny i daleki. Ulżyło jej i szybko zszyła obie rany, wlotową i wylotową. Sprawdziła szwy i użyła namoczonego w terpentynie płótna jako bandaży.

Przez kilka następnych godzin przecierała gąbką jego gorącą skórę, poprawiała prześcieradła i okrywała go ciepło. Nuciała mu cicho wprost do ucha i gadała bez sensu o wszystkim, co jej przyszło do głowy. Ale przede wszystkim czekała, a na usta cisnęły jej się słowa: ocknij się, proszę.

Kamienny Człowiek próbował przebić się przez ochronny kokon aksamitnej czerni. Iskierka światła była niemal w jego zasięgu. Nie udało mu się odzyskać przytomności. Ale gdzieś z okolicy nieosiągalnego światła dobiegł go niezidentyfikowany, kojący głos.

- Dzięki Bogu! Proszę, napij się. To przestudzony bulion z losia.

Poruszył opuchniętymi wargami, żeby coś powiedzieć, ale udało mu się wydobyć z siebie tylko chrapliwy dźwięk, przypominający szelest opadłych liści. Uciszył go znów ten sam głos, łagodny jak poranny wietrzyk. Tym razem poczuł też dotyk ręki, delikatnie pomagającej mu unieść głowę. Pozwolił ręce robić z nim, co zechce, zbyt zmęczony, żeby odmówić.

Ciepła wilgotna kropla dotknęła jego popękanych ust i spłynęła na brodę.

Łapczywie łykał wzmacniający bulion. Zaspokoiwszy głód, wyczerpany tym wysiłkiem, znów zapadł się w otaczającą go ciemność.

Wszystko go bolało. Oczy, usta, głowa, ciało, noga. Wszystko. Im bardziej starał się dosięgnąć światła, tym bardziej wszystko bolało.

Miękkość łóżka skłaniała go do zapomnienia o świetle i zapadnięcia w sen. Ale powinien coś zrobić, to coś miało związek z Devon. Myśli zawirowały, odpływały. Pomyśli o niej później, kiedy będzie miał pewność, że żyje. W tej chwili był zbyt zmęczony...

Obudził się na dobre dopiero po dwóch dniach. Z krainy snu wyrwał go piekący ból uda. Otworzył oczy i zobaczył ściemniały od dymu brezentowy sufit własnego namiotu. Zaczął mrugać, zdezorientowany. Co robił w domu? Pamięta tylko, że siedział z Niedźwiedziem... Nagle mózg odtworzył ostatnie wydarzenia i Kamienny Człowiek poczuł się ogłuszony. Niedźwiedź odszedł. O, Boże...

Próbował podnieść głowę z poduszki, ale ten ruch spowodował tak silny atak bólu u podstawy czaszki, że mężczyzna opadł znowu na miękką bawełnę, chwilowo pokonany. Odwrócił głowę w lewo i przyglądał się małemu namiotowi. Paliła się lampa, oświetlając pomieszczenie czerwonożłotym blaskiem. W namiocie panował bałagan. Na płycie piecyka piętrzyły się garnki, na stole leżała podarta spódnica, a noże zostały rozrzucone po całej podłodze.

Zdrętwiał. Gdzie jest Devon? Nie poszłaby spać w takim bałaganie. Jego oszołomiony mózg wypełniła trwoga. Spróbował usiąść. Ten ruch spowodował falę zawrotów głowy, ale zacisnął zęby i podnosił się cal po calu.

Dziewczyna siedziała na krześle przy końcu stołu, głęboko uśpiona. Spała z przechyloną na bok głową i otwartymi ustami. Fale rozpuszczonych rdzawych włosów okalały jej twarz, wiły się wokół wysokich kości policzkowych i opadały splątana gęstwiną aż do pasa. Na kolanach Devon spoczywała sterta wilgotnych szmat, a u jej stóp stała miednica z wodą.

Nawet we śnie wyglądała na zmęczoną. Zauważył jej podkrążone oczy i siatkę zmarszczek na czole, których nigdy wcześniej nie widział. Była blada, woskowo biała, bez śladu zwykłego rumieńca na policzkach. Ale nawet w tej chwili wydawała mu się najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Wezbrał w nim ból tęsknoty, który odsunął w cień ból głowy. Nie był już w stanie dłużej zaprzeczać. Pragnął jej. Nie tylko na jedną noc. Pragnął jej na... dłużej.

Przez całą drogę powrotną do domu myślał tylko o tym, żeby móc ją jeszcze jeden, ostatni raz pocałować. Ani razu nie pomyślał o tym, co będzie, jeśli uda mu się przeżyć. Ale przeżył i przeżyło jego przedśmiertne marzenie. Gorączkowe majaczenie. Jeden pocałunek sprawi, że wszystko będzie dobrze. Ale przecież po tym pocałunku nadal będą tak różni jak dzień i noc. Śliczna dama, taka jak Devon, nie wytrzyma na dłuższą metę życia w spartańskich warunkach, w dziczy, z takim upartym starym samotnikiem jak on. Straci ją w chwili, kiedy rzeka odmarznie.

Westchnął. Problem polegał na skali cierpienia. Uświadomiła mu to śmierć Niedźwiedzia. W mgnieniu oka Kamienny Człowiek stracił jedynego przyjaciela. Ból był niewyobrażalny. A jeśli pozwoli sobie pokochać Devon, a potem ją straci, cierpienie będzie jeszcze dotkliwsze.

A straci Devon na pewno. Przyjdzie wiosna, dziewczyna spakuje swoje lekkie spódniczki i wróci do cywilizacji. Zegnaj, Kamienny Człowieku. Witaj, St. Louis.

Nie warto ryzykować. Już dość się w życiu nacierpiał, nie

potrzebował więcej. Musiał tylko przez te kilka krótkich miesięcy zachować między nimi bezpieczny dystans. A potem Devon wsiądzie na „Jukonera” i nawet się nie obejrzy. Może sobie zabrać swój cholerny rower, walizeczkę z aligatora i obrus.

Bezwładnie opadł na stertę poduszek, przymknął oczy i przypomniał sobie dotyk jej chłodnej ręki na czole. Jej dotyk i głos były tak niesamowicie delikatne, kojące. Kiedy w dzieciństwie zasypiał w samotności, owinięty lichym kocem, marzył o takim dotyku. Marzył aż do bólu. Dopiero teraz, w zaawansowanym wieku trzydziestu dziewięciu lat, spotkał kogoś, komu na tyle na nim zależało, że siedział przy nim, żeby chłodzić jego rozpalone czoło.

Twarz mu pociemniała. Do wiosny.

Kamienny Człowiek obudził się z uśmiechem na twarzy. Leniwie podniósł głowę z poduszki. Po raz pierwszy od tygodnia nie bolała go głowa. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Spojrzał na leżącą u jego boku kobietę. Devon. To imię brzmiało dla niego jak pieszczota. Wyglądała oszałamiająco pięknie i niezwykle kusząco.

- Devon - szepnął ochryple.

- Dzień dobry - powiedziała niewinnie, budząc się. Kamienny Człowiek poczuł, że tonie w jej oczach. Wyciągnął do niej rękę. Przsunęła się bliżej. Pukiel zwichrzonych rudawych włosów dziewczyny opadł mu na czoło, jak najlepsza francuska przędza jedwabna.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć. Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Dziękuję, że uratowałaś mi życie. To dla mnie wiele znaczy, że zależy ci na mnie tak bardzo, iż...

Devon uśmiechnęła się do swoich zwirowanych snów na jawie. Odkąd wrócił Kamienny Człowiek, przestała panować nad własnymi myślami. Początkowo próbowała walczyć z marzeniami, wmawiając sobie, że są zbyt głupie i dziecinne, żeby sobie na nie pozwalać. Ale im bardziej starała się ich pozbyć, tym stawały się silniejsze, aż w końcu dziewczyna zaprzestała

walki. Zaprzestała, bo uświadomiła sobie coś zaskakującego: marzenia są zabawne.

Spojrzała z tęsknotą na śpiącego przy niej mężczyznę. Gdyby tylko się obudził, mogliby rozwiązać wiele problemów. Tyle było dzisiaj do zrobienia, tyle do powiedzenia.

Devon postanowiła już, że spędzą zimę jako kochankowie. Była to szokująca decyzja, ale logiczna. Trudno by im było żyć razem w namiocie o powierzchni dziesięciu stóp na dziesięć i przez pięć miesięcy udawać, że są tylko współnikami.

To było dla nich dobre wyjście: dzielić jedną wspaniałą zimę, a potem się rozstać. Co miała do stracenia? I tak dość wcześnie zostanie starą, dobrą niezamężną ciocią Devon. Kiedy rzeka odtaje, wróci do domu. Dlaczego nie miałyby zabrać ze sobą jednego pięknego wspomnienia? Wspomnienia, które będzie ją ogrzewać w długie noce w St. Louis, kiedy będzie leżała sama w łóżku.

Uniosła się na łokciu i przyglądała się profilowi Kamiennego Człowieka. Pierwszy raz od tygodnia spokojnie przespał całą noc, w efekcie jego twarz wstrząsnęła dziewczyną. Wyglądał beztrzesko, prawie młodo.

Słabe zimowe słońce przeświecało przez brezent namiotu, kładąc niebieskawe refleksy na świeżo umyte rozczochrane włosy. Miała straszną ochotę wsunąć palce w gęste czarne kosmyki. Przysunęła się bliżej. Powoli podnosząca się i opadająca klatka piersiowa mężczyzny ocierała się o jej piersi. Devon poczuła rozkoszny dreszcz.

I ona miałyby uważać go za przyjaciela! Znaczył dla niej o wiele więcej. Przyjaźniła się z Niedźwiedziem, Kamienny Człowiek był kimś zupełnie innym. Jego pocałunki sprawiały, że krew kipiała jej w żyłach, jego dotyk powodował twardnienie jej sutek. Był kimś tak wspaniałym, że nie potrafiła tego nazwać.

Była gotowa natychmiast rozpocząć ich wspólną zimę!

Otworzył oczy.

- Dzień dobry! zawołała z ożywieniem.

- Dzień dobry - odpowiedział jeszcze bardzo zaspany.

Rozprostował ramiona, żeby wygnać z mięśni resztki snu. Devon przyturlała się bliżej i Kamienny Człowiek poczuł twarde sutki naprzężonych piersi dziewczyny. Bez zastanowienia otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Objął palcami jej okryte wełnianą tkaniną, krągłe ramię i delikatnie ścisnął.

Przetoczył się na bok i dziewczyna znalazła się w jego ramionach. Zaparło mu dech w piersiach na widok jej urody. Oczy w bladej twarzy były ogromne i błyszczące, a usta w zachwycającym odcieniu różu. Powoli przesunęła językiem po dolnej wardze. Coś zacisnęło się w jego wnętrznościach. Mocno.

W jednej chwili patrzył na jej usta, a w następnej już je całował. Sam nie wiedział, jak to się stało, i nie dbał o to. Marzył o tym pocałunku przez kilka miesięcy i skwapliwie go przyjął. Jego usta wzięły w posiadanie wargi dziewczyny z delikatnym naleganiem, smakowały je, szukały. Potem cofnął się nieco, tak że ich wargi tylko leciuteńko się stykały, i wodził językiem po jej dolnej wardze.

Palce Kamiennego Człowieka, jeden po drugim, rozluźniały uścisk na ramieniu Devon. Jego dłoń zsuwała się po ręce dziewczyny, zostawiając za sobą pokryte gęsią skórą ciało. Każdy nerw w Devon obudził się do życia. Opuszki palców mężczyzny prześliznęły się leciutko pod jej piersiami. Zamarła, niezdolna nawet do oddychania. Jego dłoń przesuwiała się po wzgórkach, muskając sutki, dopóki dziewczyna nie pomyślała, że za chwilę zemdleje. Kiedy jej się wydawało, że nie wytrzyma tej pieczyoty już ani chwili dłużej, dłoń Kamiennego Człowieka zacisnęła się wokół piersi. Jego silne palce zaczęły ją powoli, delikatnie ugniatać. Zareagowała instynktownie, wygięła się w łuk, żeby być jak najbliżej cieplej męskiej ręki. Jęknęła.

Jej cichy jęk otrzeźwił Kamiennego Człowieka. Cofnął rękę jak oparzony.

- A niech to wszyscy diabli! - Odsunął się jak najdalej, żeby stworzyć między nimi maksymalny dystans.

Niechętnie spojrzął na dziewczynę. Siedziała naprzeciw niego, pełna podejrzeń i oczekiwań. Jej twarz miała wyraz cierpiętnicy, który zwykle przybierała, kiedy beknął przy kolacji. Wargi, jeszcze obrzmiałe od pocałunków, były zaciśnięte z niezadowoleniem.

Była nim rozczarowana. Znowu.

Do diabła! Poczul się tak, jakby właśnie przebił pięścią brezent namiotu. Dlaczego ją, do licha, pocałował?! Spędził sześć tygodni na mrozie, powtarzając sobie, że Devon nie jest dla niego. Wiedział piekielnie dobrze, że dziewczyna pragnie rzeczy, których on nigdy jej nie da - domu, rodziny, cholernego psa i płotu z białych palików.

Całe to włączenie się i myślenie nic nie dało. Był w namiocie dopiero od tygodnia - z czego przez większą część czasu półżywy - i co robił? Całował ją! I pragnął jej aż do bólu.

Panował nad sobą jak zwierzak w czasie rui.

- A niech to, Devon, przestań się do mnie tak zakradać.

- Zakradać się do ciebie! Dlaczego, na litość... - Oczy dziewczyny załśniły.

- No, dobrze, dobrze. Nie chciałem powiedzieć, że to twoja wina. Nie mam pojęcia czyja. Ale nie możemy się więcej całować - powiedział ze zmęczeniem.

- Dlaczego? - Czoło dziewczyny przecięła zmarszczka. Aż jęknął, usłyszawszy to naiwne pytanie.

- Bo jestem zbyt zmęczony, żeby znowu wyjechać.

- Więc zostań.

Zmysłowy głos Devon opływał go jak fale. Postanowienie Kamiennego Człowieka zachwiało się.

- Ach, Dev, po prostu zostawmy to, jak jest westchnął. Zaczęła gryzać paznokieć na kciuku jak zdenerwowany

królik. Skrzywił się, wiedząc, że jej analityczny umysł pochwycił zgubiony wątek; coś nie było całkiem w porządku.

Kciuk odzyskał wolność. Problem został rozwiązany. Spojrzała na niego z tym „rozsądnym” wyrazem twarzy, który wykluczał jakąkolwiek dyskusję.

- Przecież mnie pragniesz, Kamienny Człowieku. Mogę być damą i dziewczicą, ale nie jestem idiotką.

Mężczyzna jęknął w duchu. Jeszcze dziesięć sekund, a ta sprytna mała damulka tak mu zamiesza w głowie, że odrzuci skrupuły i da jej to, o co prosi. Bóg świadkiem, że tego pragnął! Pomyślał, że musi zmienić temat. Szybko.

- Rozładowałaś mój tobogan?

- Nie! Byłam zbyt zajęta ratowaniem twojego życia, żeby pomyśleć o suszeniu twoich ubrań - odparła cierpko.

- Niedźwiedź nie żyje. - Kamienny Człowiek był zbyt zmęczony i zbyt obołały, żeby przygotować ją na przyjęcie tej wiadomości.

- O, Boże! Kiedy? Jak? - Twarz Devon zbieleła jak kreda.

- Do naszego namiotu wpadł na wpół szalony *cheechako* i zaczął do nas strzelać. Miał czas, żeby dobrze wycelować w Niedźwiedzia. - Przelknął ślinę, żeby pozbyć się guli z gardła.

Twarz dziewczyny skurczyła się z żalu. Patrzyła na Kamiennego Człowieka wstrząśnięta i milcząca, czekając na dalszą opowieść. Łzy zalśniły w jej oczach i spłynęły po białych jak mleko policzkach.

Na widok jej bólu odżył jego własny żal. Wspomnienia skruszyły mur, jakim je otoczył, i ugodziły w samo serce. Devon wyciągnęła do niego otwarte ramiona. Zadrżał. Boże, jak cudownie byłoby móc się teraz pozwolić objąć. Nikt nigdy go nie obejmował bez zainkasowania opłaty z góry.

Popatrzył na jej małe białe dłonie i przypomniał sobie ich delikatny dotyk na swoim rozpalonym gorączką czole. Przez całe życie czekał na jej rękę, na ten dotyk. Ale aż do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy.

Był w nie lada kłopotcie. Odległość między nimi była zbyt mała, zbyt łatwa do pokonania. Postanowił wstać z łóżka.

Mocno uderzył stopami o podłogę, groty bólu wbiły się w prawą nogę, udo pulsowało. Skrzywił się, dotykając podłogi czubkami palców.

- Wszystko w porządku? - Devon była przy nim w ciągu sekundy.

Szczerzy niepokój w jej głosie omal nie zniweczył jego postanowienia. Mocno zacisnęła szczęki, żeby nie powiedzieć czegoś głupiego. Czegoś w rodzaju: Nie, do diabła, nic nie jest w porządku od chwili, kiedy wkroczyłaś w moje życie.

- Świetnie - warknął.

Cofnęła się o krok, kręcąc zbielełymi palcami tasiemkę, ściągającą przy szyi nocną koszulę.

- No, jasne. Wszystko świetnie. Nie rozśmieszaj mnie. - Wybuchnęła wymuszonym śmiechem.

- Pójdę powiedzieć chłopakom o Niedźwiedziu. Kopanie grobu potrwa ze trzy dni. Musimy się za to zabrać. - Kamienny Człowiek sięgnął po ubranie i zaczął je wkładać.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Powoli odwrócił się w jej stronę. Nadal stała przy łóżku ze spuszczoną głową. Nawet z tej odległości widział, że dygoce. Cichy ból Devon ugodził Kamiennego Człowieka w samo serce. Jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać się od porwania jej w ramiona. Pragnął całować jej łzy. Ale nie mógł. Gdyby ją teraz zaczął całować, nigdy by nie przestał.

- Devon? - Odchrząknął.

- Tak? - spytała, nie podnosząc głowy.

- Dziękuję za uratowanie mi życia.

- Proszę bardzo.

W chwili kiedy Kamienny Człowiek wyszedł z namiotu, dziewczyna upadła na kolana.

Och, Niedźwiedziu... Ciężar bolesnych wspomnień przygiął jej wątłe ramiona, głowa jej opadła. Zimno z pokrytych warstewką lodu desek podłogi przeniknęło przez nocną koszulę

i mroziło jej kolana, ale Devon nie zwracała na to uwagi. W jej duszy panował stokroć sroższy mróz.

Ukryła twarz w dłoniach i pozwoliła łzom popłynąć.

Monotonny głos Midasa zmieniał się w mózgu Devon w pozbawioną sensu papkę. Przestała słuchać tej niewydarzonej, z trudem wyjąkanej mowy pożegnalnej. Wpatrzyła się w ziejącą w ziemi czarną dziurę, głęboką, ciemną i przerażającą w porównaniu z olśniewającą bielą otaczającego ją śniegu. Łzy dławily ją w gardle, piekły w oczach i zamarzały na rzęsach.

Stała sztywno wyprostowana, samotna, w sporej odległości od poszukiwaczy złota. Lodowate podmuchy wiatru były ją po policzkach i siekły twarz kosmykami włosów. Niebo nad głową było monotonne, stalowoszare. Szybko poruszający się wał chmur zasłonił słońce. Strzeliste, ośnieżone drzewa stały wokół niej jak cisi żałobnicy. Wiatr jęczał i zawodził w ich nagich konarach.

Devon czuła się tak, jakby jakieś ogromne lodowate ręce ścisnęły jej serce. Każdy oddech sprawiał jej ból, a oczy dziewczyny były opuchnięte i czerwone od płaczu. Każda cząstka jej istoty błagała o dotyk Kamiennego Człowieka. Już tak długo czekała, żeby rzucić się w jego silne ramiona i znaleźć w nich ukojenie.

Boże, dlaczego on nie przyszedł na pogrzeb? Miał oczywiście prawo okazać szacunek na swój własny sposób, ale czy nie mógłby choć raz pomyśleć o jej potrzebach? Potrzebowała go teraz i była przekonana, że i on jej potrzebuje. Gdyby tylko wyciągnął do niej rękę...

Znów śniła na jawie.

Ostatnie cztery dni przeżyła we mgle bolesnej niepewności. Nie padło między nimi ani jedno słowo. Co rano wstawała i brała się do roboty, gotowała posiłki i zmywała. Pracowała

obok Kamiennego Człowieka, ale czuła się samotna. Boleśnie osamotniona. Chciała, żeby sklep był ciągle czynny. Miałaby przynajmniej coś do roboty.

- Hej! Czy ktoś zna prawdziwe imię Niedźwiedzia? - Szorstki głos Midasa wdarł się w jej rozmyślania. Drgnęła, słysząc to pytanie, które obudziło w niej wspomnienie tak żywe, że aż ugięła się pod jego ciężarem. Wspomnienie jednego z „ich” poranków. W ten sposób Devon zaczęła myśleć o chwilach spędzonych z Niedźwiedziem. Ich czas.

- Niedźwiedziu, jak ty właściwie masz na imię? - zapytała kiedyś.
- Powinnaś już się zorientować, panienko, że na terytorium Jukonu nie pyta się ludzi o ich prawdziwe imiona.

- Nikomu nie powiem, jeżeli nie będziesz tego chciał.

- Nie!

- A chcesz poznać moje drugie imię? - próbowała go podejść po chwili.

- Jesteś jak pies, który złapał kość, nie wypuścisz jej aż do śmierci, co? Nie dasz mi chwili spokoju, dopóki ci nie powiem. - Uśmiechnął się do niej.

- Nie masz żadnych szans.

Westchnął.

- Mama dała mi na imię Eugeniusz. Eugeniusz Jedediah Ott. I nie waż się roześmiać, dziewczyno. Mam szesnaścioro braci i sióstr. Pewnie kiedy się urodziłem, wszystkie porządne imiona były już zajęte.

- Pewnie tak. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Trzymam cię za słowo, dziewczyno...

- No? Co mam napisać na tabliczce? Zna ktoś jego imię? - Znów zabrzmiał szorstki głos Midasa.

Łzy spłynęły po policzkach Devon i zamarzyły na jej zaczerwienionej od wiatru twarzy jak srebrzyste nitki. Z roztargnieniem zerwała sople, krzywiąc się, kiedy oderwała wraz z nimi mały kawałek skóry.

- On chciałby mieć napisane na grobie: Niedźwiedź. Tylko Niedźwiedź - powiedziała miękko.

- Też tak sądziłem - stwierdził Midas, wbijając drewnianą deskę w ziemię. Każde uderzenie młotka nosło się echem w cichym mroźnym powietrzu. Kiedy skończył wbijanie. Devon spojrzała na zrobioną przez niego tabliczkę.

Niedźwiedź Pogrzebany 24 grudnia 1896 roku Niech wszyscy wiedzą, że był dobrym człowiekiem.

Ukryła twarz w grubych skórzanych rękawicach i zasłochała. Czas stanął w miejscu, a ona trwała tam, opierając się wściekłym uderzeniom wiatru. Płakała, dopóki jej dusza nie wyschła, a oczy nie zaczęły piec.

- Panno Devon? Pogrzeb już się skończył, moje dziecko. Zamarzniesz tu na śmierć.

Wydawało jej się, że głos ojca Michaela dobiega gdzieś z oddali. Minęło dobrych kilka minut, zanim dotarło do niej, że ksiądz stoi tuż obok. Devon opuściła ręce i rozejrzała się. Wszyscy poza nią i duchownym już się rozeszli. Jakie to typowe dla mieszkańców Jukonu, pomyślała, zostawić człowieka pogrążonego w żalu samemu sobie.

Popatrzyła na grób. Czarna dziura w ziemi została już zasypana. Teraz był to tylko brunatny owal pośrodku śnieżnej pustyni, a do jutra zniknie nawet to. Tylko tabliczka zostanie na pamiątkę.

Niedźwiedź rzeczywiście i naprawdę odszedł.

- Myślę, że nie miałabym nic przeciwko śmierci - powiedziała ponuro.

- Tylko w tej chwili tak ci się wydaje, moje dziecko. Cierpisz, co było do przewidzenia. Ale musisz żyć dalej, jak Bóg przykazał.

- Co to za Bóg! Niedźwiedź nie żyje, a jego morderca jest na wolności! *f*zawołała szyderczo i pociągnęła nosem.

- No, no, nie będę słuchał takich słów. Szczególnie w Wigilię.
- Przepraszam, ojcze.
- Nie masz za co przeproszać. Spodziewałem się, że będziesz trochę zła. Ale, moje dziecko, Bóg nigdy nie zabiera niczego, nie dając nam czegoś w zamian. Patrz, a zobaczysz. Wkrótce niewątpliwie spotka cię coś wspaniałego.
- Nic nie może być warte życia Niedźwiedzia.
- Chyba masz rację. Jednakże... A może zdarzy się coś miłego podczas świątecznego przyjęcia? - Na tę myśl twarz ojca Michaela rozjaśniła się.
- No, chyba nie sądzisz, ojcze, że przygotuję przyjęcie... przyjęcie dla Niedźwiedzia? - Aż ją zatkało.
- Myślałem, że to miało być przyjęcie na Boże Narodzenie.
- Tak, ale miałam je przygotować dla Niedźwiedzia i...
- I dla wszystkich ludzi takich jak on, stęsknionych za domem. A może sądzisz, że po jego śmierci inni mniej tęsknią za rodzinami?
- Nie, ale nie mogłabym się wziąć za przygotowania świąteczne. Nie teraz...

Książd położył jej rękę na przedramieniu.

- A co z indiańskimi dziećmi, które kazałaś mi zaprosić? A ci mężczyźni? Co z nimi? Zawiadomiłaś ich, że mają przyjść o siódmej w Boże Narodzenie do tartaku Joego Lague. Nie taką niespodziankę im obiecałaś.

Devon tępo wpatrywała się w grób. W jej mózgu kłębiły się myśli, wyobrażenia i wspomnienia. *Przygotuj to przyjęcie, dziewczyno. Przyjdę.* Wszystko zaplanowała; przygotowała dość jedzenia, żeby nakarmić cały obóz i okolice.

- Niedźwiedź chciałby, żebyś urządziła to przyjęcie. Nie sądzisz, że będzie patrzył na nas z góry, czekając na swą pierwszą świąteczną wieczerzę? Byłby chyba nieco rozczarowany, gdyby stwierdził, że...

- Dobrze. Wygrałeś, ojciec. Przyjęcie odbędzie się zgodnie z planem.
- Dziewczyzna głośno pociągnęła nosem.
- Teraz cię poznaję. Nie mogłabyś sprawić zawodu dzieciom - rzekł ksiądz i popchnął Devon w stronę domu.

Kamienny Człowiek stał samotnie na zboczach wzgórza na wprost osady. Wściekłe porywy wiatru wyły ponurą pieśń żalobną, jakby były echem cierpienia, zamkniętego w jego duszy. Przenikliwe zawrośnięcie było jedynym dźwiękiem w tym białym, otulonym śniegiem świecie. Niebo nad głową było głęboko, beznadziejnie szare, tak zniechęcające, że nawet jastrzębie zrezygnowały z lotów. Obolałymi, suchymi oczami spoglądał w dół, na niewielką, rozchodzącą się już grupkę uczestników pogrzebu. Objął się mocno ramionami, próbując sam sobie dać choć odrobinę ciepła. Ale nic to nie dało; ziąb był zbyt silny, zbyt przenikliwy. I nie miał nic wspólnego z pogodą.

Kamienny Człowiek powoli opadł na kolana. Zmroźony śnieg zachrząścił pod ciężarem jego ciała. Wiatr poruszył zwisającą nad głową mężczyzny gałęzią samotnego świerku i czapa śnieżna upadła na ziemię tuż przed nosem Kamiennego Człowieka. Jeden płatek spadł na jego ramię, stopił się i spłynął po pokrytym kilkudniowym zarostem policzku.

Mężczyzna pochylił głowę w modlitwie. Modlitwa wydawała mu się czymś obcym i nie pasującym do niego, ale się zmusił, żeby ją odmówić. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla Niedźwiedzia.

- Zaopiekuj się nim, Boże. To dobry człowiek. Aha, i jeśli możesz, daj mu z powrotem jego rękę. Bardzo cierpiał z powodu jej utraty.

Z pełnym determinacją wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał na dolinę. Rzeka przypominała krętą nitkę białego aksamitu,

wijącą się leniwie wzdłuż rzędu zszarzałych namiotów. A ponad nimi potężne poszarpane szczyty gór, niemi obserwatorzy.

Pogrzeb już się zakończył. Żałobnicy, przypominający z tej odległości rząd czarno odzianych mrówek, rozchodzili się. Każdy zmierzał powoli w stronę swojego samotnego namiotu. Tylko dwoje pozostało przy grobie. Kobieta i mężczyzna. Gdyby wyteżył słuch, mógłby pochwytać łopot kobiecych czarnych spódnic.

- Devon - wyszeptał z tęsknotą. Boże, jakże chciałby pójść teraz do niej. Żeby ją pocieszyć i samemu znaleźć pocieszenie.

Ale nie mógł zrobić i nie zrobi wylomu w murze bezpiecznego milczenia, którym się otoczył. Gdyby pozwolił jej się dotknąć teraz, kiedy najbardziej tego potrzebował, już nigdy nie zdołałby okiełznać własnej duszy. A dusza, jego sponiewierana i zgorzkniała dusza była jedynym, co kiedykolwiek posiadał.

To było przerażające: myśl o tym, że Devon jest mu potrzebna, że bez niej nie czuje się pełnym człowiekiem. Nauczył się żyć ze świadomością, że nigdy nie zazna ukojenia. Ale czymś zupełnie innym było dotknąć ciepła, a potem znowu pograć się w lodowatym mroku. Mógł żyć, nie mając tego, czego pragnął. Ale nie był w stanie żyć, potrzebując tego, czego nie mógł mieć.

Ciężko podniósł się z klęczek i stał przez chwilę bez ruchu, bo serce przeszło mu rozdzierający ból. Przez sekundę podejrzewał, że ma zawał, ale wkrótce ból zelżał. Zmienił się w spoczywający na sercu ciężar. Kamienny Człowiek czuł się tak, jakby był przygniataany przez blok granitu, który powoli wypycha powietrze z jego płuc.

Boże, chciałby być na tyle męski, aby móc pozwolić sobie na płacz. Może łzy uwolniłyby go od cierpienia...

Kolacja tego wieczoru była ciężką, pełną napięcia próbą. Devon siedziała sztywno wyprostowana i rozgrzebywała jedzenie na talerzu, nie biorąc do ust ani kęsa. Kamienny Człowiek był równie cichy i daleki.

Kiedy dziewczyna nie była już w stanie dłużej tego znieść, otarła serwetką kąciki ust, odłożyła ją i sprzątnęła ze stołu swoje nakrycie. Jej sztywna poprawność piekielnie irytowała Kamiennego Człowieka. Boże, jak on nienawidził takiego zachowania Devon. Ale co mógł na to poradzić? Jeśli runie jedna bariera, runą wszystkie, a nie mógł ryzykować życia z nią pod jednym dachem bez tych wewnętrznych murów. Była zbyt niebezpieczna dla jego sposobu życia.

Pragnął jej, ale pożądanie nie zaślepiało go do tego stopnia, aby nie mógł dostrzec prawdy. Jeżeli choć raz pójdą ze sobą do łóżka, już nigdy nic nie będzie takie samo. Devon go porzuci, a dziwki nie będą mu już wystarczać. Dzikość przyrody, którą zawsze tak bardzo cenił, będzie mu się wydawać samotna i bezbarwna. Do diabła, nawet ten namiot stanie się dla niego ciasny i brudny.

Zaniósł swój talerz i kubek do miski. Stali ramię przy ramieniu, ocierając się czasem łokciami, kiedy Devon zmywała, a on wycierał naczynia. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Kiedy pozmywali, zajęli swoje stałe miejsca. Kamienny Człowiek usiadł na swoim ulubionym krześle i wziął się do czytania. Devon przysunęła się do piecyka. I przez resztę tego pełnego napięcia, przykrego wieczoru siedzieli razem w ciszy. Razem, ale bez słowa.

Devon wyjęła kieszonkowy zegarek i sprawdziła godzinę. O, Boże. Za piętnaście siódma. Za kwadrans zaczną schodzić się goście. Znów ogarnęło ją zdenerwowanie. Przycisnęła drżącą rękę do przepony w nadziei, że ucisk uspokoi

wewnętrzny dygot. Chciała, aby dzisiejszy wieczór był doskonały. Dla Niedźwiedzia.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem efekty swojej pracy i niepokój zniknął, a jego miejsce zajęła satysfakcja z dobrze wykonanego zadania. Udało jej się przekształcić tartak Joego Ladue w przytulny dom z dala od domu.

W lewym rogu stała ogromna jodła, przybrana prażoną kukurydzą i gałązkami zmrożonych żurawin. Świece z łośiego sadła mrugały z gałązek drzewka, a ich jasne złociste światło opromieniało prawie połowę pomieszczenia. Pod choinką rozrzuciła tuziny pudełek owiniętych w kawałki białej moskitiery. W każdej paczusce była zabawka; drewniane zwierzątko, wyrzeźbione przez ojca Michaela, albo lalka, uszyta przez Devon z jej letnich spódnic i resztek moskitiery.

W prawym rogu stał brzuchaty piec Joego, pierwszy taki piec w Dawson City. Na jego płycie bulgotał przyprawiony cynamonem napój jabłkowy obok olbrzymiej patelni z pachnącym sosem do pieczenia z niedźwiedzia.

Devon zamknęła oczy i głęboko wdychała znajome zapachy świąt Bożego Narodzenia: cynamonu, jabłek, choinki i świec. Pomyślała o siostrze i poczuła się chora z tęsknoty za domem. Nagle i bardzo boleśnie odczuła swoje osamotnienie. Niedźwiedź odszedł; Kamienny Człowiek jej nienawidził. Była taka samotna w tej twardej krainie. O, Boże...

Nie myśl o tym! Jeśli będziesz o tym myśleć, zmienisz się w mokrą plamę.

Podniosła drżącą brodę. Zamrugła, żeby pozbyć się podejrzanej wilgoci, i zerknęła w okno. Był to mały otwór, wycięty w zachodniej ścianie chaty, a rolę szyby spełniały puste przezroczyste słoiki, wtłoczone w dziurę w ścianie i uszczelnione błotem i gliną. Pachnące gałązki świerku i jodły zwieszały się girlandami nad oknem i po jego bokach. Gałązki związane były w rogach dwiema dużymi płóciennymi kokardami.

Na środku sali stał stół. A raczej stoły. Szesnaście stołów, przyniesionych ze wszystkich namiotów w dolinie, zestawiono razem, aż utworzyły jeden długi bufet. Cztery czerwone wełniane koce spełniały rolę obrusów.

Przez środek stołu biegł długi rząd tac wypełnionych jedzeniem. Były tam dwa perfekcyjnie upieczone niedźwiedzie udźce; sześć mis białych ryb, pływających w ostro przyprawionym tłuszczu łosia; tuziny wiewiórek w cieście; całe misy ziemniaków z puszki, rzepy i marchwi, wielka patelnia świeżych herbatników z jagodowymi konfiturami; napój brzoskwinowy i ciasto z dyni. Brakowało tylko talerzy.

Pukanie do drzwi przerwało Devon oglądanie stołu. O, mój Boże!

Wyprostowała się, postarała się usunąć z twarzy ślady zdenerwowania i wygładziła niewidzialne zgniecenia na śnieżnobiałej bluzce. Ręce dziewczyny sprawdziły szybko kok, zwinięty nisko na karku. Zadowolona, że przyzwoicie wygląda, szybko ruszyła do drzwi i je otworzyła.

Dwa tuziny poszukiwaczy złota i kilka rodzin indiańskich zgromadziło się pod drzwiami. Mogła dostrzec tylko kaptury i szerokie uśmiechy. Z tłumu wysunął się Dryblas.

- Dobry wieczór, panno Devon. Przyniosłem talerz i widelec, jak pani kazała - powiedział, szcękając zębami.

- Ja też - przyłączył się Kopacz.

- I ja - rozległ się chór głosów.

Devon uspokoiła się; już nie miała o co się martwić. Dzisiejszy wieczór będzie olbrzymim sukcesem. Czowała to.

- Wejdźcie - poprosiła i odsunęła się od drzwi. Dryblas wpadł pierwszy i stanął w progu jak rażony piorunem.

- A niech mnie!

Kopacz wpadł na niego, odbił się od pleców towarzysza i potoczył na stojących za nim ludzi. Tłum zaczął się przewracać jak kręgle.

- Rusz się, cholerny komarze. Na dworze jest zimniej niż przy cycku czarownicy! - dobiegł z tyłu głos Midasa.

Dryblas ruszył do przodu, okrągłymi oczami wpatrując się w choinkę.

- O, mój Boże... - westchnął Kopacz, wchodząc za nim w krąg świątecznego światła.

- Co, do diabła...! - Midas przepchnął się łokciami przez tłum. Wpadł do środka i stanął jak porażony. Jego zwężone zle oczka przesunęły się po tacach i badały pokój. Światło, promieniejące z choinki, tańczyło na stertach jedzenia ułożonego na tacach i ślizgało się wesoło po wysypanej trocinami podłodze. Zerknął na Devon, ich oczy się spotkały. Dziewczyna zauważyła, że spojrzenie Midasa złagodniało. Zanim którekolwiek z nich zdążyło się odezwać, tłum wchodzących zepchnął starego poszukiwacza złota w stronę stołu.

Devon odbierała od gości talerze i pieczołowicie ustawiała je na swoim pokrytym czerwonym obrusem świątecznym stole. Umieściła dzieci bliżej choinki, a poszukiwaczy złota koło baryłki bimbru, który sama przygotowała. Wzdrygnęła się na samą myśl o wypiciu tej mikstury. Płyn fermentował krócej niż miesiąc, a składał się z wody, melasy, kilku suszonych jagód i zakwasu.

Pomyślała o Kamiennym Człowieku. Nie mogła nic poradzić na to, że czekała na jego przybycie. Raz po raz jej zaniepokojone spojrzenie kierowało się w stronę drzwi, jakby siła jej tęsknoty mogła sprawić, że się otworzą. Były zamknięte, żeby odgrodzić pomieszczenie od mrozu na dworze.

Wokół w najlepsze trwało przyjęcie. Pod choinką skupiło się sześcioro indiańskich dzieci, wpatrujących się z podnieceniem w prezenty. Ich wysoki, głośny chichot wzbijał się w górę poprzez przesycone dymem powietrze. Poszukiwacze złota skupili się wokół stołu z bimbrem i pili łączywie. Jednostajny pomruk ich chrapliwych głosów był przerywany czasem od

głosem splunięcia, śmiechem i brzękiem uderzającej o siebie blachy.

Przyjęcie bez wątpienia było udane. Nikt z obecnych nie czuł się nieszczęśliwy, samotny ani nie tęsknił za domem. Powinna być wzruszona i przejęta. Ale nie była. Była nieszczęśliwa. Spośród wszystkich, których zaprosiła, tylko jeden nie przyszedł.

Powinna była wiedzieć.

- To wspaniałe przyjęcie, dziewczyno. Po prostu wspaniałe. I zrobiłaś najlepszy bimber, jaki kiedykolwiek piłem! - Ciepła ręka objęła i ucisnęła jej ramiona. Ojciec Michaels puścił do niej oko.

- Dziękuję, ojcze. Cieszę się, że wszyscy tak dobrze się bawią.

- Nie słyszę w twoim głosie radości. - Oczy starego człowieka zwężyły się ze zrozumieniem.

- Chyba jestem trochę zmęczona - mruknęła Devon, odsuwając z twarzy niesforny kosmyk włosów.

- Widzę - rzekł tonem, który przeczył słowom. - Muszę lecieć, mam coś co załatwienia, za chwilę wracam.

Zdjął kurtkę z jednego z wbitych w ścianę haków i się ubrał.

- Tylko się pośpiesz. Zaraz siadamy do obiadu - powiedziała dziewczyna z roztargnieniem.

Po wyjściu księdza rozejrzała się po pokoju. Wydawało się, że wszyscy znakomicie się bawią. Powróciło upiorne poczucie osamotnienia. Boże, tak strasznie brakowało jej Niedźwiedzia. Jego śmierć pozostawiła dziurę w jej sercu. Och, Kamienny Człowieku, dlaczego nie przyszedłeś? Tak rozpaczliwie cię dziś potrzebuję...

- Na litość boską! Zachowujesz się jak idiotka - mruknęła do siebie. - Po prostu go tu nie ma. I twoje łzy na pewno go tu nie przywiodą.

Wyprostowała ramiona i ruszyła przez tłum w stronę Midasa. Stanęła obok starego, kościstego poszukiwacza złota. Głęboko nabrała powietrza dla uspokojenia i poklepała go po ramieniu.

- Nie widzisz, że rozmawiam? - rzucił przez ramię.
- Midasie? - Znów dotknęła jego ręki.

Kiedy się odwrócił, dziewczyna wstrzymała oddech. Zupełnie nie był podobny do dawnego Midasa. Jasny, szczęśliwy uśmiech całkowicie odmienił jego twarz. I, o dziwo, uśmiech ten nie zniknął, kiedy mężczyzna zobaczył Devon.

- Tak? O co chodzi?
- Czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę... na osobności?
- Jasne - odparł i ruszył za nią w stronę pustego kąta pomieszczenia.

Kiedy zostali sami, spojrzeli na siebie z wahaniem.

- Midasie, zastanawiałam się, czy zgodziłbyś się odegrać dzisiaj rolę świętego Mikołaja? Dla dzieci.

Czerwone policzki mężczyzny pobladły. Przez chwilę milczał, a kiedy wreszcie się odezwał, jego zgrzytliwy głos był napięty.

- Chcesz, żebym ja... ja wystąpił jako święty Mikołaj?!
- Jeśli się zgodzisz.

Zrobiło jej się ciepło na duszy, kiedy dostrzegła zdradziecką wilgoć w przekrwionych oczach starego człowieka. Odchrząknął głośno.

- Sądzę, że jestem tutaj jedynym człowiekiem, który woli zamarznąłą brodę od lodowatego ostrza brzytwy.

Tym razem nie udało mu się jej oszukać. Za późno; zdążyła dostrzec uczucia pod maską złości. Uśmiechnęła się. Człowiek, który był tak przejęty perspektywą pomocy dzieciom, nie może być całkowicie zły. Niezależnie od tego, jak twardy próbuje być. Położyła rękę na rękawie Midasa.

- Poprosiłam cię o to nie dlatego, że masz brodę. Poprosiłam cię dlatego, że... no, cóż, myślałam, że pod tą szorstką, awanturczą maską masz miękkie serce. I że będziesz miał ochotę wystąpić w tej roli.

- Ha! Tylko nie lataj naokoło i nie rozgłaszaj tego! prychnął drwiąco.
- Nie będę - obiecała z uśmiechem.
- No... dziękuję. Nie odgrywałem świętego Mikołaja od czasu, kiedy mój chłopak był wielkości butelki whisky. Wstał i znowu odchrząknął.

- Nie wiedziałam...

- I nadal nie wiesz.

Devon zdecydowała się zmienić temat.

- Mam trochę mąki do pobielenia brody i wielkie czerwone kalesony.
Odszukaj mnie po kolacji.

- Dobrze. Dev?

- Tak?

- Masz jeszcze jednego gościa. O, tak. Kawał chłopca. Chyba samotnik. - Midas wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wskazał głową na drzwi.

Dziewczyna splótła dłonie, żeby ukryć ich drżenie. Brakowało tylko jednej osoby. Dumnie uniosła głowę i się odwróciła. W drzwiach, obok ojca Michaela, stał Kamienny Człowiek. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Kamienny Człowiek skinął dziewczynie głową na odczepnego i natychmiast odwrócił się do niej plecami. Devon westchnęła. Znowu bitwa. I to w tę jedyną noc.

Wyprostowana jak struna energicznie wyszła na środek pomieszczenia i zaklaskała w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Prawie natychmiast zebrani przerwali swoje zajęcia i spojrzeli na dziewczynę.

- Usiądźmy do kolacji, dobrze? - zaproponowała. Propozycja została przyjęta z entuzjazmem. Wszyscy rzucili się do stołu, łapiąc do drodze składane krzesła. Dwa pozostały wolne; jedno u szczytu stołu, drugie - naprzeciw niego. Kamienny Człowiek, popatrując ponuro na Devon, zajął miejsce u szczytu stołu. Dziewczyna przesłiznęła się obok niego i usiadła na przeciwległym krańcu. Dzielił ich długi czerwony stół. Dla niej była to stanowczo zbyt wielka odległość, dla niego - o wiele za mała.

Ojciec Michaels uniósł kościstą rękę, żeby uciszyć zebranych. Hałaśliwy tłum natychmiast zamilkł.

- Myślę, że nie najgorzej byłoby się pomodlić.
- Byłoby miło, ojcze - stwierdziła Devon, pochylając głowę.

- Ojcie Niebieski, dziękujemy za te nadzwyczajne szczodre dary, które umieściłeś dzisiaj na naszym stole. My...

- Pośpiesz się, ojcie!

- Tak, jedzenie stygnie!

Ksiądz westchnął szybko. Jego trzódka nie należała do pokornych. Byli dziś wszyscy czarnymi owcami, byli jak głodne owieczki, które zobaczyły bogate pastwisko. Mrugnął do Devon.

- Dzięki Ci, Boże. Przysuń rai wiewiórki w cieście, moje dziecko.

Podczas całego posiłku Devon czuła na sobie spojrzenie Kamionego Człowieka, ale ilekroć podnosiła na niego oczy, odwracał się w inną stronę. Jego ostentacyjne odrzucenie raniło ją jak cios nożem. Boże, myślała, tak bardzo oddaliliśmy się od siebie. Czy uda jej się kiedykolwiek rozbić gruby, kuloodporny mur, który postawił między nimi?

Chyba tylko cud mógłby ich połączyć.

Kiedy posiłek dobiegł końca - a wydawało się, że trwa wiecznie - Devon szybko wstała i z resztek jedzenia zaczęła przygotowywać paczki do zabrania do domu przez każdego z gości. Midas podszedł i złapał ją za rękaw.

- Już czas?

- Tak. Kostium jest w spizarni Joego na zewnątrz. A tu jest mąka. - Dziewczyna musiała z całej siły powściągać rozbawienie na widok palącego się do swej roli Midasa.

Po kilku minutach drzwi chaty otworzyły się gwałtownie, uderzając z hałasem w drewnianą ścianę. Rozmowy urwały się w pół słowa i wszyscy odwrócili się jak na komendę. Śnieg wdzierał się przez otwarte drzwi i wirował nad wysypaną trocinami podłogą jak tysiące płamek światła. Na dworze wiatr gwizdał i zawodził.

Brzuchaty, krzywonogi święty Mikołaj wszedł zamasyżuje do środka, zostawiając za sobą smugę mąki. Spod upudrowanej brody wyzierał szeroki, nieco szczerbaty uśmiech, który czaił się także w wodnistych, szarych oczach.

Devon zapomniała na chwilę, że to Midas. Wyglądał zupełnie inaczej. Wyglądał na... szczęśliwego. Uśmiechnęła się, ale w jej oczach zabłyśły łzy, które wytarła z roztargnieniem. Mam nadzieję, że widzisz to, Niedźwiedziu. Wesółych świąt, przyjacielu!

Indiańskie dzieci stały wokół choinki, trzymając się za ręce i patrząc na Midasa. Ich brązowe oczy lśniły ze zdziwienia.

- Ho! Ho! Ho! Wesółych świąt! - zawołał święty Mikołaj. Dzieci zaczęły coś gwałtownie szeptać. Zbiły się w ciasny krąg, przytuliły do siebie małe czarnowłose główki. Mówiły coś z podnieceniem, pokazując sobie palcami mężczyznę w długich czerwonych kalesonach. W końcu jedno z najmłodszych dzieci, sześćoletni chłopczyk, wysunęło się naprzód.

- Zaczekaj, Johnsey!

Mały zignorował ostrzeżenia przyjaciół. Pomaszerował wprost do Midasa.

- Ojciec Michaels opowiadał nam o świętym Mikołaju. Czy to ty? - zażądał odpowiedzi.

- Oczywiście, że tak! - Midas ukląkł przy nim na jedno kolano. Kiedy tylko wypowiedział te słowa, został natychmiast otoczony przez dzieci, które chichotały, ciągnęły go za brodę, szturchały w brzuch.

- Prrr, dzieciaki, prrr! Mam tu robotę do wykonania. Mam dla was prezenty!

Teraz albo nigdy. Devon szybko rozejrzała się po pokoju. Wszystkim udzieliło się podniecenie świętego Mikołaja, rozdzielającego prezenty. Wszystkim, poza Kamiennym Człowiekiem. Siedział samotnie w kącie i jadł ostatni kawałek ciasta z dyni. Devon sięgnęła pod stół i wyjęła schowany tam wcześniej prezent. Potem, wyprostowana jak struna, szybko ruszyła w stronę współnika.

Kamienny Człowiek usłyszał postukiwanie jej obcasików o podłogę i wiedział, że szykują się kłopoty. Schował brodę

w kołnierzyk ciepłej flanelowej koszuli i zmówił szybką, ale pełną nadziei modlitwę, aby dziewczyna minęła go i poszła dalej. Oczywiście nie minęła go i po długiej chwili ciszy Kamienny Człowiek zmusił się do spojrzenia na Devon.

Uklękła przed nim i po raz pierwszy od wielu dni znaleźli się twarzą w twarz. Miał kłopoty z oddychaniem. Jej oczy były bardziej zielone, niż pamiętał, a skóra bielsza. Poczul delikatny, świąteczny zapach dziewczyny.

- Czego chcesz? - Odchrząknął.

Skurcz bólu przebiegł po jej twarzy i Kamienny Człowiek poczuł się jak idiota, którym zresztą był. Ale nie mógł sobie na tyle zaufać, żeby być dla niej miły. Nie teraz, kiedy jej usta znajdowały się tak blisko. Spomiędzy różowych warg dziewczyny wysunął się czubek języka, zostawiając lśniąca wilgotną smugę na ustach.

- Mam coś dla ciebie. Świąteczny prezent. - Podała mu małą paczuszkę, owiniętą w czerwony papier. Chciał jej dotknąć, ale nie był w stanie. Palce mu się tak trzęsły, że odmówiły posłuszeństwa. Paczuszka wylądowała na jego kolanach. Devon roześmiała się nerwowo.

- Nie musisz rozpakowywać. To tylko mój stary egzemplarz *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Sądzę, że mógłbyś zidentyfikować się z...

- Nie mam nic dla ciebie. Nigdy nie dawałem... ani nie dostawałem prezentów. Nawet nie sądziłem... Wiedział, że jego głos zabrzmiał szorstko, nerwowo, ale nic nie mógł na to poradzić. Czuł, że coś go dusi w gardle.

- To nic nie szkodzi. Wesółych świąt, Corneliusie. Dziewczyna położyła małą, ciepłą dłoń na jego policzku. A potem, zanim zdążył wyduśić podziękowanie, odeszła.

Palce Kamiennego Człowieka błdziły z szacunkiem po gładkim, czerwonym papierze, a wielka sucha jak piasek pustyni gula rosła mu w gardle.

Prezent. Dla niego. Dobry Boże, trzeba będzie dzisiaj

zmobilizować wszystkie siły, żeby nie porwać jej w ramiona. Absolutnie wszystkie siły.

Kilka godzin później Devon odstawiła ostatni talerz. Wierzchem dłoni otarła pot z czoła i wytarła fartuchem mokre ręce. Stoły zostały zdemontowane, a czerwone koce poskładane i odłożone. Dzieci odeszły z rodzicami już dawno. Zostali tylko poszukiwacze złota, którzy siedzieli w niewielkich grupkach, opowiadając sobie wrażenia. Nikt nie chciał wychodzić. No, może jeden, poprawiła się. Jej spojrzenie pobiegło do Kamiennego Człowieka. Siedział samotnie w rogu chaty, na wpół drzemiąc. Jej serce zabiło mocniej. Z zamkniętymi oczami wyglądał tak spokojnie. Prawie bezbronnie. Bez zastanowienia zrobiła krok w jego stronę.

- Hej, Devon! - zawołał ją któryś z mężczyzn.

Zakłęta pod nosem. Kamienny Człowiek otworzył oczy i ich spojrzenia się spotkały. W tym ułamku sekundy, zanim całkowicie się rozbudził, zobaczyła w jego oczach to, czego szukała. Czułość.

Posłała mu jasny uśmiech.

Natychmiast się zachmurzył. Ale Devon już się tym nie przejęła; widziała łagodność, która wlała w jej serce nową nadzieję na resztę wieczoru. Może uda jej się znaleźć jakiś sposób, żeby znowu przywołać ten wyraz jego oczu.

- Tak? - Odwróciła się w stronę mężczyzn.

Dryblas niepewnie zrobił krok do przodu. Mężczyźni skupili się wokół chłopaka i wypchnęli go w jej stronę.

- Panno Devon, mamy coś dla pani.

Jego przesiąknięty alkoholem oddech niemal zbił ją z nóg. Uśmiech zniknął jej z twarzy. Próbowwała nie oddychać.

- Ja i Kopacz, i Midas, i Joe, i gromada innych chłopaków zebraliśmy się razem i mamy coś dla pani na Boże Narodzenie.

To nasz sposób, żeby powiedzieć dz...dziękuję. - Dryblas czknął głośno.

Kopacz wyrwał półlitrową, zieloną butelkę z jego ręki i podał ją Devon.

- Na litość boską, dzieciaku, mów jak człowiek. Proszę, panienko. To dla ciebie. Od nas.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć... - Devon miała ściśnięte ze wzruszenia gardło.

- Nic nie mów, tylko sobie gołnij! - wrzasnął ktoś z tyłu grupy.

Dziewczyna spojrzała na brudną białą nalepkę na butelce. Czarny napis głosił: *Farino's Very Dry Champagne*. Alkohol! Skrzywiła się.

- To... to bardzo piękny gest. Naprawdę. Zachowam to na...

- Ona nie chce tego wypić?! - wrzasnął ktoś z tyłu.

- Oczywiście, że to wypije! Prawda, panienko? Joe Ladue przywiózł tę butelczynę aż z domu - powiedział Kopacz.

Z trudem usunęła z twarzy grymas niechęci. Jako dama, oczywiście, nigdy nie próbowała alkoholu, nigdy nie miała nawet ochoty.

- Mam teraz wypić?

Ścisnęło ją w gardle, kiedy zobaczyła gremialne kiwanie głowami.

- Proszę, niech się pani napije z mojego kubka. - Dryblas wysączył ostatnie krople bimbrowego, blaszanego kubka, wytarł go w środku brudnym rękawem i wręczył Devon.

Dziewczyna stłumiła dreszcz. Kopacz wziął butelkę i kubek, po czym z wielkim namaszczeniem nalał jej szampana.

- Nie musiałeś wlewać całej butelki! - zawołała, patrząc na kubek okrągłymi z przerażenia oczami.

- Nonsens, dziewczyno. Szampana nie można przechowywać.

- Naturalnie. - Uśmiechnęła się z przymusem.

Kopacz wręczył jej wypełniony po brzegi kubek. Dwanaście

par oczu wpatrywało się w nią z napięciem. Znalazła się w pułapce. Byłoby szczytem chamstwa, gdyby odmówiła wypicia. Upiła mały łyżeczek.

- Ależ to jest pyszne! - krzyknęła.

Mężczyźni podnieśli radosną, serdeczną wrzawę, poklepując jeden drugiego po plecach. W czasie, kiedy gratulowali sobie nawzajem, Devon wypila kilka zupełnie niegodnych damy potężnych łyków, uznawszy, że bardzo jej odpowiada ten cierpki smak. I rozkoszne były bąbelki, które czuła od przełyku aż do żołądka.

Mężczyźni poczekali cierpliwie, aż Devon skończy szampana, co zresztą trwało zadziwiająco krótko, a potem ruszyli do drzwi. Każdy po kolei uroczyście potrząsał jej ręką, mówił dziękuję i wychodził. Przedostatni był Midas. Podeszedł do niej powoli z nieodgadnioną miną. Zdrętwiała, czekając na wybuch nienawiści teraz, kiedy przyjęcie było już skończone. Ku jej ogromnemu zdziwieniu, wziął ją za rękę.

- Żle się zachowywałem w stosunku do ciebie i przepraszam. To było moje pierwsze przyjęcie bożonarodzeniowe od dwudziestu pięciu lat i nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak dobrze się tu czułem.

- O, Midasie... - Łzy zamglily jej wzrok. Spojrzał na nią z powagą.

- I nie pozwól nigdy więcej dogryzać sobie głupawemu staruchowi. Tu jest twoje miejsce tak samo jak każdego z nas. Może nawet bardziej.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami, zanim zdążyła się odezwać. Odруchowo chciała podzielić się swą radością z Kamiennym Człowiekiem. Stał w kącie, już ubrany. Jego twarz była ponura i nieodgadniona.

- Chodźmy.

Prysła jej bańka szczęścia. Rzeczywistość wymierzyła Devon policzek, ścierając z jej twarzy uśmiech. Może i wygrała małą potyczkę z Midasem, ale musiała nadal toczyć wojnę z Kamiennym

Człowiekiem. Bez słowa włożyła kurtkę, botki i ruszyła za nim do drzwi.

Nie przeszli więcej niż dziesięć kroków, kiedy szampan dał o sobie znać. Burza bąbelków rozszalała się w głowie Devon. Zaczęła chichotać i nie mogła przestać.

- Na litość boską! Wiedziałem, że nie powinienem ci pozwolić tego wypić - mruknął jej towarzysz.

Dziewczyna próbowała go dogonić, ale jej stopy nagle stały się ogromne, a spódnica nieustannie oplątywała się wokół kostek. Kamienny Człowiek złapał ją za rękę, pomagając jej utrzymać się na nogach.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego szeroko.

Nie zdołał nad sobą zapanować. Odpowiedział uśmiechem. Wyglądała jak drewniany krasnoludek, taka potargana, zarumieniona i delikatna.

- Nie ma o czym mówić.

- Właśnie przed chwilą powiedziałam. - Znow zaczęła chichotać.

- To cała moja Dev. Logiczna nawet po pijanemu stwierdził spokojnie.

Moja Dev! Te słowa wprawiły dziewczynę w osłupienie. Spojrzała na niego pytająco.

- Kamienny Człowieku, myślałam...

- Nie myśl! - warknął ostro.

- O czym mam nie myśleć? O, Boże, ale mi huczy w głowie! - Odetchnęła głęboko.

- Spójrz w górę - powiedział z uśmiechem.

Posłusznie zadarła głowę. Milion gwiazd migotało na najczarniejszym niebie, jakie kiedykolwiek widziała. Księżyc lśnił jak najwspanialsza perła. Dolina była pogrążona w głębokiej ciszy i przez mgnienie oka wydawało się, że oni dwoje są jedynymi ludźmi na świecie. Powoli w Devon zaczął narastać lęk przed dziwnym, bezkształtnym zjawiskiem na nocnym niebie. Gwiazdy unosiły się, rozdzielały na tysiące plamek

światlnych, tańczących na falującym srebrzystym tle. Dziewczyna zaczęła mrugać.

- Czy ty też to widzisz, czy to skutek szampana? - wyszeptwała.

- To zorza polarna.

Dziwne elektryczne trzaski wdarły się w ciszę i po chwili na niebie wybuchły smugi migotliwych barw. Devon wstrzymała oddech, wpatrując się z zachwytem w świetlny pokaz nad swoją głową. Wysoko błyszcząły wszelkie barwy, jakie tylko można sobie wyobrazić, wylały się nagle z ciemności i po chwili w niej zniknęły jak smugi wielobarwnego światła.

Widowisko zakończyło się równie szybko, jak się zaczęło. W ciągu sekundy powróciło granatowe niebo księżycowej nocy.

Devon przeniosła wzrok na Kamiennego Człowieka i stwierdziła, że wpatruje się w nią tak, jakby w ogóle nie podziwiał zorzy polarnej. Wyraz jego oczu sprawił, że podskoczyło jej serce i nagle nabrała pewności, że te przedziwne światła były znakiem od Boga. Tej nocy powinna przedstawić Kamiennemu Człowiekowi swój dobrze przemyślany, logiczny plan.

Musi zacząć działać, zanim czar pryśnie. Ostrożnie, jakby był dzikim zwierzęciem, gotowym do ucieczki, podniosła ręce do jego twarzy. Szorstka, zimna skóra rękawiczki przylgnęła do zarośniętego policzka Kamiennego Człowieka. Szampan uniemożliwił Devon włożenie na twarz maski obojętności. Czuła się zbyt wspaniale, by ukrywać swoje uczucia. W jej oczach można było bez trudu odczytać wszystko, co czuła do tego mężczyzny, i wszystko, czego od niego chciała.

- Devon... - mruknął cicho.

Rękawiczka dziewczyny ześliznęła się na usta Kamiennego Człowieka, uciszając protesty, kiedy przytuliła się do jego bioder. Wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję. Czuł, że zaraz nastąpi pocałunek, ale był bezradny, nie mógł go uniknąć. Jęknął, kiedy jej wargi dotknęły jego ust. Była w tym jęku i rozkosz, i ból, i poczucie kłęski. Objął dziewczynę w pasie.

- Moja mała Dev...
- Przestań gadać i całuj. Lubię to! Puścił ją gwałtownie.
- Boże, chodźmy wreszcie do namiotu. Ty jesteś pijana, a ja właśnie odmrażam sobie tyłek.

Minął ją i ze złością skierował się do namiotu. Nie poczekał na nią, nie upewnił się nawet, że za nim idzie.

Wzruszyła ramionami, nie przejmując się jego zachowaniem. Szampan sprawił, że czuła się niezwykcieżona. Wsunęła ręce w wielkie kieszenie kurtki i pospieszyła za nim.

Wsluchiwał się w skrzypienie śniegu pod nogami. Każdy krok odbijał się w jego mózgu, przypominając mu scenę, która przed chwilą miała miejsce. Przyglądał się Devon w czasie zorzy polarnej i widział zmianę wyrazu twarzy dziewczyny. Boże, dopomóż! Niewątpliwie pojawił się na jej twarzy wyraz, mówiący: mam bardzo rozsądny pomysł. Z góry wiedział, co go czeka. Minutę po wejściu do namiotu Devon wystąpi z tym, cokolwiek to było. Usiadzie sztywno wyprostowana na krześle, z rękami złożonymi na podolku, i oznajmi mu, że podjęła decyzję. Skrzywił się. Pewnie zacznie od słów: „wiesz, Kamienny Człowieku”, a potem wyłoży kawę na ławę. Przedstawi swój starannie przemyślany i absolutnie logiczny plan. Z góry wiedział, że będzie tym planem zaszokowany poznał to z wyrazu jej twarzy - i wiedział też, że nie chce o nim słyszeć.

W namiocie natychmiast zajął się rozpalaniem ognia i parzeniem kawy. Dobry był każdy pretekst, żeby utrzymać między nimi dystans. Devon rozsiadła się przy stole.

- Wiesz, Kamienny Człowieku...
- Jeszcze nie teraz. Poczekaj, aż zrobię kawę. Dopóki jesteś nietrzeźwa, nie będę słuchał niczego, co masz do powiedzenia -warknął.
- Dobrze.

Chryste, pomyślał, ta dziewczyna jest chyba kompletnie pijana! Posłuchała go! Wiedział, co powinien teraz zrobić.

Gdyby miał choć tyle ikry, ile Bóg dał królikowi, powinien pobiec do drzwi i nigdy nie wrócić. Ale, na litość boską, nie mógł jej znów zostawić. Był jak dziecko, które śmiertelnie boi się ognia, ale przysuwa się coraz bliżej i bliżej, aby się przy nim ogrzać. Więc co ma robić? Czekać, aż płomień go spali? Starał się myśleć, ale nie mógł. Nigdy nie był w stanie myśleć, kiedy Devon była w pobliżu. Spojrzał na nią i omal nie jęknął głośno. Była taka cholernie piękna...

Nalał dwa kubki kawy, zaniósł je do stołu i usiadł tak daleko od dziewczyny, jak to tylko było możliwe. Natychmiast przysunęła się bliżej.

- Wiesz... - Głośne czknięcie przerwało jej w pół słowa. Poniewczasie zakryła dłonią usta. Miała tak przerażoną minę, że Kamienny Człowiek omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Uratował go szampan! W tym stanie Devon nie będzie mogła sklecić porządnego zdania, niech więc sobie obmyśla swój precyzyjny plan.

Rozsiadł się wygodniej na krześle i się odprężył.

Devon popatrzyła na współnika i zaczęła gwałtownie mrugać. Jego twarz pływała jej przed oczami. Potrząsnęła głową, na próżno starając się wyostrzyć zamglony obraz. Bez skutku. Namiot zaczął powoli, nierównomiernie wirować. Boże, jak ona żałowała, że wypła tego piekielnego szampana. Miała tyle ważnych rzeczy do powiedzenia Kamiennemu Człowiekowi, a ledwo pamiętała, jak się nazywa.

No, cóż, po prostu musiała udawać. Podeszła na niepewnych nogach do szafy i wyjęła prostokątny kawałek papieru, leżący na stercie bluzek. Zataczając się, wróciła do stołu i opadła na krzesło. Powolnym, nazbyt zamaszystym ruchem wyprostowała nalepkę zupy Campbella. Podniosła wzrok i natychmiast zgubiła wątek, widząc skierowany do niej uśmiech Kamiennego Człowieka. Odezwała się jednak, i to głosem, który, w jej własnym mniemaniu, był całkowicie rzeński i czysty.

- A więc, mam ci coś do powiedzenia. Chcę to z tobą

przedyskutować. Czy to jest... zaraz, jak to się mówi? A, tak! Do przyjęcia?

- Jasne. - Pochylił głowę, żeby zerknąć na jej spis argumentów za i przeciw.

Devon zakryła papier ręką, waląc w stół z takim zapalem, że aż dłoń ją rozboleła.

- A więc tak sobie myślałam...

- Jestem pewien, że myślałaś. - Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Przestań mi przerywać!

- Przepraszam.

Zesztywniała. W jego głosie nie było skruchy, było w nim rozbawienie. Wzruszyła ramionami i zerknęła na listę. Miała niejaki trudności z odczytaniem słów. Nabazgrane, pomyślała z roztargnieniem, zwykle jej charakter pisma był bez zarzutu!

- A więc tak sobie myślałam i zdecydowałam, że czeka nas długa zima. - Na chwilę zamknęła usta, bo uświadomiła sobie, że już któryś raz z rzędu w ciągu ostatniej minuty zaczęła zdanie od „a więc”. Zrobiła w mózgu notatkę, żeby już więcej tego nie robić.

- Długo trwało, zanim doszłaś do tego wniosku?

- Bardzo długa zima w bardzo małym namiocie i w jeszcze mniejszym łóżku - ciągnęła znaczącym tonem z szerokim uśmiechem na ustach.

- Rozumiem, Kopacz i Dryblas rozwodzili się nad tym podczas przyjęcia. Ale przywykniesz do tego jak my wszyscy.

Nie szło najlepiej. Wypiła łyżeczek kawy. Gorzki, gorący płyn rozchodził się po jej żyłach, rozpraszając trochę zamęt, który szampan wprowadził w myśli dziewczyny. Skwapliwie wypiła następny łyk, potem następny, aż opróżniła kubek. Kiedy skończyła, poczuła się znacznie lepiej, odzyskała panowanie nad sobą. Odstawiła kubek.

- Dobrze, powiem ci to wprost. Moim zdaniem, rozsądek

nakazuje, abyśmy tej zimy dzielili łóżko, i to w bardziej intymnym tego słowa znaczeniu.

Kubek Kamiennego Człowieka opadł na stół z łoskotem. Sam nie wiedział, jakiego pomysłu się spodziewał po jej pracującym jak metalowe trybiki zegarka mózgu, ale z pewnością nie tego!

- M... masz na myśli, że powinniśmy... - Zabrakło mu słowa. Jakie jest, u licha, kulturalne określenie na pieprzenie się?

Policzki Devon zaczerwieniły się, ale nie odwróciła wzroku.

- Tak, uważam, że powinniśmy rozpocząć współzycie seksualne.

Współzycie seksualne?! Kamienny Człowiek zeszywniał. Czy to oznacza więcej niż dwoje ludzi? Patrzył na nią z niepewnością. Jego instynkty zostały postawione w stan alarmu. Mała panna Przemądrzalska właśnie wrzuciła płonąca zapalną do kałuży czystego spirytusu. Jego głos, kiedy wreszcie udało mu się go wydobyć z gardła, był niepewny.

- Uznałaś, że to... rozsądne, żebyśmy zostali kochankami. Dlaczego?

Teraz z kolei Devon znalazła się w tarapatkach. Wzięła listę i zaczęła czytać punkt po punkcie.

- Po pierwsze, bliskość. Po drugie, ciepło. Po trzecie, jesteś moją ostatnią szansą. Po czwarte...

- Zaczekaj chwilę. Wróćmy do punktu trzeciego. Co, u licha, znaczy "jesteś moją ostatnią szansą"?

A niech to! Nie chciała rozwodzić się nad tym punktem! Ale cóż, musiała mu odpowiedzieć. Miała nadzieję, że głos jej nie zawiedzie i będzie brzmiał rzeczowo.

- To nic ważnego. Po prostu mam już prawie trzydzieści lat. Niezbyt prawdopodobne, abym znalazła kogoś, kto zechciałby się ze mną ożenić.

- A co to ma ze mną wspólnego?

Patrzyła na własne dłonie. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był słaby i niepewny. Podniosła na Kamiennego Człowieka podejrzenie błyszczące oczy.

- Chciałabym być... kochana. Chciałabym być kochana przez ciebie. Tylko przez ciebie. Pod czwartym numerem na mojej liście, jeśli chcesz wiedzieć, zapisałam, że mi na tobie zależy.

Kamiennemu Człowiekowi wydawało się, że spada w przepaść. Miał nadzieję, że gdzieś na dole rozpięta jest siatka.

- Dev, czy ty wiesz, o co mnie prosisz? - zapytał chrapliwym, nieswoim głosem, ujmując jej dłonie.

- Owszem. Przeczytałam odpowiedni rozdział książki doktora Cowana. Był nieco ubogi w szczegóły, ale... Z czego się śmiejesz? - Sama sobie przerwała wygłaszaną rzeczowym tonem wypowiedź.

- Cały rozdział! I myślisz, że to wystarczy?

- Nie mam powodu, aby sądzić inaczej. Czytając, nie zauważyłam żadnych szczególnych braków w informacjach istotnych dla tematu. Podejrzewam, że to się dzieje w sposób naturalny.

- Jeśli jest dobrze zrobione. - Kamienny Człowiek uśmiechnął się półgębkiem.

- A może być źle zrobione? - zapytała po chwili zastanowienia. Uśmiechnął się szerzej, usłyszawszy pytanie, zdradzające bezmierną naiwność dziewczyny.

- A jakie zapisałaś sobie negatywne strony naszego... współzycia seksualnego?

Devon sprawdziła notatki.

- Po pierwsze ciąża, aczkolwiek rozdział książki doktora Cowana o antykoncepcji zawiera wiele informacji. Po drugie utrata dziewictwa, ale to tylko w tym wypadku, gdybym jednak miała tyle szczęścia, aby znaleźć męża.

Zazdrość oślepiła Kamiennego Człowieka. Mimo woli się zachmurzył.

- Oczywiście. A po trzecie?

- Możesz mi złamać serce - odpowiedziała niskim głosem. Kamienny Człowiek przełknął głośno ślinę. Punkt trzeci

był strzałem w samo sedno, ponieważ dotyczył obu stron. Pragnąc jej, nie mając jej, to jedno, ale gdyby się z nią przespał, mógłby zacząć jej potrzebować, i co wtedy? Jego życie stałoby się jeszcze gorsze. Chryste, pomyślał bezlitośnie, kogo on próbuje oszukać? Za późno na takie myśli. O wiele za późno. Devon już znalazła drogę do jego serca i go nie opuści. Nie teraz.

Pochylił się i ujął jej twarz tak delikatnie, jakby była ze szkła.

- Zapomnij o tej liście, zapomnij o swoich za i przeciw. Powiedz mi, czego tak naprawdę chcesz?

- Chcę, żebyś się ze mną kochał - odpowiedziała bez chwili wahania.

- A jeśli nie jestem takim człowiekiem, za jakiego mnie uważasz? Co wtedy? - Zaciśnął powieki, żeby powstrzymać wyobraźnię, uruchomioną słowami dziewczyny. Krew płonęła mu w żyłach.

- Co masz na myśli?

Mijały sekundy, a Kamienny Człowiek zbierał odwagę, żeby jej odpowiedzieć. Wpatrywał się w zniszczony blat stołu, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Przez lata jego wspomnienia były odsuwane, spychane do najciemniejszych zakamarków mózgu, zapomniane, a teraz, kiedy ich potrzebował, nie chciały ujrzeć światła dziennego.

Devon ścisnęła jego ramię, żeby go uspokoić. Wzdrygnął się. Kiedy powie jej prawdę, dziewczyna cofnie rękę jak oparzona i nigdy więcej go nie dotknie. Poczul się pusty w środku, chory. Ale nie mógł jej okłamywać, a milczenie byłoby kłamstwem.

- Spędziłem pięć lat w więzieniu - powiedział szybko, mocno zaciskając pięści.

- Za co? - Ręka Devon nawet nie drgnęła.

- Za morderstwo. - Zesztywniał, czekając na to, że dziewczyna cofnie rękę.

Ale jej uścisk jeszcze się wzmocnił. Zapadła między nimi cisza. Kamienny Człowiek czuł, jak napinają się wszystkie

jego mięśnie. Nic dotychczas nie zdołało zamknąć jej ust. Tylko wstręt mógł ją zmusić do milczenia.

- Nie zamierzasz mnie wypytywać? - zapytał znużonym głosem.
- Wypytywać? O co?

Chryste, ona musiała być pijana! Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na dziewczynę. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. W głębi ciemnozielonych oczu wyczytał zrozumienie i bezwzględna akceptację. Poczul zwalającą z nóg ulgę. Aż do tej chwili nie wiedział, jak bardzo mu zależało na tym, co Devon o nim pomyśli. Jej milczenie powiedziało mu to, co pragnął usłyszeć: ona nie wierzyła, że Kamienny Człowiek jest mordercą.

- Nie zapytasz, czy to zrobiłem? - W jego oczach i głosie był lęk.
- Wiem, że nie.

To proste zdanie, na które czekał przez całe życie, przełamało resztki jego oporu.

Devon popatrzyła na niego z miłością w oczach i Kamienny Człowiek był zgubiony. Rozkochane spojrzenie dziewczyny rozgrzało jego duszę i pierwszy raz w życiu poczuł, że ktoś go pragnie. To, że nie zapytała go o przeszłość, trąciło czułą strunę w głębi jego duszy. W jej milczeniu było absolutne zaufanie.

- Dev... - szepnął urywanym głosem.

Objął ją i dziewczyna pierwszy raz w życiu czuła, jak to jest być obejmowaną, naprawdę obejmowaną. Oparła policzek o miękką flanelę jego koszuli i głęboko wdychała znajomy męski zapach. Boże, jak cudownie! Oczywiście jeszcze wspanialej byłoby być jednocześnie obejmowaną i całowaną. Podejrzewała, że Kamienny Człowiek do tego zmierza, więc czekała. Niestety, cierpliwość nie była jej mocną stroną. Poza tym, stanowczo zbyt długo zwlekał! Wysunęła się z jego objęć

i spojrzała z wyrazem twarzy, który - w jej mniemaniu powinien być zapraszający i pełen obietnic.

- Dobrze się czujesz? Kamienny Człowiek zmarszczył czoło.

Westchnęła z rozdrażnieniem. Powinna była wiedzieć, że subtelnością niewiele zwojuje.

- Pocałuj mnie - powiedziała i zamknęła oczy. Zrobiła buzię w ciup i czekała. Usłyszała w odpowiedzi niski, gardłowy śmiech. Już miała otworzyć oczy, kiedy poczuła, że Kamienny Człowiek wodzi twardymi, zgrubiałymi końcami palców wzdłuż linii jej twarzy. Lekki jak trzepot motyli skrzydeł dotyk wywołał rozkoszny dreszcz na skórze Devon. Postanowiła jeszcze nie otwierać oczu. Męczyzna przysunął się bliżej. Poczula na wargach jego gorący, szybki oddech.

- Otwórz oczy, Devon. I daj odpocząć ustom.

Wolno uniosła powieki. Czula na policzku muśnięcia wydychanego przez niego powietrza. Rozluźniła usta i oblizła je, pełna oczekiwania. Kamienny Człowiek musnął ustami jej wargi i się cofnął.

- Poproszę o więcej! - Natychmiast pochyliła ku niemu głowę.

- Nie możesz kontrolować wszystkiego, Dev, a szczególnie nie możesz kontrolować tego. Odrpęż się i czerp z tego radość - powiedział z uśmiechem.

Chyba sobie z niej kpił! Jak człowiek może się cieszyć z czegośkolwiek, jeśli wyłączy aktywność mózgu?

- Ale... - zaczęła, lecz nie pozwolił jej dokończyć. Przykrył ustami jej wargi w długim pocałunku. Z wrażenia przestała oddychać. Po jej ciele przebiegł rozkoszny dreszcz. Zakręciło jej się w głowie.

Ten pocałunek nie był podobny do poprzednich. Był gorący i pełen tęsknoty, i tak poruszający, że każdy nerw w ciele Devon dygotał. Opanował ją jakiś dziwny niepokój.

Kamienny Człowiek powoli się odsunął, a ona natychmiast zeszytniała. Do licha, dlaczego on zawsze przerywa, kiedy tylko robi się tak miło? Wspięła się na palce i próbowała go pocałować. Zacisnęła ręce na jej ramionach i delikatnie, ale stanowczo ją zatrzymał.

- Rozluźnij się, Dev - wyszeptał w jej wilgotne, proszące o dalsze pocałunki usta.

Rozluźnić się?! Kiedy jej krew wrzała, a skóra płonęła? Nic poza podwójną dawką laudanum nie byłoby w stanie jej teraz uspokoić!

- Nie wiem, czy potrafię... Nie wiem jak.

- Pozwól, że ci pokażę. - Leciutko się pochylił i ich usta się złączyły. Język Kamiennego Człowieka wsunął się między rozchylone wargi dziewczyny i smakował jej usta. Lekkie pulsowanie w jej wnętrzu powoli zmieniło się w płonące pożądanie. W głód. Uczucie ogarniało całe jej ciało jak płomień. Czują się tak, jakby wypila trzy butelki szampana.

Przeraziła ją własna reakcja; była tak przemożna, tak desperacka. Pulsowanie między nogami uniemożliwiało oddychanie. Straciła kontrolę nad sobą. O, Boże...

Zesztywniała. Jej dłonie, którymi ciągle obejmowała Kamiennego Człowieka, zwinęły się w pięści.

- Dotknij mnie - szepnęła ochryple.

- Boję się.

- Nie masz czego. - Przytulił ją mocniej, pozwalając jej czerpać poczucie bezpieczeństwa z jego uścisku.

Chciała go dotknąć. Jeszcze jak! Stopniowo, powoli, jeden po drugim, rozluźniała palce, wreszcie rozpostarła je na mocnych plecach mężczyzny. Jego gorące ciało nawet przez flanelową koszulę rozgrzewało jej dłonie. Ostrożnymi ruchami dłoni Devon badała ciało Kamiennego Człowieka, wyczuwała dotykiem wzniesienia, góry i doliny jego szerokich pleców. Im pewniej się czuła, dotykając go, tym więcej chciała i wkrótce jej dłonie wędrowały swobodnie w dół pleców, wzdłuż ramion, wokół pasa. Śmiałość dziewczyny rosła z każdą chwilą i w pewnym momencie stwierdziła, że chciałaby gładzić nagą skórę, a nie spraną flanelę.

Dłonie Kamiennego Człowieka zsunęły się z jej ramion i wędrowały powoli - och, jak powoli po plecach. Ich dotyk był lekki jak piórko, prawie łaskotał. Zadrzała.

Bez ostrzeżenia ujął ciasno okryte grubą wełną pośladki dziewczyny. Przycisnął ją mocniej. Nie mogłaby protestować, nawet gdyby chciała; jej ciało było w jego rękach jak wosk. Wtopili się w siebie mocno, całkowicie. Stali się jednością.

Wszzechogarniające pożądanie uczyniło ją niespodziewanie śmiałą. Wsunęła dłonie we włosy mężczyzny, odkrywając przyjemność, jaką sprawiają palcom owijające się wokół nich loki. Otarła się o ciało Kamiennego Człowieka. Metalowe guziki męskiej koszuli potarły piersi Devon.

Gwałtownie złapała oddech, kiedy guziki podrażniły jej sutki. Naprężone brodawki natychmiast stwardniały i sterczały tak, że widać je było nawet przez wełniany stanik. Wiedziona jakimś mrocznym instynktem jeszcze raz otarła się o guziki.

Kamienny Człowiek jęknął i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Pocałuj mnie - powiedział chrapliwie.

Przez chwilę nie pojmowała, o co prosi, ale kiedy to do niej dotarło, z radością spełniła prośbę. Wysunęła język i pocierała nim gorący, wilgotny czubek jego języka. Ten kontakt wstrząsnął nią aż do głębi. Usłyszała, jak gwałtownie Kamienny Człowiek wciąga powietrze, i zrozumiała, że pieszczota zrobiła na nim równie wstrząsające wrażenie jak na niej. To odkrycie wyzwoliło w niej niebywałą śmiałość. Pocałowała go znów, mocniej. Była bez tchu.

Nagle szorstka tkanina stanika rozchyliła się. Poczwała podmuch nocnego zimnego powietrza i jej skóra natychmiast pokryła się gęsią skórką. Gwałtownie złapała powietrze. Zanim zdobyła się na słowo protestu, puściła też słabą flanelę zimowej koszulki.

Szok wyrwał Devon z odrętwienia. Odzyskała przytomność umysłu. Pocałunki - na razie tylko to powinni robić. Tylko się całować. Dokładnie zaplanowała ten wieczór i rozpinanie stanika z całą pewnością nie mieściło się w programie na dzisiaj. A przynajmniej nie w tej chwili. Mieli przed sobą jeszcze kilka godzin na wymianę poglądów!

- Nie robisz tego jak należy! - Odepchnęła Kamiennego Człowieka. Nieprzygotowany na atak, zatoczył się do tyłu.

- Co? - zapytał, kiedy odzyskał równowagę.

- Powiedziałam, że nie robisz tego tak, jak trzeba! Zabrała się do zapinania guzików bluzki.

Czekała na jego odpowiedź, ale ponieważ się nie odzywał, oderwała wzrok od guzików i spojrzała na niego. Stał tuż obok i wpatrywał się w nią jak sroka w gnat. Z głupim uśmiechem!

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - rzuciła.

- Jak? - zapytał przeciągle.

- Jakbyś próbował opanować wybuch śmiechu.

- Bo naprawdę próbuję go powstrzymać.

- Nie widzę w tym zupełnie nic zabawnego. Powinieneś mi powiedzieć, że nie masz doświadczenia w... tych sprawach. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że będziesz moim przewodnikiem. Teraz podejrzewam, że będziemy musieli uczyć się razem. Wiódł ślepy kulawego! Ale nic się nie martw. To nie twoja wina, że też jesteś prawiczkim - powiedziała z westchnieniem.

- Prawiczkim? Ja?!

Devon nie słuchała, co mówił. Myślała, ogryzając paznokcie kciuka.

- Jaka szkoda, że doktor Cowan był tak skąpy w szczegółach...

- Devon, skąd ci przyszło do głowy, że jestem prawiczkim? - zapytał Kamienny Człowiek z uśmiechem, który zupełnie jej się nie podobał. Ani trochę!

- Cóż, sądziłam, że jeśli już to kiedyś robiłeś, to będziesz wiedział co i jak.

- A nie wiem co i jak? - Uśmiechał się już od ucha do ucha.

- Najwyraźniej nie! Wytaczasz tu ciężkie działa, a przecież jeszcze nie spacerowaliśmy, nie wymienialiśmy poglądów, nic z tych rzeczy. Wszystko nie tak!

- Zastrzeliłaś mnie.

- W rozprawie *O etyce seksualnej* doktor Cowen wyjaśnia w sposób niezwykle przystępny, jak ludzie uprawiają miłość. Prawidłowo! - Devon zerknęła na Kamiennego Człowieka.

- Oczywiście, wszystko można robić prawidłowo albo nie-prawidłowo.

Tym razem w jego głosie brzmiało już niewątpliwe rozbawienie. A jego oczy! Aż świeciły z uciechy! Dziewczyna zmarszczyła czoło z dezaprobatą. Mój Boże, przecież można było oczekiwać, że będzie poważny, jako że temat jest poważny. Ale on przypuszczalnie nigdy nie był zbyt pilnym uczniem.

- Chcesz się dowiedzieć, jak się to robi, czy nie?

- Za nic w świecie nie chciałbym czegokolwiek pominąć!

- To dobrze. Przestań się podśmiewać i się skoncentruj. -Pośpieszyła do półki z książkami, wyjęła swój drogocenny podręcznik i otworzyła na stronie z zagiętym rogami. Była to strona 172, ostatnia w rozdziale zatytułowanym *Konsumpcja*, i zaczęła głośno czytać: - *Przyjemny spacer, godzinna albo i dłuższa przechadzka w uroczy słoneczny poranek to pierwszy krok*. - Tu Devon rzuciła Kamiennemu Człowiekowi znaczące spojrzenie. - *Przez kilka następnych godzin mąż i żona... tym możemy się nie przejmować - wtrąciła - powinni z zapalem i miłością dzielić się myślami, nadziejami i pragnieniami. W jasnym słońcu powinni trzymać swoje natury na wodzy, aby nawet najmniejsza chmurka nie zakłóciła ich radości i szczęścia. Potem małżonkowie wchodzi do swojego pokoju.*

W dręczącej ciszy Devon patrzyła na Kamiennego Człowieka. Już zaczęła się irytować, kiedy wybuchnął głośnym serdecznym śmiechem.

- I to już wszystko? Wchodzą do pokoju? wykrztusił wśród wybuchów śmiechu.

Devon starała się zachować powagę, ale nie dała rady. Jego

śmiejch był taki ciepły, taki cudowny. Nagle uderzyła ją absurdalność rad doktora Cowana. I ona także zachichotała.

- Przecież mówiłam ci, że książka jest raczej oszczędna, jeśli chodzi o szczegóły!

Kamienny Człowiek wyjął jej książkę z ręki i odłożył na stół. Objął dziewczynę i mocno przytulił. Chciała się odezwać, ale zamknął jej usta dziesiątkami delikatnych pocałunków. Otwartymi ustami pieścił jej skronie, policzki, wargi, czubek nosa.

- Dev, wiem, że jesteś mądrzejsza ode mnie, ale nie we wszystkim. Moja matka prowadziła najślawniejszy dom publiczny w Nowym Orleansie i zadbała, żebym wcześniej stracił cnotę. I jeśli o czymś wiem wszystko, to właśnie o seksie.

- Naprawdę? Naprawdę wiesz, jak to się robi?

- Mogę nie wiedzieć, jak to się robi „prawidłowo”, ale z całą pewnością wiem, jak sprawić rozkosz. A wydaje mi się, że jeśli coś sprawia rozkosz, to jest w porządku.

Odsunął się nieco, żeby spojrzeć na Devon. W jego oczach były iskierki humoru, ale i coś jeszcze. Coś ciemnego i płomiennego, prawie drapieżnego. Żar jego spojrzenia sprawił, że serce dziewczyny zaczęło szybko walić. Nagle się przestraszyła. W swej niewinności tańczyła na skraju urwiska, wierząc, że potrafi latać. Ale nie potrafiła, a przepaść była bardzo, bardzo głęboka. Tak głęboka, że mogła sobie roztrzaskać duszę.

- Devon?

Głęboki głos Kamiennego Człowieka złagodził napięcie. Nerwowo oblizła wargi.

- Tak?

Ujął jej twarz. Ciepły znajomy dotyk sprawił, że oszalały rytm serca się uspokoił. Odetchnęła głęboko dla odprężenia, a potem podniosła na niego oczy. Drapieżny błysk w jego spojrzeniu zniknął, zastąpiony przez troskę.

- Ufasz mi? - zapytał cicho.

- Oczywiście.

- Więc pozwól mi się z tobą kochać. Dzisiaj.

Głośno przełknęła ślinę. O, Boże... W głosie Kamiennego Człowieka brzmiała bolesna pieszczota, a to uświadomiło dziewczynie, że nie tylko ona się boi, że nie tylko ona może zostać zraniona. Przerazenie zniknęło. Przecież tego właśnie chciała. Chciała jego. Był jej ostatnią nadzieją, ostatnią szansą i nie miała zamiaru tego niweczyć przez jakieś głupie lęki, godne pensjonarki.

- Dobrze, kochajmy się... dzisiaj - odpowiedziała pewnym głosem.

Porwał ją na ręce, zaniósł do łóżka i ułożył na czarnym futrze, służącym im jako koc. Podniósł ciężką świerkową belkę, która dzieliła łóżko, i postawił ją koło głównego wspornika namiotu, a potem rzucił się na posłanie obok dziewczyny. Oparł się na łokciu i patrzył w twarz Devon.

- To będzie trochę bolało - rzekł spokojnie, odsuwając z jej czoła niesforny kosmyk włosów.

- J... jak bardzo?

- Nie wiem, nigdy nie byłem z dziewicą. - Roześmiał się sucho.

Devon dotknęła jego twarzy. On się boi, zrozumiała, boi się tak samo jak ja. Może miał doświadczenie w uprawianiu seksu, ale nigdy dotąd z nikim się nie kochał. I na tym można budować swoje życie.

A może pocałunek uśmierzy jego zdenerwowanie, tak jak wcześniej uspokoił ją? Nieśmiało przysunęła się bliżej. Jego potężne, twarde ciało idealnie pasowało do niej. Pocałowała go miękko.

Męska dłoń ześliznęła się po jej ramieniu na plecy i gładziła je uspokajająco kolistym ruchem. Z ogromną czułością zbliżył wargi do dziewczyny, jakby czekał na pozwolenie. Wyraziła zgodę, wsuwając język do jego ust. Jęknął i przyciągnął ją bliżej. Ich języki złączyły się w tańcu starym jak świat.

Całował ją, jakby czekał na to od zawsze. Pocałunki były

głębokie, gwałtowne i pozostawiły ją bez tchu, ale spragnioną następnych.

Dłonie mężczyzny poruszały się z początku bardzo wolno, potem coraz szybciej. Były wszędzie, dotykały i rozpały jej ciało w zupełnie nieoczekiwanych dla Devon miejscach - na szyi, pośladkach, piersiach.

Guziki bluzki łatwo ustąpiły i dłoń Kamiennego Człowieka wśliznęła się do środka. Gorące palce dotykały skóry dziewczyny w sposób absolutnie niedozwolony. Kciukiem gładził sutek, który natychmiast stwardniał. Devon usłyszała niski jęk, potem następny. Uświadomiła sobie po chwili, że to ona wydaje te dźwięki. Zaczerwieniła się, przekonana, że takie hałasy nie są godne damy. Już zamierzała zapytać o to Kamiennego Człowieka, kiedy jego dłoń wsunęła się pod pasek i wśliznęła się między jej nogi. Gwałtownie chwyciła powietrze, zapominając o pytaniu. Dotknął jej ud, a ona jak rozpustnica rozsunęła je, otwierając się na jego dotyk. Palce mężczyzny błądziły po trójkącie kędzierzawych włosów, szukając naj-wrażliwszego miejsca kobiecego ciała. Znalazł. Gładził je powoli, rytmicznie, okrężnymi ruchami. Pragnienie doprowadzało ją do szaleństwa. Instynktownie sięgnęła do guzików jego koszuli i niezdarnie próbowała je odpiąć. Kiedy jej palce dotknęły pierwszego, Kamienny Człowiek westchnął z ulgą, głęboko, urywanie. Jednym, gwałtownym ruchem rozerwał koszulę od góry do dołu i zdarł ją z siebie.

Ich gorące nagie ciała się zetknęły. W tej chwili prysły nędzne resztki samokontroli Devon. Przestała myśleć: nie była w stanie. Całe jej ciało ożyło, każdy najmniejszy włoszek się wyprężył.

Kamienny Człowiek zabrał rękę pomiędzy jej ud, wsunął jeszcze gorące i wilgotne palce pod stanik dziewczyny, zostawiając na jej piersiach mokry ślad. Zadrzała z zimna.

- Przykryjmy się - powiedział.

Wsunęli się pod futra i wełniane koce, pospiesznie rozbierając

się nawzajem. Devon przytuliła się do mężczyzny. Położyła ręce na jego piersi i badała miękkie czarne włosy, rozkoszując się ich dotykiem.

- Zaczekaj! - Chwycił ją za nadgarstki.
- Ale ja chcę...
- Wiem, czego chcesz. Zaufaj mi - powiedział chrapliwie. Położył ją na plecach i wyciągnął się obok niej. Połowa jego

nagiego ciała była ukryta w cieniu, a połowa oświetlona miękkim złotym światłem lampy naftowej. Przyglądał się Devon.

Naga dziewczyna leżała sztywno i nieruchomo, wyciągnięta na całą długość na białym prześcieradle, i patrzyła mu w oczy. Czuła się tak wyekspozowana i podatna na ciosy jak nigdy, ale i... żywa jak nigdy. Każdy nerw jej ciała dygotał w oczekiwaniu na dotyk Kamiennego Człowieka.

Kciukiem pogładził delikatną skórę pod piersiami. Odczuła to jak żywy ogień na zlodowaciałym ciele. Przebiegł ją dreszcz, nad którym nie była w stanie zapanować.

Przesunął stwardniały palec o cal w stronę sutka. Ciało dziewczyny napięło się; zaczęła oddychać szybciej.

Palec okrążył brodawkę, drażnił ją, torturował. Oddech Devon rwał się.

- Proszę...

W odpowiedzi przesunął opuszek palca na najbardziej wrażliwy czubeczek piersi. Gwałtownie złapała oddech i instynktownie wygięła się w łuk, żeby być jak najbliżej męskiej dłoni.

Pogładził czubek raz, drugi, a potem dwa palce spoczęły na obu piersiach. Pociągał je, kręcił, drażnił. Dziewczyna zamknęła oczy i próbowała skoncentrować się na oddychaniu. Och, jakie to trudne! Odniosła wrażenie, że całe powietrze uciekło jej z płuc.

Ręka zsunęła się z jej piersi na talię. Skrzywiła się i już miała otworzyć oczy, kiedy to poczuła. Jego język! Polizał czubek jej piersi! Zimne nocne powietrze owiało wilgotny,

stwardniały koniuszek. Kamienny Człowiek wziął sutek w usta i zaczął go delikatnie ssać, zwilżając jego czubek językiem. Westchnęła z wrażenia. Wygięła ku niemu ciało, opierając głowę o poduszkę. O, Boże, jak cudownie...

Wziął dziewczynę w ramiona i przesunął ją tak, aby otoczyła nogami jego prawe udo. Mocno uciskając nogą pulsujące miejsce między nogami Devon, zmusił ją do ruchu: do powolnych, rotacyjnych ruchów, które stapiały ich ciała w jedno.

Ogień ogarnął jej lędźwie i nie potrzebowała instrukcji, jak go podsyć. Działała instynktownie. Przycisnęła biodra do jego uda i rozpoczęła własny taniec - wiła się, ocierała się o niego - byle tylko złagodzić dręczący, słodki ból promieniujący z centrum jej ciała.

- Boże, zrób coś. To boli... - błagała.

Przetoczył się nad nią. Bezwstydnie rozłożyła nogi, otwierając się na powitanie jego twardego, gorącego ciała, napierającego na nią. Uniosła kolana i objęła nimi biodra Kamiennego Człowieka.

- Chryste - jęknął, kiedy otoczyła go nogami. Wstrząsnął nim dreszcz. Jego samokontrola była napięta do ostatnich granic. Powoli, z niezwykłą jak na niego delikatnością, wszedł w ciepłe, wilgotne ciało dziewczyny. Poczul opór błony dziewiczej i się zatrzymał.

- Nie przestawaj. Proszę - błagała, wbijając paznokcie w jego plecy.

Jednym mocnym pchnięciem rozerwał błonę dziewiczą. Devon krzyknęła z bólu.

- Boże, Dev, czy... - Znieruchomiał, a potem zaczął się z niej wysuwać. Dziewczyna chwyciła go na pośladki i zatrzymała w miejscu.

- Jeśli teraz przerwiesz, nigdy ci nie wybaczę - szepnęła. Wsunął się ponownie i znieruchomiał, czekając, aż jej ciało się odpręży. Po kilku sekundach zaczął poruszać biodrami, powoli, okrężnymi ruchami.

Ogień powrócił, potężny, nie do opanowania. Poruszali się razem. Ciągłe szybciej i szybciej. Wbił się w nią aż do końca, wysunął powoli i wbił znowu. Devon wiała się pod nim, szeptała raz po raz jego imię; jej twarz płonęła. Czuła zapach ich namiętności; pachniała potem, dymem drzewnym i porostami. Pulsowanie między nogami rosło, zmieniło się w niemal bolesny żar. Dziewczyna poruszała się coraz szybciej, pragnąc... potrzebując czegoś więcej. Kamienny Człowiek także przyspieszył, z każdym pchnięciem zagłębiając się coraz bardziej w jej ciało. Devon jęknęła. Boże, to nie mogło wiecznie trwać. Coś się musiało...

- Och, Devon. Niech się stanie! - Chrapliwy głos Kamiennego Człowieka przebił się przez mgłę, otulającą jej mózg.

Co ma się stać? - myślała rozpaczliwie. Co?!

A potem stało się. Chrapliwy krzyk wyrwał jej się z gardła. Świat eksplodował w spirale z tysięcy ognistych, oślepiająco białych iskier. Kamienny Człowiek wbił się w nią dziko. Dziewczyna zacisnęła wokół niego nogi, przyłgnęła do jego śliskiego od potu ciała. Wypełnił ją ciepłem i wilgocią. A jej serce wezbrało na dźwięk jej wyszeptanego urywanym głosem imienia.

Przez niekończące się minuty leżeli wtopieni w siebie, otoczeni słodkim zapachem bagiennych porostów i spełnionej namiętności. Kiedy Devon otworzyła wreszcie oczy, zobaczyła, że Kamienny Człowiek jej się przygląda.

- Sprawilem ci ból?

W jego twarzy było tyle niepokoju, że aż ścisnęło się jej serce. Pokręciła głową, zbyt przejęta, żeby się odezwać.

- Dzięki Bogu! - Zaczął wstawać.

- Nie odchodź! - Przyłgnęła do niego.

Opadł na posłanie obok niej i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, obejmując ją mocno. Odgarnęła wilgotny kosmyk włosów z jego oczu i pogładziła twarz Kamiennego Człowieka w nadziei, że delikatny dotyk powie mu to, czego nie mogły wypowiedzieć usta.

Jesteś mój, pomyślała.

Gdyby tylko miała dość odwagi, żeby powiedzieć to głośno... Ale się nie odezwała. Gdyby to powiedziała, odszedłby. Nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości. Kamienny Człowiek nigdy nigdzie nie przynależał, lata izolacji i odosobnienia odcisnęły swoje piętno. Nawet teraz, w jej ramionach, nie mógłby uwierzyć, że do niej należy.

Zaczęło ją dławić w gardle. Boże, spraw, abym umiała zrobić coś, co usunie cierpienie z jego duszy.

Nagle zrozumiała, dlaczego tak rozpaczliwie chciała zostać jego kochanką. To nie miało nic wspólnego z ciepłem, z bliskością ani nawet z tym, że Kamienny Człowiek był jej ostatnią szansą. Pragnęła tego, bo go pokochała.

Kocham cię! Słowa same pchały się na usta Devon, chciały być głośno wypowiedziane.

Zacisnęła usta. Na te słowa Kamienny Człowiek uciekłby z krzykiem do lasu. Pewnie pędziłby bez odpoczynku aż do wybrzeża, a tam wskoczyłby do pierwszej łodzi. Za wcześnie na słowa. Na razie musiało jej wystarczyć samo uczucie.

- Kamienny Człowieku...

- Mów mi po imieniu. Nie bardzo się teraz czuję jak kamienny człowiek - przerwał jej cichym głosem.

Położyła się na nim płasko; objął ją w talii i razem zakopali się głębiej w swój futrzany kokon. Devon spojrzała w jego oczy, tak ciepłe jak syrop klonowy, i zapomniała, o czym przed chwilą myślała. Kocham cię! Te słowa wróciły do niej, a potrzeba ich wypowiedzenia była prawie przemożna.

Szybko odwróciła spojrzenie.

Poślaskotała palcem jej podbródek, żeby podniosła na niego wzrok. Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła, jak ogarnia ją fala tęsknoty. Tęsknoty nie za ciałem, a za duszą. Boże, pragnęła dotknąć każdej cząstki tego mężczyzny, poznać go całkowicie.

Przypomniało jej się jego wyznanie o więzieniu. Nie mogła

pozbyć się pragnienia zapytania go o to. Ale nie zapyta, obiecywała sobie solennie; nie zapyta. Ten jeden jedyny raz w życiu będzie trzymać język za zębami.

- Dev? O co chodzi?

- O nic! Zupełnie o nic! Po prostu nad czymś się zastanawiałam. Nad niczym ważnym - powiedziała szybko.

- Miałem nadzieję, że porządne igraszki otumaniają cię na trochę dłużej - mruknął z uśmiechem.

- Igraszki? Nie mogłeś znaleźć jakiegoś bardziej... czarującego określenia? - odpowiedziała uśmiechem.

- Wierz mi, mogłem wybrać gorsze!

Uśmiech dziewczyny natychmiast zniknął. Patrzyła na Kamiennego Człowieka bardzo poważnie.

- Kochaliśmy się?

Drgnął, a potem westchnął. Czy ona musi to roztrząsać? Nie miał teraz ochoty odpowiadać na to pytanie. Nie miał nawet ochoty o tym myśleć. Roześmiał się z przymusem. W ciszy namiotu ten śmiech zabrzmiał chrapliwie, ostro.

Devon dławiło w gardle z rozczarowania. Przełknęła z trudem ślinę i odwróciła od niego wzrok. Spodziewała się, oczywiście, takiej reakcji. A jednak bolało! Dlaczego nie chciał przyznać, że łączy ich coś szczególnego? Nie powinna była o to pytać. Przecież wiedziała doskonale. Dlaczego nigdy nie mogła zatrzymać swoich myśli dla siebie?

- Dev? - Miękki głos mężczyzny otulił ją jak aksamit i uświadomił jej, że nawet teraz, w tej bolesnej ciszy, ma jednak więcej, niż mogła sobie wymarzyć. Miała jego ramiona, obejmujące jej ciało, i miłość Kamiennego Człowieka. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, że ją kocha, ale wiedziała to z całą pewnością. Na razie, powiedziała sobie, to musi wystarczyć.

Niestety, milcząca aprobata nie była jej mocą stroną. Ale tym razem będzie inaczej, przysięgała sobie uroczyście. Tym razem cierpliwie - i w milczeniu! - poczeka, aż Kamienny

Człowiek sam sobie uświadomi, że ją kocha. Mogła się tylko modlić, żeby pewnego dnia poczuł się przy niej na tyle bezpiecznie, aby wypowiedzieć te słowa.

- O czym tak rozmyślasz? O niektórych aspektach mojej oszałamiającej techniki? - zapytał żartobliwie.

- Nie... O niczym. Naprawdę.

- O więzieniu? - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- J... ja wiem, że to nie moja sprawa, ale nie mogę przestać o tym myśleć.

- Siedziałem za zabójstwo kobiety. A właściwie dziwki. Skrzywił się, słysząc, że dziewczyna gwałtownie nabiera powietrza.

- Dlaczego wziąłeś na siebie winę za coś, czego nie zrobiłeś?

- Nigdy nie powiedziałem, że tego nie zrobiłem.

- Znam cię, Corneliusie, czy ci się to podoba, czy nie.

I wiem, że nie jesteś mordercą. - Patrzyła mu spokojnie prosto w oczy.

Niezmacona pewność dziewczyny wprawiła Kamiennego Człowieka w osłupienie. Nikt nigdy w niego nie wierzył. Przez całe życie był pariasem, wyrzutkiem, usuwanym poza obręb społeczeństwa za coś, czego nie zrobił. A teraz, po tylu samotnych latach, pojawił się ktoś, kto szeroko otwierał drzwi i zapraszał go do wejścia. Gdyby stał, pewnie ugięłyby się pod nim kolana. Raz, przynajmniej raz chciał zaznać życia w pokoju. Chciał po prostu żyć.

Z Devon mógł być, kimkolwiek by zechciał.

Ta nagła myśl uderzyła go; nigdy nic podobnego nie przyszło mu do głowy, a to przecież otwierało przed nim ogromne możliwości. Nagle poczuł się znowu jak dziecko. Młode, ufne i wolne.

A najbardziej zwariowane było to, że kiedy patrzył w jej ogromne, pełne zaufania oczy, czuł się tak, jakby wreszcie znalazł dom. Dom, który nie rozwieje się we mgle w tej samej chwili, w której przyzna, że go pragnie.

Powoli wypuścił powietrze z płuc. Dla niej postanowił podjąć ryzyko, na które dla siebie nigdy nie chciał się zdecydować. Dla niej zaryzykuje wyjście z ciemności.

- Corneliusie? Wszystko w porządku?
- Jesteś pewna, że chcesz, abym ci to wszystko opowiedział?
- Tak, jeśli ty chcesz to zrobić.

Mocniej objął jej ciało, czerpiąc siłę z jego miękkości i ciepła. Dawno zepchnięte w głąb duszy obrazy cisnęły mu się do mózgu. Skrzywił się z bólu na to wspomnienie. Nie musisz mi tego opowiadać...

- Owszem, muszę. - Głęboko nabrał powietrza. - Nazywała się Mibelle, ta kobieta, o której zamordowanie zostałem oskarżony. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Miałem dopiero siedemnaście lat, ale to nie było ważne, w każdym razie nie dla niej i na pewno nie dla mnie. Bawiło ją, że jest moją kochanką. Byłem taki... taki spragniony uczuć, łąziłem za nią wszędzie, jak podlizujący się szczeniak, spełniałem wszystkie jej prośby. Prosiłem ją nawet o rękę, i to nieraz. Przy każdych oświadczeniach śmiała się i mówiła: zapytaj mnie o to za tydzień. A ja, jak głupek, pytałem.

W głosie Kamiennego Człowieka było tyle bólu, że Devon stanęły łzy w oczach. Szybko je otarła, bo wiedziała, że nie chciałyby ich widzieć. Nie patrzył na nią wprawdzie. Nie spojrział nawet. Patrzył w przestrzeń i po jego zaszczytym, pustym wyrazie oczu poznała, że spogląda w przeszłość.

Widział Mibelle wyraźnie jak w dzień. Jej błyszczące, czarne oczy i wypukłe, purpurowe usta. Stała przed nim. Jej jaskrawa suknia z czerwonego aksamitu odsłaniała wszystko poza najbardziej kosztownymi częściami jej ciała. On klęczał i żebrał, skomlał o odrobinę łaski.

Zacisnął pięści. Boże, jaki był głupi...

Powoli wrócił do teraźniejszości. Ale ciągle czuł się taki głupi. Devon leżała w jego ramionach i czekała w milczeniu, aż Kamienny Człowiek podejmie opowieść.

Był jej winien prawdę. Zacisnął powieki, żeby odpędzić zmyły, i ciągnął bezbarwnym głosem:

- Pewnej nocy matka urządziła wielkie przyjęcie w Malowanej Lali w podziękowaniu dla swych najbardziej prominentnych klientów. Byli tam wszyscy mężczyźni, którzy liczyli się w Nowym Orleanie, i dziwki, które dumnie obnosiły swoje wdzięki. Matka zmusiła mnie, żebym się wystroił jak pingwin i podawał trunki. Wiedziała, że będę umierał za każdym razem, kiedy Mibelle pójdzie „pracować”, i rzeczywiście tak było. Za każdym razem, gdy zabierała gości na piętro, do pokoju, serce pękało mi w piersiach.

- O, Boże... - jęknęła Devon.
- Nie mówię tego, żebyś się nade mną użalała.
- Ty użalałeś się nade mną, kiedy opowiadałam ci o ojcu odpowiedziała spokojnie.

- To co innego.
- Tylko mężczyzna może tak pomyśleć. Złamane serce to złamane serce. - Devon uniosła rękę, zupełnie białą w drżącym świetle lampy naftowej, i przytuliła ją do policzka Kamiennego Człowieka.

Zapatrzył się w ciemność. Jak tego dokonała? Odrzuciła wszelkie pozory i doszła do sedna z taką łatwością? Mibelle rzeczywiście złamała mu serce. Dał jej wszystko miłość, uwielbienie, zaangażowanie; a ona rzuciła mu je w twarz, jakby nic nie były warte. Tak, zdradziecka dziwka złamała mu serce. Nigdy dotychczas nie przyznawał się do tego, nawet przed samym sobą. Ale z jakiegoś powodu tutaj, tej nocy, w ramionach Devon, to wyznanie przyszło mu całkiem łatwo. Kamienny Człowiek poczuł, że zaczyna się odprężyć.

- Opowiedz mi o tym przyjęciu.

Słowa dziewczyny ugodziły go w najczulszy punkt. Zacisnął powieki, starając się odegnać wspomnienia tej ohydnej nocy. Piekielnie chciał przerwać tę rozmowę, ale było już za późno.

Westchnął z ogromnym znużeniem, ale zmusił się do podjęcia opowiadania.

- Tej nocy Mibelle była coraz bardziej pijana. To dziwnie zabrzmiało, ale im gorzej się zachowywała, tym bardziej ją kochałem. Sądziłem, że to dowód, jak bardzo ona mnie potrzebuje. W każdym razie pod koniec nocy jeden z najbardziej liczących się polityków Nowego Orleanu zszedł z piętra z najnowszą dziewczyną matki. Mibelle oszalała z zazdrości. Zataczała się u stóp schodów i wrzeszczała, że jest z nim w ciąży. Oczywiście, w salonie zapadła głucha cisza. Dziwki nie zwykły mówić takich rzeczy, szczególnie w obecności całego miasta. Wszyscy zgromadzeni mieli dość rozsądku, żeby się zamknąć i udawać, że Mibelle nic nie mówiła. Wszyscy poza pewnym siedemnastolatkiem w stroju pingwina. Boże, byłem taki cholernie głupi! - powiedział Kamienny Człowiek ledwo słyszalnym głosem i przez twarz przemknął mu wyraz cierpienia.

- Nie, wcale nie byłeś głupi - szepnęła Devon.

Nie słyszał jej. Słyszał tylko pijacki śmiech Mibelle; brzmiał w jego uszach jak fałszywy akord, wibrujący, pulsujący.

- Podbiegłem do niej, objąłem ją i powiedziałem: Kocham cię, wyjdź za mnie i pozwól mi być ojcem dla tego dziecka.

Devon przez chwilę cierpliwie czekała na dalszy ciąg, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

- I?

- I roześmiała mi się w twarz! A potem wyszła. Krew zastygła mi w żyłach.

Usłyszał, że Devon gwałtownie wciąga powietrze, ale nie zareagował. Nie mógł. Mógł myśleć tylko o tym upiornym śmiechu. O śmiechu, który brzmiał w cichych ścianach jak brzęk tłuczonego szkła. Boże, jakże on wtedy pragnął zwinąć się w kłębek i umrzeć.

To zdarzyło się komu innemu. Jakiemuś innemu, biednemu, głupiemu szczeniakowi. Raz po raz powtarzał sobie w myśli

te słowa, aż wreszcie niemal w nie uwierzył. I wtedy zmusił się do podjęcia opowieści. Spokojnym, rzeczowym tonem.

- Mibelle została znaleziona następnego dnia. Zamordowana. Wszyscy w mieście wiedzieli, kto to zrobił, ale ten waśniak nie mógł przecież iść do więzienia. Z pewnością nie za zabicie dziwki. Ktoś musiał jednak zapłacić za zbrodnię. W końcu przecież miejscowy sędzia, który zresztą był na tym przyjęciu, obiecał bezpieczeństwo „szacownym” obywatelom Nowego Orleanu. O, tak, ktoś musiał za to zapłacić i moja matka, za odpowiednią sumę, zgodziła się dostarczyć im winowajcę. Własnego syna. Świetnie się nadawałem: naiwny, przysparzający wydatków i głupi. Powiedziałem w pokoju pełnym ludzi, że ją kocham. I co najważniejsze, nikomu nie zależało na moim życiu. Proces trwał piętnaście minut i było po wszystkim. Na szczęście cena życia dziwki była dość niska. Tylko pięć lat mojego życia. Kiedy wypuścili mnie z tej przegniłej, śmierdzącej dziury, uciekłem tak daleko od cywilizacji, jak tylko się dało. I nigdy do niej nie wrócę. Nigdy!

W tonie Kamiennego Człowieka Devon usłyszała echo głosu tego młodego chłopaka, którego jedyną zbrodnią było to, że kochał. Poczuli nagle osłepiającą niemal wściekłość na nich wszystkich: na matkę, która sprzedała wolność syna, na kobietę, która zdeptała obcasem jego niewinną miłość, na nieuczciwy sąd. Odebrali mu tak wiele dumę, ufność, pragnienie miłości.

Teraz wszystko było zrozumiałe. Złość, którą nosił jak zbroję; koczowniczy, samotny styl życia; niechęć, którą odczuwał w stosunku do współtowarzyszy. To wszystko były mury, które miały uchronić jego serce przed kolejnym zranieniem. Z niewinnie skazanego chłopaka wyrósł mężczyzna, który postanowił nie dopuścić, aby go znowu skrzywdzono.

Nic dziwnego, że nie chciał opuścić swojej kryjówki w dzicy. Wszyscy, których kiedykolwiek kochał, go zdradzili.

Westchnęła. Nie była w stanie powiedzieć niczego, co złagodziłoby jego ból. Mogła tylko kochać go tak gorąco

i głęboko, na ile jej pozwoli. Może któregoś dnia, jeśli będzie go kochała wystarczająco długo, Kamienny Człowiek sam stwierdzi, że jego dobrowolne wygnanie się skończyło. Może nawet któregoś dnia zrozumie, że Devon nie jest podobna do Mibelle i że jego miłość do niej niczym mu nie grozi.

Z tą myślą ułożyła się na piersi Kamiennego Człowieka i zamknęła oczy. Usnęła w ciągu kilku sekund.

Lodowate okowy wspomnień powoli zelżały. Udało mu się to zrobić, stwierdził nagle. Wydobył wspomnienia z najciemniejszego zakątka na światło dzienne. Zamknął oczy i podziękował w duchu. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat: bardziej wolny i odprężony.

A wszystko dzięki Devon.

Dzięki kobiecie, którą kochał.

Nie mógł już dłużej wypierać się własnych uczuć. Potrzebował jej dziewczyny: jej rozumu, śmiechu, siły. A najbardziej jej prostej wiary w niego. Po raz pierwszy w życiu tak rozpaczliwie czegoś pragnął. Pragnął serdeczności, którą obiecywały jej oczy. I domu, który oferowały mu jej ramiona.

Poczuł skurcz żołądka. Pragnął czegoś, co nie istniało. Dom, który proponowały jej ramiona, był fałszywym domem. Jak jedna z tych witryn sklepowych na głównej ulicy w Circle City. Ten dom będzie istniał tylko do wiosny, a potem zniknie.

Ileż to razy Devon obiecywała, że wyjedzie z Dawson City, jak tylko rzeka odmarnie? To nie były czcze pogrożki. To był plan działania. A Bóg świadkiem, że Devon nigdy nie odstępowała od realizacji swoich planów. Odjedzie, kiedy tylko zgromadzi dość pieniędzy na podróż statkiem. Pewnie nie może się doczekać, żeby zostawić za sobą niecywilizowany zakątek Jukonu i brudnego neandertalczyka, z którym sypia, bo uznała to za „rozsądne”.

Nie, przecież jej na nim zależało. Kamienny Człowiek wiedział o tym. Ale to nie wystarczy, nie dla nich obojga. Oboje byli uparci jak osły i oboje doskonale wiedzieli, czego

chęć. On chciał do końca życia włączyć się po dzikiej okolicy i robić zdjęcia.

Ale nie Devon. Mogła opowiadać, że nigdy nie wyjdzie za mąż, ale tego właśnie chciała. Każda kobieta tego chce: miłego domu w mieście, męża ze stałą pracą, dzieci i psa.

Kamienny Człowiek nie chciał niczego z tych rzeczy i nie mógł poprosić Devon, żeby przyjęła jego samotniczy tryb życia. Zbyt mocno ją kochał, żeby próbować zmienić ją w pustelnicę.

On nie mógł wyjechać, a ona tu nie zostanie. A więc spędzą zimę razem, śmiejąc się, rozmawiając, kochając się i dbając o siebie. I udając, że wiosna nigdy nie przyjdzie.

Ale czy zdoła kochać ją całą zimę, a potem wrócić do dawnego, samotnego, bezsensownego życia? Przez krótką, magiczną chwilę należeć do niej, a potem, w mgnieniu oka, wrócić do trudnej do zniesienia izolacji?

Może będzie łatwiej, jeśli nigdy nie powie „kocham cię”. Może jeśli nigdy nie wymówi głośno tych przerażających, nieodwracalnych słów, zdoła udawać, że nie kocha tej dziewczyny. A potem to minie wraz zimą, a jego dusza pozostanie nietknięta.

Milczenie to nie było wiele. Ale to było wszystko, co miał.

A poza tym, próbował myśleć racjonalnie, i dla Devon będzie lepiej, jeśli on zachowa milczenie. Ta dziewczyna zasługiwała na coś lepszego niż stary, złamany człowiek, który boi się miłości. Tak, utrzyma swą miłość w sekrecie. Tak będzie lepiej. Lepiej dla nich obojga.

Devon przytuliła się jeszcze mocniej do ciepłego ciała Kamiennego Człowieka. Nie pomogło. Przewróciła się na plecy i naciągnęła koc na piersi. Zaczęła szczełukać zębami. Boże, jest chyba pięćdziesiąt stopni poniżej zera! Dlaczego ten cholerny ogień zawsze musi gasnąć w środku nocy, kiedy jest

najbardziej potrzebny? Niestety, narzekanie na rzeczywistość w żaden sposób jej nie zmieni! Musiała po prostu pogodzić się z tym, co nieuniknione. Jednym pełnym determinacji ruchem odrzuciła okrywające posłanie futro i wyskoczyła z łóżka. Zetknięcie nagich stóp z pokrytą warstewką lodu podłogą aż zaboląło. Wzdrygnęła się i podbiegła do piecyka. Trzęsącymi się z zimna rękami wkładała zamrożone szczapy drewna do małego otworu w metalowej płycie, a potem wrzuciła zapaloną zapalkę. Pojawiły się wątle płomyki, powoli rozpalające zlodowaciałe drewno. Rozcierała ręce. Teraz to już nie potrwa długo...

Usiadła przy stole. Skrzywiła się, kiedy jej pupa zetknęła się z twardym siedzeniem krzesła. Boże, to boli!

Poruszając się wolno, żeby zmniejszyć ból, przysunęła krzesło bliżej ognia. Wróciła na posłanie, jak tylko się rozgrzała. Kiedy leżała, nie bolało tak bardzo.

Usłyszała skrzyknięcie łóżka, a potem odgłos uderzenia stopy o podłogę.

- Nie musisz wstawać, już rozpałam ogień - szepnęła.

Poczuła go przy sobie. Otoczyło ją ciepło jego ciała, wypędzając resztki chłodu z jej kości. Kamienny Człowiek objął jej ramiona. Odrzuciła głowę do tyłu i oparła ją na męskim ciele. Jego palce powędrowały w stronę guziczków przy szyi Devon. Rozpinały je jeden po drugim. Pod koszulę wdarło się lodowate powietrze i musnęło piersi dziewczyny.

Wsunął dłonie pod flanelę i położył je na obojczykach. Każdy palec był jak słup żaru na lodowatej nagiej skórze. Samym czubkiem paznokcia drażnił twardą brodawkę. Piersi Devon nabrzmiały w oczekiwaniu dotyku. Dziewczyna czekała, pełna napięcia.

Nie zawiódł jej. Jego ręce powoli zsuwały się w dół. Poczuła zgrubiałą skórę męskich palców na miękkich wznórkach swego ciała i mimowolnie zadrżała. Palce zbliżyły się do brodawek.

Ujął ich sterczące koniuszki między kciuki i palce wskazujące i delikatnie pociągnął.

W ciele Devon eksplodowało pożądanie. Było coś niezwykle erotycznego w tej ciemności, w niewidzialnym mężczyźnie tuż za nią, w jej lodowatym ciele i jego gorących palcach na sutkach.

- O, Boże... - jęknęła cichutko.

Porwał ją w ramiona i położył na zimnym, zmiętym prześcieradle. Owiął ją utrwalony w bawełnie zapach ich poprzedniego miłosnego zespolenia, jak obietnica namiętności.

Kamienny Człowiek wyciągnął się obok niej i otoczył ją ramionami, przykrywając szczelnie ich oboje. Pocałował aksamitny płatek jej ucha.

- Powinnaś dodać do swojej listy ochronę przed odmrożeniami, Dev.

- Do diabła z listą! - Zadrżała, kiedy usta Kamiennego Człowieka zawędrowały na jej szyję. Objęła go mocno.

Usłyszała w ciemności jego cichy chichot. Kiedy palec wskazujący dziewczyny zaczął się zsuwać w dół jego piersi, gwałtownie zaczerpnął powietrze. Palec przesunął się poniżej pasa, minął pępek, kolejną kępę włosów i ciągle zmierzał w dół. Kiedy dotarł do celu, Devon uśmiechnęła się do siebie. Nie tylko on potrafi mówić rękami!

Kamienny Człowiek gapił się na obwisły dach, obserwując pierwsze nieśmiałe promyki słońca, oświetlające brudnoszare płótno. Przeciągnął się leniwie i okrył ich oboje futrzanym kocem. Boże, jak wspaniale się czuł! Od lat nie czuł się tak cudownie. Przez ostatnich siedem poranków budził się z Devon przytuloną do jego bioder. Kiedykolwiek zechciał, mógł po prostu wyciągnąć rękę i dotknąć dziewczyny.

Na samą myśl o tym krew w nim zawrzała. Do diabła, chciał jej teraz, natychmiast. Przetoczył się na bok i przyglądał się

Devon. Boże, jaka ona piękna! Tak piękna, że aż serce mu zamarło.

Zaczęła mrugać i otworzyła oczy. Ich spojrzenia spotkały się i na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Dzień dobry - wymruczała zachrypniętym głosem.

- Rozpalę w piecu - powiedział i zaczął się podnosić. Futrzana narzuta zsunęła się z jej nagiego ciała. Ukośne promienie słońca, przesiane przez brezent, znaczyły je drobnymi świetlnymi plamkami, które falowały na piersiach. Słońce przemieniło mocno skręcone włosy dziewczyny w ognistą aureolę.

- Rozpalmy nasz własny ogień - mruknął gardłowo i porwał ją w ramiona.

Cichy śmiech dziewczyny zapukał do drzwi jego serca. Dłonie Devon gładziły jego ciało i tam, gdzie zbłądziły, czuł ciepło. Zaczęli się całować. Były to powolne, leniwe pocałunki ludzi, którzy mają czas i się kochają. Opadli na posłanie i Cornelius wpatrywał się w wilgotne olbrzymie oczy dziewczyny.

Kocham cię. Te słowa pojawiły się nagle w jego mózgu wraz z uczuciem dojmującej, ostrej jak cios rozpalonym do białości nożem tęsknoty. Boże, jak straszliwie pragnął wypowiedzieć je, uwierzyć w nie sercem i duszą. Może, pomyślał jak szaleniec, może tym razem znajdzie w sobie dość odwagi, żeby je wymówić.

Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Devon pogładziła jego policzek

- Pocałuj mnie - poprosiła.

Przełknął z trudem ślinę. Później. Powiem jej później. Na razie ją pocałuję, to o wiele łatwiejsze. Zawsze całował Devon, kiedy myślał o tym, jak bardzo ją kocha. Całował, aż oboje niemal odchodzili od zmysłów, aż ich namiętność nie zniweczyła potrzeby słów.

Kochali się niespiesznie, namiętnie, a po spełnieniu leżeli.

obejmując się nawzajem. Odwróciła się twarzą do Kamiennego Człowieka. Mężczyzna czuł jej lekki oddech na policzku.

- Corneliusie, myślałam o czymś.
- Co za niespodzianka! - odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.
- Próbowałam być cierpliwa, ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

- O co chodzi, Dev? - Zachmurzył się.
- Kocham cię.

Słowa upadły między nich. Miał zaciśnięte gardło. Mógł tylko patrzeć w jej wielkie, błyszczące jak gwiazdy oczy. I marzyć. Boże, te słowa zabrzmiały tak cudownie...

- Nie martw się. Nie proszę, żebyś się ze mną ożenił, i wiem doskonale, że nigdy nie wrócisz do cywilizacji. Wiem, że to głupie, ale chciałabym udawać, że ty także mnie kochasz. Wiem, że to tylko do wiosny, ale... - Devon mówiła bardzo szybko, żeby zagłuszyć milczenie.

Do wiosny! Nadal coś nerwowo gadała, ale on nie słyszał już ani słowa poza tym: do wiosny. Coś w jego duszy pękło. Ból przeszył mu serce jak lodowata klinga.

Jak mógł być tak głupi, tak ślepy? Znowu to zrobił! W ciągu ostatniego tygodnia pozwolił sobie na z każdym dniem głębszą miłość do tej dziewczyny, pozwolił sobie uwierzyć, że jest inna niż Mibelle i jego matka. Że kocha go wystarczająco mocno, żeby zostać z nim na zawsze.

Skrzywił się. Popełnił błąd. Tak jak poprzednio. Devon nie była podobna do Mibelle i jego matki, nie w głębi duszy. Ale dla jego serca różnice między nimi nie miały większego znaczenia.

Do diabła z nią, pomyślał ze złością. Do diabła z nią, bo sprawiła, że uwierzył, iż jest inna, że zapragnął czegoś, czego nie mógł mieć. Zapragnął aż do bólu.

Cóż, nie był siedemnastolatkiem, nie był głupi ani naiwny. Nie miał zamiaru podawać jej serca i duszy na srebrnej

tacy, a potem patrzeć, jak odchodzi, zabierając je ze sobą. Nie ma mowy!

- Corneliusie, nie masz zamiaru się odezwać? - zapytała roztrzęsionym głosem

- Nie mogę. - Zamknął oczy. Po chwili rozdzierającej serce ciszy Devon ukryła twarz na jego piersi. Gorące łyzy dziewczyny sływały po jego skórze. Każda kropla była jak rozpalone żelazo.

Ale nie mógł sobie pozwolić na wypowiedzenie słów, które pragnęła usłyszeć. Po prostu nie miał dość siły. Nie mógł powiedzieć Devon, że ją kocha, a potem patrzeć, jak odchodzi.

Devon, stój spokojnie!

Jej czysty, szczęśliwy śmiech niósł się po cichym, opustoszałym zboczku góry i Kamienny Człowiek nie mógł nie uśmiechnąć się do dziewczyny. To było wspaniale i dobre po prostu być żywym tego pierwszego dnia wiosny.

- Nie zrobię zdjęcia, jeśli nie będziesz stała spokojnie.

- I o to chodzi! Nie będę umierać ze wstydu, że zrobiłeś mi zdjęcie w takich ciuchach. - Przestała tańczyć tylko na chwilę, żeby olśnić go jasnym uśmiechem

Patrzył na nią z prawie bolesnym poczuciem dumy. Należała do niego! Do niego! Nawet teraz nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Podczas tych długich, pozbawionych słońca zimowych miesięcy nie było ani jednego poranka, kiedy obudziłby się, nie trzymając jej w ramionach.

Brnął do niej przez śnieg z wyciągniętą ręką. Ujęła ją bez wahania, zaciskając wokół niej drobne, ukryte w ciepłej futrzanej rękawicy palce. Świat wokół nich był czysty, świeży, okryty bielą.

- Ty wyglądasz wspaniale we wszystkim.

- Albo bez niczego! - Oparła się o niego. Jasnoszare obłoczki ich oddechów zmieszały się ze sobą, otaczając ich jakby mgłą.

- Szczególnie bez niczego!

- Więc zrób mi zdjęcie nago. Ale nie w tych ciuchach. -Pocałowała go i odbiegła, robiąc piruety.

Znów stanął za aparatem, pragnąc rozpaczliwie zrobić jej dzisiaj przynajmniej jedną fotografię. Z jakiegoś powodu koniecznie chciał mieć zdjęcie Devon, swej pierwszej prawdziwej miłości, zrobione w pierwszym dniu wiosny. Przykucnął, wpatrując się uparcie w soczewkę. Dziewczyna co chwila to pojawiała się, to znikwała z jego niewielkiego okrągłego pola widzenia.

- Corneliusie, ja - oj!

Upadła. Natychmiast pstryknął zdjęcie. Devon siedziała w śniegu na swej ślicznej małej pupie, ubrana w przykrótką spódnicę, wełniane galoty, obramowane futrem buty do kolan i ogromne futro. Marzył tylko, żeby aparat mógł uchwycić kolory: intensywnie różowe policzki i nos, i głębokie, pełne obietnic, zielone oczy.

- Nie rób tego, Corneliusie. Naprawdę nie chcę! Wyszedł z za aparatu, żeby pomóc jej wstać. Olbrzymia śnieżka natychmiast wylądowała na jego piersi. Biały puch rozsypał się wokół i osiadł na jego futrzanej kurtce. Zaczął uciekać.

Podniosła się i popędziła za nim. Z uśmiechem obserwował jej bieg. Wyglądała tak młodo, tak swobodnie. Mógł się jej przyglądać bez końca. Właśnie teraz, w takich jak ta chwilach, przyznawał się sam przed sobą, jak bardzo ją kocha. W głębi ducha słowa przychodziły mu łatwo, prawie bez wysiłku. Tak łatwo, że prawie był gotów wypowiedzieć je na głos. Prawie, ale nie całkiem. Słowa miłości zawsze więzły mu w gardle, plątały się w beznadziejnym prerażeniu. Wkrótce, powiedział sobie już po raz tysięczny. Wkrótce.

Dwudziesty czwarty maja wstał jak wszystkie poprzednie wczesnowiosenne dni, rześki i świeży. Kompletnie niczym nie różnił się od dnia wczorajszego czy przedwczorajszego.

Devon siedziała samotnie przy stole i piła poranną herbatę. Z zewnątrz dobiegały znane jej już doskonale odgłosy budowy powstającej tu cywilizacji. Uderzenia młotków, nieudolne rzępolenie na skrzypcach, ciche brzęczenie pianina z saloonu, przejmujący pisk z tartaku. I choć była prawie dziesiąta rano, Devon wiedziała, że ulice będą pełne mężczyzn zniecierpliwionych roztopami. Będą snuć się bez celu nowo ułożonymi chodnikami, a ich podkute buty będą postukiwać na drewnianych deskach.

A zaczęło się to wszystko w sierpniu ubiegłego roku, kiedy George Carmack po raz pierwszy szepnął: „złoto”. To jedno magiczne słowo, niesione na skrzydłach jukońskiego wiatru, wabiło z siłą, której nie sposób się oprzeć. Poszukiwacze złota ściągnęli ze wszystkich zakątków Alaski i Jukonu i niemal w ciągu jednej nocy zmienili Dawson City. Tam, gdzie przedtem stało kilka zniszczonych namiotów, wyrosły setki nowych, porządných. I dzień w dzień stawała nowa chata z bali.

Kamienny Człowiek miał rację. Przyszła wiosna i Dawson City stało się miastem z prawdziwego zdarzenia.

Devon odstawiła kubek. Wyczuwała zniecierpliwienie poszukiwaczy złota. A może było to jej zniecierpliwienie?

Dziś po raz pierwszy od dwóch miesięcy nie poszła do sklepu z Corneliusem. Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego postanowiła zostać w domu, poza tym, że była podenerwowana.

Coś ma się dziś wydarzyć; coś złego. Czują to wyraźnie. Obudziła się już z tym przeczuciem i z każdą chwilą stawało się ono silniejsze.

Ostatnie pięć miesięcy było najszczęśliwszym okresem w życiu Devon. Spędzała z Corneliusem każdą minutę dnia i nocy i z każdą chwilą ich miłość rosła. A przynajmniej jej miłość, pomyślała z pełnym smutku westchnieniem. Swoje uczucia Kamienny Człowiek nadal skrywał na dnie serca; słowo „miłość” nigdy nie przeszło mu przez usta. Nawet w momentach największej namiętności.

Dziewczyna mówiła sobie, że to nieważne, że słowa są tylko niewiele znaczącym dodatkiem do czynów. A jego czyny mówiły „kocham cię” na tysiąc i jeden sposobów. Był w stosunku do niej taki czuły, taki delikatny.

Ale za każdym razem, kiedy próbowała przekonać o tym samą siebie, nie wierzyła. Przez całą zimę czekała w milczeniu, aż Kamienny Człowiek przyzna, że ją kocha. Ale po tej nocy, której ona wyznała mu miłość, to słowo nie padło już ani razu z ust żadnego z nich.

Devon położyła rękę na brzuchu i z roztargnieniem, popijając herbatę, zaczęła masować żołądek. Od miesiąca ten nieświadomy gest wszedł jej w nawyk. Powtarzało się to za każdym razem, kiedy myślała o przyszłości, o mężczyźnie, którego kochała ponad życie.

Gdyby to od niej zależało, z przyjemnością spędziłaby resztę życia, towarzysząc Kamiennemu Człowiekowi w wędrówce po najdalszych zakątkach ziemi.

Ale to już nie od niej zależało. Bóg świadkiem. Spojrzała na swój brzuch. Był ktoś, z kim musiała się liczyć. Ogarnęła ją fala niewiarygodnego zdziwienia na myśl o rosnącym w niej dziecku.

Cud! Tak myślała o dziecku, bo dokładnie przestrzegąca zaleceń doktora Cowana w kwestii antykoncepcji. Nawet w najmroźniejsze noce wstawiała z łóżka i wstrzykiwała sobie ciepłą wodę.

Cornelius często wygłaszał komentarze o jej skrupulatności. Uśmiech znikł z jej twarzy. Jej partner był wyraźnie zadowolony, że to ona wzięła na siebie odpowiedzialność. Co będzie, jeśli on nie zechce tego dziecka? Co będzie, jeśli...

Nie! Nie wolno jej wpadać w panikę. Jeszcze przez miesiąc może z powrodem nie myśleć o przyszłości. Nie było powodu, żeby już teraz się tym zamartwiała. Za jakiś czas będzie musiała stawić temu czoło.

A poza tym on na pewno będzie chciał tego dziecka. Na pewno! Niestety, nie wierzyła w to. Nie wierzyła, bo Kamienny Człowiek ani razu nie powiedział: „kocham cię”.

Jakiś przykry dźwięk wyrwał Devon z zamyślenia. Zerwała się na równe nogi. Błaznany kubek wysunął się jej z ręki i z głośnym brzękiem upadł na podłogę. O, mój Boże! Rzeka! Uniósł ciężką wiosenną spódnicę, wybiegła z namiotu i pognąła na brzeg Jukonu. Jej obcasiki postukiwały na ułożonym z drewnianych deszczulek nowym chodniku Dawson City. Zewsząd dobiegały odgłosy budowy: łoskot opadających siekier i bijących młotów, jednostajny jęk maszyn w tartaku Joego Ladue, stukot upadających desek. Ale Devon nic z tego nie słyszała, mijając pędem tuzin nowo postawionych namiotów. Słyszała tylko nierówne bicie swego przerażonego serca.

Nad mulistym szarobrunatnym brzegiem Jukonu zatrzymała się bez tchu. Przyciskając ręką bok, w którym czuła klucie, wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w rzekę.

Błagam, Boże, jeszcze nie...

A potem dźwięk, który ją tutaj przygnał, nagle się powtórzył. Straszliwy, podobny do grzmotu huk, któremu towarzyszył przerażający trzask. Z grozą wpatrywała się w rzekę; zobaczyła, jak wypiętrza się w górę wielki brudnoszary blok lodu. Znowu usłyszała trzask. Ziemia pod jej stopami zadrżała.

A potem to się stało. Upiorny blok lodu, wielki jak dom, uwolnił się i zaczął spływać w dół rzeki. Łzy popłynęły z oczu dziewczyny i zamgłiły jej wzrok. Rzeka zmieniła się w wirującą kipieli brudnej kry. Devon przycisnęła rękę do brzucha.

Stało się jutro.

Teraz musiała stawić czoło przyszłości, mężnie i bez dziecinnego fantazjowania, bo jeśli w ogóle czegoś nauczyła się od matki, to tego, jaką cenę trzeba zapłacić za patrzenie na świat przez różowe okulary. Ślepa, bezsensowna wiara matki, że ojciec po ślubie się zmieni, przyniosła cierpienie im wszystkim.

Devon nie wolno było popełnić tego błędu!

Wszystko zależało od tego, czy Cornelius zechce zmienić swój tryb życia. Dziewczyna wiedziała, że jest zdolny pokochać dziecko i stać się wspaiałym ojcem, jeśli tylko sam sobie na to pozwoli. Ale wiedziała także, że nie może tego od niego wymagać; on sam musiał zaproponować. W przeciwnym razie to będzie gest bez znaczenia.

I na tym polega problem. Czy on dobrowolnie przyjmie na siebie odpowiedzialność za utrzymanie żony i dziecka? Jeśli tak, wszystko wspaniale się skończy. Jeśli nie...

Jeśli nie, to Devon, dla dobra dziecka, będzie musiała być silna. Ta myśl doprowadziła ją do rozpacz; poczuła się samotna i zagubiona.

Ale nie była przecież samotna. Znowu położyła rękę na brzuchu i powróciło zdziwienie, które wyparło trwogę. Devon już nigdy nie będzie samotna. To dało jej siłę. A wraz z siłą przyszła determinacja.

Już nie może pozwolić sobie na luksus czekania, aż Kamienny Człowiek dojdzie ze sobą do ładu i zadeklaruje swoją miłość.

Musiła już teraz wiedzieć, czy kocha ją na tyle, żeby zmienić swój styl życia. Bo jeśli nie zdobędzie się na udział w życiu rodzinnym, to Devon będzie musiała pakować manatki. Jeśli nie przyjmie odpowiedzialności za żonę i dziecko, to ona szybko opuści Dawson City, żeby urodzić dziecko w St. Louis, wśród rodziny i przyjaciół.

Niestety, pytania: „Co sądzisz o dziecku?” nie można było zadać tak po prostu, szczególnie nie takiemu mężczyźnie jak Cornelius. Przecież on pewnie przez całe życie nawet dziesięciu sekund nie poświęcił na myślenie o dzieciach.

Nie, postanowiła Devon, nie wolno jej tak po prostu go o to zapytać. Atak z zasadzki będzie o wiele efektywniejszy. Odsunęła na bok skrupuły wobec tej metody; nie czas zamartwiać się taktyką. Musiała poznać odpowiedź.

Na początek dobra kolacja, kubek gorącej herbaty, prażona kukurydza i może trochę miłości. Potem, kiedy będzie rozluźniony i wprowadzony w dobry nastrój, Devon wyskoczy z nieoczekiwanym pytaniem. Pytaniem, które skieruje jego myśli na dom, ognisko domowe i rodzinę, ale nie będzie nazbyt oczywiste. Po kilku pytaniach naprowadzających zręcznie wtrąci krótkie pytanko o to, czy Kamienny Człowiek kiedykolwiek pragnął mieć dziecko.

Jeśli uda jej się wprawić go w dobry nastrój i jeśli zada odpowiednie pytania, on zacznie się zastanawiać, jak by to było żyć w rodzinie. W prawdziwej, kochającej się rodzinie.

Czy nie byłoby to wspaniałe dla kogoś, kto zawsze tylko z zewnątrz zaglądał do cudzych domów? Powinien dojść do wniosku, że pragnie mieć własną rodzinę.

Devon uśmiechnęła się. To powinno podziałać. Po raz pierwszy od miesiąca z ufnością patrzyła w przyszłość. Problemy zawsze wydają się mniejsze, kiedy człowiek opracuje plan.

Kamienny Człowiek stał nad brzegiem Jukonu z rękami skrzyżowanymi na piersi i oczami wbitymi w rzekę.

- A niech to! - syknął, kiedy wielki jak wagon kawał lodu przedarł się przez drobną krę i utorował sobie drogę do odmarzniętej wody.

Nadeszła wiosna.

Ruszył w drogę powrotną do sklepu. W połowie drogi zobaczył Devon. Maszerowała jak generał podczas inwazji. Nawet z tej odległości zauważył pełną determinacji linię szczęki dziewczyny. Znowu ogryzała paznokcie kciuka.

Boże, dopomóż. Devon zobaczyła, że rzeka odmarza, i zaczęła myśleć. Aż się wzdrygnął. Z pewnością myślała o porzuceniu go.

Zatrzymał się przed sklepem. Otarła się o niego z turkotem niebieskiej spódnicy i nawet nie spojrzała w górę; oczy miała białe w chodnik z nowiutkich desek.

- Dev?

Odwróciła się. W chwili, kiedy ich oczy się spotkały, rumieniec zażenowania wypłynął na policzki dziewczyny. Kamienny Człowiek zmarszczył czoło. Co, u diabła, ją tak przestraszyło?

- Z... zamyśliłam się.

- Widzę. Już krew kapie z twojego kciuka. O czym tak rozmyślasz?

Wyjęła palec z ust. Popatrzyła na niego oczami bez wyrazu. Była bardzo zdeprimowana spotkaniem z Corneliusiem tuż po tym, jak skończyła obmyślać swój plan. Mogła myśleć tylko o tym, żeby go wreszcie zapytać, czy kiedykolwiek chciał mieć syna. Obrugła się w duchu.

- Myślałam o rzece. - To była pierwsza rzecz, która przyszła jej do głowy.

Rozumiem. - Oczy Kamiennego Człowieka zwięzły się niemal niedostrzegalnie, a twarz stwardniała.

Devon zmarszczyła czoło, zaskoczona jego zimnym głosem.

- O co chodzi, Corneliu...
- Kamienny Człowieku. - Poprawił ją ostro.
- Ale...
- Pierwszy statek przybędzie już za kilka dni.

Devon zaniemówiła. Nie wiedziała, jak zareagować na te słowa. To zdanie zdawało się mieć drugi, ukryty sens; złe, odwrotne znaczenie, które chyba nie do końca pojmowała.

- W... wiem. Dryblas mówił, że statki stoją gotowe w górze rzeki, czekając na odwilż - odpowiedziała w końcu.

- Więc pytałaś. I co teraz? - Skrzyżował ramiona na piersi, cofnął się o krok i oparł o wspornik namiotu. Jego twarz była lodowata i całkowicie pozbawiona wyrazu, a wbite w dziewczynę oczy twarde.

- Ja... nie rozumiem cię. - Devon była zupełnie zdezorientowana. Co miało oznaczać to pytanie: i co teraz?

- Też tak sędzę.

Westchnęła z irytacją. Owszem, była zaprzątnięta własnymi myślami i nie wsłuchiwała się szczególnie uważnie w jego słowa, ale niewiele w nich było sensu.

- Na litość boską, co się z tobą dzieje? Dlaczego nie mówisz wprost?

- Chcesz wprost? Dobrze. Kiedy odejdziesz?

- Już odchodzę.

- Teraz? - Wrzasnął tak głośno, że dziewczyna drgnęła.

- Corneliusie, ja naprawdę nie wiem, dlaczego jesteś taki wściekły. Będziemy musieli porozmawiać o tym wieczorem. Teraz mam coś do zrobienia i idę do domu. Przyjdziesz na kolację?

- Oczywiście.

- Dobrze. - Już miała odejść, ale nagle poczuła ręce Kamiennego Człowieka w talii, a po chwili znalazła się w gwałtownym uścisku. Pochylił głowę i pocałował ją z taką żarliwością, że straciła oddech.

Puścił ją równie nagle, jak ją przedtem pochwycił. W głowie

jej się zakręciło od tego wybuchu namiętności; cofnęła się. Kamienny Człowiek bez słowa zniknął wewnątrz sklepu.

W pierwszej chwili Devon chciała wejść za nim, ale zmieniła zdanie. Rozmowa z Corneliusem w jego obecnym stanie ducha przyprawiłaby ją tylko o ból głowy. A poza tym czekało ją dziś mnóstwo gotowania.

Kiedy Devon odeszła, Kamienny Człowiek przyjrzał się ich namiotowi. Szare smugi dymu unosiły się spiralnie z metalowej rury od pieca, nadając obskurnej, brezentowej konstrukcji zadziwiający domowy charakter. Patrząc na jedyny dom, jaki kiedykolwiek miał, poczuł dławienie w gardle. Ten namiot już niedługo przestanie być domem. Kiedy ona wyjedzie, stanie się znowu tylko czterema ścianami z desek i brezentu i drewnianą podłogą. Nie będzie już w nich ani duszy, ani serca.

Jeszcze tylko przez kilka dni będzie miał dom i miłość. Potem znów zostanie sam. Tylko że to już będzie nowy rodzaj samotności. Zimna, ponura i pełna wspomnień. Krótko mówiąc, to będzie piekło!

Usłyszał dźwięk dzwonu, który wyrwał go z melancholijnych rozmyślań. Do licha z nimi! Czy oni niczego nie potrafią zrobić po cichu?

Kolejny poszukiwacz złota postawił kolejkę obecnym i oczywiście wszyscy w mieście musieli się o tym koniecznie dowiedzieć. Dzwonili w tej idiotyczny dzwon za każdym razem, kiedy ktoś stawiał w barze.

Kamienny Człowiek spojrzął w dół ulicy. Na końcu rozsiadły się dwa saloony - Pionier i Biały Słoń - jak dwa plugawe wysłużone statki. Nie musiał wchodzić do środka, żeby wiedzieć, że oba namioty są pełne poszukiwaczy złota i dziwek.

Westchnął z niesmakiem. Ci cholerni poszukiwacze złota wszystko zepsuli. Zamordowali jego spokojną dolinę. Budynki, zarówno namioty, jak i chaty z bali, były bezładnie rozrzucone

wzdłuż chodnika i w całej dolinie. Stare prawa i obyczaje zostały zapomniane, a dawni mieszkańcy nie czuli się już tak bezpiecznie, żeby zostawiać otwarte drzwi. W mieście żyło teraz ponad dwa tysiące ludzi, w tym z dziesięciu starych Jukończyków. To już było miasto poszukiwaczy złota. Miasto gwałtownie się rozwijające, które zostanie zgwałcone i obrabowane, a w końcu zapomniane.

Powinien zacząć pakować manatki i rozejrzeć się za jakimś dzikim zakątkiem. Ale nie mógł się stąd wynieść, już nie. Devon to zniszczyła. Samotne życie już mu się nie uśmiechało. Teraz pragnął tylko małej chaty, położonej w jakiejś zielonej dolinie. Miejsca dla nich obojga, miejsca, które byłyby ich własne...

Jak zwykle uświadomienie sobie tego wywołało u niego obezwładniające poczucie straty. Czy on, po takim życiu, jakie dotychczas wiódł, ma szansę wrócić do normalnej egzystencji?

Wszedł do sklepu. Gdyby tylko wszystko było inaczej. Gdyby tylko istniała jakakolwiek możliwość kompromisu... Ale nie było. On nie mógłby mieszkać w jakimś cholernym mieście. Po prostu nie mógł; ale nie mógł też prosić Devon, żeby spędziła z nim życie w jakimś dzikim zakątku. Zbyt mocno ją kochał, żeby to zrobić.

Poza tym nie zostałyby, gdyby ją poprosił, przypomniał sobie zgrzyźliwie. Podkreślała to wystarczająco często. Nie mogła się doczekać, żeby go porzucić, a teraz, kiedy rzeka ruszyła, już nic jej nie zatrzyma.

On ją kochał, a ona odchodziła. Przeszłość się powtarzała.

Ból przeszył jego czaszkę. Zamknął oczy i masował skronie. Tysiące razy już zastanawiał się nad kompromisem i zawsze tak samo się to kończyło. Fatalnie. A teraz nie miał już czasu na rozważania.

Ogarnęło go lodowate przerażenie. Devon zawiadomi go o tym, kiedy wróci dziś do domu. Żegnaj.

Devon krzątała się wokół pieca, próbowała, sprawdzała, otwierała i zamykała drzwi. Tysiące smakowitych zapachów, od których ślinka napływała do ust, unosiły się w powietrzu nad jej głową, sprawiając, że w małym namiocie pachniało jak w domu. Wszystkie potrawy, które Cornelius kiedykolwiek pochwalił, bulgotały teraz na małym piecyku.

Dziewczyna spojrzała na stół. Doskonale! Czerwony obrus, wypływały nieco po wielu praniach, okrywał stół, a na nim złożyły się stojące w puszcze po zupie Campbella dzikie arktyczne maki.

Odgarnęła włosy z twarzy, załując, że nie zwinęła ich jednak w rzymski kok. Ale Cornelius lubił jej rozpuszczone włosy, lubił wsuwać palce w gęste, mocno skręcone loki. Ona wolała związane włosy; kiedy opadały jej na twarz, miała wrażenie, że jest rozczochrana.

Zwiąże je, postanowiła nagle. Dziś wieczór nic nie powinno jej przeszkadzać. Ale kiedy podeszła do szafy, żeby wyjąć spinki do włosów, skrzypnęły drzwi i Cornelius wszedł do namiotu. Stała jak wryta. Nagle wszechogarniające przerażenie chwyciło ją za gardło, utrudniając oddychanie.

Tak wiele zależało od dzisiejszego wieczoru...

- Cześć - powiedział, zdejmując kurtkę i kapelusz.

To powitanie zdjęło z Devon mroźny czar. Opuściła ręce i ofiarowała mu coś, co - jak miała nadzieję było radosnym uśmiechem. Odruchowo podeszła do niego.

- Cześć. Usiądź. Zaraz podam ci kawę. - Ruszyła w stronę piecyka, ale Kamienny Człowiek złapał ją w pasie i porwał w ramiona.

- Nie potrzebuję kawy, potrzebuję ciebie.

Serce Devon skoczyło do gardła. Potrzebuję! Nigdy dotychczas nie użył tego słowa, słowa, które ma mnóstwo znaczeń. Ożyła w niej nadzieja. Jej dotychczasowy wymuszony, sztywny uśmiech zmienił się w prawdziwy.

- A ja potrzebuję ciebie - odpowiedziała miękko.

Ich oczy się spotkały i czas stanął w miejscu. Namiot wirował, wszystko było nieostre, zmieniło się w jasnoszare tło. Przez ułamek sekundy na całym świecie było ich tylko dwoje.

Powiedz to, myślała Devon.

Nie mów tego, myślał Cornelius.

Żadne z nich się nie odezwało. Powoli, jak kwiat pozostawiony zbyt długo w cieniu, ta niecodzienna chwila zwiędła. Namiot znów miał ostre kształty. Devon poczuła się zażenowana. Odgarnęła włosy z twarzy i wysunęła się z ramion ukochanego.

- Umyj ręce. Kolacja już gotowa - odezwała się trzęsącym się głosem.

Kamienny Człowiek poczuł jej nieobecność, jakby w jego ramiona wdarł się zimny północny wiatr. Sztywno podszedł do miski, napełnionej przez dziewczynę wodą. Narastało w nim poczucie katastrofy. Devon była spięta, zdenerwowana. Obowiązek zatrzymania przy sobie myśli przygniatał ją.

Cornelius umył ręce, usiadł przy niewielkim stole i starannie rozłożył serwetkę na kolanach. Od dawna robił to już odruchowo; była to czynność równie naturalna jak oddychanie. Gardło mu się ścisnęło, kiedy spojrzał na jaskrawe żółte kwiaty. Ile czasu upłynie, zanim znów będzie jadł na brudnym zniszczonym stole - bez obrusa, serwetek, nawet bez nakrycia? Maki zaczęły się dziwnie zamazywać. Potarł ze złością oczy i przeniósł wzrok na piecyk.

Devon jak zwykle trzepotała się jak wróbel w szklanym słoju. Słodko-gorzki uśmiech wypłynął na jego wargi.

Dziewczyna odwróciła się nagle. Zabrała naczynia ze stołu i podbiegła z nimi do piecyka. Błyskawicznie nałożyła na nie ogromne porcje jedzenia. Kamienny Człowiek spojrzał na swój talerz i w ułamku sekundy z bólem pojął, co się tu dzieje. Słodki Jezu, Devon ugotowała jego ulubione potrawy. Wszystkie, co do jednej.

Ostatni posiłek skazańca.

- Cornelius? Coś się stało? Myślałam, że będziesz zadowolony...
- Nic się nie stało. Co za wspaniałe przyjęcie. Wszystkie moje ulubione dania. - Powoli podniósł głowę, żeby popatrzeć na dziewczynę.

- To dobrze - Rozpromieniła się.

Zaczęła jeść, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, każdą potrawę po kolei. Przyglądał jej się przez dłuższy czas, czując pustkę w piersi. Potem niechętnie zabrał się do jedzenia. Nawet pieczeń z niedźwiedzia w ostrym korzennym sosie wydawała mu się bez smaku.

Po kolacji, kiedy zmywali, stojąc ramię przy ramieniu, Devon zerkała na niego ukradkiem. Nie widziała jego twarzy, ale kiedy ocierali się o siebie, czuła napięcie ramion Kamiennego Człowieka.

Powietrze wokół nich było wręcz naładowane przecuciem katastrofy. Devon musiała z całej siły zacisnąć pięści, żeby powstrzymać drżenie palców.

- Może zrobię czekoladę na gorąco? - zapytała tak jasnym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

- Nie mam ochoty na czekoladę.

- Ale ja zaplanowałam...

- Nie interesują mnie twoje cholerne plany, Dev. Mam własne plany na dzisiejszy wieczór i nie ma w nich wysłuchiwania twojej logicznej paplaniny. Nie dzisiaj. - Kamienny Człowiek rzucił na podłogę wilgotną ścierkę do naczyń i objął dziewczynę.

- Logiczną papla...

Zamknął jej usta pocałunkiem, po którym stała bez tchu i drżąca.

- A teraz, czy masz ochotę posłuchać, co ja zaplanowałam na dzisiejszy wieczór? - wyszeptał przeciągle wprost w jej wilgotne rozchylone usta.

Ciałem Devon zawładnęło pożądanie, spychając spokojne

racjonalne myślenie w najdalsze zakątki mózgu. Przecież mogła zapytać później...

- Chyba się domyślam - mruknęła, wyginając się w łuk. Wydawało jej się, że usłyszała „Dziękuję Bogu”, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Rozbierali się nawzajem z niecierpliwością i kochali się tak, jakby długo na to czekali, jakby byli ze sobą pierwszy raz, aż do zatracenia. Potem leżeli wtuleni w siebie. Cornelius pierwszy raz tego wieczoru odprężył się. Dziś jeszcze nic mu nie groziło. Wystarczająco dobrze poznał Devon, by wiedzieć, że gdyby chciała powiedzieć mu „żegnaj”, to nie kochałaby się z nim najpierw. Kiedy o czymś intensywnie myślała, jej ciało nie reagowało na pieszczoty.

Devon każdym skrawkiem gorącej spoconej skóry czuła dotyk ciała Kamiennego Człowieka. Wdychała zapach mężczyzny, równie znajomy, jak własny. Byli tak znakomicie dobrani! Jak on mógł tego nie widzieć? Jak mógł tego nie czuć?

Ależ musi, powiedziała sobie.

Nerwowo przygryzła dolną wargę. Czas poznać prawdę. Oczywiście instynkt jej dyktował, żeby zadać natychmiast nurtujące ją pytanie. Ale nie uległa, pamiętała o swoim postanowieniu, by działać powoli, zaczynając od niewinnych, naprowadzających pytań.

Oparła policzek na miękkich, lekko wilgotnych włosach na piersi Kamiennego Człowieka. Palcem wskazującym błędziła leniwie wśród czarnych włosów, a jej dotyk był powolny i lekki jak piórko.

- Wiesz, Corneliusie...

Jego pierś zatrzęsła się od śmiechu. Dziewczyna uniosła się i spojrzała. Kamienny Człowiek szeroko się uśmiechał. Zesztywniała.

- Z czego się śmiejesz?

- To tylko wspomnienia, kochanie. To nic. - Poglądził ją ręką po twarzy.

Kochanie! Powiedział do niej „kochanie"! Nadzieja wstąpiła

w serce Devon. Jej plan zaczął dawać efekty. Czula to. Ten mężczyzna ją kochał; on tylko jeszcze o tym nie wiedział. Musi sprawić, aby to zrozumiał, powoli, na swój własny sposób, a wtedy wszystko się ułoży. Jeżeli Cornelius ją kochał, naprawdę ją kochał, to będzie chciał mieć z nią dziecko. Poprosi ją, żeby z nim została na całe życie.

Wzięła głęboki oddech, żeby nie odejść od swojego planu. Trzeba powoli posuwać się naprzód.

- Corneliusie, myślałam o twojej pracy.

- O mojej pracy? Przed chwilą kochaliśmy się gorąco i namiętnie, a ty myślisz tylko o mojej pracy? Niezbyt to dla mnie pochlebne! - Kamienny Człowiek roześmiał się.

- Cóż przyszło mi to do głowy przed chwilą. Mam pomysł! powiedziała, odpowiadając uśmiechem na jego rozbawienie.

- Strzelaj.

Usiadła prosto, żeby go lepiej widzieć. Nie chciała, żeby jej umknął najłżejszy nawet cień emocji na jego twarzy. Jej twarz była zbyt szczerą, zbyt pełną zapału; wiedziała o tym, ale nie miała nawet co próbować tego zmienić. Także w jej głosie brzmiało podniecenie.

- Wiesz przecież, jak nienawidzę, kiedy złazisz do wąwozów, ciągnąc te cholerne sanki. Wiem, że musisz ciągnąć ze sobą cały sprzęt, i pomyślałam... pomyślałam o psie pociągowym. - Uśmiechnęła się, czekając na zgodę Kamiennego Człowieka.

Nie doczekała się.

Nie odezwał się ani słowem; patrzył tylko na nią dziwnie, z leniwym uśmiechem, unoszącym kąciki ust. Zesztywniała. Niestety, nie ulegało wątpliwości, że Cornelius nie myśli o domu i domowym ognisku. Trzeba jeszcze trochę popracować, żeby go przekonać.

- No i przyjemnie byłoby mieć psa, nie sądzisz? Mógłby spać na podłodze przy piecyku. Stworzyłby taką... domową atmosferę.

- Chcesz, żebym wziął sobie psa? - Kamienny Człowiek uniósł się na łokciu i patrzył na Devon z niedowierzaniem.

Była rozczarowana. Nie szło dobrze. Dopiero zaczęła realizować swój plan, a on już za nim nie nadązał. Powinien już się zgodzić. Dlaczego się uśmiecha?

- Ja się nim będę zajmować - dodała po namyśle.

- Ty? Naprawdę? - Uśmiechnął się znowu, tym razem szerzej.

- T... tak. - Nerwowo zagryzła dolną wargę. Dlaczego się po prostu nie zgodził? Czy to tak trudno powiedzieć: „Tak, Devon, dobrze by było wziąć psa. Może malamuta”. W jej wyobraźni Kamienny Człowiek tak właśnie odpowiadał. Kiedy nie mogła już znieść milczenia, odezwała się znowu: Dobrze by było mieć psa. Przynajmniej ja tak sadzę. Bardziej przypominalibyśmy rodzinę. Wiesz, taką prawdziwą rodzinę. - Spojrzała na niego znacząco.

- Papłasz, Devon. - Cornelius położył jej palec na ustach.

- Wiem, ale...

- Ciii. Doceniam twój pomysł, Dev, naprawdę. Ale gdybym chciał psa, tobym go miał.

- Ale...

- Żadnych ale. Pies oznacza piekielną odpowiedzialność. A co gdybym zapomniał cholernika nakarmić i by zdechł? Czułbym się jak bydlę. To jest dobry pomysł, ale ja nie mogę przyjąć na siebie takiej odpowiedzialności.

Devon wstrzymała oddech, kiedy uświadomiła sobie znaczenie jego słów. Łzy napłynęły jej do oczu. Mrugała gwałtownie, żeby je powstrzymać, a potem opadła na materac i ukryła twarz w poduszce. Kamienny Człowiek położył jej rękę na ramieniu i lekko potrząsnął.

- Devon? O co chodzi? Naprawdę tak bardzo chcesz mieć psa?

Potrząsnęła głową, zadowolona teraz, że rozpuszczone włosy przysłaniają jej twarz.

- Nie. Po prostu jestem zmęczona. Chodźmy już spać -odpowiedziała stłumionym głosem.

Wyciągnął się przy niej, obejmując jej nagie ciało. Jedną rękę wsunął pod dziewczynę i położył na jej pępku. Kiedy poczuła jego rękę na brzuchu, straciła panowanie nad sobą. Łzy popłynęły z jej oczu. Nie próbowała ich powstrzymać; bo wiedziała, że to bezcelowe. Wszystkie jej marzenia zostały właśnie zdruzgotane.

Boże, pomóż. Była w ciąży z mężczyzną, który nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za karmienie psa!

Dziecko było z pewnością poza dyskusją. Nie miała żadnego wyboru. Zbyt mocno kochała Corneliusa, żeby zmuszać go do przyjęcia na siebie odpowiedzialności, której nie chciał. Poczula na własnej skórze, co się dzieje, kiedy mężczyznę zmusza się na siłę do przyjęcia odpowiedzialności.

To nie oznaczało, że Cornelius był w czymkolwiek podobny do jej ojca; nie był. Był człowiekiem honorowym, pełnym miłości. Na tyle honorowym, że gdyby się dowiedział o dziecku, ożeniłby się z nią. Małżeństwo, którego nie chciał, dla dobra dziecka, którego również nie chciał.

Nie, stwierdziła ponuro, nie o taki rodzaj małżeństwa mi chodzi. Nie tego chciała dla siebie i dla dziecka ani z pewnością dla Kamiennego Człowieka. Nie miała wyboru. Musiała wyjechać, zanim on się dowie o dziecku - czyli już niedługo.

Kiedy statek wypłynie z Dawson City, będzie musiała być na jego pokładzie.

Devon we śnie mocniej przytuliła się do Kamiennego Człowieka. Koszula nocna podwinęła jej się do góry i czuła znajome, upragnione ciepło nóg Corneliusa, splecionych z jej nogami. Chrapnęła cichutko, z zadowoleniem.

Powoli zaczynała uświadamiać sobie jego zmysłowe, wilgotne pocałunki. Instynktownie rozchyliła wargi, aby kochanek mógł wśliznąć się w głąb ust. Pocałunek, czarodziejska pieśczość, pogłębił się. Poczowała, że jego język gładzi jej zęby, a potem splata się z jej językiem. W lędźwiach Devon narastała słodka, bolesna rozkosz.

Stwardniałe dłonie przesuwają się po jej piersiach. Zadrzała w oczekiwaniu. Zamrugła na wpół rozbudzona.

- Cześć - powiedział Cornelius.

Na dźwięk jego głosu uśmiechnęła się leniwie. Ten uśmiech zniknął po chwili, kiedy przypomniała sobie poprzedni wieczór.

Wspomnienia uderzyły ją z nieomal fizyczną siłą. O Boże, pomyślała nagle, jeśli statek przypłynie dzisiaj, to po raz ostatni obudziła się w ramionach Kamiennego Człowieka. Po raz ostatni czuła dotyk jego kochających rąk na swym ciele.

Objęła go mocno. W jej gardle narastał szloch; gorące łzy zakręciły się w jej oczach.

- Kochaj mnie. Teraz... - szepnęła roztrzęsionym głosem. Ich miłość była powolna, spokojna, gorzka i słodka zarazem.

Potem, leżąc w jego ramionach, Devon starała się odsunąć od siebie pamięć o minionej nocy. Na próżno.

- Devon?

Wydawało jej się, że słyszy głos Corneliusa z daleka. Gwałtownie wróciła do rzeczywistości. Wsunęła się z jego ciepłych ramion i spojrzała na ukochanego. Serce się jej ścisnęło na widok troski w jego oczach.

- Tak?

- Co się z tobą dzieje?

Mocno zagryzła dolną wargę, żeby ukryć jej drżenie. Opuściła oczy. Boże, jeśli Kamienny Człowiek będzie nadal tak na nią patrzył, to ona się rozsypie.

- Nic się nie dzieje. Po prostu myślałam... o faktorii. Jedno z nas powinno już iść do sklepu. Ludzie liczą na nas -odezwała się rozdygotanym głosem, bo naprawdę chciała powiedzieć: myślałam o ostatniej nocy, myślałam o naszym dziecku.

Westchnął ze znużeniem, jakby najdokładniej wiedział, o czym myślała - nie o sklepie, oczywiście.

- Ja otworzę. Ty możesz przyjść, kiedy będziesz chciała -rzekł w końcu, wyskakując z łóżka.

W chwili, kiedy ich ciała straciły kontakt, Devon poczuła chłód. Chłód, który płynął z duszy.

Zmusiła się do zostania w łóżku, dopóki Cornelius się ubierał. To był jedyny sposób, żeby nie rzuciła mu się w ramiona.

Kiedy skończył się ubierać, usiadł na łóżku obok Devon. Drewniany stelaż jęknął pod jego ciężarem, jak zawsze, kiedy się kładł. Pierwszy raz ten dźwięk zabrzmiał w jej uszach melancholijnie. Ogarnęło ją przemożne poczucie straty.

Przestań, nakazał jej rozum. Przestań być taka płacziwa. Nie ma powodu do płaczu. Na jedną krótką, wspaniałą zimę Bóg dał jej to, o czym nawet nie śmiała marzyć. Dał jej kawałek nieba.

To prawda, że tylko jedną garstkę; i to prawda, że Devon nie mogła jej zatrzymać; ale miała ją, a większość ludzi nie może tego o sobie powiedzieć. Co więcej, jej cząstkę zabierze ze sobą do domu, żywą, oddychającą pamiątkę miłości. Miała dziecko!

Byłaby pazerna, prosząc o więcej.

Spojrzała na twarz Kamiennego Człowieka i jej melancholia zmalała do rozmiarów, które można znieść. Mam szczęście, powiedziała sobie. Miała szczęście, że w ogóle go spotkała. On ją odmienił. Dzięki niemu złagodniała. I nawet o tym nie wiedząc, dał jej dwa najwspanialsze dary, jakie w życiu dostała - miłość i ich wspólne dziecko.

Ujęła jego twarz. Piegowata mlecznobiała skóra jej palców wydawała się wręcz przezroczysta w porównaniu z jego ogorzałą cerą. Ich spojrzenia spotkały się i w głębi złotych oczu mężczyzny dostrzegła to, co zawsze w nich widziała. Miłość.

- Gdybyś tylko mógł to przyznać - powiedziała ze smutkiem.

- Co mam przyznać?

- Że mnie kochasz.

- Przywiązujesz cholernie dużą wagę do słów, Dev. A jeśli dotąd nie wiesz, co do ciebie czuję, to nie jesteś taka sprytna, jak sądziłem! - Z tymi słowami zerwał się z łóżka, chwycił po drodze kurtkę i wybiegł z namiotu.

Kiedy zatrasnęły się drzwi, Devon poczuła, że zwałił się na nią jakiś potworny ciężar. Łzy zapiekły ją pod powiekami.

Miał rację. Wiedziała, że ją kocha; miłość była w jego oczach, kiedy na nią patrzył, i w jego dłoniach, gdy jej dotykał. Po prostu nie mógł wypowiedzieć tych słów - i nic dziwnego, zważywszy na jego przeszłość. Wiedziała nawet, że z czasem

Kamienny Człowiek znajdzie dość odwagi, żeby je wypowiedzieć.

Niestety, nie mieli czasu. Wspaniale, że ją kochał, ale to za mało. Ona potrzebowała zobowiązania.

Gdyby choć raz poprosił, żeby z nim została, podjęłaby ryzyko. Bo taka prośba mogłaby oznaczać, że Cornelius chce zmienić swój samotniczy tryb życia, chce z nią zbudować dom. To mogłoby nawet oznaczać, że pragnie mieć rodzinę.

Normalnie nie potrzebowałaby zaproszenia. Zostałaby, czyby ją o to prosił, czy nie. Ale dziecko zmieniło wszystko.

Teraz potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, jaką dawało zaproszenie. A ono nie przyszło.

Wczorajszej nocy wyciągnęła właściwe wnioski. Musiała wyjechać. Tak będzie najlepiej dla Corneliusa. Miał własne życie, które mu odpowiadało: w izolacji i samotności. Bez odpowiedzialności i zobowiązań. Uwiązanie do rodziny zabiłoby jego ducha, a tego właśnie ducha Devon najbardziej w nim pokochała.

Tak, dla Kamiennego Człowieka najlepiej będzie, jeśli wyjedzie. Teraz. Zanim dowie się o dziecku i zmusi się do zachowania, którego potem wszyscy pożałują.

Kamienny Człowiek zauważył jej chłód już w chwili, kiedy weszła do faktorii. Ten chłód przejął go aż do kości, jak zimowy wicher.

Zaczyna się, stwierdził ponuro. Devon przystępuje do nieubłaganego i nieuchronnego podziału ich egzystencji.

Serce ścisnęło mu się z żalu. Poczul w ustach cierpki smak wszystkich pytań w rodzaju „co by było, gdyby”. Dlaczego okrutny Bóg mi to zrobił, zastanawiał się z goryczą. Wziął człowieka, który był jak bezludna wyspa, i rzucił go w strumień migoczącego światła, które za chwilę zniknie, zostawiając po

sobie ciemność bardziej absolutną i bardziej lodowatą niż środek zimy na Jukonie.

Gdyby tylko miał odwagę poprosić Devon, żeby została. Na sekundę obudziła się w nim nadzieja i przez chwilę błyszczała jak raca, zanim zgasła.

Nie mógł tego zrobić. Już raz to zrobił, z Mibelle. I ta naiwność kosztowała go pięć lat życia. Z Devon ryzykował nie tylko wolność. Ryzykował o wiele bardziej. Gdyby poprosił ją, a ona odmówiła. Kamienny Człowiek by tego nie przeżył. Kilka miesięcy temu zdjął zbroję, którą niegdyś opancerzył własną duszę, i teraz nie zostało mu nic do obrony. Był bezbronny wobec jej ataku. Teraz wszystko sprowadzało się do samoobrony. Jeśli nie poprosi jej, aby została, nie będzie mogła mu odmówić. A jeśli nigdy nie usłyszy odmowy, będzie mógł kiedyś, po latach, wmawiać sobie, że niewykluczone, że dziewczyna by została. Będzie mógł pocieszać się wspomnieniami o Devon.

A poza tym, dlaczego miałby ją prosić? Przecież zna Devon; jeśli dziewczyna chce z nim zostać, to stado dzikich koni nie zawlecze jej na parowiec. Ona jest kobietą, która robi, co chce; kobietą, która wie, czego chce.

Więc dlaczego właściwie on zaprzęta sobie głowę takimi rozważaniami? Ona zaraz odwróciłaby kota ogonem, jak zwykle. Zrobiłaby tę swoją całkowicie logiczną minę, zaczęłaby ogryzać paznokcie i zapytałaby, dlaczego on nie chce pojechać z nią do St. Louis.

Dlaczego nie chciał? Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd i uderzyła go z paraliżującą siłą.

Dlaczego nie chciał?

Nie chciał, bo nie mógł. Przed laty, kiedy porzucił społeczeństwo, przysiągł nigdy nie oglądać się za siebie. Bez trudu dotrzymał słowa i po jakimś czasie tak zwana cywilizacja znaczyła już dla niego mniej niż zero. Myśl o powrocie, o przystosowaniu się była przerażająca. Przez ostatnie dwadzieścia

dwa lata żył po swojemu, jak dzikie zwierzę. Jak mógłby wrócić?

A jeszcze bardziej przerażająca od myśli o próbie bycia kimś, kim nie był, była myśl o rozczarowaniu Devon.

A rozczarowałby ją na pewno. Och, oczywiście opanował zasady zachowania się przy stole, przestał nawet żuć tytoń, ale nie był materiałem na bogobojnego członka społeczeństwa. Devon byłaby nim zawstydzona i rozczarowana. Jej twarz byłaby ściągnięta bólem i Kamienny Człowiek wiedziałby, że ją zawiódł. Nie powiedziałałaby mu ani słowa, była na to zbyt wielkoduszna, ale on wiedziałby, że ją zawiódł, i marzyłby tylko o tym, żeby zapaść się pod ziemię i umrzeć. Nie chciał narażać się na takie cierpienie. Zdecydowanie wołał jedno szybkie pchnięcie nożem w samo serce niż powolne wykrwawianie się na śmierć.

- Panno Devon! Panno Devon! ktoś wołał jej imię na głównej ulicy.

Kamiennego Człowieka tknęło nagle przeczucie. Jego spojrzenie pobiegło ku dziewczynie. Siedziała przy stole, dziergając ten głupi różowy obrus. Na płótnie namiotu pojawił się cień człowieka, ciągnącego sanki.

- Niech się pani trzyma, panno Devon. Nadchodzę! zawył znowu ten sam głos.

- Kto to? - Devon odwróciła się twarzą do Kamiennego Człowieka.

- A skąd mam wiedzieć? - odpowiedział ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Nie mógł się opanować; ten cień na płótnie namiotu sprawiał, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

Kośława czarna postać rzuciła na ziemię sznurek do ciągnięcia sanek i zdjęła z nich coś - może worek. Przedmiot uderzył z hałasem o chodnik.

Kopacz Haines wlaźł do namiotu, ciągnąc za sobą jutowy worek, który podskakiwał na nierównych deskach podłogi.

Kopacz zatrzymał się obok stołu. Otarł pot z brudnego czoła i uśmiechnął się do Devon promiennie.

- Udało się, dziewczyno! Ten worek jest pełen złota! Devon zerwała się na równe nogi. Szydełka upadły na stół.

- Ten worek jest pełen złota?

- Wypchany po brzegi. To wszystko twoje. Dziewczynie opadła szczęka. Pierwszy raz w życiu całkowicie zaniemówiła.

- Nie sądziłaś, że coś ci przyjdzie z wypożyczenia narzędzi, co? - Kopacz zachichotał.

- Z jakiego wypożyczenia?

Devon usłyszała zbyt spokojny głos Kamiennego Człowieka, złowieszczą, ostrzegawczą nutkę, ale nie odpowiedziała. Nie mogła. Była oszołomiona. Pomysły, możliwości i nadzieje jednocześnie nasunęły się jej na myśl, wypierając się nawzajem. Była bogata. Bogata!

- Kiedy ty poszedłeś latać po górach i dolinach, twoja współniczka wypożyczyła mi narzędzia i zaopatrzenie w zamian za udział w moim Eldorado - odpowiedział najspokojniej w świecie Kopacz.

- To nie ja zawarłam z nim umowę, a nasza faktoria. Wielkie nieba, Kamienny Człowieku, jesteście bogaci! - wtrąciła dziewczyna nadal oszołomiona.

- Oboje jesteście bogaci! A to nie wszystko. Mam jeszcze furę mułu do przepłukania i masę skał do przekopania. Do diabła, wszyscy będziemy bogaci jak królowie! Możemy zamieszkać gdzie chcemy. W Paryżu, Londynie, San Francisco. Do licha, dziewczyno, możesz pojechać do Bostonu i mieć cały legion mężów! - Kopacz poklepał pieszczotliwie worek.

Uśmiech zniknął z twarzy Devon. Cornelius zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Dziękuję, Kopaczu, idź na drinka. Zasłużyłeś sobie na to - powiedział Kamienny Człowiek spokojnym tonem.

Kopacz przenosił wzrok z niego na Devon i z powrotem.

Oboje stali jak posągi, wpatrując się w siebie nawzajem. Rozluźnił kołnierzyk, który nagle wydał mu się za ciasny. To była najdziwniejsza reakcja na niespodziewane wzbogacenie się, jaką kiedykolwiek widział. Poczul się wręcz nieswojo...

- Zostawię to tutaj, w kącie. Gdybyście mieli jakieś pytania, zatrzymam się w tym nowym pensjonacie koło saloonu Pionier. - Odwrócił się do wyjścia.

- Dziękuję, Kopaczu. Miałam rację, że można ci zaufać powiedziała Devon, kiedy był już prawie przy wyjściu.

- Jasne, dziewczyno. Bywaj. - I wyszedł z namiotu.

- A więc możemy mieszkać jak królowie w San Francisco! - zabrzmiał szyderczy głos Kamiennego Człowieka.

- Albo w St. Louis - wyrwało się Devon, zanim zdążyła się zastanowić. W tym momencie ich oczy się spotkały. Czas stanął w miejscu, a ona ze ściśniętym gardłem czekała na odpowiedź.

O Boże, Kamienny Człowieku, nie zmuszaj mnie do wyjazdu. Potrzebuję tylko słowa zaproszenia...

Na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Jakiś węzeł zacisnął się na jego tchawicy. Poprosiła go, żeby z nią pojechał. Do jej idealnie uporządkowanego i doskonale zorganizowanego małego światka w St. Louis.

Neandertalczyk i dama! Aż wzdrygnął się na tę myśl. Nie mógł tego zrobić - dla żadnego z nich. Zmusił się do rzucenia jej wrogiego spojrzenia.

- Jaki pożytek z pieniędzy, skoro mamy żyć ściśnięci jak sardynki? Zatrzymaj złoto, Dev. Dla mnie to za duża odpowiedzialność.

Dziewczyna zachwiała się na nogach. Trzęsącymi się palcami złapała się brzegu stołu i starała się uspokoić. Zrobił to; odrzucił ją. Spojrzała w dół na jasnoróżowy kocyk, nad którym pracowała, i zalała ją fala niezwykłej goryczy.

- Powinna była się z tym liczyć - powiedziała ostrym tonem.

- Co to ma znaczyć?
- Pomyśl sam, Kamienny Człowieku. Jestem już zmęczona myśleniem za ciebie.
- Ktokolwiek powiedział, że złoto nie zmienia człowieka, był idiotą. - Jego usta zacisnęły się w wąską linię.
- Zmienia rzeczy.
- Wiem. Dzięki wypożyczeniu narzędzi Kopaczowi, stałaś się obrzydliwie bogata. Już nie potrzebujesz ode mnie pieniędzy, żeby wyjechać. Możesz sobie sama kupić ten cholerny bilet.

Devon o mało nie upadła na podłogę. Ale stała prosto dzięki latom treningu, jaki zafundował jej chętnie wyzywający ją ojciec. Nauczyła się dzięki niemu nie okazywać cierpienia.

Przycisnęła do piersi różowy kocyk dla dziecka jak tarczę i patrzyła na Kamiennego Człowieka chłodnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Widzę, że bardzo ci ulżyło. Nie musisz się martwić. Wsiądę na pierwszy statek, który przybije do tego biednego, zapomnianego przez Boga kawałka błota.

Patrzył, jak od niego odchodzi. Jej obcasiki postukiwały na deskach podłogi. Każdy krok był jak szpon wbijający się w jego serce.

Boże, pomóż mi, pomyślał. Już po wszystkim.

Następnych szesnaście dni - i nocy - należało do najdłuższych w życiu Kamiennego Człowieka. Obserwował Devon z dala, nigdy nie odważył się podejść tak blisko, aby jej dotknąć. Żyli w świecie ogrodzonym murami milczenia i pełnych urazy spojrzeń. W nocy spał przytulony do płótna namiotu.

Kto by przypuszczał, że namiot o wymiarach dziesięć na dziesięć może być taki cholernie duży?

Bał się do niej zbliżyć, dotknąć. A najbardziej bał się na nią patrzeć. Kilkakrotnie ich oczy spotkały się przypadkiem i Kamienny

Człowiek dostrzegł cierpienie w źrenicach dziewczyny. Dojmujący, pełen goryczy ból. Poczul, jakby rozgrzany do czerwoności nóż wbił się w jego wnętrzości. Wiedział, że jej cierpienie jest odzwierciedleniem jego cierpienia, zdawał sobie sprawę, że oboje cierpią ponad miarę. Ale cóż mogli zrobić? Ona nie zaproponowała, że zostanie. On nie mógł zaproponować, że z nią pojedzie.

Skrzywił się. Niezależnie od tego, jak długo rozmyślał nad rozwiązaniem ich problemu, odpowiedź była niezmienna.

Unióś głowę i spojrzal na Devon. Siedziała przy stole i znów robiła na drutach ten cholerny różowy obrus. Widział jej sztywno wyprostowane plecy. Już od dwóch godzin siedziała w tej pozycji i dziergała. Nie odezwała się ani słowem.

To jej ostentacyjne milczenie stawało się męczące. Kamienny Człowiek aż do ostatniego tygodnia nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo lubił z nią rozmawiać. Albo, jak powiedzieliby Devon i doktor Cowan - na jego ustach pojawił się słodko--gorzki uśmiech - wymieniać poglądy, myśli i idee.

Nie odezwała się do niego od chwili, kiedy zjawił się Kopacz ze swoją rewelacją. Żyli jak wrogowie w obozie wojskowym oddzieleni, źli, wojowniczy - i to sprawiało Kamiennemu Człowiekowi rozdzierający ból. W każdej chwili milczenia przypominał sobie śmiech. W każdej chwili dystansu przypominał sobie bliskość. Boże, już nie był w stanie tego znieść ani przez chwilę!

Najgorsze były poranki. Kiedy się budził, pierwszą rzeczą, na którą zwracał uwagę, był świeży, czysty zapach dziewczyny i ciepło jej ciała tuż przy nim. Przez mgnienie oka, zanim jego mózg wydobył się z sennego otumanienia, wydawało mu się, że jest w łóżku z kobietą, którą kocha. A potem wracała pamięć, a z nią ból. Wydawało się, że te kilka cali, dzielących ich ciała, to całe mile. Spadała na niego świadomość straty. I pierwszą jego myślą po przebudzeniu było zawsze: już do niej nie należysz.

Z jękiem zatopił palce we włosach i potrząsnął głową. W ciągu tego tygodnia setki razy chciał jej powiedzieć: Kocham cię, ale za każdym razem słowa więzły mu w gardle. Przeszłość zbierała żniwo. Nie miał dość siły, żeby je wypowiedzieć, nie kiedy Devon miała go opuścić.

Głośny gwizd wdarł się w nienaturalną ciszę namiotu.

- Co to było? - Devon uniosła głowę. Nie odpowiedział. Nie był w stanie.

- Co to było, Kamienny Człowieku? - Dziewczyna spojrzała na niego pytająco.

- Powinnaś się domyślić, czekałaś na ten dźwięk. Przyplłynął parowiec. - Z trudem przełknął ślinę.

Devon zbladła. Zakryła usta ręką.

Całe ciało Kamiennego Człowieka napięło się. Po kilku minutach rozdzierającej serce ciszy nie wytrzymał.

- Powiedz coś.

- Kiedy przyplynie następny?

Przeszedł go lodowaty dreszcz. Ona nie mogła tego zrobić. Ona nie zrobi tego! Po szesnastu dniach prawdziwego piekła oczekiwania na ten cholerny statek! Nie miał zamiaru spędzić całego lata na zastanawianiu się, na który statek wsiądzie Devon. Nie ma mowy! Przygotował się na jej wyjazd. Był gotów znieść ten ból. Do diabła, jakaś część jego istoty chciała jej wyjazdu.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział ostrym tonem.

- O czym?

- O czekaniu na następny.

Pochyliła się do przodu, oparła łokcie na blacie stołu, zasłaniając rękami twarz. Kamienny Człowiek instynktownie podbiegł do niej i podniósł ją z krzesła.

- Dev? Wszystko w porządku?

W odpowiedzi usłyszał wysoki, załamujący się śmiech. Uniósł jej głowę. Pierwszy raz od kilku dni spojrzała mu w oczy. Jej skóra była bielsza, niż pamiętał, bardziej delikatna.

Dolna warga dziewczyny była czerwona, zakrwawiona. Bez zastanowienia przeciągnął palcem po opuchniętej wardze.

- Nie powinnaś zagryzać ust.

Próbowała się uśmiechnąć. Wyszło z tego drżące, posępne skrzywienie warg.

- Kciuka już prawie nie mam. Byłam w rozpacz.

- Ach, Dev... Dlaczego my się nawzajem tak bardzo ranimy?

- Bo się kochamy, ale nie dość mocno. - Łzy popłynęły z jej oczu.

Kamienny Człowiek zacisnął powieki. Tysiące razy powtarzał sobie samo. Więc dlaczego to tak bolało, kiedy mówiła to ona? Wiedział, że Devon nie kocha go dość mocno, aby z nim zostać. A jednak usłyszeć to z jej własnych ust... Słodki Jezu, jak to bolało!

Przez chwilę zbierał odwagę, żeby się odezwać, a kiedy wreszcie otworzył usta, jego głos był urywany i ochrypły.

- Statek zatrzymuje się tu tylko tak długo, ile czasu zajmie załódź ściecie kilku sągów drewna. Lepiej weź się do pakowania.

- Ale...

- Nie utrudniaj tego. Jeśli masz zamiar odejść, to, do diabła, idź! - Złapał ją za ramię.

- Weź tę rękę - powiedziała cicho.

Posłuchał.

Chwyliła swój cenny różowy obrus i przycisnęła go do brzucha. Pogładziła miękką włóczkę, jakby czerpała z niej pocieszenie, i po kilku sekundach dumnie podniosła głowę. Byłby nawet w stanie uwierzyć w to, że dziewczyna zapanowała nad własnymi uczuciami, gdyby nie to, że stał dość blisko, aby widzieć drżenie jej ust.

- Nie martw się, Kamienny Człowieku, wyjadę. Nie mogę tak żyć.

- Cześć, Dev. - To była dwa najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wymówił.

- Gotów? - Uśmiechnęła się ponuro. Starła łzy z policzków, uniosła spódnicę nad ziemię i naszyła do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymała się i nie patrząc na niego, powiedziała: - Wrócę po moją część złota.

A potem go zostawiła.

Devon stała przed wejściem do faktorii, starając się zachować zimną krew. Przycisnęła małą, obleczone rękawiczką dłoń do brzucha i zaczęła liczyć do dziesięciu. Stary sposób zawiódł.

Boże, jak chciała stąd uciec! Unieść spódnice i biec - tak długo, tak szybko i tak daleko, jak tylko ją nogi poniosą. Dokądkolwiek, pod warunkiem, że nie w stronę parowca.

Spojrzała na trzymany w ręku skrawek papieru. Dłońmi w koronkowych rękawiczkach kurczowo ścisnęła bilet, zakrywając nabazgraną w pośpiechu porę odpłynięcia statku.

Już za późno, żeby zmienić zdanie. Jej rzeczy zostały spakowane, a Dryblas zaniósł wszystkie manatki na przystań. Wszystko, co posiadała, było na pokładzie. Pozostało tylko się pożegnać.

Żołądek zacisnął się jej w węzeł. Gdyby tylko poprosił, żeby została...

- Dość tego - wyszczała przez zaciśnięte zęby. Rzecz w tym, że nie poprosił. Podjęła decyzję - i to rozsądną - pora przestać płakać nad rozlanym mlekiem. I dla Corneliusa, i dla dziecka będzie lepiej, jeśli wyjedzie, a to oni liczą się przede wszystkim.

Z determinacją zacisnęła zęby, uniosła prążkowaną podróżną spódnicę z serży i weszła do faktorii. To, co zobaczyła sprawiło, że stanęła w progu jak wryta. Wewnątrz byli wszyscy, których знаła.

- Ona już jest! - krzyknął Kopacz gdzieś w tyłu. Mężczyźni podeszli do niej. Wszyscy mówili naraz i Devon nie mogła w tym szumie podekscytowanych rozmów odróżnić ani jednego głosu. Uśmiechnięte twarze o błyszczących oczach zlewały się w jedną.

Ktoś potrącił ją łokciem; spojrzała w tę stronę. Ojciec Michaels stał tuż obok niej. Patrzył na nią ze smutkiem i rozczarowaniem w brzydkiej twarzy. Wskazał głową w lewo. Spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Na Kamiennego Człowieka. Tkwił jak zawsze za ladą, barierą odgradzającą go od świata. Stał bez ruchu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, wpatrzony w Devon. Żar w jego oczach koloru whisky sprawił, że żołądek dziewczyny fiknął koziółka. Patrzył na nią tak, jakby byli sami...

Nie! Nie wolno jej już było o tym myśleć, jeśli chciała wynieść z tego sklepu resztki dumy. Odwróciła od niego wzrok.

- Co tu się dzieje, ojczu? - Miała nadzieję, że udało jej się to powiedzieć lekkim tonem.

Midas i Dryblas przepchali się przez tłum i stanęli przed dziewczyną. Ten pierwszy odchrząknął i mężczyźni stojący obok niego ucichli.

- Kiedy dowiedzieliśmy się, że wyjeżdżasz, postanowiliśmy wszyscy razem ci to dać. - Wręczył jej mały kawałek drewna.

O, Boże, tylko nie pożegnalny prezent! Jej słańki panowanie nad sobą mogło w każdej chwili prysnąć. Ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała, były miłe gesty z czyjejkolwiek strony. Niechętnie wzięła do ręki kawałek brązowego drewna.

- Niech to panienka odwróci! - pogaśniał Dryblas. Posłuchała po chwili wahania i kiedy spojrzała na drugą stronę zaczęła ją dławić w gardle. Była to na prędcę zrobiona

plakietka; w ciemnym drewnie wryto napis: *Dla Devin. Pierszej kobity, co przezimowała z nami. Bendziemy za tobą tensknić.*

- Przeczytaj na głos! - zawołał ktoś z tyłu tłumu. Wszyscy natychmiast zamruczeli z aprobatą. Midas uniósł ręce, prosząc o ciszę.

- Ona nie musi tego czytać. Przecież wszyscy wiemy, co tam jest napisane.

Devon obdarzyła starego człowieka pełnym wdzięczności uśmiechem i zwróciła się do stojących wokół niej ludzi:

- Nie wiem, co powiedzieć... chyba tylko: dziękuję. To zawsze będzie dla mnie skarb. - Przycisnęła plakietkę do piersi.

Zabrmiał gwizd parowca. Dźwięk przebił się przez hałaśliwą radość mężczyzn. Devon poczuła, że przeszył ją aż do czubków palców.

- Poczekamy na ciebie na zewnątrz, Devon. Chcemy odprowadzić cię na statek. Nie musisz się spieszyć. Jeszcze przez godzinę nie odpłynie. - Midas poklepał ją po plecach.

- Dobrze, za chwilę przyjdę. - Kiwnęła głową z roztargnieniem.

Mężczyźni wyszli; zapadła ogłuszająca cisza. Patrzyła na Kamiennego Człowieka i on nie spuszczał z niej wzroku.

- Ładna plakietka - odezwał w końcu.

- Prawda?

Znów zapadła cisza. Okropna, głucha cisza, która była jak policzek wymierzony wszystkiemu, co ich łączyło. Devon przycisnęła rękę do brzucha, starając się przypomnieć sobie, dlaczego wyjeżdża. Z jak szlachetnych powodów. Była teraz bogata, ale nie czuła się szlachetna. Czuła się małoduszna, zagubiona i samotna. Przelknęła z trudem ślinę, starając się siłą woli powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Chyba powinnam już iść.

- Chyba tak.

- Odprowadzisz mnie na statek?
- Wydaje mi się, że będziesz miała bardzo liczną eskortę. Nawet nie zauważyłabyś jednego więcej. - Wskazał oczami cienie, rysujące się na płótnie namiotu.

- Pewnie nie. - Z wysiłkiem wzruszyła ramionami.
- Proszę, to dla ciebie - powiedział mrukiwie, podając jej małą szarą paczkę, którą wyjął spod lady.

- Nie mam dla ciebie...

- Weź to. Ty dałaś mi bardzo dużo. - Umknął w bok wzrokiem

Wręczył jej prezent. Trzęsącymi się palcami rozwiązała sznurek i zdjęła szary papier. Wstrzymała oddech. Było to oprawione zdjęcie, przedstawiające bukiet dzikich maków w wyszczerbionej puszcze po zupie Campbella. Fotografia dygotała w jej palcach; obraz zamazał się.

- Jest śliczna. Dziękuję. - Nawet w jej własnych uszach słowa zabrzmiały strasznie drętwo i z dystansem.

- Proszę bardzo.

- Cóż, muszę już iść - rzuciła niezręcznie.

Kiwnął głową. Devon bez powodzenia próbowała się beztrząsko uśmiechnąć.

- Mogłabym powiedzieć, że napiszę do ciebie, ale mój list mógłby cię nie znaleźć.

- Na pewno nie.

- A więc to jest ostateczne pożegnanie.

- Żegnaj, Dev.

Miała zamiar podejść do drzwi i wyjść. Nie zrobiła tego. Jakaś głęboka, instynktowna potrzeba popchnęła ją do Kamienno Człowieka. Nie cofnął się. Stał w miejscu, czekając na nią. Kiedy znalazła się w zasięgu jego ramion, objął ją z gwałtownością, która pozbawiła ją tchu. Przytuliła się, rozkoszując się cudownym poczuciem jego bliskości. Otoczył ją wręcz boleśnie znajomy zapach mężczyzny. Pod policzkiem czuła bicie jego serca.

- Będzie mi ciebie brakowało.

Te słowa, wypowiedziane załamującym się, urywanym szeptem, złamały ostatnie słabe linie obronne dziewczyny. To wszystko; to jedyna deklaracja miłości, jakiej się od niego doczekała. Będzie mu jej brakowało, ale nie na tyle, aby poprosić, by z nim została. To za mało. Łzy spływały jej po policzkach i gromadziły się w kącikach ust. Wysunęła się z jego ramion. Przycisnęła zdjęcie do piersi i ruszyła wzdłuż namiotu.

Kiedy rozsunęła klapy, znalazła się w samym środku tłumu. Mężczyźni otoczyli ją, odcinając jej wszystkie drogi ucieczki. Poczowała ciężki, ostry smród niemytych ciał. Ogarnęła ją panika. Jakieś ramię otoczyło ją w pasie.

- Już w porządku, dziewczyno. Weź głęboki oddech. Odpręż się.

Oparła się na księdzu, pozwalając, aby się nią zaopiekował. Koncentrowała się na każdym oddechu i po chwili zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą.

- Przepraszam, ojczu. Nie wiem, co mnie napadło - powiedziała z drżącym śmiechem.

- Nie wiesz?

- No, już. Już. Chodźmy, panienko. - Głos Dryblasa przebił się przez gwar męskich rozmów.

Powoli odsunęła się od księdza, nie puszczając go dopóki jej plecy nie były proste jak drut. Rozciągnęła usta w uśmiechu i dopiero wtedy odwróciła się do zebranych.

- Dobrze, chłopaki, chodźmy.

Uniosła głowę i zrobiła pierwszy krok w stronę parowca. Pierwszy krok oddalający ją od Kamiennego Człowieka.

Otoczający ją mężczyźni trajkotali jak najęci, ale Devon nie słyszała niczego poza waleniem własnego serca. Otaczała ją gromada przyjaciół, lecz nigdy w życiu nie była bardziej samotna.

Każdy krok oddalał ją od człowieka, którego kochała.

Przy każdym myślała: jeszcze nie jest za późno. Możesz się odwrócić i...

Ale było za późno. O wiele za późno.

- Żegnaj, panienko. - Piskliwy głos Dryblasza wyrwał ją z zamyślenia.

Podniosła głowę. Dotarła do końca chodnika, a Kopacz i Dryblasz stali tuż przy niej. Obaj uśmiechali się do niej szeroko. Odpowiedziała drżącym uśmiechem.

- Żegnaj, Dryblasie. Będzie mi ciebie brakowało. I ciebie też, Kopaczu. Odmieniłeś moje życie.

Jabłko Adama na jego szyi podskoczyło gwałtownie.

- A ty odmieniłaś moje życie, dziewczyno. Twoja część złota, jakie znalazłem jest już na pokładzie. Resztę twojego złota wyślę do San Francisco. Zawiadomię cię telegraficznie, kiedy będziesz je mogła odebrać.

Zanim Devon zdołała mu odpowiedzieć, Midas go odsunął.

- Żegnaj, Devon - powiedział mrukliwie.

- Żegnaj, Midasie. Dziękuję za plakietkę. Zawsze będzie moim skarbem.

Wymamrotał coś i wmieszał się w tłum. Natychmiast wybuchła wrzawa głosów, wszyscy naraz mówili, krzyczeli, wyli, życzyli jej szczęśliwej podróży.

Ojciec Michaels pojawił się u jej boku. Wziął ją za rękę i poprowadził nowo wybudowanym drewnianym nabrzeżem i po wiodącej na statek chwiejnej rampie. Zatrzymał się dopiero, kiedy stanęli na pokrytym blachą pokładzie.

- Nie musisz tego robić. On cię kocha - rzekł cicho.

Powstrzymywane dotąd łzy wypłynęły spod rzęs i stoczyły się po policzkach.

- Błagam, ojcze, nic nie mów - poprosiła urywanym głosem i położyła palec na ustach księdza.

- Ach, ty uparciuchu. No, chodź, moje dziecko, uściskaj starego człowieka.

Delikatne dotknięcie księdza zerwało wszelkie tamy. Devon

zawisła na jego szyi, pozwalając potokom łez spływać po policzkach.

- Bóg z tobą, moje dziecko.
- I z tobą, ojcze. - Pociągając nosem, wysunęła się z jego uścisku.

Jeszcze długo po jego odejściu Devon stała przy zardzewiałym relingu, z palcami zaciśniętymi kurczowo na chropowatym metalu.

Podmuchy wiatru biły ją po twarzy, zmierzwiły włosy, a ona ciągle stała w samotności. Czekwała.

Kroki wreszcie ucichły. Kamienny Człowiek pochylił się bezwładnie do przodu. Mocno uderzył łokciami w ladę. Każde uderzenie jej obcasików o chodnik, uderzało w niego. Ale już po wszystkim. Odeszła. Zamknął oczy i masował pulsujące bólem skronie.

- Cóż, Kamienny Człowieku. Zawsze uważałem, że jesteś głupi. Teraz udowodniłeś, że mam rację.

Podniósł głowę. Jęknął na widok małej pomarszczonej twarzy Midasa. Boże, jak pragnął rozwalić tę twarz. Teraz, natychmiast.

- Odsuść mi dzisiaj swoje pieprzenie, Midasiu. Dziś mogę dać ci wycisk, na jaki zasługujesz.

- To by ci odpowiadało, co? Pozwoliłoby ci oderwać od niej myśli.
- Od kogo? - Kamienny Człowiek rzucił mu groźne spojrzenie.
- Nie ma tu ani jednego faceta, który pozwoliłby jej odejść! -Midas wypluł dużą grudkę tytoniu na podłogę.

- Wiem.

- Gówno wiesz. Gdybyś wiedział, leciałbyś za tą dziewczyną, obiecując jej gwiazdkę z nieba, jeśli to mogłoby ją zatrzymać.

- Gdyby chciała tylko gwiazdki z nieba, nie byłoby problemu.
 - Chryste, jaki to kretyn! - Midas sapnął.
 - Zaraz, zaczekaj. Ja nie muszę wysłuchiwać...
- Owszem, musisz. Tym razem musisz. Ja wiem wszystko o zaciskaniu zębów, Kamienny Człowieku, i nie życzyłbym tego nikomu. - Splunął pod nogi i odchrząknął. Zostawiłem wspaniałą żonę i dziecko, żeby szukać złota. I wiesz, co odkryłem? Że to oni byli skarbem, tylko ja byłem zbyt głupi, żeby to zrozumieć. Oczywiście, zanim to do mnie dotarło, oni odeszli.
- Do licha, nie muszę tego wysłuchiwać! Gadaj sobie, ile chcesz, ja wychodzę - ryknął Kamienny Człowiek i nie zaprzatając sobie głowy sięgnięciem po płaszcz i kapelusz, wypadł z faktorii.
- Pomaszerował wzdłuż ulicy do swojego namiotu. Szarpnięciem otworzył drzwi i wtoczył się do swego sanktuarium. Zaszła tu zmiany uderzyły go jak cios pięścią w twarz. Stał jak wryty.
- Wyglądało tak, jakby Devon nigdy tu nie mieszkała. Ani obrusa, ani kwiatów w poobijanej puszcze po zupie Camp-bella, ani plisowanych halek, wiszących na sznurze do suszenia bielizny.
- Ściany namiotu zdawały się napierać na niego. Nagle pomieszczenie stało się ciasne. I samotne.
- Na środku stołu leżało coś białego. Kamienny Człowiek podszedł do tego z wahaniem. Kartka papieru. Prawdziwego, najprawdziwszego papieru; nie jakiś strzępek płótna z jej przybornika do szycia, nie stara etykieta, ale papier.
- Podniósł go. Był, oczywiście, złożony w idealnie równe ćwiartki. Rozkładając kartkę, zwrócił uwagę, że z jednej strony jest wystrzępiona, jakby została wydarta z jakiejś cennej książki. Spojrzał na półkę, którą Devon dla niego zrobiła. Pozostało na niej tylko kilka książek - jego własnych.

Przelknął z trudem ślinę i zmusił się do spojrzenia na trzymaną w rękę kartkę. Wpatrywał się w napis, starając się odczytać słowa napisane jej ręką; ale dłonie tak mu się trzęsły, że litery tańczyły mu przed oczami.

Zacisnął powieki, wyzywając się od idiotów. Po chwili otworzył oczy i przeczytał: *Kocham cię. Żegnaj.*

Prosto. Jasno. Treściwie. Jak przystało na kobietę, która napisała te słowa. Ale ta kobieta płakała, pisząc; poznał to po nierównym, prawie nieporadnym charakterze pisma i po kleksach, którymi upstrzony był papier. Myśl o tym, że Devon płakała przez niego, była jak nóż zatopiony w gardle, uniemożliwiała oddychanie.

Rozprostował palce; list spadł na podłogę. Upadł bezgłośnie, drobny biały prostokąt na ciemnym drewnie.

Kamienny Człowiek opadł niepewnie na najbliższe krzesło i utkwiał niewidzące spojrzenie w brezentowej ścianie. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, czego tu brakuje.

Zniknęła ta cholerna szafa.

Ogarnęło go przygnębienie niepodobne do niczego, co wcześniej przeżywał, odbierające chęć do życia. Automatycznie wstał i wolno podszedł do narożnika namiotu. Opadł na kolana i dotknął ręką ściany. Trzęsącymi się palcami przesunął po nieheblowanych deskach, starając się wyczuć otwory po gwoździach.

Devon je powyciągała.

Tak jak wyrwała jego serce z piersi.

Odmowa wyznania miłości go nie uchroniła. Może nawet to wymuszone milczenie sprawiło, że jego uczucie wyrosło potężniejsze, bardziej niezwykłe, jak kwiat, który na przekór wszystkiemu zakwitł w cieniu.

Devon, która wniosła miłość w jego życie, odeszła i zostawiła go ze wspomnieniami, które będą go dręczyć aż do końca samotnych, tułających dni.

Miał znowu swoje dawne życie.

Życie. Prawie się rozeźmiał. Nie miał życia. Nie miał go, zanim wylądował w Dawson City, i - jasne jak słońce nie miał go teraz. To była roślinność, nic więcej, a od tej chwili poważnie wątpił, czy i to będzie miał.

Jedyne, co miał, to wątpliwości. Potężne, dręczące wątpliwości. Przez całe życie będzie się zastanawiał, co by było, gdyby... Co by było, gdyby jej powiedział, że ją kocha; co by było, gdyby poprosił, aby z nim została?

Wspomnienia wirowały w jego głowie jak w kalejdoskopie. On i Devon leżą razem w błocie, zaśmiewając się wniebogłose, a nad ich głowami ten cholerny sztyl trzepocze na wietrze. Devon siedzi w głębokim śniegu, jej twarz jaśnieje szczęściem, a zielone oczy błyszczą jak gwiazdy. On stoi na smaganym wichrem wzgórzu i obserwuje pogrzeb Niedźwiedzia.

Kiedy przypomniał sobie śmierć przyjaciela, poczuł ukłucie bólu tak silne, że niemal się zatoczył. To się stało tak szybko. W jednej chwili śmiał się ze swoim starym druhem, a w następnej trzymał jego zimną jak lód, pozbawioną życia rękę.

Tak szybko. Tak wiele myśli nie zostało wypowiedzianych.

Tak jak teraz. Tak wielu rzeczy nigdy nie powiedział Devon; tak wiele rzeczy powinien był powiedzieć.

Parowiec zagwizdał dwa razy na znak, że odpływa. Na ten dźwięk coś się w Kamiennym Człowieku załamało. Zerwał się na równe nogi. Na Boga, nie chciał żyć z wątpliwościami, nie chciał wrócić do swojego dawnego życia. Do diabła z dumą! Do diabła z samotnością! Pierwszy raz w życiu będzie walczył o to, czego pragnie. A pragnął Devon.

Pchnął wąskie drewniane drzwi namiotu i rzucił się pędem. Kiedy dobiegł do końca ulicy, był zdyszany i bez tchu. Parowiec odbił od brzegu. Był o dwie stopy od nabrzeża i kierował się w dół rzeki.

Zobaczył ją od razu. Stała przy tylnym relingu i patrzyła na niego. Zwinął ręce w trąbkę i zawołał:

- Devon!

Jego głos przebił się przez cichy szept wiatru i posapywanie silnika statku.

- Co? - odrzyknęła.

Wziął głęboki oddech.

- Kocham cię! - W chwili, kiedy te słowa padły z jego ust, krew mu się ścięła w żyłach. Dziewczyna mogła go zmiażdżyć jednym słowem albo milczeniem. Wspomnienie ostrego, tnącego jak nóż śmiechu Mibelle zabrzmiało głośno i wyraźnie w jego uszach. Przestał oddychać.

- Co? - zawołała.

- Słodki Jezu! - mruknął pod nosem, a potem nabrał w płuca potężny haust świeżego jukońskiego powietrza i spróbował znowu: - Kocham cię! Zostań ze mną!

Podniosła ręce do ust. Spojrzała na stojący za nią jaskrawo-czerwony rower, a potem na worek złota.

- Co ze złotem?

- Sknera!

Pomachała ręką, żeby podszedł bliżej. Zmarszczył czoło, ale wszedł do rzeki. Brunatna woda zawirowała wokół jego nóg i ochlapała mu ubranie.

Devon zaczęła unosić spódnicę i zanim Kamienny Człowiek zdołał wykrzyknąć ostrzeżenie, przeskoczyła przez reling. Wpadła w błękitnobrunatną lodowatą wodę z głośnym pluskiem, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Z przerażeniem zauważył, że woda zaczyna ją znosić w dół rzeki.

Klnąc pod nosem, rzucił się do dziewczyny, walcząc z prądem rzeki. Woda sięgała mu powyżej ud, dochodziła prawie do pasa, kiedy wreszcie chwycił ją w objęcia. Devon otoczyła ramionami jego szyję. Trzymał ją mocno, ze wszystkich sił starając się zachować równowagę w wartko płynącej wodzie.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądała Devon.

- Dobry Boże, Dev, daj mi złapać oddech wysapał. Od

wrócił się, brnął z trudem przez wodę i staniając się, wyszedł na śliski błotnisty brzeg.

- Powiedz to jeszcze raz - przypomniała mu, kiedy tylko stanęli na przystani.

Kamienny Człowiek wpatrywał się w jej szeroko otwarte, szczere oczy i z niezwykłą wyrazistością poczuł, że jego złamane serce uwalnia się, odpływa gdzieś daleko. Był w domu. Scałowywał krople wody z jej nosa, ust, rzęs i szeptał:

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię, kocham cię... - Raz wypowiedziane, nagromadzone w nim słowa płynęły same, z głębi serca.

Wokół nich wybuchły burzliwe oklaski.

Kamienny Człowiek oderwał wzrok od oczu dziewczyny i rozejrzał się wokół. Poszukiwacze złota otoczyli ich ciasno, klaszcząc z entuzjazmem i wyjąc jak wariaci, którymi niewątpliwie byli.

- Czy będziecie potrzebować księdza? - Ojciec Michaels wysunął się przed innych.

Kamienny Człowiek usłyszał, że Devon głośno nabiera powietrza. Spojrzał na delikatne rysy twarzy dziewczyny, do której należała jego przyszłość, i się uśmiechnął.

- Tak. Jeśli ona mnie zechce.

Serce Devon było wręcz przepelnione miłością. Miłość zacisnęła jej gardło tak, że nie była w stanie wykrztusić ani słowa. W oczach zakręciły jej się łzy.

- Dev? Pojadę z tobą do St. Louis, jeśli zechcesz. Jestem gotów zostać mężem i ojcem, jestem gotów zbudować dom. Zgadzam się nawet, żebyś wzięła sobie jakiegoś cholernego pudła! Powiedz tylko, że będziemy razem. - Jego głos był pełen bolesnego wręcz lęku.

- St. Louis nie jest konieczne. Ale jeśli mam tu spędzić następną zimę, będziemy musieli przedyskutować sprawę namiotu.

Kamienny Człowiek westchnął z taką ulgą, że uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Jego głęboki, melodyjny śmiech otoczył ją jak mgła. Pławiąc się z rozkoszą w ciepłym, wspaniałym brzmieniu tego śmiechu, Devon pomyślała sobie: wieczorem. Dziś wieczorem powiem mu o dziecku. Ukryła twarz w ciepłym, spryskanym wodą zagłębieniu szyi Kamiennego Człowieka i wydała głębokie, pełne zadowolenia westchnienie. I zaczęła planować wieczór...

Od autorki

Nauka o nowym życiu doktora medycyny Johna Cowana została opublikowana po raz pierwszy w 1874 r. nakładem Cowan & Company Publishers. Kilka nagłówków i tytułów rozdziałów zostało podanych w uwspółcześnionym brzmieniu. Praktyczne porady seksuologiczne dla ciekawskich dziewic podane są jednak w takim brzmieniu, w jakiej wersji, w jakiej mogła je przeczytać Devon.